

CATHERYNNNE M. VALENTE

DOMOSTWO BŁOGOSŁAWIONYCH

UCZTA WYOBRAŹNI



ÆTHIOPIA
SUPERIOR vel INTERIOR
vel
ABISSINICORUM
PRESBITERUS
IMP

Catherynne M. Valente

Domostwo błogosławionych

(Elegia o Janie Prezbiterze Część 1)

Uczta Wyobraźni #61

Spis treści

Strona tytułowa

Pierwsza ruchoma sfera

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Słowo w pigwie

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Księga fontanny

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Szkarłatny pokój dziecinny

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Słowo w pigwie

Księga fontanny

Szkarłatny pokój dziecinny

Słowo w pigwie

Księga fontanny

Szkarłatny pokój dziecinny

Domostwo błogosławionych

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Słowo w pigwie

Księga fontanny

Szkarłatny pokój dziecinny

Słowo w pigwie

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Księga fontanny

Szkarłatny pokój dziecinny

Słowo w pigwie

Wyznania Hioba von Luzerna

Księga fontanny

Szkarłatny pokój dziecinny

Słowo w pigwie

Księga fontanny
Wyznania Hioba von Luzerna, 1699
Szkarłatny pokój dziecinny
Słowo w pigwie
Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Krystaliczne niebo

Księga fontanny
Szkarłatny pokój dziecinny
Księga fontanny
Szkarłatny pokój dziecinny
Aneks do wyznań Hioba von Luzerna, 1699

Podziękowania
O autorce

*Mojemu plemieniu, waszej barwnej, cudnej zbieraninie.
Tam, gdzie jesteśmy razem, tam błogosławiona ziemia.*

Jan, kapłan z woli Boga Wszechmogącego i mocy Jezusa Chrystusa Pana Naszego, król królów i władca władców, do przyjaciela swego Emanuela, księcia Konstantynopola: pozdrawiam, życząc mu zdrowia, pomyślności i nieustających łask Bożych.

Doniesiono Naszemu Majestatowi, że wielce miłujesz Naszą Ekscelencję i że doszły do Ciebie wieści o naszej wielkości. Nadto usłyszeliśmy poprzez naszego skarbnika, że z radością przesłałeś nam pewne dzieła sztuki i osobliwości, które zasłużyły sobie na wdzięczność Naszej Świątyni. Przyjęliśmy je przychylnie i poleciliśmy naszemu skarbnikowi, by w zamian przesłał kilka parafernaliów od nas...

Jeśli pragniesz poznać wielkość i świątynność Naszej Ekscelencji oraz ziem zebranych pod naszym berłem, słuchaj przeto i uwierz: ja, Johannes Prezbiter, władca władców, przewyższam wszystkich pod niebiosami w cnocie, bogactwie i władzy; siedemdziesięciu dwóch królów płaci nam trybut... W trojgu Indiach włada Nasz Majestat, a ziemie nasze rozciągają się poza Indie, gdzie spoczywa ciało świętego apostoła Tomasza. Sięgają ku jutrzence ponad pustkowiami i ciągną się ku opustoszałemu Babilonowi w pobliżu Wieży Babel. Służą nam siedemdziesiąt dwie prowincje, z czego tylko kilka jest chrześcijańskich. Każda ma własnego króla, ale wszyscy ich mieszkańcy pozostają naszymi lennikami.

List Jana Prezbitera, dostarczony cesarzowi Manuelowi Komnenowi,
Konstantynopol, 1165 autor nieznan

My, którzy byliśmy ludźmi Zachodu, odkrywamy, że przemieniliśmy się w ludzi Orientu. Człowiek, który był Włochem czy Francuzem, przeszczepiony tutaj stał się Galilejczykiem albo Palestyńczykiem. Człowiek z Reims czy Chartres zamienił się w obywatela Tyru albo Antiochii. Już zapomnieliśmy nasze rodzinne ziemie. Dla większości z nas stały się terytoriami nieznanymi.

Kronika Fulchera z Chartres
Jerozolima, 1106

Pierwsza ruchoma sfera

Znajduje się także na naszych ziemiach piaszczyste morze bez wody. Piasek burzy się i wzbiera niczym fale na morzu i nigdy nie pozostaje w bezruchu. Niemożliwa jest nawigacja na tym morzu ani przemierzenie go żadnym sposobem, a jakiego rodzaju kraje leżą poza nim, pozostaje nam niewiadome... Trzy dni drogi od morza wznoszą się góry, z których wypływa pozbawiona wody rzeka kamieni i przez nasz kraj zdąża do morza piasku. Trzy dni w tygodniu płynie i wyrzuca na brzeg kamienie zarówno wielkie, jak i małe, a niesie ze sobą do piaszczystego morza także drewno. Kiedy rzeka dociera do morza, kamienie i drewno znikają i nigdy więcej nie są widziane. Póki morze jest w ruchu, nie sposób go przebyć. Można je przekroczyć tylko w cztery dni w roku.

Między piaszczystym morzem a górami wspomnieliśmy o pustyni...

List Jana Prezbitera, 1165
Wyznania Hioba von Luzerna,

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Bardzo nędzny ze mnie historyk. Za to świetnie radzę sobie w roli żalosego starca. Siedzę na krańcu świata, na tyle blisko, żeby widzieć, jak moje zwiędłe stare nogi zwisają z krawędzi. Zaszedłem tak daleko dla złota, światła i opowieści bezkresnej jak niebo, ale zdołałem zebrać sobie tylko kosz popiołu i jałowego smutku, że świat nie jest taki, jakiego pragnąłem. Śmierć wiary jest pozbawiona smaku - jak kurz. Taki kurz wydobyłem dzięki Twoim wskazówkom, Panie, taki szmaragdowy pył i rubinowy piasek, że obawiam się, iż pewnego dnia obudzę się i mój wzrok zamgli się zielenią i szkarłatem i już nigdy nie ujrzę świata inaczej niż przez woal klejnotów. Mówię, że wydobyłem tę opowieść - mam na myśli to, że odebrałem ją ziemi; sprawiłem, że już do niej nie należy. Uczyniłem ją niewolnicą leżącą krzyżem pod gołym niebem i na deszczu i wyznaczyłem jej zadanie - by przekopała się pod wielkimi górami i powróciła do stołu, przy którym spożywałem kolację jako chłopiec, by dla odmiany usiadła między beczułkami piwa i kołami sera i gapiła się na mnichów, którzy mnie wychowali, takim samym wzrokiem, jaki mnie przeszywał od wielu tygodni. Wysłali mnie tutaj, a to znaczy, że Ty mnie tu wysłałeś, mój Boże, i jeszcze nie znalazłem w sobie chęci wybaczenia tego uczynku ani im, ani Tobie.

Błagam jednak o wybaczenie dla mnie samego. Jestem hipokrytą, ale Ty to przecież wiesz. Pragnę zmiłowania dla opowieści, którą przesyłam z powrotem ponad pustynią. Nie jest to historia, którą pragnąłem opowiedzieć, ale to nie jej wina. Jeśli wieśniak nienawidzi syna za to, że chłopak nie zdołał zostać królem, wina ciąży na nim, a nie na biednym dziecku. Udziel rozgrzeszenia tej opowieści, Panie. Uczynź ją ponownie dobrą i czystą. Nie pozwól jej cierpieć, ponieważ twój Hiob jest marnym gawędziarzem i chłostał to chłopskie dziecię za brak korony. To nie opowieść jest słaba, lecz ja. Jednakże w Prawdzie jest Światło Pana Naszego i chociaż płonące latarnie i ognie minionych wieków straciły ostatnio wiarę w siebie i pobladły, nadal ani razu nie skamlałem. Mógłbym sprzedać swoją duszę demonom historiografii i przekształcić

tę opowieść tak, by odpowiadała moim marzeniom. Mógłbym tak uczynić i nikt nie pomyślałby o mnie źle. W końcu robiono już tak wcześniej. Jednakże składam przed mym Panem ból i cierpienie prawdy i proszę tylko, by zdjął ze mnie to brzemię.

Nasza trupa dotarła do prowincji Lavapuri w roku Pańskim 1699 w poszukiwaniu źródeł Indusu. Oficjalnie polecono nam ponieść światło w ciemność, złożyć Gołąbka Chrystusa do naszych sakw i ponieść go biednym, zatwardziałym duszom Orientu. Oczywiście Ty, Panie, wiesz lepiej. Widziałeś nas w domu, stłoczonych razem, marzących o gryfach i bazyliżkach. I pod naporem obecnego żaru i suchego wiatru dobrze przypominam sobie tamte mroźne, przyprawiające o dreszcze noce w domu, kiedy, kuląc się w refektarzu, człowiek musiał najpierw rozłupać lód na mleku, by je wypić. W zimnym świetle lamp szeptaliśmy między sobą. Tak wiele mieliśmy nadzieję odnaleźć na Wschodzie, marzyliśmy o pałacu z ametystu, fontannie nieskalanej wody, wrotach z kości słoniowej. Strząsając szron z bród, marzyliśmy jak wszyscy mnisi, odkąd pojawił się cudowny List od króla Wschodu zwanego Janem Prezbiterem i noszącego złoty krzyż na piersi. Szeptaliśmy i plotkowaliśmy jak stare baby. Mówiliśmy sobie, że jest silny jak setka mężczyzn, że pił z Fontanny Młodości, że w jego berle miast klejnotów osadzono skamieniałe oczy Świętego Tomasza.

Przywieź wieści o nim, mówili mi nowicjusze. Opowiedz nam, jak brzmi w twoich uszach głos Jana Prezbitera.

Zabierz dla niego podarki, mówili mi bracia. Opowiedz nam, jak dłoń Jana Prezbitera ciąży na twym ramieniu.

Przywieź nam przysięgi, powiedział mi opat. Powiedz mi, jak ocali nas przed Niewiernymi. Nadto w ramach podróży, jeśli nadarzy się okazja i nie będzie Nastręczała zbyt wielu trudności, staraj się ponieść Chrystusowe Imię do wszelkich krain, do jakich trafisz.

Tak, powiedzieli mi, bym nawracał i oświecał dzikusów. Tyle że usta mych braci pełne były złotych krzyży i królewskich imion. Ledwie ich słyszałem.

Indus sączył się zielenią jak łzawiące oko, a delikatne kostki naszych koni niezbyt go pokochały. Górski pył był czerwony pod szarością i dla mnie wyglądało to tak, jakby kamienie krwawiły. Młodszy bracia spierali się między sobą, komu powinna przypaść przyjemność polowania na

kudłate wojownicze owce tych rejonów, a komu udręka towarzyszenia staremu Hiobowi, na wypadek gdyby potrzebował mniej zasuszonego umysłu, by przypomnieć sobie Pismo i błogosławieństwa, napotkawszy duszę stojącą na progu śmierci i potrzebującą obmycia. Dwóch z naszej grupy już nie żyło: brat Uriel spadł ze skalnego występu w ramiona śmierci, a brat Gundolfus zginął od ugryzienia owada, które spuchło do rozmiarów jabłka, zanim nam je pokazał. Ze wstydem przyznaję, że pokonało mnie pragnienie i to brat Alaric był zmuszony udzielić ostatniego namaszczenia. Pochowaliśmy ich obu przy drodze pielgrzymkowej.

Nie chcę jednak przedstawiać Ci litanii cierpień, jakie przeszła nasza mała grupa - sam wiesz, gdzieśmy zawiedli, gdzie głodowaliśmy. Wiesz, ilu udało się do tej samej okrutnej rzeki. Po prawdzie tylko Ty znasz dokładną liczbę głupców, którzy zjawili się, wojowniczy i aroganccy, kierując te same żądania do tubylców - by biegiem zaprowadzili ich do katedry-pałacu Jana Prezbitera i nie zapomnieli po drodze wskazać Fontanny Młodości! Wiesz, jak ludzie z gór śmiali się z nich, nazywali ich szaleńcami albo obdzierali ze skóry i oddawali Indusowi, by zdecydował o ich losie. Uriel i Gundolfus byli dobrymi ludźmi i przynajmniej umarli, nadal mając nadzieję, że pewnego dnia ujrzą króla-kapłana. Ich dobroć wiernie odnotowano, a grzechy zna tylko Chrystus.

Niebo podtrzymywało mściwe słońce, którego mętne wysuszone światło nie wystarczało, byśmy wznieśli oczy ku niebiosom. Jednakże rzeka była prawdziwa i zimna i często z niej piliśmy. Od wielu dni ostre, pikantne liście to wszystko, co znajdowaliśmy do jedzenia - sprzeczkę, kto jest lepszym myśliwym, niewiele znaczący, kiedy owce okazywały się sprytniejsze od mnichów. Dopiero trzynastego dnia - pechowego, tak, ale nie można winić Hioba za ten zbieg okoliczności! - od wkroczenia do zasypanej - kolendrą prowincji Layapuri natknęliśmy się na wioskę, kobietę, słowo.

Wioska była nędzna: dwanaście małych chat i jeden większy dom, ot, jakieś miejscowe feudum. Zdawało nam się, że wioska także jarzy się tępą ' szarością, jakby spłonęła kiedyś tak szybko, że popiół zachował kształt chat z obrzuconej gliną plecionki i patyków, kształt kóz o postrzępionej sierści, kształt dzieci o wystających żebrach. Słońce leży zbyt blisko ziemi w tym miejscu.

Kobieta była wysoka, skórę miała ciemną i poparzoną słońcem w kolorze gliny pod smugami z węgla drzewnego i kurzu. Nosiła żółtą szatę, mokrą przy rąbku, bo weszła do rzeki i zrywała do kosza trzciny, by potem zawinąć w nie koguta, którego trzymała za przetrąconą szyję w drugiej smukłej ręce. I tak też wydała mi się świecą w morzu szarości, łaskawą Panną w złocie, z ramionami pełnymi zieleni. Jej oczy zaniepokoiły mnie - miały odcień przykurzonego złota, jak iluminowana stronica, były zmęczone i ogromnie smutne. Cieniutkie białe włoski jeżyły jej się na rękach i ramionach - nie był to przykry dla oczu widok, chociaż nie nawykłem do oglądania kobiecych włosków na ciele - i poczułem przytłumiony ogień na policzkach na widok jedwabistego meshku delikatnie jaśniejącego na tle jej ciemnej skóry. Podszedłem do niej z trzema moimi nowicjuszami przyciskającymi krzyże do swych młodych i szerokich piersi. Potknąłem się w swoim zapale - błagam o wybaczenie tego braku godności.

- Pani - powiedziałem do niej w płynnych sylabach jej własnego mogolskiego dialektu, bo w swej dobroci obdarzyłeś mnie, Panie, miłością do obcych języków i łatwością w ich nauce. - Powiedz mi! - rzekłem do niej, jak musiał przemawiać każdy głupi ksiądz do każdej biednej pasterki kóz, odkąd zaczęło się to wszystko. - Gdzie przebywa wielki król Jan Prezbiter?

Zamrugła, niewątpliwie zaskoczona, słysząc własny zawodzący dialekt dobywający się z ust cudzoziemca, a potem pochyliła głowę, jakby w modlitwie, jakby w uznaniu dla pewnego starego smutku, który już dawno przestał ranić, a skóra jej głowy załśniła słabo w skośnych promieniach słońca. Po chwili spojrzała na długą, upstrzoną krzewinami równinę, z której nadeszła, i sapnęła, zaciskając usta, by nie wymówić słowa. Zebrane trzciny już więdły.

Potem wypowiedziała jedno słowo. Wszystko, co nastąpiło potem, urodziło się w tamtej chwili, z jej ust, o zmierzchu, wśród kurzu, przed nami, którzyśmy wszyscy czekali na nią jak zalotnicy na księżniczkę. Słowo brzmiało: Odszedł.



Jak taki człowiek mógł umrzeć? Według Listu trzyma Kielich Życia w swoim skarbcu, a Fontanna Młodości bulgoce na jego dziedzińcu jak

ładny włoski wodotrysk z marmuru. Na pewno jego serce nadal bije. Pięćset lat to zaledwie jedno kasznięcie w długim oddechu takiego możnowładcy. Nie my pierwsi zjawiliśmy się z wizją jego osoby płonącej w naszych kościach niczym Najświętsze Serce Jezusa, ale nikt dotąd nie doniósł o jego śmierci ani nawet umniejszeniu jego świetności. Jednakże kobieta w żółci pokręciła głową i nie chciała wypowiedzieć ani jego imienia, ani własnego. Zamiast tego poprowadziła nas ścieżyną do niskiego domostwa jej pana, który nazywał się Abbas i z dumą sprawował władzę nad polem ryżu, czternastoma owcami i zdrowym stadkiem rozplodowych kóz. Wieśniacy wałkonili się w jego domostwie, ze śmiechem żłopiając jego sfermentowane mleko, hałaśliwie zajadając jego ryż, kopiąc jego jednouchego psa i nazywając go synem drugiej żony, on zaś uśmiechał się do mnie z żalem, jakby mówił: Cóż może czynić pan na tej ziemi, jeśli nie kochać najbardziej nieokrzesanych pośród ludzi i dbać o nich jak o dzieci?

Nasza złotooka przewodniczka przyklękła przy ogniu rozpalonym na klepisku domu jej pana i wsunęła oplecionego trzcina koguta pod żarzące się węgle. Zapach drobiu uniósł się w powietrzu aromatycznymi westchnieniami, a Abbas ucałował kobietę w czoło, jakby była jego ulubiona siostrą albo córką, którą matka wcześniej odumarała. Ujął jej twarz w brązową dłoń i to on karmił ją, kiedy kurczak był gotowy! Ona klęczała przed nim, chociaż nie dostrzegalem w niej uległości skromnej i pokornej kobiety. Po prostu najwygodniej było jej klęczeć, kiedy Abbas własnoręcznie ostrożnie kładł na jej języku złociste kawałki pieczonego mięsiwa, jakby to ona była królową, a on niewolnikiem uwięzonym do jej kostki. Podczas tego dziwnego rytuału w sali panowała cisza; obdarci dworzanie nie odzywali się, nie pili ani nie dręczyli ogarów, a jeden mężczyzna w kącie cicho szlochał.

Zanim skończyła posiłek, niebo ochłodło, różany rumieniec uniósł się na wschodzie, jakby uczynki mężczyzn zawstydziły niebiososa. Powoli rozmowy znowu zaczęły rozbrzmiewać w pokoju. Zadzźwięczały miłe uszom flet i bębenek, grało na nich dwoje dzieci, najpewniej bliźnięta, o takim samym białym puszkę na kościstych ramionach jak u naszej przewodniczki. Melodia zabrzmiała smutno dla moich uszu i dla uszu brata Alarica oraz pozostałych, jeśli dobrze zgaduję*. Kiedy mężczyźni wrócili do plotek na temat tego, czyja córka z czym synem się wymyka, kobieta w żółci opuściła swojego pana i wzięła mnie za rękę. Abbas

odprowadzał nas spojrzeniem, kiedy wychodziliśmy z pokoju, tak samo jak reszta wieśniaków.

Zabrała tylko mnie jednego; nowicjuszom Abbas kazał zostać, racząc ich kozią wątróbką i papką z ciecierzycy - chociaż raz nie żałowałem, że ominie mnie posiłek. Młodzieńcy często zaspokajają głód odrobiną solidnego jedzenia i mocnym napitkiem, ale w moim wieku wątroba nie jest w stanie znieść zbyt dużej ilości cudzej wątroby. Wśród czerwonych cieni szczyrzących zębiska gór poprowadził mnie mój milczący Wergiliusz, rozległą równiną kwitnącego czosnku i więdnących roślin, polem malarycznym i ziemistym. Pod moimi stopami, o Panie Mój, Twoja ziemia zapadła się, umierając. Istnieją miejsca starsze niż Awinion, starsze niż Rzym, a świat tam jest tak zmęczony, że nie jest w stanie podnieść się nawet przez wzgląd na gościa.

Dotarliśmy do skraju równiny, gdzie zrzucała z siebie wszelką roślinność i zaczynała wznosić się niemal pionowo błękitnym kamieniem i łaknieniem. Tam przewodniczka uklękła niczym Ewa obok drzewa i obok tego drzewa ja także złożyłem całą swoją wiarę i wiedzę, wszystko to, co jest Hiobem, a nie innym człowiekiem, i nigdy więcej tego miejsca moja dusza nie odstąpi.

Drzewo to nie rodziło ani jabłek, ani śliwek, ale w miejscach, gdzie winny kielkować owoce, rosły książki. Kora potężnego pnia połyskiwała kolorem pergaminu, liście były błyszczące i w kolorze żywej czerwieni, jakby drzewo wypilo korzeniami cały kolor z długiej równiny. Gronami i samotnie książki wszelkich kształtów wisały wśród spiczastych liści, ich okładki były nieprzyzwoicie barwne i lśniące, nabrzmiałe jak brzoskwinie, złote, zielone i błękitne, stronice grube, jakby wezbrane sokiem, a srebrne tasiemki ich zakładek trzepotały na aromatycznym wietrze.

Podskoczyłem jak chłopiec, żeby złapać je w ręce - konary wyginały się wysoko gęstym i wysokim baldachimem, wyżej niż kasztany w sadach naszego klasztoru, bardziej sękaty niż stareńkie sosny, co kurczowo chwytają się nadmorskich skał korzeniami niczym rękami. W Edenie żadne drzewo nie ośmieliłoby się rosnąć tak wysoko, by nie zawstydzić

Pana Naszego na Tronie. Jednak w tym miejscu przeniknięty dreszczem i chłodem poczułem, że odwróciłeś Swoje Oko i różne

osobliwości stają się dozwolone podczas Twojej nieobecności.

Zdołałem złapać zaledwie jeden owoc koniuszkami palców - mały brązowy kancjonał, który był prawdziwą ucztą dla robactwa i papug. Rozłożyłem lśniące stronice i woń perfum zaatakowała moje zmysły. Och! Pachniały jak chrupiące jabłka namoczone w brandy! Robactwo pożarło większość książki, ale na frontyście ujrzałem precudny charakter pisma, elegancki i pewny, i przeczytałem słowa w języku, który byłem w stanie odcyfrować jedynie z wielkim wysiłkiem, w mowie na poły niewiernych, na poły aniołów:

Physikai Akroaskeos albo Księga Rzeczy Wytworzonych i Rzeczy Narodzonych Spisana przez Anty-Arystotelesa z Candrakantu z Okazji Śmierci Jego Żony W Siedemnastym Roku Panowania Królowej Abir Przetłumaczona i Przetranskrybowana przez Hagię z Blemiów podczas kilku Bardzo Przyjemnych Popołudni w okresie Wielkiego Postu powszechnie znanego jako Tydzień Jedzenia w Ukryciu w Nowym Bizancjum, pod Drzewem Inkaustowym.

Tylko dwie karty zachowały się nietknięte, pozostałe były zniszczone -wystawna ucztą dla jakiegoś tchórzliwego ptaka - i w głębi serca przekląłem odległego kruka, w którego brzuchu moje utracone stronice szeptały do jego czarnego mielca. Widzisz? Już myślałem o nich jak o swoich. Musnąłem samotną, kurczowo uczeponą stronę palcem i wydało się, że brązowieje pod moim dotykiem jak miąższ gruszki.

Za wskazówkę weźmy powszechnie znany Eksperyment Antinoe: jeśli zasadzisz głęboko w ziemi łóżko, gnijące drewno i przeżartą robactwem pościel z całą pewnością i w czasie nie dłuższym niż trwanie jednej pory roku., czyli nie później niż kolba kukurydzy albo źdźbło jęczmienia.> wypuszczą pędy. Drzewo rodzące łóżka wyrośnie z urodzajnej ziemi owocami będą łoża z baldachimami, liście rozwiną się jako zielone poduszki, a gałęzie będą grubymi podglówkami, na których może spocząć dowolny pustelnik. Każde dziecko to wie. To sztuka się zmienia, ewoluuje, natura pozostaje niezmienna.

Jednakowoż, ponieważ eksperyment ten można powtórzyć z bambusem, gryfem, meta-collinarum czy trylobitem, być może sprawiedliwiej byłoby powiedzieć, że zwierzęta i ich części, rośliny oraz proste organizmy są wytworami, braćmi łóżka i płaszcza, że natura

składa się jedynie z substancji, w których owe rzeczy można pogrzebać - a mianowicie z gleby i wody, niczego więcej.

Gruby pomarańczowy robak, wijąc się, wyszedł przez „o” w słowie Anti-noe. Odrzuciłem z obrzydzeniem kancjonał. Natychmiast zarumieniłem się ze wstydu, powlokłem się po niego i przycisnąłem kurczowo do piersi, nie bacząc na robaka i resztę. Księga jest warta paru robaków, nawet szkodnika tak grubego i obżartego jak ten, który właśnie pełznął, zostawiając oślizgły ślad na jej grzbiecie. Powinienem czcić wszelkie Twoje stworzenie, mój Panie, więc skłoniłem się przed robakiem, który wszakże pierwszy zjawił się na uczcie. Chwyciłem ostatnią stronę, wyrwałem ją własnoręcznie przy akompaniamencie dźwięku podobnego do płaczu dziecka. Napisano na niej:

To, co ukochane, to całość stworzenia.

Jednakże musi istnieć podstawowe powinowactwo, rzecz, którą można by nazwać krwią sfer, jaka istnieje pomiędzy i pośród tego, co określiliśmy jako wytwory, i tego, co uznaliśmy za naturalne, np. w Pentexore ze wszystkim, co zawiera, ziemią i wodą, które stworzyły ten kraj, oraz tym, co ludzie zwą „stworzeniem \ Skoro bowiem zostało stworzone, nie może być naturalne!

W swoim sercu postrzegam, że wszelka rzecz połączona jest diamentowymi nićmi, i te nici nazywam powinowactwem. Jestem jednak sta-• rym człowiekiem, mój syn ostatnimi czasy robi zdecydowanie za mocne wino palmowe, a słońce pali mnie w czaszkę.

Z tymi myślami w sercu idę pochować ciebie, moja słodka Pythias, na czarnym polu, gdzie minionej wiosny posadziłaś trzcinę cukrową, obok twojego pomarańczowego welonu ślubnego, którego zwiewne kwiecie nadal unosi się na słonym wietrze znad Rimalu. Z tymi myślami będę podlewał rabatę welonów i trzciny przez całą długą zimę w nadziei, że ujrzę twoją twarz nabrzmiewającą jak owoc ze zwieszającego się w przyszłości konaru.

- Nie ma nic więcej?! - wykrzyknąłem.

Kobieta w żółci wzruszyła okrytymi puszkami ramionami. Wreszcie przemówiła, całe zdanie wypadło z jej ust niechętnie niczym drogocenny kamień:

- Ptaki i zwierzęta muszą żywić się tak samo jak ludzie. Nie

odmawiam im ich stawy.

Ogarnięty szaleństwem odwróciłem się od niej, ogarnięty szaleństwem wspiąłem się na szkarłatne drzewo, czego nie powinien robić żaden człowiek w moim wieku, i sięgnąłem po książki-owoce, wyciągnąłem ku nim żylaste palce. Skrzyły się i odchyłały poza mój zasięg na gorącym wietrze, zieleń i złoto szeleściły, okładki z wytłoczonymi węzami, krzyżami, zakrzywionymi mieczami, z dziewczyną, której prawe ramię było długim skrzydłem.

Pode mną moja przewodniczka pokazała mi palce. Trzy, mówiła jej dłoń. Tylko trzy.

Oczywiście, zawsze i wiecznie muszą być trzy. Trzy to Twoja liczba, Panie, i Twego Syna, i Ducha Świętego. Jakże to nikczemne z mojej strony, nie lepszym od robaka czy kruka, zrywając z drzewa trzy dla własnego obżarstwa. Odetchnąłem, by uspokoić serce, i sięgnąłem znowu w cierniste głębiny drzewa. Szukałem najbardziej kompletnych tomów w plataninie gałęzi, gdzie żaden dudek się nie zakradł, i tym razem moja dłoń pewnie się na nich zamknęła, chłodnych i jędrnych jak jabłka.

Wyciągnąłem pierwszą: złotą księgę z krzyżem o trzech belkach na okładce. Drugą: zielony antyfonarz z woskową pieczęcią na stronach, ukazującą dziwne, wydłużone ucho. Na końcu wyciągnąłem się po najdalej znajdującą się ode mnie księgę szkarłatną jak liście tego ogromnego drzewa. Dwoje gapiących się oczu wytłoczonych na okładce, jakby plądrowało moją duszę w poszukiwaniu bogactw i znajdowało mniej, niż miało nadzieję. Ulokowawszy się w rozwidleniu konaru, otworzyłem ostatni z mych dojrzałych owoców, moją zdobycz, i na stronicy ujrzałem litery tej samej pewnej ręki, która relacjonowała przedziwną naukę Anty--Arystotelesa. Jednakże nie była to ta sama książka - papier lśnił bładą, świeżą zielenią, drobne malunki śmiały się i brykały przy krawędziach. Być może obie skopiował ten sam skryba - wszakże w wielu księgach w naszej bibliotece widnieje mój charakter pisma.

Mrużąc oczy, pochyliłem nisko głowę nad literami i na tę stronicę wypadło moje serce, bowiem słodko pachnąca księga nie dawała żadnej nadziei.

Ponieśliśmy ciało mego męża do rzeki, jego, którego niegdyś

nazywano królem, którego nazywano Ojcem, którego w najodleglejszych dniach nazywano Janem Prezbiterem.

Rzeka się kłębiła: bazalt, granit, marmur, kwarc, piaskowiec, wapień, steatyt. Alabaster tarł o obsydian, krzemień o agat. Jaspisowe kipiele przewalały się obok nas, wiry łupku, karbunkułów, chryzolitów i beryłów toczyły się z hałasem wyłamywanych ramion.

Gryf Fortunatus niósł ciało, które nazywano Janem, na szerokim, porośniętym futrem grzbiecie. Jakże jego skrzydła unosiły się niczym chorągwie, złote, czerwone i jasne! Za jego nerwowym ogonem szły zawodzące lamie, dwunastka za dwunastką, i zrzucały z żalu opalizującą skórę.

Za nimi szły wrzeszczące hieny i krokodyle, z których wielkich czarnych oczu płynęły łzy z mleka i krwi.

Po nich zaś kroczyły ryczące tygrysy, spiętrzenie barw, a pośród nich skiapodowie odziani w wysokie czarne pończochy nieśli klatki z kory brzozonej wypełnione świerszczami o zielonych piersiach śpiewającymi treny.

Panoti szli za nimi, spowici w wielkie jedwabiste uszy jak w żałobne welony.

Następni byli astomi; ich pozbawione ust twarze były nieszczęsne, wielkie nosy wężące w przeszywanym łzami powietrzu. Tuż za nimi szli amyktriowie z ustami naciągniętymi na głowy, jakby chcieli ukryć się przed rozpaczą.

Czerwone i białe lwy wlekły grzywy w pyle; centaury schowały twarze w poznaczonych niebieskimi żyłami dłoniach.

Przeszły meta-collinara o stopach oblepionych kurzem ze wzgórz; ścisnęły kurczowo swe kobiece piersi i kołysały łabędzimi głowami w rytm własnej, niesłyszanej pieśni żałobnej.

Pawie zamknęły niebiesko-zielone oka na ogonach.

Nadeszli tensevetowie, lód błyszczał na ich łokciach, w kącikach powiek, sklejał im palce i ostre koniuszki straszliwych zębów. I we wszystkich tych miejscach topnieli, frasobliwa woda kapała w pylistą kurzawę.

Muły o aksamitnych chrapach odrzucały głowy wstecz w łamiącym się gardłowym ryku.

Pantery potykały się, padając na czarne muskularne kolana i zlizując z ziemi własne łzy.

Błękitne żurawie krzyczały i łopotały podobnymi do żagli skrzydłami w porywach smutku.

Na cętkowanych wielbłądach jechali cyklopi, niosąc w noc latarnie, które kołysały się jak przewracane przekrwione oczy, a dalej w procesji szły białe niedźwiedzie, słonie, satyrowie grający na żałobnych fujarkach, pigmeje uderzający w bębny z małpiej skóry, olbrzymi, których kostury orały głębokie bruzdy w drodze, i chór wirujących derwiszy-kanibali o błyszczących jasnych zębach.

Za nimi leciał nisko na czterech płomiennych skrzydłach feniks, ostatni ze swej rasy.

Szmaragdy kotłowały się z tyłu niczym wielkie koła, zgrzytliwie wygrywając swe treny o brzegi rzeki.

A za nimi wszystkimi boso po piasku, w niebieskich spódnicach ściśle opasujących jej talię, niosąc w obu rękach wdowią gromnicę, szła Hagia z Blemiów, która opowiada tę historię.



Usiadłem w domu Abbasa z habitem i kapturem pełnym owoców. Księgi-śliwki zostawiły klejący się miód na moich rękach, a smakowały, ach, nadal to pamiętam - jak mleko, figi i kosz afrykańskich kokosów, które brat Gregor przywiózł raz do refektarza z pobytu w południowych krainach. Patrzyłem na moje cenne trzy książki oczami wygłodniałego dziecka - czy mógłbym pochłonąć je wszystkie naraz i poznać całą ich zawartość? niesprawiedliwe księgi. Wymagacie tak wiele czasu! Taki posiłek umysłu jest w rzeczy samej długą i żmudną ucztą. I nagle ogarnęło mnie przerażenie: a co, jeśli zgniją, jak to bywa z owocami? Jeżeli czas i powietrze mogą skraść mi słowa, ustępy, całe rozdziały? Nie mogłem wybierać, nie mogłem znieść myśli o wyborze; cuchnące wątroba chrapanie moich nowicjuszy unosiło się pod krokwie.

Postanowiłem uczynić liturgię z mojego czytania. Upodobnię swoją pracę do Twego Świętego Kościoła. Będę czytał i kopiował każdą księgę przez godzinę, by wszystkie rozkładały się - a wraz nimi ja, na mój powolniejszy sposób - w tym samym tempie; żadna z nich nie powinna czuć się urażona faktem, że faworyzuję inną. Wszystkie te mięsiste,

słodkie jak jabłka bogactwa zamierzałem donieść do domu nietknięte, dla moich braci w zimnej Lucernie.

Nie mogłem wybrać na początek żadnej innej księgi niż tej ze złotym krzyżem na okładce - po wszystkie czasy jestem człowiekiem, którym jestem, człowiekiem Boga i Krzyża, i tego nie można zmienić. Wierzę teraz, że umieściłeś te księgi na mojej drodze, Panie, z Twoim znakiem na nich, bym wiedział, że poruszasz się po powierzchni mojego przeznaczenia jak niegdyś po głębokich wodach niestworzonego jeszcze świata.

Sięgnąłem po zbawienie i odsunąłem jego okładkę niczym zasłonę.

Słowo w pigwie

Rzecz o Moim Przybyciu na Krawędź Świata i o Tym, Co Tam Ujrzałem.

**Opowiedziane przez Jana z Konstantynopola,
A Uwiecznione przez jego Żonę Hagię, zwaną później Theotokos.**

**Rozdział Pierwszy, w którym Człowiek dociera do India Ultima,
przebywszy Najbardziej Osobliwe Morze, i skutkiem tego zapomina
wezwania Kościołów Konstantynopola.**

Sól i piasek rozbryzgiwały się o kadłub, który skwarny wiatr obrał ze szkarłatnej farby i ogołocił ze złocien. Horyzont był złotym marginesem, a morze widmową stronicą. Czepce pyłowej piany nakrywały fale na niezmiernych głębokościach piasku, wzbierające i opadające, drobne sirocco otwierające z przypadku suche usta. Wiry martwych gałęzi pękały z trzaskiem i chłostały sterzące boki przechylającego się qaribu\ piasek szorował deski, zeszlifowując krenelaże i pozbawiając twarzą rząd odlanych z brązu lwów, które miały ziać ogniem w żagle wrogów. Imię statku brzmiało kiedyś' Christotokos, ale zacierające wszystko złote fale skróciły je do Tokos, i tak ponownie ochrzczony mały stateczek wspinał się i opadał zdany na łaskę i niełaskę śródładowego morza.

Skuliłem się przy mizernym maszcie. Kilka dni temu nocny sztorm nawiedził tę biedną łódź i kłębiące się chmury zasypały pokład małymi burymi myszami. Myszkę próbowały masztu, zasmakowały w nim i zdarły go, aż ostał się chudy patyk. Rankiem skoczyły za burtę jak jedno stworzenie i ja, jedyny mieszkaniec nieszczęsnego Tokos, patrzyłem, jak oddalają się po powierzchni piasku, miotane drobnymi liżącymi falami, beztroskie, z brzuchami napełnionymi masztem. Dowodziłem tą żalną resztką morskiego męstwa najlepiej, jak

potrafiłem - drżący, ze spieczonymi ustami - chociaż żaden ze mnie żeglarz, żaden wioślarz, ani nawet szczególnie dobry pływak. Zęby bolały mnie w szczękach, ręce nie przestawały dygotać. Prawdziwy kapitan rzucił się za burtę z rozpaczy - ile to już? Miesiąc temu? Dwa? - a w ślad za nim poszedł nawigator, kuk i na koniec wioślarze. Jeden po drugim, w miarę jak piasek odłamywał ich narzędzia, ich instrumenty, wyskakiwali za burtę w piach niczym nażarte masztem myszy. Jednak morze nie podtrzymało ich na powierzchni i tonęli z krzykiem. Każdy widział, jak pozostali tonęli w brokacie i kurzu, ale wierzył w tych ostatnich szaleńczych chwilach, że właśnie jemu uda się szczęśliwie skoczyć i natrafić na stały ląd. Ze właśnie jemu Pan pobłogosławi bardziej niż innym. I patrzyłem, jak jednemu po drugim piasek napełnia zadziwione rozwarłe usta.

Pewnej nocy zjadłem żagiel i śniłem o miodzie. Gwiazdy nad głową syczały na mnie jak koty.

Każdego ranka modliłem się przy kole sterowym mimo kolan obolałych od desek pokładu, z Ave Maria zasupłanym jak knebel w moich ustach łuszczących się od prażących wiatrów, które wiecznie pachniały czerwoną skałą i mączką kostną. Jednak Maryja nie przyszła po mnie, nie zjawiała się żadna odziana w niebieski woal matka balansująca na strzaskanych wiosłach i z pierśią spowitą światłem. Mimo to liczyłem korale niewidzialnego różańca, a wiatr wysuszał moje ciało z łez. Jutrzenki były identyczne i krystaliczne, piasek nie wykazywał swych zamiarów, niosąc statek zgodnie z własną wolą, gdy zabrakło wiosła i żagla, by mu się przeciwstawić.

Niekiedy wydawało mi się, że przypominam sobie, że mam na imię Jan. Przeszukując pamięć, znalazłem Konstantynopol, który leżał otwarty jak psalterz - keje migoczące błękitem i zielenią, pełne pluskających makreli, drzewa ociekające zielonymi pawiami i soczystymi granatami. I mury, jakże wysokie! A ja, pomyślałem, ja sam siadywałem na tych murach. Pamiętałem imię miasta, ale nie swoje. Skryba o życzliwych oczach siadał u mego boku, pił ze mną wino z pigwy, słońce zaś wypalało się krzykliwie ponad złotymi kopułami za naszymi plecami. Mozaiki jarzyły się w moim sercu, niewyraźnie jak sen, usuwane kamyk po kamyku i układane, i na powrót usuwane na życzenie patriarchów i cesarzowych, aż na moim statku nie zostały się żadne złocenia, a ptaki morskie uciekały z barwionymi kobaltem oczami

Chrystusa i Ewangelistów, zgodnie z tymi prawami dotyczącymi ikon, jakie obowiązywały mewy i pelikany.

Z piaskiem w uszach ledwie przypominałem sobie, jak przyciskałem policzek do chłodnych drobnych kamyków, do twarzy Boga tonącej w półmroku pod strzelistym oknem. Potem moje stopy poznały drogę do grobowca Nestoriusza, do twardych, zimnych cieni, które tam zalegały, chrzcielnicy o porfirowej krawędzi. To wszystko pływało w mojej głowie, chlupocząc jak pływy, jakbym ja napełnił się wodą, która porzuciła to miejsce. Pamiętałem konie ścigające się w kurzawie hipodromu i złoto wplecione we włosy cesarzowej.

Jeśli jednak mam być szczery, przez większość czasu nie potrafiłem nawet przypomnieć sobie smaku wina pigwowego. Leżałem na pokładzie i próbowałem umrzeć. Może Bóg zwyczajnie ulitował się nade mną, startł pigwę z powierzchni świata, by więcej nie raniła mnie świadomość, jak daleko zbłądziłem od wszelkich konarów uginających się od ciężaru owoców o chropawej skórcie.

Tak żyłem na morzu piasku, w lęku przed sztormami i kolejnymi myszami. Zjadłem też swój mnisi habit, gdy zabrakło już żagla. Smakował mną samym, moim własnym potem i chorobą i dręczyło mnie to przez wiele dni. Jednak nagi jak kość ocean nie był całkowicie pozbawiony litości. Po nieokreślonej liczbie dni i mil o zmierzchu fale zaczęły wypluwać na pokład kunsztowne ryby, wijące się stworzenia o długich, krętych rogach i łuskach z szafiru i złota - musiałem ociosywać je z ciał dłutem biednego cieśli, który zatonął w piasku. Rybie skórki z cichym dzwonieniem uderzały o deski i wszystkie zakamarki qaribu migotały rybimi trupami. Wydłubywałem ich wilgotne złote wnętrzości, miękkie jak woda. Pod łuskami i świecącymi wątrokami odkryłem najśodsze mięso, delikatne i przejrzyste niczym księżycowy blask. Spijałem krew piaskowych ryb udręczonymi wargami, z siorbaniem wyjadając zimne, surowe mięso z ich guzowatych ości.

Wkrótce po pojawieniu się ryb statek nauczył się mówić.

Ciało może umrzeć, lecz nigdy Słowo, nawet Słowo w Ciele, szeptały wyżarte przez myszy dziury w maszcie. Słońce płonęło przez te otwory niczym rozliczne twarze serafina, a ja posłusznie słuchałem ich wszystkich kazań. Wszak statek wypowiadał słowa, które tak dobrze znałem

gdzieś w głębi swojego wysuszonego żołądka: święte pisma Nestoriusza, potępiające katolicką herezję, że Chrystus był jedną niepodzielną całością, paskudną ideę, niedorzeczną i nieprzyzwoitą zarazem.

Kiedy byłem młodym człowiekiem w Konstantynopolu - czy byłem młodym człowiekiem w Konstantynopolu? Czy kiedykolwiek byłem młodym człowiekiem? W moim umyśle tamtejsze letnie miesiące plamiły na czarno potem tysiące łóżek zasłanych niebieskim jedwabiem, a ja szukałem ochłody w korytarzach zakonu Nestoriusza. Kadzidła przyprawiały mnie o zawrót głowy, kadzidła i monotony głos diakonos buczący mi w uszach jak prostowane przez pszczołę skrzydełka. Mozaiki szybowały nade mną, ułożony z kamyków welon Maryi, która unosiła się w mandorli niczym morska raja, obca i cudowna. Jej chropowate wargi krzywiły się w dymie i ukazywały skrytą za nimi czerń, czerń jej głębin, gdzie nigdy nie było światła, jedynie dziecko o pępku grubym i żylastym.

Ciało może umrzeć, lecz nigdy Słowo, nawet Słowo w Ciele, nadpłynął flegmatyczny głos diakonos. Usta Maryi wykrzywiły się w górze, szerokie jak pięść. Zdawało się, że przemawia tylko do mnie, do czary mego serca: Logos jest doskonały, światło, które się objawiło. Oto Słowo Boże. Musisz widzieć je w swoim umyśle zawieszony nad Ciałem Chrystusa, minóg uczepiony boku rekina. Roześmiałem się wtedy, wyobrażając to sobie, mój głos zabrzmiał piskliwie i niedorzecznie pod kopułą, a Maryja zacisnęła usta.

Miałam syna, szepnęła krótko Maryja, zniekształcona letnim żarem i pachnącym dymem, które ścisnęły jak miechy jej popękane kamienne policzki. Kręciło mi się w głowie. Miałam syna, który był jak każdy inny syn. Czy to moja wina, że Logos go pokochał? Że minóg przywarł do niego mocno?

Mozaikę zdjęto zimą, kiedy nowy patriarcha przyjął mitrę i ogłosił, że ikony to dzieło demonów, kuszące nas do czczenia kamienia, farby i złota zamiast nieopisanej istoty Naszego Pana. Pamiętam zapachy nowego, pozbawionego wizerunków świata, jakby to były obrazy - zimowe cytryny obmywające powietrze pikantnym zapachem skórek, morze pokrywające ulice skorupką soli. Płakałem w ukryciu za utraconą Maryją, ale sprowadzili ją z powrotem na krótko przed tym, jak

złożyłem śluby, kiedy stary patriarcha zmarł, a nowy raz jeszcze zmienił reguły gry. Mewy krzyczały nad krwawymi bazylikami, kiedy ikonoburcom ukazywano błędność ich doktryny i wszyscy znowu mogli oglądać nieszczęsne, przekrzywione wizerunki Boga. To było wyczerpujące. Jednak spojrzenie czarnych oczu Maryi paliło mnie w plecy, kiedy powtarzałem święte śluby. Nie odezwała się słowem, zaciskając wąskie wargi.

Ciało może umrzeć, lecz nigdy Słowo, nawet Słowo w Ciele. Maszt gwizdał na wietrze, a jego głos nie był głosem diakonos, nie był głosem Maryi, lecz czymś innym, zgrzytliwym, bladym i szorstkim. Warknąłem ku niemu, drżąc, świeży piach obryzgał mi brodę, ale kopuła nieba pozostała niewzruszona. Błagałem, żeby ucichł, ale on tylko się roześmiał. Ulewa słonecznych promieni spłynęła na pokład.

W ten sposób uchroniłem się przed rozpaczą żeglarzy, którzy doprowadzili mnie na to pustkowie: doglądałem Maryi w Maszcie jak świeżo ogolony nowicjusz. Byłem duszpasterzem mojej parafii złotych rybek. Jan, zaspachlowany solą, oszalały od wiatru, zachował swój kościół. Krzyczałem do piasków i obiecywałem życiu w ich głębinach, że nie zawiodę, nie zapomnę i nie dopuszczę, by zniknęła z powierzchni ziemi pi-gwa, Maria, i Konstantynopol. Morze nie odpowiedziało, ale bałem się, że wkrótce także ryby zaczną mówić, a ich głosy będą brzmiały jak rzenie koni, dudnienie kopyt na Hipodromie i skrobanie podków o brązowe trójnogi na zakrętach, kiedy wierzchowce zbliżały się do końca wyścigu.

Weszło mi w zwyczaj sporządzanie co rano niebieskiego krzyża z rogów szafirowych ryb związanych sznurami złotych wnętrzości. Morze piasku nie chciało zgodzić się na tę nową świętość, zezwolić samotnemu braciszкови z zakonu żebraczego Szukać pociechy w innym bóstwie niż ono samo. Kiedy księżyc zabrzęczał jak jałmużna w misie nieba, fale /, zadowoleniem zrywały mój żałosny, mokry krzyż. Rankiem znowu go mocowałem i wypowiadałem modlitwy. Jednakże, w miarę jak słońce i księżyc przemierzały swoje drogi, stopniowo wydłużałem pozdrowienia, oprócz widmowego różańca recytowałem wszystkie wezwania kościołów Bizancjum, jakie sobie przypominałem. Bo jeśli Bóg może usunąć pigwę z kosmosu przez wzgląd na Swego zagubionego sługę, to co może uczynić z tym na poły wymyślonym malowanym miastem kopuł i makreli? Związawszy włosy w węzeł na

karku, chociaż moja czerwona skóra krwawiła, wołałem do gwizdzącego masztu: Święci Apostołowie! Sergiusz i Bakchus! Theotokos Panachrantos! Chrystus Pantokrator! Jan Chrzyciciel! Iheodoroi! Teodozja! Eufemia! Święty Jan w Studion! Myrelaion! I Hagia Sophia, och, Sophia!

Wydawało się wtedy, że to nie wystarczy, by powstrzymać Boga przed zagarnięciem w dłoń Konstantynopola i uniesieniem go znad Bosforu mojego serca, jakby to było ociekające rybie serce wyszarpnięte ze świata. Ulice, zaułki i sklepiki zacierały się w moich wspomnieniach zdrapane przez piasek. Zacząłem więc dodawać imiona wszystkich ludzi, których znałem, prezbiterów i diakonoi, skrybów i rybaków, tancerek i sprzedawców daktyli. Damaskenos z przekłętym głosem jak pszczele skrzydło, Hieronimos, którego pismo było tak zwarte i przejrzyste na welinie, Isidora ze słodkimi pocałunkami, Alki znad zatoki, twoje mieczniki były niebieskie jak śmierć! Niko, który sprzedawał karczochy ze ściśle przylegającymi zielonymi liśćmi opancerzającymi ich serca, Tychon, który wypił tyle likieru fenkułowego, że zwymiotował po wieczornych nabożeństwach! Pelagiusz z takim głosem, Basileus eunuch, Clio z pasem z monetami, Cyprios z siedmioma córkami! Phocas warzył piwo, a Symeon był kaligrafem, ale jego żona nie potrafiła czytać. Iasitas był człowiekiem, od którego należało brać sałatę, a stara Euphrosyne sprzedawała płótno, którego dotyk wywoływał łyzy szczęścia. I Kostas, Kostas o czarnych lśniących włosach, siadywałeś ze mną na murach, a pigwa była słodka.

Wkrótce moja pobożność spięła brzegi jutrzeńki i zmierzchu niczym most. Trzymałem się nocą mojego rybiego krzyża, a piasek rzucał się wtedy na moje bezradne ciało. Szłochałem w twarde ości ramion krzyża, ale pustynny przypływ pozbawił moje oczy wszelkiej wilgoci. Łkałem bez łez, ochryple przeciwko falom, i ponownie zaczynałem litanie kościołów i sprzedawców morel.

Jednak za każdym razem gdy księżyc ciemniał, traciłem jedno z nich; bazylika o trójdzielnym oknach zgasła we mnie, gorzelnik od nalewki z limety został zagarnięty i zabrany. Myślałem w tamtych dniach, że piach nigdy nie ustąpi, że w tym świecie istnieją morza bez końca.



Szczałki szafirowych ryb pokrywały pokłady Tokos, łuski wysypywały się na piaszczyste fale przyboju. Zreumatyzowana Euphrosyne i szmaragdowe relikwiarze Myrelaionu wydały ostatnie tchnienie i rozpląnęły się w moim odwodnionym umyśle. Wydawało mi się, że na pokładzie nigdy nie było żadnej duszy prócz mnie i maleńkich, popiskujących duchów przyniesionych przez sztorm myszek. Od wielu dni nie byłem w stanie zamknąć oczu. Piasek wypełnił wszystkie zmarszczki i kanaliki. Płakałem piaskiem. Oddychałem nim. Czy był przede mną jakiś kapitan? Czy

istniał mężczyzna w zielonym pasie, z młodą żoną w Kapadocji, której włosy były nadzwyczajnej złotej barwy? Czy znał pieśń o Świętym Tomaszu? Czy ukląkł w przerażeniu u stóp nawigatora, kiedy niebieskie i radosne morze zamieniło się w piasek? Nie potrafiłem orzec, nie potrafiłem.

To szaleństwo, zapewniłem sobie, żaden człowiek nie znał tego statku przede mną, to niemożliwe. A jednak wydawało mi się, że pamiętam zielony pas dryfujący na złotych wirach. Nie mogłem mieć pewności.

Słowo Przebywa we Wszelkiej Rzeczy, szepnął maszt, jest Słowo w Pigwie, jest Słowo w Myszy. Logos w Piasku. Maryja w Maszcie, Jan w statku - Słowo w Ciele.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziałem.

Nie mogłem zamknąć ust przez gorący piach w żuchwie.

Posłuchaj, Janie, któryś jest moim Mlewem: Chrystus, Rekin i Logos, Minóg, brzęczał poraniony filar. Wejdz w Morze, Zaufaj Morzu, Oddychaj Złotem Ziemi i Nie Lękaj się. W Głębinach Odnajdzie cię Minóg, a poznasz to, czując jego Zęby w Boku.

- Boję się - powiedziałem, ściskając przed sobą krzyż z niebieskiego rogu.

Odbiorę ci Sopię, syknął maszt, wraz z jej wielką brązową kopułą. Zabiorę ci Cel, to, po co się zjawieś, poszukiwanie grobu Świętego Tomasza i chwały twojego Pana. Zabiorę Kostasa z murów. Bądź moim Rekinem, Janie, a ja będę twoją Gwiazdą Morza, twoją Gwiazdą Piasku.

- Nie - szepnąłem. Ręce straszliwie mi się trzęsły. - Potrzebuję ich.
Bądź moim Rekinem, moim Nieskończonym Pływaniem.

Przycisnąłem krzyż do piersi, zerkając lekliwie za siebie, na maszt przy rufie; jego mysie usta uśmiechały się szeroko. Słońce było takie jasne, jasne jak słodkie wino w brązowej dłoni mojego przyjaciela, kiedy siadywaliśmy na murze i rozmawialiśmy w porze powrotu kutrów rybackich; beszał mnie łagodnym głosem: Janie, z pewnością natura Chrystusa jest dostatecznie rozległa, żeby ogarnąć wszelkie rzeczy, Logos i biednego zagubionego chłopca, i Gołębicę poruszającą się w Jego piersi. Z pewnością wszyscy jesteśmy rozlegli, a On, największy spośród nas, nie może być gorszy od ciebie czy mnie, którzy jesteśmy stworzeni ze światła, lecz nadal cierpimy w naszych ciałach. Uchwyciłem się jego głosu, cofając się w głąb ciemności we mnie; wspomnienie Kostasa, zawsze mądrzejszego, zawsze łagodniejszego, słabło i zamazywało się, echo jego słów nadchodziło przed słowami, rozpraszając się wzdłuż krawędzi mojego serca, aż tylko urywki jego szeptu dryfowały we mnie niezacumowane: rozległy, rozległy, rozległy.

Nie mogłem nawet zamknąć oczu, by skoczyć; piasek zaklinał rozwarte powieki ogniem i bólem. Mimo to skoczyłem, a wiatr nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy wylądowałem - twardo - na litym piaszczystym cyplu. Stałem roztrzęsiony, oczy miałem poparzone, krzyż wykrzywiony tak, że nie dało się go naprawić.

Maszt śmiał się całą setką wygryzionych ust, a Tokos płynął w oślepiającym żarze poprzez płynne wydmy, niewzruszony utratą ostatniego człowieka.

I tak oto ja, Jan, ostatnio z Konstantynopola, ruszyłem pieszo na Wschód, tak jakby gwiazdy kiedykolwiek wstawały z innego kierunku.

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Moja odmierzająca godziny świeca stopiła się. Gwoździak, który wsunąłem między siódmą a ósmą kreskę, spadł z brzękiem na cynowy talerz, a ja oderwałem się - czy ośmielę się to powiedzieć? - od kroniki Jana, księgi Jana, spisanych jego ręką własnych myśli. Nic na to nie mogłem poradzić, że wierzyłem w jej autentyczność. Z pewnością nie było to godne dobrego uczonego, ale wiara i nadzieja to niewątpliwie cnoty. Wierzyłem; tak było. Tam, gdzie moje niegodne palce przycisnęły rogi stron, pojawiły się brązowe plamy jak na mięszu zbyt długo leżącej gruszki. Zadrzałem pod wpływem nienazwanego wzruszenia, które znają tylko ludzie oddani książkom i literom - znalazłem się tak intymnie blisko tej, którą studiowałem tak długo, z oddaniem, bez chwili snu, mimo skurczu w rękach.

Odłożyłem na bok złotą księgę. Plecy mi zeszywniały i bolały od trudów kopiowania. Nie wykonywałem takiej pracy, odkąd byłem młodzikiem, mocującym się z rosa-rosae-rosam, trójdzielnym Bogiem i pożądaniem pewnych miejskich dziewcząt, które - nawet gdyby moja matka nie przyrzekła swoich synów Kościołowi - znajdowały się daleko poza moim zasięgiem, ich krągłe ciała w kolorze mleka kołysały się na innych drogach, zdążając ku innym mężczyznom. Teraz miałem chłopców, którzy byli moimi skrybami, bo często w głębi ducha myślałem, że to chłopięca praca: kopiować, miast pisać, powtarzać jak papuga, a nie ogłaszać. Tu, na końcu świata, czuję, że bezpiecznie mogę to wyznać, mój Panie: ma-rzyłem kiedyś i nadal marzę w wolnych chwilach, żeby moja rodzina była na tyle zamożna, bym mógł pozwolić sobie na próżniacze życie poety i wypełniać swoje dni winem, atramentem i tymi wszystkimi kobietami z warkoczami zaplecionym tak ściśle, tak straszliwie ściśle, że myślałem, że to musi je boleć - i o ile piękniejsze zdawały mi się wtedy, cierpiące dla swojej urody. Młody Hiob w swojej mansardzie, z sonetami wirującymi jak głodujące anioły w śnieżnych drobinkach jakiegoś słodkiego alpejskiego listopada - obiema rękami zabawiałby córkę kupca serowego, a palcami stóp wydrapywał takie wersy, że dałyby do wiwatu samemu Chaucerowi.

Jednakże ten niemożliwy Hiob nie zawędrowałby tak daleko, do szarej i czerwonej, i spragnionej ziemi Lavapuri, ani nie zobaczyłby pani o pokrytych puchem ramionach, ani nie trzymałby księgi Jana Prezbitera w starych, pokrytych plamami rękach, które nigdy nie dotknęły więcej niż jednej krowiarki. Porzuciłby pewnie Boga i możliwe, że stworzył wersy zwięźlejsze i mniej bezwładne niż bełkot tego starca. Lubię jednak myśleć, że mój Pan Bóg to najstarszy dziadek z nas wszystkich i być może znajduje pociechę w starczej paplaninie i wspomnieniach - w końcu czasem sam pragnąłby podzielić się własnymi.

Odkryłem, że niepokoi mnie dziwaczność słów Jana przeżarta złowrogimi duchami nestoriańskiej herezji i jeszcze mroczniejszymi rzeczami. Wszyscy ludzie wiedzą, że Chrystus był jednością, unią Słowa i Ciała, Bożym Synem Człowieczym, który kroczył pośród nas przez chwilę. Nie podobało mi się myślenie o Janie jak o heretyku uznającym szalonego fałszywego proroka Nestoriusza i jego zagmatwane filozofie, dzielące Chrystusa na pół jak połać mięsa. Słowo i Ciało, osobno, szamoczące się ze sobą? To wstrętne myślenie. To zawsze była wstrętne myślenie. Nie pragnę posyłać wieści, że odnalazłem wielkiego króla, tylko po to, by powtarzał kłamstwa samego diabła. A jeszcze mniej cieszyła mnie myśl o jego przyjaźniach z na wpół piśmiennymi tureckimi ulicznikami. Pokręciłem głową, żeby oczyścić myśli w ciasnej, wilgotnej celi. Hiobie, stary kogucie, czy ty sam nie traktowałeś swoich skrybów i nowicjuszy jak rodziny? Czy nie obejmowałeś ich z ojcowską miłością? Szczerze i bez osądzania ich niskiego pochodzenia? Czy gdy chłopcy przychodzili do ciebie niewy kształceni, nie brałeś na siebie trudu uczynienia ich mądrymi? Potarłem dłonią oczy. Powinni byli wysłać młodszego człowieka. Któremu nie ćmi się tak w głowie. I z większą liczbą włosów na niej. Wezwałem jednego z tych kochanych, łagodnych nowicjuszy i poprosiłem, by zaopatrzył mnie w chleb i ten półpłynny ser, który lubię w tych stronach, a także w jakiś' wzmacniający napitek, nawet jeśli będzie pełen przypraw, których bogactwo zagrażało zarówno mojej duszy, jak i trawieniu.

No już, spokojnie, spokojnie, mój brzuchu. Bądź zgodny. Przecież dbam o ciebie, nieprawdaż?

Wziąłem szkarłatny tom z wytłoczonymi oczami, patrzącymi, gapiącymi się, przenikającymi mnie do szpiku kości. Pachniał krwiście, ohydnie, jak owoc granatu, gotujący się cukier albo piwo, kiedy nadal

jest przeraźliwie słodkie, a drożdże ryczą z beczki, miękkie i gęste jak skóra.

Powiedziałem sobie: póki książka leży zamknięta, może zawierać cokolwiek, co tylko można sobie wyobrazić. I dlatego w tej brzemiennej w skutki chwili przed otwarciem zawiera wszystko. Każdą możliwość, zarówno doskonałą, jak i odstręczającą. Z pewnością takie tajemnice to najbardziej kusząca rzecz, jakiej nam udzielasz, Panie, w tym doczesnym życiu. Owoc z ogrodu też był taki. Nieznany i przez to nieskończony. Kwa i jej towarzysz przełknęli wieczność, każdą możliwą rzecz i stworzyli świat między sobą.

Jednak, ach, te oczy, one mnie prześladowały i lękałem się ich.

Księga fontanny

Relacja z Jej Życia Skreślona przez Hagię z Blemiów Bez Dalszej Pomocy

Kiedy się urodziłam, moja matka odcięła sobie najmniejszy palec i potraktowała skórę olejami do pergaminacji. Rozciągnęła ją na miniaturowej ramie z kości kolibra, tworząc maleńką książeczkę, w której zapisywała jedno słowo na każdy rok naszego wspólnego życia - maleńkie strony nie zostawiały miejsca na nic więcej. To była dziwna rzecz, trochę upiorna, ale często prosiłam, żeby zdjęła ją dla mnie z półki, bym mogła zajrzeć do środka. Hagia - napisano na pierwszej stronie. Płacz na drugiej. Limfa na trzeciej. Ciszka na czwartej. Nie rozumiałam. Zrozumiałam jednak dziesiątą stronę, na której Ctiste napisała zwartym, kanciastym charakterem pisma Fontanna. Żadne dziecko nie omyliłoby się przy tym słowie, wypisanym w tym roku. Miałam się udać do Fontanny, by się z niej napić.

Matka zawiązała mi czerwone spódnice pod ustami i chociaż protestowałam, zakopała małą książeczkę, którą dla mnie zrobiła, na skrawku wilgotnej, lecz zeschniętej z wierzchu ziemi, otoczonej przez krzewy henny. Płakałam i grzebałam w ziemi, szukając mojej książki, ale matka pozostała niewzruszona, a książkę zakopała głęboko. Z czerwonymi oczami przywarłam do niej, kiedy szliśmy razem przez pola Śirszy, mijając nasze osły i krowy, mijając trzepoczące drzewa skór, cętkowanych, czerwonych i białych.

Idąc, rozmyślałam o swoim życiu, tak poważnie, jak tylko dziecko może ważyć błahe dziesięć lat na świecie w swoich drobnych dłoniach. Nasza rodzina doglądała zagajnika drzew welinowych, które wyrastały z ziemi z korą z płatków złota i konarami dźwigającymi czystą skórę, półprzezroczystą i drżącą na pachnącym pieprzem wietrze. Co roku, kiedy zbiory leżały na polach rozciągnięte na obręczach, napinając się na słońcu, wycinaliśmy kwadratowe połacie skóry z naszych niemych niemądrych zwierząt i zakopywaliśmy je w ziemi, by spały aż do

wiosny: osły, cielęta i wielbłądy. Kiedy zima wypuszczała z objęć ziemię, kiełkowały drzewa skór - białe skóry na święte księgi, cętkowane na traktaty naukowe, czerwone na poezję, czarne na księgi medyczne, gniade na romanse. Pstrokate na tragedie, morełowate na ballady. Każdy rodzaj skóry prezentował się inaczej po rozciągnięciu, potraktowaniu olejami i pocięciu, a my wiedzieliśmy, jak nieskończona gradacja literatury może zostać rozszerzona i udoskonalona dzięki krowiej skórze.



Mimo prężnej pamięci, która z łatwością potrafi unieść zarówno śmiech mojej matki, jak i psalmy mego męża i nadal mieć dość siły na moje własne dawno temu pogrzebane pragnienia i solilokwia, mimo nadchodzącej ciemności i niecierpliwości pióra, dzieło pod moją ręką to trudna do spisania księga. Przez całe życie byłam skrybą. Osobiście przetłumaczyłam i skopiowałam dzieła Anty-Arystotelesa, Artavastusa, Catacalona ze Srebrnowłosa, Stylitę Fałszywego Kochanka, Pachymeresa-który-prze-mawiał-przeciwko-Tałesowi, Ghaytha Spod Muru, Yuliana z Babel oraz niezliczone katalogi trucizn, żniw, seksualnych przygód i pielgrzymek do Fontanny.

To dziwne. Zapomniałam, kiedy zaczęliśmy tak je nazywać - pielgrzymkami.

Skopiowałam wielkie dzieła naszej nacji ultramaryną, atramentem z galasów i sepią. Bardzo rzadko, przy najcenniejszych tomach, samodzielnie przygotowywałam własną tynkturę z tłuszczu zebry i piżma mułów, sadzy kadzidlanej i errat, oraz z łez. Tą ostatnią posługuję się teraz, chociaż przez jakiś czas myślałam, że lepiej nadałoby się coś skromniejszego, ponieważ nie uważam się za pisarza i w związku z tym nie można oczekiwać, by oddano mi do dyspozycji lepsze narzędzia. Ostatecznie jednak, skoro podejmuję próbę - powodowana niestosowną, lecz szczerą potrzebą - pisania miast kopiowana, być może jakoś inkaustu zastąpi mnie samą i udzieli nieco urody dziełu tam, gdzie ja z konieczności zawiodę.

Kiedy piszę, w Nowym Bizancjum trwa poranek. Pocięcza mnie, jak zawsze, zgrzyt pióra na pergaminie, podobny do kurzych pazurków drapiących ziemię - wydaje się wypełniony pogodnym sensem, chociaż

następny roztańczony kogut zetrze całą pracę tych białych furkoczących kwok i następny skryba z pumeksem pewnego dnia weźmie te strony i zrobi miejsce na dziesięcioletni rejestr kredowych wylewów rzeki Piszon. Nie do końca się z tym godzę. Dostanie mi się jednak za swoje i muszę przyjąć to z pogodą ducha, ponieważ sama wymazałam z oślej skóry sporą miarę precyzyjnej kaligrafii. Taki jest cykl życiowy literatury, czy mi się to podoba, czy nie.

Mieszkam teraz w czerwonym minarecie, którego przesłonięte kamiennym ażurem okna wpuszczają szkliste światło, pocięte przez pierzaste liście plam i wierzchołki pigwowców w niespokojną łuskę cienia, rozproszone na stosie schludnych stronic z lwiej skóry. Mój przyjaciel Hadulph z ogromną powagą wyciął je dla mnie z własnego wuja, który wpadł do rozpadliny i wylał dar Fontanny na ziemię. Pazury Hadulpha były dostatecznie ostre do tego zadania, ale płakał przy tym i strony naznaczone są cętkami kociej żałoby. Myślę, że to nawet stosowne dla mojej opowieści. Kiedy pióro mija te rozciągnięte i zmatowione kredą ślady łez mojego przyjaciela, mięknie i cichnie, i ja muszę to samo uczynić.

Doprawdy nie wiem, od czego właściwie powinnam zacząć. Chcę opowiedzieć o moim dzieciństwie; chcę opowiedzieć o straszliwych wydarzeniach, które nastąpiły, gdy dorosłam. W głowie, w sercu, to wszystko dzieje się naraz, jedna chwila nakłada się na drugą, palimpsest dni. Jednakże tak nie można pisać książki i jeśli w istocie jest to wybór między zaczęciem od niego lub zaczęciem od siebie, to muszę odwrócić się plecami do cienia człowieka, który niegdyś był moim mężem, i poniechać typowego dla niego założenia, że wszelkie rzeczy na firmamencie nade wszystko kręcą się wokół niego. Z pewnością będzie tym urażony; czuję chłodny i kąśliwy wiatr z zagajnika drzewek persymony.

Cicho, Janie. Cicho, mój ukochany. Świat istniał przed twoim nadejściem. Żyliśmy, jedliśmy, udawało nam się nawet śmiać i spółdzić kilkoro dzieci, zanim poznaliśmy twoje imię.

Dzwony rozbrzmiewają niskim i słodkim tonem w al-Qasr. Zapowiada się dzisiaj ciepły dzień, a wiatr przyniesie zapach róż.

Kiedy moja matka po raz pierwszy zabrała mnie do Fontanny, gdy miałam dziesięć lat, czułam, że nic na świecie nie może być twarde,

zimne czy nieprzejezdane. Teraz nazwalibyśmy nasze długie wędrówki pielgrzymką, wtedy jednak nie znałam jeszcze słowa „pielgrzym”. Nikt go nie znał. Co mogło znaczyć takie słowo? Wiedziałam za to, że moja matkę nazywają Ctiste, że ma talię jak palma betelowa i wysokie, drobne piersi z zielonymi oczami jak moje - ponieważ blemiowie mają twarze na piersi i nie mają głów jak ludzie. Potrafimy jednak być piękni, niezależnie od tego, co możecie usłyszeć z ust ludzi. Ctiste była piękna i kochałam ją. Najlepiej pamiętam ją, jak pochylała się, pracując nad pergaminem, tak samo jak mojego ojca, mozolącego się przed domem nad obręczami z wawrzynu, pachnącymi i białymi, na których krzywiźnie rozciągały się łaciate skóry. Rodzice precyzyjnie wbili kołki pod konarami magnolii ćampaka; bladopomarańczowe cienie przemykały po ich długich, muskularnych rękach, a usta na ich płaskich brzuchach były zaledwie twardymi, cienkimi liniami.

Trzymałam ją bardzo mocno za rękę, kiedy wychodziłyśmy z miasta -bo do Fontanny zawsze trzeba iść pieszo. Jeśli na miejscu twoje stopy nie są zakurzone pyłem drogi, nie wycierpiałeś dość, żeby zasłużyć na wodę. Moja matka bezwzględnie tego przestrzegала, zatrzymywała się co kilka mil, żeby wetrzeć czerwone, gliniaste błoto w podeszwy moich bosych stóp, na wypadek gdybym nie wybrudziła się dostatecznie. Fontanna płynie i szemrze dość daleko od miejsca zwanego teraz Ephesus Segundus, a wtedy słodkiej, nieco podupadłej Śirszy, gdzie nikt nie zapisał swojego imienia, nie dotykając mojej rodziny, naszej pracy, naszej skóry.

Zdumiewała mnie droga do Fontanny. Cóż za nadzwyczajny szlak dla dziecka. Tak długi, tak słoneczny, tak głośny! Zakręcał na północ od Sir-szy pętlą ciasną jak dziewczęce loki, przecinając pola ostrych źdźbeł trawy kuśa jak brązowe kości. Różowo-fioletowy lotos pływał na sadzawkach białego piasku jak na jeziorze, bladozielone liście schludnie wsunięte pod płatki kwiatów. Wokół wydatnej talii matka zawiązała pas z książkami na handel; grzbiety i deseczki uderzały z głuchym odgłosem o jej biodra, gdy szłyśmy, a zapach suchych traw wypełniał powietrze jak dym. Ctiste też ubrała się na czerwono. Wszyscy nosiliśmy czerwień na szlaku pielgrzymki.

Droga może być miastem w nie mniejszym stopniu niż Sirsza, w nie mniejszym niż Konstantynopol. Droga do Fontanny stanowiła długą, krętą stolicę - wszyscy musimy ją przejść, więc stała się naszym pełnym

słodczy domem, niezależnie od tego, gdzie się urodziłyśmy. Każda mila była okupowana równie bezwzględnie jak zdobyte na wojnie terytorium - przez łamię sprzedającą jad i ciasto cytrynowe, fauny oferujące wytchnienie w swoich ramionach, tygrysy handlujące tynkturami z własnych pazurów i rzęs, gryfy sprzedające bożki o pustych twarzach z chryzolitu i cedru. Tensevetowie w turbanach, których płaskie, zamrożone twarze błyszcząły, pozwalali, by ich policzki topiły się powoli i skapy-wały do ametystowych naczyń sprzedawanych potem peregrynującym rzeszom jako święte i magiczne mikstury. W owym czasie uważaliśmy ich za szarlatanów, jednakże teraz, kiedy moje wędrówki do Fontanny dawno już się zakończyły, rozmyślam o tych błękitnych pustelnikach i podejrzewam, że wcale nie kłamali. Zgadzali się, by ich ciała się rozpływały, żeby nieść ulgę gardłom wiernych, i to w rzeczy samej jest prawdziwa świętość, nawet jeśli to nigdy nie było nic więcej niż woda. Piłyśmy z tych fioletowych fiolek; zapłaciłyśmy tenseysetowi o ostrych zębach powieścią o lodowej rzece płynącej głęboko w ziemi i zaludnionej duchami poławiaczy klejnotów, którzy żywili się perłami zaścielającymi dno rzeki, ucztowali na nich w swojej niedoli. Spisano ją na srebrzystym foczym filtrze, a do pasa Ctiste przypięta została kłamrą z kości słoniowej.

Nocą droga ciągnęła się w nieskończoność, w góry, oświetlona przez niezliczone latarenki, cieniutki, kręty sznur świateł, sunący powoli, miotany cichym śmiechem i jeszcze cichszym śpiewem. Pola lotosów zamieniły się w pola kurkumy i kolendry, szerokie i zielone; przenikliwy świeży zapach wił się pośród naszych srebrnych świateł, wśród cieni, wśród tysięcy i więcej ramion kołyszących się w takt tysiąca i więcej kroków. Tam, gdzie grunt stawał się bardziej skalisty, pomagaliśmy sobie wzajemnie - mężczyzna o jelenim porożu i piersi chudej jak balsamowiec podniósł moją matkę i postawił na wysokiej półce usianej hibiskusami, błyszczącymi, pomarszczonymi i czerwonymi w ciemności, a potem podsadził tam mnie, mrugając do mnie niewinnie. Przez kilka mil niosłam dziecko kobiety o oczach z brązu, pociągając dziewczynkę za warkocz i opowiadając jej historię o bezgłowych bohaterach, którzy mieli brzuchy jak z kutego mosiądzu.

Kiedy kurkuma wymarła i skały niechętnie pozwalały rosnąć jedynie mchom i niekiedy samotnym groszkom, natknęłyśmy się na wóz należący do kobiety astomich; jej gigantyczny nos poruszał się, żeby

wychwycić najdelikatniejsze zapachy na wietrze, kolosalne nozdrza ocierały się o jej własne piersi. Wóz był po brzegi wypełniony najosobliwszymi towarami - przynajmniej dla oczu dziewczynki, która widziała jedynie drzewa pergaminowe i drewniane błyskotki zabawkarzy z Sirszy. Nozdrza kobiety z wozu błyszcząły; astomi nie mają ust, lecz wyjadają zapachy z powietrza, wachając z zapamiętaniem jabłka, kurkumę i dziewczęce ciała. Sprytna handlarka, ignorując moją niecierpliwą matkę, pokazała mi miniaturowy model wszechświata nie większy od orzecha, niewiarygodnie wręcz misternej roboty, z klejnotami, które wydobyto ze skrzących się zalewów Piszonu.

- Krystaliczne sfery - mówiła astomi głosem zdławionym i nosowym, dobywającym się z rozległych tuneli jej nosa. - Z Pentexore pośrodku, otoczonym przez morze piasku oddane w topazie i okolonym orbitami wysadzanych klejnotami: opalem dla Księżyca, złotem, rzecz jasna, dla Słońca, karbunkulem dla Marsa, szmaragdem dla Saturna. Kosmos na łańcuszku wokół twojej szyi... wybacz mi, uroczą blemijko, twojej talii... i jeśli pozwolisz...

Obróciła maleńki srebrny kluczyk u podstawy mechanizmu i sfery zaczęły turkotać i wirować powoli wokół równiny Pentexore, na której wypatrzyłam cieniutką szafirową rzekę i karneolowe drobinki gór wielkości łebka szpilki. Och, jak bezwstydnie błagałam o to cacko! Jak podle je wyłudzałam! Ctiste była jednak litościwa, pobłażliwa jak każda matka w świąteczny dzień. Cicha jak zawsze, z większą cierpliwością, niż na to zasłużyłam, odpięła tom od pasa: rozprawę na temat matriarchalnej struktury społecznej wśród hodowców zapachów na równinach, oprawioną w kościane okładki; astomi dorzuciła jeszcze od siebie pierścionczek z lazurytem i opalem, który matka wsunęła na kikut po odciętym palcu.

Nosiłam kosmos na pasie w talii. Nawet kiedy piszę te słowa, zwisa mi na kolana jak różaniec, a powolny turkot sfer mnie uspokaja.

Obawiam się, że to musi być nużące - każde dziecko z Pentexore mogłoby opowiedzieć tę samą historię, opisać tę samą drogę, te same latarnie, te same wielkonose sprzedawczynie świecidełek. Istnieje pewna pociecha, zawsze płynie pewna pociecha z jednakowości naszych doświadczeń. Tak, moje dziecko, mówi każda babka, szłam tą drogą, pęcherze dokuczały mi tak samo jak tobie. Widziałam linie światła;

raniłam stopy o te same głązy.

Jan także pokonał tę drogę, nasz wyniszczony kapłan - nie wiercie w nic innego, niezależnie od tego, o czym zapewniał własny lud. Kto nie pomija kwestii osobistych w obecności rodziny? Ale nie, niezależnie od tego, jak bardzo jego cień potrząsa pigwowcem, żeby zwrócić na siebie uwagę i żądając, bym weszła w rolę pełnej wdzięku sekretarki jego ewangelii, to nie jest to jego historia. To moja historia. Nie może i jej zagarnąć dla siebie.

Powietrze wokół Fontanny zawodziło cienko i przenikliwe, błękitne jak śmierć, przyprawiające o zawrót głowy. Skalny stół wklinał się w krąg gór jak klejnot w straszliwej koronie, a w kamiennym stole pogrzyżała się studnia, głęboka i zimna. Stół zapewniał miejsce tylko kilku osobom naraz na tym wąskim wierzchołku. I tym lepiej, ponieważ doznania każdej istoty przy Fontannie należą tylko do niej i takimi pozostaną, niezakłócone przez euforię innych. Grube trawiaste liny ciągnęły się wzdłuż ostatnich kamiennych ścieżek, byśmy nie musieli powierzać życia nielojalnym stopom. Chwytając się lin, chwytając się samych skał, wspinałyśmy się, wspinałyśmy się tak daleko, przytrzymywałyśmy się paznokciami, zębami, dyszałyśmy na porywistym wietrze. Zalegała tam tak wielka cisza, tak rozległa i potężna, że tylko wiatr i oddech polerowały ściany gór. Było ciężko. Oczywiście, że było ciężko. Wszystkie pielgrzymki są trudne, bo inaczej jaki miałyby sens?

Wślizgnęłam się na kolana matki i ułożyłam swój chudy tors między jej piersiami, póki czekałyśmy na naszą kolej. Czułam jej rzęsy na ramieniu; wiatr uderzał w nas obiema pięściami, liny kołysały się szaleńczo w dole. Wreszcie, trzymając się za ręce, z czerwonymi spódnicami furkoczącymi nam wokół nóg, balansując na najdrobniejszych skalnych igliczkach, kiedy palce stóp ześlizgiwały nam się z łupka w eter, podeszłyśmy do studni, do Fontanny.

Znalazłyśmy tam jabłka, zwiędłe i brązowe, konary jabłoni splątały się z kamieniarką cembrowiny. Kamień płataniną podobną do brzydkich, sfioletowiałych korzeni wygryzał się z ziemi, tworząc dziurę z grubsza w kształcie studni. Pomyślałam, że wygląda jak usta góry szyszczące ze mnie, wykrzywione w grymasie. Jabłka powoli nabrzmiwały, kiedy patrzyłam na nie, stawały się coraz czerwieńsze, pełniejsze i bardziej

błyszczące, wielkie jak serca, nawet zalśniły rosą. Potem znowu wyschły, obumarły, ziemiste i zbyt stare, żeby nadawać się choćby na cydr. Kiedy musnęłam palcami ich miękkie, zgniłe twarze, znowu ożyły, wyduły się twarde i szkarłatne. Wystawały przez szczeliny cembrowiny jak języki. Ctiste zignorowała je i przyklęła przy studni, gdzie siedziała Oinokha, kobieta otulona szkarłatną wełną. Jej łabędzia szyja i głowa falowały nad chudymi, wąskimi ramionami, wiatr tarnosił pióra.

Oinokha pociągnęła mnie do przodu i przyłożyła moje ręce do powykrzywianych niebiesko-fioletowych kamieni studni. Spojrzałam do środka - i korzenie góry wykrzywiły się w sadzawce jak zazdrosne palce, nieruchome, ostre i fioletowo-szare, odciągając wodę od spragnionego wiatru. Fontanna była niską kałużą w nadąsanej, krnąbrnej cysternie, otwartej w grani przez dłoń, której nie potrafiłam sobie wyobrazić. Woda sączyła się gęsta i oleista, grudkowata od glonów i jaj nieprawdopodobnych jętek, w jednym miejscu aż wiała się od niewidocznych kijanek. Patrzyła gniewnie, zielona jak paproć, z brązowymi smugami, nieruchoma i cuchnąca, śliska skórka spienionych szumowin na wodzie, która przez cały czas stała nieruchomo na dnie wilgotnej dziury.

Wyobrażałam sobie, że woda będzie taka czysta, czysta i klarowna jak klejnot. Myślałam, że będzie taka słodka.

Oinokha położyła dłoń na mojej ręce. Nigdy w życiu nie widziałem bledszej dłoni, była biała, jakby ją zamrożono, jakby krew zamieniła się w szron. Paznokcie połyskiwały czernią.

- Gdzieś bardzo daleko stąd - zaczęła, a jej głos rozbrzmiewał wśród wiatru niczym smyczek od skrzypiec porwany przez wir pyłowy, tego piaskowego derwisza - na długiej i szerokiej równinie pośród oceanu drzew oliwnych wznosi się góra. Chmury białe jak mój kciuk pokrywają jej szczyt. Na szczycie tej góry mieszka starucha w jasnej sukni, która opada wokół jej ciała schludnymi fałdami niczym marmur wycięty w kształt kobiety. Mieszka sama pośród jedenastu połamanych kolumn. Jej oczy lśnią tak jasno i szaro, szaro jak czubek jej włóczni, szaro jak pióra sowy, która mieszka w miejscu, gdzie szyja kobiety przechodzi łukiem w ramię; sowy, która przyciska szeroki, pozbawiony oddechu policzek do jej twarzy i zawsze delikatnie zaciska szpony na jej obojczyku. Znam ją - ta kobieta lubi oliwki, kiedy są odrobinę niedojrzałe, bo wtedy

ześlizgują się po jej języku twarde i oleiste. Niektórzy ludzie nazywają tę górę Olympos, ale nie domyślają się, że góry mają korzenie jak drzewa i że fioletowy kamień Olymposit sięga daleko pod ziemią i łączy się z sękatym, starzejącym się systemem korzeniowym wulkanu i zatopionego przez morze łańcucha górskiego, pogórza i niewiarygodnego klifu. Pod wszystkim zasupłują się i wykręcają, szepcząc, jak to czynią staruszkowie, przeżuwając ciemność jak miętowy listek i narzekając na stan świata. Olympos jest daleko stąd, moje dziecko, ale rozczapierzył się i sięgnął aż tutaj, jak dąb, którego najdrobniejszy korzonek dźwiga się milę od jakiegokolwiek żołędzia. Czasem, kiedy przyciskam głowę do kamienia, słyszę staruchę i jej sowę, wypluwające pestki z oliwek nad roześmianymi ruczajami.

Oinokha złapała korzenie mocnymi, bladymi rękami i pochyliła głowę do studni. Nie mogłam oddychać - pierwszy raz widziałam meta-colli-narum, jedną z łabędzich dam, które trzymały się na uboczu i milczały, kiedy rzadko, jakże rzadko zaszczycały Śirszą swym rozkołysanym krokiem. Jej pióra stroszyły się i rozdzielały na wietrze, kiedy dziobała listki jabłunki jasnym jak płomień dziobem.

- Ci sami ludzie, którzy znają imię Olympos - opowiadała dalej łabędzia kobieta - mówią, że żyła kiedyś ciemnoskóra dziewczyna imieniem Leda, która pokochała łabędzia... Kto spośród nas może osądzać nawyki cudzoziemców? Powiadają, że urodziła dwie pary bliźniąt, dwie córki i dwóch synów, którzy wyskoczyli z jaj, ociekając żółtkiem jak płynnym złotem, i swoją urodą zrujnowali świat. - Oinokha uśmiechnęła się, na ile to możliwe u łabędzia. - Jednak moja przyjaciółka, która układa stosy pestek z oliwek między kolumnami, szepcze do mnie przez korzenie góry, że Leda miała piąte dziecko, nie dość ładne, żeby napędzić werbownikom chętnych do wojaczki, ale z głową łabędzia i ciałem kobiety, biedne, zagubione stworzenie, samo w swoim jajku, bez bicia drugiego serca, które pomogłoby jej trzymać na dystans tkwiące w niej zwierzę. Jej siostry kochały tylko siebie wzajem, jej bracia kochali tylko miecze z brązu, więc ona odeszła na pustynię, z dala od płonących miast rodziny, na koniec świata.

Oinokha wykręciła do mnie głowę na wygiętej w łuk szyi. Kijanka złapana w cembrowinie wiała się bezradnie w jej dziobie, zanim kobieta ją przełknęła.

- Dlaczego woda jest taka? - zapytałam nieśmiało, próbując schować się za spódnicami matki.

- A czego się spodziewasz po krwi góry? Ze jak będzie wyglądać? - odpowiedział pytaniem łabędź.

Matka się zaśmiała. Sięgnęła za lewe biodro i odpięła książkę - kompendium tradycyjnych ballad godowych ptaków morskich znad Rimalu, suchego morza, które ciska piaszczyste fale na ich gniazda na złotych klifach. Oinokha wzięła ją nieśmiało, z błyszczącymi oczami. Przesunęła lodowymi dłońmi po grzbiecie jak stosina pióra.

- Jakież skarb! - Przycisnęła książkę do piersi. - Tak tu nudno bez czegoś do czytania! - Zaśmiała się, sięgnęła po kamienną chochlę poplamioną od niezliczonych zanurzeń w wodzie i zrozumiałam, czemu opowiedziała mi o Ledzie: wymiana, historia za historię.

Nie chciałam napić się z Fontanny - śmierdziała jak torfowa gorzałka, która od dawna już nie nadawała się do picia. Gardło mi się zacisnęło. Jednak nagle białe jak puch ręce przycisnęły mi twarz, a ciemne usta mojej matki szeptały mi coś kojącego koło ramienia. Zacisnęłam powieki i usta, ale we dwie zdołały mnie przekonać, bym otworzyła wargi. Oinokha uniosła chochlę, z której aż się przelewało, i ze wstydem przyznaję, że zadławiłam się świętymi wodami Fontanny. Moje ciało jej nie chciało; język wzdragał się, czując zanadto bogaty posmak ziemi, gęsty i wilgotny; kilka śliskich, nazbyt zielonych grudek glonów przetoczyło się jak flegma między moimi zębami. Zadławiłam się - a to nie uchodziło. Trzymały mnie, podczas gdy ja się krztusiłam, aż woda uląła mi się na mój ładny czerwony pas. Oinokha zaśmiała się - przenikliwy, podobny do fletu dźwięk dobył się z jej smukłej szyi.

- Ja też za pierwszym razem się zadławiłam - pocieszyła mnie życzliwie.



Nie ma już podróży do Fontanny i wozacy w turbanach zniknęli. Nie ma już opiewających prawdę malunków na ścianach gór: że pielgrzymka jest długa i żmudna, że podejmujemy ją, bo musimy, jak dzieci, które

muszą umyć zlew. Jeśli zachowały się liny na szczycie góry, to kołyszą się na bezwonnym wietrze i nie pomagają już nikomu przekroczyć przepaści.

Jednak ja tam piłam, tak samo jak cały lud Pentexore aż do czasów po wojnie. Po Janie. Piliśmy w dziesiąte, dwudzieste i trzydzieste urodziny, przy wielkich słupach granicznych znaczących nasze życie, a kiedy po raz trzeci zmusiliśmy się do przełknięcia haustu mdlącej, cuchnącej, bujnej wody, nigdy więcej się nie starzeliśmy i nigdy nie umieraliśmy, o ile nie padliśmy ofiarą przemocy lub wypadku; nie jest to najgorsza wymiana za trzy długie wędrówki i trzy ohydne łyki.

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Zastanawiam się czasem, jak wygląda pamięć Boga. Czy to pałac o nieskończonej liczbie pokojów, skrzynia z mnogością drogocennych skarbów, rozległy, samotny krajobraz, gdzie każde drzewo upamiętnia eon, każdy kamyk ludzki żywot? Gdzie żyję w pamięci Boga?

Pamiętasz, Panie, kiedy byłem chłopcem i ojciec kazał mi pomagać przy cielącej się krowie? Jaką wagę przykładasz, Boże, do modlitw dziecka?

Nie lubiłem krów. Śmierdziały, podgryzały mnie złośliwie, jakby wyczuwały moją niechęć. Cóż, głodomorze, powiedział mój stary ojciec, za to lubisz mleko i ser; Nic, co wytwarza twoje ciało, nie jest nawet w połowie tak słodkie, a jednak nie kręcimy na ciebie nosem.

Prawdę mówiąc, cała moja pogarda dla farmy była całkowicie jego winą. Od małego matka mówiła mi, że zostałem obiecany Bogu i że w wieku lat dwunastu zostanę Tobie oddany. Co miały mnie obchodzić krowy, skoro wiedziałem, że wygody mnisiego łóżka i szlachetna praca z inkaustem, papierem, modlitwą i pieśnią to moje powołanie? Gdyby pewnego razu nastał świeży i różany świt i ukazał wszystkie krowy martwe na zamrzniętym polu, uradowałbym się. Nie wstydziłem się tych myśli - byłem złym synem.

Ojciec mimo to zaciągnął mnie do obory w czasie mrozu trzaskającego jak stare kości, pod gwiazdami jasnymi, wyraźnymi i białymi, przesłoniętymi smugami mlecznej półprzeźroczystej mgły. Weź mnie teraz., Boże, modliłem się w duchu, z pewnością mnie wysłuchasz, ponieważ byłem obiecany Ci dzieckiem, tak szczególnie kochanym.

Jałówka leżała w słomie, mucząc żałośnie i piorunując mnie pogardliwym spojrzeniem, a małe pokryte sierścią uszko wystawało jej z zadka. Było tam jednak dużo krwi i nadto innych płynów, których natury nie śmiałem zgadywać, tajemna wilgoć kobiet, czy są krowami, czy aniołami. Jednakże mojemu ojcu nie wystarczyło, bym patrzył, uczył się i potem szybko zapomniał o całym tym wydarzeniu. Zmusił mnie, by zanurzył się w wielkim zwierzęciu aż po ramiona i wyciągnął cielaka.

Żar jałówki zaciskał się wokół mnie, odór we mnie walił - zapach obory, krwi i strachu. Czułem cielaka w rękach, jego zawyły kościec, kopyta i zebra. Objąłem go chudymi rękami, ciągnąłem i płakałem wraz z matką, która ryczała. Wreszcie dziecko wyszło, a ja padłem do tyłu z wielką grudą krowy, krwi i białego śluzu w rękach, tak przemoczona, że nie potrafiłem nawet powiedzieć, gdzie może mieć oczy. Ojciec postawił stworzenie na nogi i odgarnął brud z jego oczu z czułym uśmiechem, jakim mnie nigdy nie obdarzył - ponieważ była to jałówka, a to oznaczało dobre mleko i rozpłód z brązowymi bykami mojego wuja.

- Takie jest życie - rzekł mój ojciec. - Brzydkie na początku, brzydkie na końcu i trudne przez całe trwanie pomiędzy.

Krówka chwiała się na nowych nóżkach w sposób, który inni uznaliby pewnie za słodki, ja jednak dostrzegałem w tym jedynie cwana próbę przypochlebiania się ludziom. Odmówiłem pokochania jej. Stworzenie klapnęło mi na podołek i zasnęło, a ojciec zajął się jego matką, której intymne części były poszarpane i w żalonym stanie. A kiedy tak siedziałem z cielaczkiem pochrapującym cicho przy moim kolanie, nie mogłem nie pomyśleć o Dzieciątku Jezus, o Jego narodzinach na sianie i w smrodzie czegoś, co z pewnością było niezbyt czystą oborą. Tak to właśnie wyglądało? - zastanawiałem się. Czy Józef albo jakaś inna biedna wiejska akuszerka siłowała się ze ściskającym żarem Maryi, słyszała jej ból, czuła zapach jej krwi, wyciągała Boskiego Króla z jej ciała zupełnie jak z krowy? Być może Józef jak ja nie przepadał za dziećmi i gapił się oszołomiony na syna, który nie był jego synem, zastanawiał się, jak coś równie dużego jak mężczyzna może wyrosnąć z tej mokrej wrzeszczącej grudki?



Oczywiście nie powinno się snuć rozmyślań o zwartym żarze Maryi ani, skoro już o tym mowa, o wrzeszczącym Chrystusie. Jednakże ja zawsze zastanawiałem się nad tymi praktycznymi kwestiami i pragnąłem wiedzieć nie tylko to, co napisano, ale też, jak by to naprawdę wyglądało, gdybym mógł się tam znaleźć. Gdyby przeszkadzała Ci ludzka brzydota i funkcjonowanie kobiecego ciała, Boże, przypuszczam, że wybrałbyś inny sposób narodzin. A jednak zastanawiam się, czy mógłbym trwać przy Maryi i trzymać jej dłoń podczas bólów

porodowych. Czy pozostałbym niezłomny? Czy pokochałbym mokre, nieszczęśliwe dziecko?

Niespecjalnie mnie już niepokoją krowy i krew. I gdybym mógł tam być, kiedy ksiądz zwany Janem natknął się na owo królestwo, gdybym mógł trzymać dłoń Hagii, kiedy wypijała łyki przedziwnej wody, wierzę, że okazałbym niezłomność. Wierzę, że trwałbym przy nich. Chociaż z pewnością nie była to ta Fontanna Młodości, nie ta sącząca się, ohydna szczelina górską, którą Hagia uznała za święte źródło. Fontanna Młodości to nie miazmaty - jej wody są krystaliczne i złote, ciurkają w idealnej melodyjnej harmonii z naczynia do naczynia, strugi jasne jak diamenty i równie czyste. Wszyscy ludzie wiedzą, że taka jest prawda. Dopuszczam jednak myśl, że może była to jakaś niekochana siostra owej promiennej krynicy, która przedłużyła życie dziwnej i ohydnej żonie Jana - och, jakże tłucze się serce w mojej piersi na myśl, że prezbiter, ksiądz i król skalał się taką małżonką.

Kieruj mną, Panie. Czy powinienem opowiedzieć to wszystko moim braciom w domu, przy ich zamarznętej uczcie i z marzeniami o prawym panowaniu, czy też powinienem ukryć chociaż żonę, której istnienia nie da się ścierpieć? Czy to należy do historyka, by przedstawiać rzeczy słuszne i usuwać wstydlive, żeby przyszłe pokolenia mogły czerpać otuchę z naszych czynów? Czy też jego obowiązkiem jest przedstawiać wszystko i niczego nie ukrywać?

Przepelniał mnie niepokój tej pierwszej długiej nocy, jakbym nadal próbował pomóc w narodzinach jakiegoś kopytnego, szczerzącego zębiska stworzenia, wyciągając je z czarnych wnętrzności.

Ostatnia książka - mały zielony antyfonarz z pieczęcią w kształcie pojedynczego wielkiego ucha - łyssała do mnie, a jej przenikliwy ziołowy aromat przenikał powietrze; ząbkowane liście kolendry, miąższ limety i gorzkie, gorzkie korzenie. Gwoździak wypadł ze świecy. Nie mogłem pozwolić sobie na leniwe myśli o krowach, które już dawno nie żyją, a całe ich mleko wypito. Modłę się, by nie pojawiły się żadne więcej niespodzianki, które jeszcze bardziej skalałyby złocisty wizerunek króla ze Wschodu, nadal wiszący we mnie na kształt lampy.

Szkarłatny pokój dziecienny

**Opowiedziane przez Imtithal z Panotich Trojgu Dzieciom
Królowej Abir,
A mianowicie Lamis Powściągliwej,
Ikram Nieustępliwej i Houdowi, Któremu Nie Zawadzi Przy
Okazji Dogodzić.**

Spiszę tu kilka historii, które opowiedziałam dzieciom królowej w czasie długiej wiosny ich chowania, kiedy wydawały się mojemu sercu kwieciami figowca wirującym wokół mnie w dzikich tumanach. Powiem także o mojej własnej miłości i myślach, ponieważ żadnej opowieści nie można uwierzyć, jeśli gawędziarz pozostaje obcy słuchaczowi. Niech będzie wiadome, że w tym życiu zwano mnie Imtithal z Nimat-Pod-Sniegiem, ale dzieci wołały na mnie „Nasz Motyl”, ponieważ spałam owinięta uszami jak w kokonie i rozczarowywałam ich każdego ranka, kiedy po wynurzeniu się nadal byłam ich starą piastunką, bez widowiskowych fioletowych skrzydeł lub czułków zakończonych szmaragdami. Oczywiście to część obowiązków piastunki, rozczarowywać swoich podopiecznych najczęściej, jak się da. Dzieci muszą ćwiczyć rozczarowanie, póki są małe, by, kiedy dorosną, nie uderzało w nie zbyt mocno. To skromne stworzenie żywi nadzieję, że te opowieści stworzą długą linię łączącą je z dziećmi, które dawno już dorosły. Kochałam je, a dokąd się udały, tego nie umiem powiedzieć. Tak to właśnie jest z dziećmi - opuszczają cię. To swego rodzaju herezja - próbować przyciągnąć ich małe serduszka gdzieś ze świata z powrotem w moje ramiona. Wobec tego jestem heretyczką. I być może ci, którzy przeczytają tę książkę, pewnego przyszłego lata, którego nie mogę poznać, będą także jak moje dzieci - wiele Lamis, wiele Ikram i wielu Houdów. Wyobrażam sobie was wszystkich teraz, a wy wszyscy będziecie wyobrażać sobie mnie wtedy i razem nasze wyobrażenia stworzą swoistą rodzinę umysłu. Może jakieś szlachetne dusze czytają moje drobne litery już teraz, kiedy nadal je piszę. Kiedy bowiem ciało

żyje wiecznie, cały czas jest jednością, pojedynczą bańką zawieszoną w czerni. Być może, kiedy skończycie to, co teraz zaczynam, stanę się i waszą motylą matką.

Być może nawet zdarzy się - za jeden dzień od teraz, w innym miejscu - że pewnego ranka rozłożę skrzydła moich uszu, by odsłonić coś zupełnie innego niż Imtithal, i wszyscy, którzy to przeczytali, zgromadzą się wokół mnie w zadziwieniu, a także Lamis, i Ikram, i biedny Houd, i przybiegną do mnie ze śmiechem, jak to czynili kiedyś, i wszyscy razem położymy się w słońcu.



Najpierw wyliczę cnoty najsłynniejszych z moich podopiecznych, a potem własne.

Królewska rodzina w owych dniach składała się w głównej mierze z ca-metennów (wyjąwszy tych, którzy weszli do tej hałaśliwej bandy przez małżeństwo albo adopcję), których dłonie są równie wielkie i zwinne jak uszy u panotich, czyli jak moje własne. Na jednej z ich rozłożonych dłoni pomieściłoby się całe moje ciało, chociaż me uszy udrapowałyby się na palcach niczym jedwab. Mówiłam do nich cicho, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ich wielkich dłoniach, a dzieci pochylały drobne twarzyczki, żeby lepiej słyszeć. Lamis, której wielkie oczy lśniły oranżem jak futro tygrysa; Ikram, która miała najpiękniejsze usta, jakie kiedykolwiek widziano w Pentexore, bardziej różanych nigdy nie widziałam, zawsze ściągnięte, jakby całowała sam wiatr; i Houd, który nie pokochał mnie, dopóki nie opowiedziałam mu wszystkich znanych mi historii, wszystkich co do jednej. Dopiero kiedy skończyłam ostatnią z nich, postawił mnie na rubinową podłogę Szkarłatnego Pokoju Dziecinnego i powiedział: Proszę, Motylu. Od jutra będę cię kochał przez resztę mojego życia.

Jak dziwne są dzieci. Równie dziwne jak wszystkie historie, które kiedykolwiek opowiedziałam.

Lamis najbardziej lubiła opowieści o powstaniu różnych rzeczy, ponieważ nigdy nie mogła do końca uwierzyć, że żyje i że wszystko wokół niej jest prawdziwe. Może się to wydawać przedziwnym przeświadczeniem jak

Ikram, Która Zawsze Się Sprzeciwiała: Nieprawda! Babka zrobiła

matkę, więc jeśli ktoś stworzył świat, to właśnie babcia.

Houd, Który Zawsze Miał Marsową Minę: Myślę, że świat upieczono, tak jak się piecze ciasto morelowe, które dostaliśmy na kolację, nasączone winem. Morele są gwiazdami, a ciasto jest ziemią, a wino jest... chyba duszami. Albo krwią. Zresztą wcale mnie to nie obchodzi.

I ja, Która Zawsze Byłam Cierpliwa: Na początku istniały Sfery i Sfery były z nami i Sfery były nami. Pomyślcie o małych szklanych kulkach, które Rastno feniks-król przynosi wam, kiedy składa tu wizytę: klarowne, błyszczące i tak wielobarwne, i pomyślcie, jak lubicie uderzać nimi jedna o drugą, ale nigdy żadna się nie stłucze, bo Rastno zna was aż za dobrze. Wydają taki cudny dźwięk, prawda? Wyobraźcie sobie wobec tego tysiące tysięcy kul, wszystkie stłoczone razem w rozległej, czarnej pustce, zawieszane jak latarnie, srebrne i złote, i szkarłatne, i fioletowe. Jedynym dźwiękiem na początku świata był brzęk jednej o drugą, kiedy pozbawiony światła wiatr pustki szeleścił wśród nich.

Ikram, Która Zawsze Domagała Się Mleka Orzechowego Przed Snem: Skoro to była pustka, to jak mógł być tam wiatr?

Skąd wziął się wiatr, tego nie możemy wiedzieć. Zawsze był wiatr, ponieważ zawsze istniała zmiana, a wiatr to dźwięk, jaki wydaje zmiana.

Houd, Którego Nic To Nie Obchodziło: To głupie. Jak może istnieć zmiana, skoro świat się jeszcze nie zaczął?

Odpowiedziałam potrzebującym, łapczywym dłoniom moich podopiecznych: Świat nie zaczął się tylko raz, paluszki moje miłe. Sfery, mleczne i różowe, kryształowe i złote, pobrzękiwały o siebie w ciemności, ponieważ były równie ślepe, jak jasne. Teraz zapytacie, dlaczego w nieskończoność nie odbijały się o siebie i nie szurały, jak zawsze to robiły, co by znaczyło, że nie byłoby szkarłatnej pościeli, mleka orzechowego, ani matki, ani Lamis, ani Ikram, ani nawet Houda, chociaż jego w ogóle nie obchodziłoby to, że tak wiecznie uderzają o siebie.

Nie znam odpowiedzi na to pytanie, wiem tylko, że nic nie może pozostać takie samo przez wieczność, nieważne, jakie jest słodkie, nieważne, jakie jest jasne wśród czerni. Nieważne, jak bardzo możemy pragnąć, żeby wszystko, co kochamy, zatrzymało się i wstrzymało oddech w naszych ramionach, rzeczy będą upierały się, by się wydarzyć.

Katastrofa jest naturalna, moi kochani, być może to jedyna naturalna rzecz. I tak, chociaż może nie istnieć powód, dla którego wydarzyło się to w tej, a nie w innej lub jeszcze innej chwili, jedna ze Sfer pękła.

To przydarzyło się Krystalicznemu Niebu, jak to oceniają najlepsi ludzie, o wiele mądrzejsi od waszej Imtithal. Dlaczego Krystaliczne Niebo, a nie Dobrotliwe Złoto Słonecznej Sfery albo Pośledni Metal Ołowianych Sfer? Pochylcie się, a zdradzę wam sekret: ponieważ Niebo było samotne i miało słaby punkt na górnej półkuli z powodu pewnego urazu doznanego w czasie okrytego tajemnicą dzieciństwa. To ważne, byście to wiedzieli. Że samotność i słabość nieodmiennie stanowią część naszej istoty.

Sfera Nieba powoli, ze zgrzytem przeturlała się przez wietrzny mrok i z impetem uderzyła w Dobrotliwe Srebro Sfery Księżyca. Wzdłuż wszystkich różowych południków kula Nieba popękała, rozłupała się i zadygotała. Linie złota podobnego do ognia pojawiły się na jej wielkim obliczu; szkło formowało się i kipiało długimi rzekami i na początku wszystkiego krzyknęło, kiedy Sfera Księżyca weszła w Sferę Nieba. Tamtędy, którą wszedł Księżyc, weszło też i Słońce, potem Merkury Obrysowany Żywym Srebrem, Gorący i Wilgotny Jowisz i wszystkie Sfery Planetarne i Sfery Żywiołów, jedna po drugiej, zupełnie jak jedna z tych biednych lalek Ikram. Krystaliczne Niebo napuchło od wszystkiego, co zawierało, straciło swój różany kolor i zamiast tego przybrało barwę czarnego szkła. I dlatego, kiedy patrzymy w górę wieczorem, widzimy najdalszą krawędź Nieba, którą można dostrzec z miejsca, w którym stoimy, z ostatniej i najmniejszej, i najlepszej ze Sfer, z Domostwa Błogosławionych, naszej własnej, drogiej Ziemi.

Jako że znajdujemy się najniżej, nam przypada zakotwiczenie reszty. Gdzieś w całkowicie ukrytym miejscu, gdzieś w naszym szlachetnym świecie, wbito szpilkę, która sprawia, że wszystko się kręci. Szpilkę tę zwą Wrzecionem Konieczności i cała reszta wiruje wokół niej uwięziona, uwiązana na niewidocznych sznurach. Jednakże w każdą Sferę wprawiono świat taki jak nasz własny, na podobieństwo pierścienia ozdobionego klejnotem i chociaż nie możemy się tam udać, możemy sobie wyobrazić, jak - być może - na najdalszym srebrzystym Saturnie inna Imtithal mówi cicho do innej Lamis, innej Ikram. Ale nie do innego Houda, bo w żadnej niebiańskiej Sferze nie ma Houda, który lubiłby opowieści albo potrafił siedzieć cicho.

Wszystko, co widzicie i co można ujrzeć, stworzone zostało z materii Sfer. Morze powstało tam, gdzie Dobrotliwe Srebro Księżyca spotyka Wenus, Chłodną i Wilgotną. Panoti są dziećmi Saturna, Chłodnego i Suchego, oraz Nieruchomych i Bezbarwnych Gwiazd, które żyją w głębinach.

Wy, cametennowie, nosicie w sobie odłamki Jowisza, Gorącego i Wilgotnego, oraz Marsa, Gorącego i Suchego, Jaspisowe i Rubinowe Sfery światów o żarliwych sercach, narodzonych w dziwnym wirowaniu Sfer wewnątrz Sfer, ruchu, który tylko panoti potrafią usłyszeć.

Słyszę go teraz, tę zawsze cichą muzykę rozkołysaną jak morze, te pływy płynące w koło i w koło, i w koło nas, śpiewające przy tym własną pieśń. Jej słowa brzmią: idźcie spać, maleństwa, złóżcie swoje wielkie dłonie na małych sercach i słuchacie swojej piastunki.

Houd, Który Nie Lubił, Żeby Się z Nim Droczyć, Nawet w Ramach Opowieści: Imtithal, a co było przed Sferami? Czy ktoś je zrobił? Czy istnieje ktoś poza Sferami, kto wszystko stworzył, kto nas obserwuje, kto nas kocha i nas karze?

I zastanawiałam się nad tym długo, ponieważ wiele ludów tak uważa i opowiada takie historie: o bogach z mieczami, które ociekają kwiatami, o księżycu chadzającym po ziemi w sukni z jeleniej skóry. Jednakże temu dziecku byłam winna ni mniej, ni więcej jak całe serce i wszystko, w co wierzyłam i co wiedziałam, że jest prawdą. I oto co rzekłam do niego: Nie, mój złotooki. Jesteśmy tylko my, tworzący, obserwujący, kochający i karzący. Tylko my, śpiący pod gwiazdami.

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Pełen sił po kolacji przeskakiwałem od książki do książki, od dziwnego sanskryckiego dialektu Imtithal z powrotem do cudownej klarowności uroczo skrzypliwej greki Hagii. Podniecenie płynęło w nieprzerwanym obiegu od lewej ręki, obracającej stronicę, do mych głodnych oczu i do prawej ręki, gryzmołającej kopię w tłumaczeniu z godną podziwu niewielką liczbą błędów. Praca w tych wczesnych godzinach wydawała się przyjemnością i odnalazłem w niej rytm; moje ciało przypomniało sobie dawne dni w bibliotece, ozdabianie rękopisów złotymi sarnapami i aniołami o lwich głowach. Przerzywałem pracę na lunch z kilku jabłek i kawałków chieba namoczonych w mleku i wracałem - do obowiązków, między zdania podrzędne i heksametry, między lwie głowy i alegoryczne dała. Dotykałem Słowa Chrystusa - Twego Słowa, Panie Mój. Położyłem moje dłonie na nim i było ciepłe, jakby żyło. Czułem się tak blisko Boga, Ciebie. Tak blisko jak cielę i jego matka. Nie mogłem nic na to poradzić, że w taki sam sposób dotykam stronic ksiąg Jana i Hagii, z tym samym dreszczem rozpoznania - i te tomy naprawdę żyły, miały zapach, brązowały nieco pod moimi palcami niczym prawdziwy owoc. A potem poczułem, że to wszystko jest uświęconą grą, i to uczucie powróciło do mnie w małej chatce, w otoczeniu książek cuchnących owocem, przy płonącej świecy, przelewającym się kałamarzu i Hiobie napełnionym zapalem młodzieńca.

Duma zawsze była moim grzechem. Na Swoim Morzu Szklanym musisz to wiedzieć i chichoczesz, słysząc, że tak wprost oznajmiam coś, co powinno być oczywiste dla Króla Wszechrzeczy. Z pobłażaniem, mam nadzieję, kiedy Twój sługa porównuje Twoje Własne Pismo Święte ze śmiertelnymi dziełami tych zaśniedziałych, pstrych dusz. Jednakże początkowo byłem taki szczęśliwy z samego faktu przebywania w obecności tych woluminów, słuchania ich wyznań, jakbym udzielał wreszcie ich prochom ostatniego namaszczenia.

Nie zostawiałem sobie już czasu, by dać odpocząć dłoniom, rozprostować plecy i pomyśleć, jak bardzo Maryja przypominała krowę,

a Hagia Maryję - skakałem niczym faun między tomami, bez chwili przerwy między jednym a drugim, a tempo mojej pracy rosło tam, gdzie ogarniało mnie przekonanie, że zawiodę. Doprawdy, byłeś wtedy przy mnie, Panie, i kierowałaś moją dłońią i mym okiem. Żyłem w Łasce Bożej przez kilka słodkich godzin, zanim nadeszła moja zguba.

Słowo w pigwie

Rozdział Drugi, w Którym Badane są Granice Dziwnej Krainy, Nazwa Krainy Zostaje Zdradzona Cudzoziemcowi przez Ptaka Ogromnych Rozmiarów, Toczy się Osobliwa Wojna i Zostaje Zaoferowana Szorstka Gościnność.

Piasek wymywany na piasek. Złote szkielety smyrgają na brzeg, koniuszki ich żeber są cieńsze od igieł. Śniłem z twarzą przyciśniętą do plaży i kiedy śniłem, słońce złuszczyło moją skórę, najpierw różową, potem czerwoną - nie nadeszła żadna fala, by schłodzić moje ciało. Śniłem, że pływam w cysternach pod Konstantynopolem, przez podwodne miasto o kolumnach wyrzeźbionych tak precyzyjnie, jakby ludzie zamierzali tam mieszkać, o freskach tepowanych na ścianie, jakby jakaś zielonooka dama o rybiej twarzy mogła się zjawić, by je tam podziwiać. Jednak nigdy tak się nie stało - czarna woda pokryła wszystko jak płachta malarska. W moim śnie pływałem blisko sklepienia w przestrzeniach między niewielkimi, powolnymi falami i dachem ruchliwych ulic, zalany ukośnymi promieniami światła wpadającego przez kraty z brązu.

I był też Kostas, u mojego boku, z harpunem niebieskich makreli i śmiechem. Jego białe zęby raniły mi serce. Chciałem mu powiedzieć, że żałuję, że wyjechałem, że ikonoklaści wrócili na grzędę patriarchy, że zamalowali każdą Chrystusową twarz w całym mieście. Nie mogłem zostać, kiedy każdą noc wypełniały wilgotne odgłosy zakapturzonych głupców sztyletujących malarzy Chrystusa o łagodnych oczach; kiedy niemożliwy do malowania Logos tak mocno napierał na moje plecy, przepalał mnie na wylot, spalał na szkarłat, palił do białości. Nie, kiedy ja sam namalowałem Matkę Boską i stałem się przestępcą.

Jesteśmy teraz heretykami, szepnąłem do Kostasa, kiedy dryfowaliśmy na plecach i patrzyliśmy przez kraty na mijające nas kopyta i koła wozów. A może powinienem powiedzieć że znowu

jesteśmy heretykami. Kto to spamięta, jeśli we wtorek jesteśmy potępieni, a w czwartek ocaleni? Moja dusza ma dość wojen o sztukę.

Kostas wzruszył ramionami i zjadł ślełą rybę z cystern na surowo. Ciemne wnętrzości wiły się w jego brązowych ustach. Rozumiał. Kostas zawsze rozumiał. Podał mi martwą rybę z przebitym i rozerwanym bladym brzuchem. We śnie chciałem ją zjeść, wziąć wszystko, co Kostas oferował, co kiedykolwiek zaoferował, i rozpaczliwie starałem się pamiętać, że nie ma piękna w ciele. Ciało to nic więcej jak niemoralne, martwe mięso. Boża istota nie pragnie niczego takiego. Kostas nie był piękniejszy od tej biednej ryby z maleńką, czarniawą wątrobą spadającą z pluskiem do cysterny. I ja nie byłem lepszy.

Sny zeskrobują wszystko spod mroków serca. To rzadko jest uroczę, ten osad, który ścieka. Jestem dobrym człowiekiem. Jestem dobrym człowiekiem.

Zanurkowałem w ciemne wody snu, w dół poprzez mroczne fale, mijając ocienione kolumny z zawilými kapitelami, freski ze skaczącymi delfinami i obnażonymi piersiami - widziałem je, zauważyłem, a koral po cichu pokrył twarze tańczących nimf. Zanurkowałem głębiej, aż zabrakło we mnie oddechu. W miejscu po oddechu narastało światło, rozkładając moje płuca jak ręce. Jeszcze głębiej przepływały pozbawione słońca ryby, a ich ozory jaśniały upiornie na tle ścian. W świetle ich języków, chorobliwym i bladym, w tej parodii księżycowego blasku, zobaczyłem głębiny cysterny i kolosalną kamienną stopę samego Konstantynopola, delikatną i wdzięczną mimo swojego ogromu, odzianą skromnie w sandał, podtrzymującą w górze miasto. Omułki przywarły do pięt. Pleśń zazieleniła paznokcie. Dotknąłem kamienia palców. Poczulem ciarki, jakby to było żywe ciało. Objąłem ciepłą marmurową kostkę miasta żałośnie niewystarczającymi ramionami, łkając przy niewzruszonej kończynie. Otworzyłem usta, żeby wykrzyknąć imię miasta, i cysterna wpłynęła we mnie, czarna i zimna.

Obudziłem się nocą. Skórę miałem gorącą i tak napiętą, że mogłaby popękać jak skorupka jajka. Usta wypełnił mi piach, pierś miałem zdartą do żywego. Piasek pomógł mi wrócić do siebie i poczułem ulgę, że nadal pamiętam Kostasa i Konstantynopol, nadal ściskam ich w dłoniach mego serca jak dwie maleńkie marmurowe figurki. Wiele innych rzeczy

wysypało się do morza. Moje serce było rozerwaną siecią rybacką. Przybyłem tu po coś, nieprawdaż? By coś odnaleźć. Zamigotały we mnie obrazy i zgasły: grób, krzyż, twarz o pustych oczach. Kiedyś myślałem, że mam cel.

Księżyc rozlał się szeroko i srebrzyście na deskach martwych statków na piaszczystym przylądku, ich maszty były splątane złocistymi wodorostami. Znacznie dalej, w cieniach, zdało mi się, że widzę połamaną, bezużyteczną skorupę latarni morskiej, a jej cieniutki, płomienny promyk oświetlał jedynie niekończący się piach. Ciemne klify garbiły się za nią okrążane przez milczące ptaki, walczące z wiatrem na niebie zatłoczonym przez nieznanne gwiazdy - stado bez pasterza, kołujące szeroko, konstelacje rozprute na ostrym niebie. Ruszyłem w stronę ciemnych gór; kości płakały w moim ciele, błagały, bym dał im dalej leżeć na piaszczystym brzegu i zmarnieć.

W taki sposób zeszlifuję grzech ze swojej duszy, pomyślałem wtedy, ponieważ pustynia zawsze była odkupicielem szaleństwa i ciała. Kto pod miedzianymi kopułami nie roześmieje się, kiedy odnajdę drogę do domu i opowiem o tych dalekich miejscach? Oślepi ich czystość gorejąca ze skóry mojej głowy! Zmusi do odwrócenia wzroku, ukoronowania mnie srebrem! Kiedy wespnę się na to pasmo, usiądę na nim jak na murze świata, a Logos przy siądzie na moim ramieniu jak bystro oka wrona. Będę czuł jego szpony w kościach.

I tak szedłem, bełkocąc do siebie, wyobrażając sobie zadziwienie i zazdrość odległych mnichów, aż natrafiłem na łaskę dla moich pokrytych pęcherzami stóp: gładką kamienną ścieżkę prowadzącą po ścianie klifu, wijącą się, wąską, niechętnie i powolnie wiodącą w górę. Piaszczyste morze łomotało o brzeg w dole, jego złoto zamieniło się w biel przy księżycu sunącym po swojej sferze. Fale rozbryzgiwały się na wietrze w mgiełkę połyskującej miki. Przeciągłe krzyki niczym niespieszne strzały wznosiły się w niebo, ciche i słodkie na tle kryształowych grzywaczy. Gdyby nie piach i moje krwawiące plecy, ziemia ta przypominałaby wybrzeże nad letnim Bosforem, chociaż pozbawione tysiąca kolorowych namiotów migocących w upale.

Swit prawie mnie dopadł, kiedy je zobaczyłem - wcześniej było za mało światła albo za dużo góry. Szereg kamiennych żurawi zerkał na mnie z wysokości, ich długie dzioby wyciosane ze złotej skały klifu,

rozkołysane pierzaste liście palmowe koronowały ich małe, ciekawskie główki. Wpasowały się w grań jak płotek, a kiedy spojrzałem, mrużąc oczy, zdało mi się, że prawdziwe żurawie przekradają się ostrożnie między nimi - szkarłatne twarze, długie, gibkie ciała, całe niebieskie, delikatne, cieniutkie pióra jak złota nić jeżące się na ich delikatnych główkach. Marszczyły ponuro twarze zupełnie jak pierwsze linia falangi patrząca na mnie z góry na przemian kamiennymi źrenicami i czarnymi wilgotnymi oczami.

- Jesteś za duży! - wykrzyknął jeden, największy ze wszystkich, którego kobaltowe pióra lśniły nawet w słabiutkim świetle przedświt. - To byłaby niesprawiedliwa przewaga!

Kłapnął kilka razy długim dziobem, jakby wybijał werbel.

Wreszcie z trudem pokonałem ostatnie nierówne kamienne stopnie i stanąłem na szczycie; morze piasku szumiało i falowało daleko w dole, twarz opuchła mi od wczorajszego upału, moje łachmany oferowały nędzną osłonę przed silnymi wiatrami, które rozrywały mnie kościstymi palcami, zastępując płaską twardą dłoń księżyca. Wielki żuraw zatupał skonsternowany i podszedł do mnie tanecznym krokiem. Kiedy wyciągnął szyję na całą długość, sięgał mi niemal do podbródka.

- Nie! - Zatupał szponiastymi stopami. - Wracaj na dół! Jesteś zdecydowanie za duży, to całkowicie wykluczone! Obciążymy tym incydentem wroga, to niehonorowe zagranie!

Zdumiałem się. Rozumowałem, że skoro można się teraz spodziewać gadających ptaków, to nie powinien być wielką niespodzianką fakt, że wygadują nonsensy.

- Nie mogę zejść z powrotem - odpowiedziałem powoli, jakbym tłumaczył coś wyjątkowo tępemu obcokrajowcowi. - Dopiero co tu wszedłem i jestem zagubiony. - Urwałem, podupadając nieco na duchu pod oskarżycielskimi spojrzeniami dwóch tuzinów ptaków. - Zagubiony ponad wszelką miarę. Nazywam się Jan. Jestem księdzem.

Żuraw robił wrażenie nieco rozczarowanego. Pierze na głowie mu oklapło.

- Zatem nie przyszedłeś po wojnę? - zapytał z westchnieniem.

- Nie pragnę wojny - odpowiedziałem. - To ostatni krzyk mody w moim własnym kraju, ale w przeciwieństwie do potrawki rybnej, żaden naród nie doskonali na nią przepisu. Wygląda wszędzie mniej więcej tak

samo, jest mdła i krwawa, i mój żołądek nie zniesie jej lepiej tu, niż znosił tam, skąd przybyłem.

Żuraw prychnął w dziwaczny, ptasi sposób.

- Jesteś cudzoziemcem i co za tym idzie, ignorantem. To wybacalne, ale nieszczególnie pociągające. - Przekrzywił głowę. - Rimal jest zdradziecki i głęboki. Masz szczęście. Być może fakt, że przetrwałeś, to znak. A co do tego, gdzie się znajdujesz, zagubione stworzenie, cóż, to prosta kwestia. Oto Pentexore, ale, rzecz jasna, równie dobrze mógłbym powiedzieć „oto świat i ty się w nim znajdujesz”. To ziemia Gharanią, wielkich żurawi, zaściełamy ją własnymi piórami. Ja jestem Torghul. W tym roku ja dowodzę szarżą i zjawiłem się z moimi żurawimi rycerzami, by zbadać wyżej położone rejony przed przybyciem wroga.

Torghul zatupał w osłonecznioną teraz ziemię i wrzasnął. W odpowiedzi zawodzący krzyk wyrwał się z długich gardeł pozostałych ptaków. Ich długie jak pszeniczne źdźbła nogi zaczerwieniły się z wyczekiwania.

- A kim jest wróg? - zapytałem z czystej grzeczności.

Torghul zamrugał powoli, po mistrzowsku zachowując spokój w obliczu tak szokującej głupoty z mojej strony.

- Pigmeje, rzecz jasna! Walczymy z nimi co roku. Miniaturowi mężczyźni, miniaturowe kobiety, wszyscy jak małe laleczki, ich palce są tak drobniutkie, że moglibyśmy omyłkowo wziąć je za robaki, gdybyśmy nie uważali! Napadają na nasze terytorium wiosną, opancerzeni w liście mięty i upstrzony skamielinami bursztyn, wymachując miniaturowymi mieczami z zaostrzonych poroży. Przybywają zza wzgórza i wrzeszczą; to taki obrzydliwy dźwięk! Twierdzą, że kiedyś zabraliśmy ich królową i zamieniliśmy w żurawia. Och, kto wie, czy kiedykolwiek do tego doszło? Wojna nie dba o fakty historyczne. Odpieramy ich skrzydłami, szponami, ale w miarę upływu lat jest coraz trudniej i trudniej, oni stają się coraz sprytniejsi, my zaś jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Jednak wojna rozgrzewa nam krew i wbrew wszystkiemu przepełnia nas radość, kiedy wiosenne wiatry wieją znad Rimalu, przynosząc ze sobą zapach mięty.

Westchnąłem i przemówiłem powoli, początkowo chrypiąc:

- W moim kraju, z tego, co pamiętam, z tego, co wydaje mi się, że

pamiętam, toczyły się niekończące się walki z powodu obrazów: niektórzy uważali, że to grzech malować twarz Boga, inni, że to cnota. Spotykali się, walczyli, umierali, spotykali znowu, obrazy wieszano i zdejmowano, wieszano i zdejmowano, jakby to były zmieniające się liście.

Torghul gwizdnął szyderczo, ale niektóre żurawie pokiwały głowami, jakby z powagą rozważały kwestię ikonografii.

- Tutaj nie chodzi o czczą estetyczną debatę - odpowiedział Torghul, strosząc złoty pierzasty czub. - Pigmejów trzeba pokonać, inaczej żurawie przepadną! Nie mamy wyboru. Jednakże, jak powiedziałem, jesteś zdecydowanie za duży i jeśli staniesz do walki po stronie pigmejów, będzie to Niesprawiedliwa Przewaga, ponieważ jesteś dwa razy wyższy od ich najpostawniejszego wojownika. Jeśli będziesz walczył po naszej stronie, orzekną oszustwo, bo bierzemy najemników. W obu wypadkach trzeba będzie zawiesić walkę z przyczyn natury formalnej.

Zadrżałem na całym ciele. Nie chciałem krwi, gadających ptaków ani nieprzeniknionej sztuki wojennej. Chciałem tylko odpocząć w cieniu i napić się chłodnej wody. Kiedy o tym myślę, nadal czerwienię się z powodu słabości mojego ciała wtedy... i później. Powiedziałem do Torghula:

- Nie pragnę walczyć. Nie pragnę walczyć za obrazy ani nie pragnę walczyć za ptaki.

- Nie możemy jednak pozwolić ci odejść - zaprotestował ptasi generał. - Mógłbyś zdradzić nasze pozycje, narazić nas na rozpacz i klęskę dla kokieteryjnej pigmejki i łoża z mięty!

- Przysięgam, że tego nie uczynię. Jestem czysty, złożyłem śluby. Daj mi jednak trochę wody i skieruj moje stopy w stronę miasta, a nie będę cię więcej kłopotał.

Żurawie naradzały się, ich niebieskie głowy kołysały się w dół i w górę. Torghul krzyknął, klekocąc znowu dziobem - kłap, kłap, KŁAP!

- Uzналиśmy, że woda jest do przyjęcia, o ile będziesz trzymał się z dala od bitwy, i że wyślemy cię w drogę, kiedy walka się zakończy, ale na razie pozostaniesz jeńcem wojennym i tak będziesz traktowany! Teraz idź, usiądź pod tym starym drzewem figowym i zamilcz. Wojsko wkrótce się tu zjawi, a w ślad za nim pigmeje w swoich groteskowych

zbrojach.

Osunąłem się z wdzięcznością pod błyszczącymi brązowymi gałęziami drzewa figowego. Zielone owoce wisały nade mną w tłocznych konstelacjach. Cień zamknął się nad moją zarastającą tonsurą i mógłbym zapłakać z powodu jego chłodnych dłoni na moim czole. Zerwałem owoc i otworzyłem go, siorbiąc sok z pełnego nasion miąższu. Dopiero potem wydało mi się dziwne to, że na każdym nasionku namalowano barwny maleńki wizerunek kobiety w kołysce niebieskiej muszli omułka i z głową okoloną srebrem. Mój brzuch nie chciał nawet słyszeć o oglądaniu takiej rzeczy, skoro można było ją zjeść. Pożarłem pięć fig, zanim żuraw, mniejszy niż Torghul i bardziej srebrny niż niebieski, podszedł wdzięcznie do mnie na nogach, co do których nie mogłem uwierzyć, że są w stanie utrzymać wagę ptaka, tak bardzo przypominały źdźbła białej trawy.

Żuraw delikatnie postukał o siebie pochwami dzioba, w o wiele cichszym i miłszym geście niż głośny klekot Torghula. Podszedł, jak zdałem sobie sprawę, w sposób, w jaki człowiek zbliżyłby się do dzikiego lwa -z ostrożną uprzejmością.

-Jestem Kukyk - przedstawiła się melodyjnym głosem samica żurawia. - Zostałam... - pióra na jej policzkach zapłonęły oranżem - zwolniona z walki. Jestem tu, by cię nakarmić i napoić.

Spróbowałem się uśmiechnąć, chociaż zęby mnie bolały i dzwoniły mi w czaszce jak przerdzewiałe zamki. Kukyk nastroszyła gwieździste pióra, a potem równie szybko jak pelikan spadający w morze pchnęła mnie na plecy i siłą rozwarła mi szczęki długim, precyzyjnym dziobem. Opierałem się i krzychałem w proteście, ale była taka silna, silniejsza od zagłodzonego rozbitka, którym byłem. Tak więc przygwożdżony doskonale widziałem, jak zamyka oczy i porusza różowym gardłem, aż zwymiotowała z siebie swój dar: bladą papkę ryb i fig, i myszy, i bezimiennych insektów o opalizujących skrzydłach. Bulgotałem i bezsilnie uderzałem pokrytymi pęcherzami pięściami o ziemię, ale moje usta już napęłniły się packą, zbyt słodką i zbyt słoną, na przemian gęstą jak owsianka i rzadką jak woda. Mogłem zjeść albo się zadławić, więc jak pisklę poddałem się posługom Żurawicy, przełykałem raz za razem, aż nie miała już nic więcej do oddania. Strużki papki ściekały mi kącikami ust i żuchwa mnie bolała, kiedy zabrała dziób. Usiadłem

prosto, nieco zemdlony ponizeniem, ale już byłem silniejszy i mniej wygłodniały, już jaśniej myślałem pod konarami drzewa figowego.

Kukyk usadowiła się obok mnie rozpromieniona, nieświadoma w najmniejszym stopniu mojego dyskomfortu. Bez nadziei na przeprosiny podziękowałem. Zareagowała niechętnie.

- Cieszę się, że przynajmniej oszczędzono ci nadchodzącej walki - powiedziałem, próbując nawiązać uprzejmą rozmowę.

Kukyk oklapła. Ramiona jej opadły, a skrzydła załamywały się w niepokieszonych gestach na piasku.

- Ja się nie cieszę - powiedziała. - Teraz przyjdzie mi czekać cały rok, zanim będę mogła walczyć. Moje serce się wstydzi i tęskni za towarzyszami. Jednak w żadnej mierze nie byłoby właściwe dać więźniowi umrzeć z głodu. Zapewniono mnie, że w ramach rekompensaty następnej wiosny znajdę się w pierwszym szeregu.

Pokręciłem głową.

- W moim kraju ptaki w ogóle nie walczą, że już nie wspomnę o tym, by tak garnęły się do wojny!

- To nie jest twój kraj, a poza tym moje serce powątpiewa w twoje słowa. Nigdy nie widziałeś stada wron atakującego sokoła?

- Oczywiście, że widziałem.

- Więc się nam nie dziw. Zaryzykuję stwierdzenie, że nie studiujesz socjologii ptaków. Cała Natura walczy ze sobą.

- Cóż, skoro nie mogę cieszyć się z twojego powodu, to cieszę się z własnego, bo mogłem zostać zwerbowany, gdyby nie mój wzrost.

Kukyk roześmiała się - przeciągły dźwięk, który potrzebował długiej chwili, by opuścić jej kręte gardło.

- Chciałbyś obserwować bitwę u mego boku, Janie Cudzoziemcze? To niewątpliwy zaszczyt, a dzięki temu nie stracę całkiem tej wiosny.

Nie miałem ochoty na nic podobnego, ale obawiałem się, że znowu zostanę przemocą przyszpilony do ziemi, więc wyszedłem za dostojnym żurawiem z cienia drzewa figowego na skraj złotego klifu. Słońce wisiało wysoko w powietrzu jak wiadro w nieskończonej niebieskiej studni. Kukyk wyszukała nam przysadzisty chebułowiec, wskoczyła na jego konary i poczekała, aż pójde w jej ślady. Wychyliliśmy się spomiędzy liści, żeby zerknąć w pobliską dolinę wypełnioną dwiema

położonymi armiami, które już stały w gotowości.

Żurawie nie potrzebowały zbroi i proporców - ich złote pióropusze jeżyły się na gorącym wietrze, one same wypięły piersi, wrzeszcząc i tupiąc. Niebieskie, srebrne i czerwone były ich szeregi. Jak jeden mąż żurawie zaklekotały dziobami niczym sierżanci grający na tysiącach werbli. Naprzeciw ptasich szeregów stali pigmeje wielką masą jasnej zieleni i złota, złącza ich bursztynowych napierśników jak wypuczone purchle, powiązane miętowymi liśćmi; te same liście jeżyły się w ich włosach. Niektórzy jechali na jelonkach o jasnych oczach, inni przybyli pieszo, boso. Ich miecze wykonano z tępej kości, niektóre z poroża, inne z zaostrzonych żeber jakichś stworzeń, których nie chciałbym zobaczyć w ich własnej skórze. Pigmeje odrzucili głowy i wydali z siebie lament, ich języki poruszały się swobodnie i dziko. Słońce paliło ich wszystkich i kolory wystąpiły na niezliczone policzki.

Kukyk zaczęła ciężko dyszeć niezdolna ukryć podniecenia.

Bez ostrzeżenia obie armie zaszarżowały i przez chwilę w dolinie nie było niczego prócz kurzu, piór i straszliwie jasnych liści. Kukyk pokrzykiwała w geście solidarności z braćmi i siostrami, wymachiwała wielkimi srebrnymi skrzydłami, zrzucając na piasek deszcz orzechów. Kiedy pierwsze tumany kurzu opadły, zobaczyłem, że pigmeje i żurawie rzadko się zabijali, wystarczało im zadanie rany, proste cięcia albo wgniecenia w kości, czy siniak, starczyło, gdy przeciwnikowi zapierało dech w piersi. Żurawie wykonywały frapujący taniec wokół pigmejów, którzy z kolei energicznie przytupywali i garbili plecy we własnych tajemnych krokach tanecznych. Ulżyło mi i pomyślałem, że zapewne źle postąpiłem, okazując taką nietolerancję - to ewidentnie była ceremonialna, teatralna wojna, nic poważnego, rzecz dość zaściankowa i doprawdy czarująca.

Kukyk zaczęła wiercić się obok mnie na konarach. Koniuszki jej skrzydeł musnęły moją pierś; stały się straszliwie gorące, jakby cała wpadła w wielki ogień. Starłem się nie patrzeć na jej wojenną ekstazę i zmrużyłem oczy, by lepiej widzieć walkę.

Moje usta wykrzywiły się w grymasie grozy.

Żuraw skoczył na leżącą na ziemi pigmej ską dziewicę i zaczął poruszać się na niej delikatnie, jego wielkie skrzydła otuliły czule jej zielone od liści włosy. Jej twarz pod nim wykrzywiła się w rozkoszy;

kobieta z zachwytem wbiła pięty w niebieski grzbiet, a ręce swawolnie zarzuciła na białą pierzastą szyję ptaka. Patrzyłem i widziałem, że całe pole bitwy ulega podobnemu zwyrodnieniu: pigmejscy mężczyźni, drobni i straszliwi, padli pod samcami żurawi, a ich lubieżne okrzyki brzmiały jak wilcze wycie. Jedno dziewczę rzuciło się na czarnego żurawia i kołysało się w przód i w tył chutliwie, zaciskając dłonie na swych brązowych piersiach, odrzuciwszy na bok bursztynową zbroję. Pole bitwy zamieniło się w miejsce rui, a powietrze wypełniło się zduszonymi okrzykami. Odwróciłem się do Kukyk, którą ogarnęła gorączka zazdrości i samotności. Patrzyła na innie błyszczącymi, wilgotnymi oczami.

- Co to jest?! - wykrzyknąłem. - Co to za obrzydliwy rytuał?! Co za perwersję praktykujecie tutaj, na końcu świata?

Byłem wtedy nieżyczliwy. Chciałbym powiedzieć, że teraz jestem łagodniejszy, ale żadnemu człowiekowi nie uchodzi osądzać własnych cnót.

Żuraw spojrzał na mnie.

- To nasz taniec godowy. Nigdy nie słyszałeś o żurawicach, które tańczą, by przywołać partnera?

- Ale oni nie są żurawiami!

- Czy wasze kobiety we wszystkim odzwierciedlają mężczyzn? To nasz wspaniały taniec! To najwspanialszy z naszych zwyczajów. Walczymy co roku i co roku się parzymy. Jeśli nadmiernie ich zranimy i dzień należy do nas, dzieci są żurawiami długoszyimi i skrzydlatymi. Jeśli oni wygrają, nasze jaja pękną i ze środka wybiegną mali pigmeje o złotych oczach! Jesteśmy wiecznymi wrogami i nieśmiertelnymi kochankami, tak żyjemy, to nasza natura. Perwersją byłoby wyprzeć się naszych ukochanych, wyprzeć się nas samych i tylko patrzeć z tęsknotą przez szerokie pole, powstrzymując się przed szarżą.

- To wbrew Bożym prawom - upierałem się. - Natura każe, byśmy łączyli się z podobnymi do nas samych.

- Co? - Kukyk zamrugnęła zaskoczona. Pokręciła udekorowaną głową. - Jesteś tu obcy i powinieneś zachować swoje nieżyczliwe myśli dla siebie.

- Kukyk, proszę, nie mogę znieść widoku takiej rozpusty. Odeślij mnie do miasta, gdzie żyją ludzie i mnisi, z którymi mógłbym

porozmawiać, w których słowach słyszałbym i dostrzegą sens, którzy znajdą dla mnie mapę z drogą do Bizancjum, byle dalej od tego miejsca.

Policzki mi płonęły i chociaż moje ciało było słabe - przeklęte niech będzie moje ciało, występne i przekupne! - zareagowało na wrzaski radości w dolinie. Starłem się to zdławić i myślałem o chłodnych cieniach kościoła Hagia Sophia, mozaice przedstawiającej Maryję i jej drobne szare usta. Ciało może zbłądzić, lecz nigdy Słowo, szepnąłem do siebie. Powietrze wokół mnie falowało od grzechu. Zamknąłem oczy. Srebrzysto-niebieska samica była bardzo blisko. Słyszałem jej oddech, nadal wyczuwało się w nim zapach fig i ryb. Ciało może zbłądzić, zamruczało moje ciało, zdradzając mnie całkowicie, sprzymierzając się z węzami i kozłami. Ciało może zbłądzić.

- Błagam - szepnąłem. - Jestem dobrym człowiekiem.

Orzeszki chebułowca zagrzechotały na gałęziach, kiedy Kukyk szeroko rozłożyła skrzydła i wzięła mnie w nieubłagane objęcia. Nie mogłem oprzeć się jej, kiedy karmiła mnie prosto do ust; nie mogłem oprzeć się jej, kiedy karmiła mnie swoim ciałem. Otworzyłem oczy i napełniłem się nią, jej srebrnym upierzeniem, czarnymi oczami, które zerkały na mnie gorączkowo. Ugryzła mnie w ramię; krew spłynęła po pokrytej pęcherzami ręce. Warknąłem i wyrwałem jej garść piór. Może miałem nadzieję znaleźć pod nimi kobietę. Jeśli tak, to doznałem rozczarowania.



Tak, robiłem takie rzeczy. Hagio, moja żono, wybac mi. Starłem się pamiętać to tak pięknie, jak tylko umiałem. Żeby dać sobie dobre argumenty, ale też żeby nie przedstawiać żurawi w zbyt złym świetle. One też wierzyły w swoje racje. Nie odwracaj ode mnie twarzy, kiedy mówię ci, co zrobiłem. Nawet cię jeszcze wtedy nie znałem. W tamtej chwili zdradziłem tylko Boga i samego siebie.



Kukyk przycisnęła mnie do siebie, a ja czułem zapach Rimalu, morza piasku na jej ukrytej, tajemnej skórze. Słyszałem jej serce bijące

bardzo szybko w pierzastej piersi.

- Jestem jedyną, której przez wzgląd na ciebie nie dano walczyć - wy-dyszała - nakarmiłam cię z własnego ciała zupełnie jak twoja matka. Ty mnie także musisz nakarmić; jestem taka samotna, cały świat odszedł na grzędę, a mnie zostawiono tutaj! - Owinęła szyję wokół mojej, a ja poczułem jej okropną miękkość na swojej gorączce. - Nie różnisz się tak bardzo od pigmeja - szepnęła. - Pomyśl o Ledzie, to nie będzie takie straszne.

Księga fontanny

Odkrywamy trudność w wytyczaniu czasu, kiedy czas jest nieskończony i cudowny jak wypolerowane srebro. Mimo to inżynierowie z Pentexore spróbowali pewnego razu skonstruować rimalową klepsydrę z miedzi i mahoniu. Panoti polerowali ją swoimi długimi uszami, aż drewno stało się czerwone jak cynobrowa pasta, a miedź tak jasna jak błyszczące oczy tego nieśmiałego ludu. Kiedy jednak wsypano do szkła piasek, tak się burzył i szalał w więzieniu, że roztrzaskał szkło i wściekły uciekł, nie zgadzając się, by wykorzystano go równie brutalnie.

I na tym zakończyły się zegarmistrzowskie przedsięwzięcia.

Jednak panoti nigdy nie dają się zniechęcić. Z wypolerowanych odłamków sporządzili daleko bardziej użyteczny mechanizm: mahoniową sferę wypełnioną po czubek piaskiem, przebitą miedzianymi prętami, które, jeśli przytknąć do nich ucho, mówiły nam, kiedy nadchodzą owe cztery błogosławione dni w roku i formuje się most na piaszczystym morzu, niewzruszony pod wyprażonym niebem.

Jan, mój kapłan, mój mąż, zrobił mi raz prawdziwy zegar. Stoi teraz przy oknie, kiedy zmierzch zapada nad naszym nowym Konstantynopolem, przenikając mój minaret niebieskimi i diamentowymi palcami. Słyszę nocnych sprzedawców wina w Lazurowym Pawilonie; pojedynki na pieśni tych, którzy wzywają do modlitwy z północy i południa - pieśni spotykają się pod moim oknem w fioletowej kałuży nadzwyczajnego dysonansu. Cyferblat Janowego zegara to wypaczony i poznaczony pęcherzami bursztyn, w którym jest uwięziony nadzwyczaj osobliwy szkielec, najmniejszy ptaszek, jakiego w życiu widziałam, ze śmiertelnie wykręconą szyją. Jan umocował złote ości jako wskazówki, wyrzeźbił koła zębate z korzeni swojego Drzewa-Relikwii. Zegar dobrze wykonano, z miłością, ale przestałam go nakręcać wiele lat temu.

Jak żałuję, że nie siedzi mi na ramieniu chochlik, który dyktowałby mi każdy akapit! Rozprostowałabym nogi, popijałabym zielone wina i

czytałabym głupawe wierszyki, podczas gdy on bazgroliłby za mnie, a jego szpony byłyby jak pazurki znajomej papugi - o ileż łatwiejsza byłaby wtedy moja praca! Jednakże chochliki są samolubnymi i zarozumiałymi stworzeniami i skończyłabym, katalogując ojców goblinowych królestw i sezonowe odmiany dziewcząt, zapominając całkiem o własnym celu.

Nieskończenie bardziej wolę tłumaczenie od tego ordynarnego pisarstwa - kratownica słów tekstu innej kobiety leży pod moimi palcami, jaśniejac bielą, gdzie powinnam wybrać słowa namiętności, błękitem, gdzie wymagana jest terminologia smutku. Oryginalna intencja autora kieruje moimi dłońmi jak ziarno w marmurze, którego nie ominie nawet najdelikatniejsze dłuto - to będą usta fauna albo rybi ogon i żaden rzeźbiarz temu nie zaprzeczy. W tłumaczeniu czuję się bezpiecznie. Leżę obok martwego autora, zwinięta w kształcie jego słono-słodkiego ciała, i razem szepczemy, i razem, ręka w rękę, piszemy. Jak wielu kochanków miałam w ten sposób! Jak wielu kochanków uwiodłam i zdobyłam!

Mieć jednak tylko siebie do uwiedzenia, tylko historię Hagii do opowiedzenia - to mizerne zwycięstwo.

Pisanie własnych słów jest bardziej podobne do sięgania w ciemność i żądania, by cienie połączyły się w marmurową rzeźbę, której rozmiarów twarzy nie potrafię sobie wyobrazić nawet na własny użytek. Leżę sama bez przyjaznej widmowej dłoni na knykciach, atakowana przez dydaktyzm, dygresje, sny na jawie. Wyobrażam sobie, że kiedy wreszcie podniosę wzrok znad tej pracy, nie pozostanie nic ze świata, tylko stary zegar, który od dawna nie chodzi, równie bezużyteczny jak moje stare serce.



Czas rozciąga się tak. daleko przede mną i za mną. Żaden zegar nie odmierzyłby dziesiątej części mojej pamięci. Jednakże na tym pustkowiu godzin Czas szuka punktu zaczepienia, a my w Pentexore znamy swego rodzaju kalendarz.

Wielka królowa Abir władała w Wieku Łoju i Szpikulców, w którym odkryto Fontannę i Oinokha zajęła swoje miejsce niczym klejnot w pierścieniu. Swoją ogromną dłonią Abir wyznaczyła dla nas prawa, które trzymały nas na właściwym kursie jak stateczki podczas potężnego

sztormu.

Przypominam sobie, jak pewnego razu Jan zapytał mnie, czy znam opowieść o Ewie w Raju. Udzieliłam mu jego ulubionej odpowiedzi: „Nic na ten temat nie wiem”.

Tak uwielbiał nauczać - z miejsca opowiedział mi o jabłku, nazywaniu zwierząt, płonącym mieczu w poprzek bramy. W owych dniach miał teorię, że my, mieszkańcy Pentexore, nadal mieszkamy w Edenie, nieważne, ile razy lwy pokazywały mu bramy wiodące do naszego kraju, by się przekonał, że w prętach żadnej z nich nie ugrzązł miecz.

Gdy jego alegoria się wyczerpała, ujęłam jego głowę między swoje piersi, a on objął mnie w talii. Kiedy szklane dzwonki dźwięczały wysoko jak pieśń kolibrów w al-Qasr, wyjawiałam mu prawdę na temat jego historii. Czasem myślę, że to był największy pożytek, jaki miał ze mnie - brałam jego brzydkie historie i uczyłam go ukrytej w nich cudownej prawdy.

Powiedziałam:

- Twoja Ewa była mądra, Janie. Wiedziała, że Raj doprowadziłby ją do szaleństwa, gdyby miała żyć w nim wiecznie z Adamem i nie znać niczego poza truskawkami, tygrysami i rzekami mleka. Wiedziała, że znudzą im się te rzeczy, że znudzą się sobą nawzajem. Z czasem zniechęciłiby każdy owoc, każdy kamień, każde stworzenie, jakiego dotknęli. Dokąd jednak mieli się udać, żeby znaleźć coś nowego? Trzeba siły, żeby żyć w Raju i nie załamać się pod jego ciężarem. To była próba, każdego dnia. I dlatego Ewa dała swojemu ukochanemu dar czasu, czas dla ponadczasowego, by mogli uchwycić szczęście.

Jan nie uważał, że prawidłowo zinterpretowałam tekst, i bazgrał wiele dni w kącie pałacu w swojej dziwnej, patchworkowej Biblii, którą poskładał ze wspomnień, starając się poprawić swoją historię Edenu. Jakiś czas potem, kiedy jego pamięć powracała i odchodziła jak bezwzględne pływy morskie, zgodził się z moją teorią i podarował mi zegar - czas dla ponadczasowej.

I to właśnie dała nam królowa Abir, swoje jabłko w ogrodzie, swoją mądrość - bez niej pewnie wszyscy na przestrzeni stulecia rzucilibyśmy się w otchłanie Rimału. Rytuał nadal nosi jej imię. Ponieważ znała alchemię odmierzania o wiele lepiej niż jakikolwiek inny zegar i

zarządziła, że co dwa stulecia mężowie i żony powinni się rozstać, nawyki powinny się zmienić i wytwórcy pergaminów powinni zostać architektami, a architekci hodowcami gęsi i małą. Królowie powinni zostać rybakami, rybacy aktorami. Matki i ojcowie powinni opuścić dzieci i wyruszyć po innych synów i córki albo nie szukać ich w ogóle, jeśli tak woleli. Na drogach Pentexore ludzie mogli spotkać słynnych niegdyś kochanków albo matkę i dziecko nadzwyczaj sobie oddanych - a oni śmiali się, wspominali, ale nazywali siebie nowymi imionami i zaczęli na nowo jako przyjaciele, siostry, kochankowie albo wrogowie. A za jakiś czas znowu wszystko zostawało wyrzucone w powietrze, by wylądowało z powrotem na ziemi w nowym wzorze. Gdyby nie to, jak spętani, jak zamrożeni bylibyśmy, związani ze sobą, na zawsze matka, na zawsze dziecko. Wyczekiwaliśmy tego odnowienia świata, jak dzieci wyczekują święta. Nigdy nie wiedzieliśmy, kim będziemy, kogo pokochamy w tym nowym, śmiałym życiu, jak gorąco będziemy pragnąć i tęsknić, jak wielkie żywić nadzieje na kto wie jak bardzo niemożliwą rzecz!

Tak, wyczekujemy tego. Jest też strach, jest i żałoba. Jest drzenie i troska skryta głęboko w kościach.

Tylko Oinokha pozostaje sobą przez cały czas - to jej ofiara dla nas.

Oczywiście kryje się w tym wszystkim smutek i poeci o długich, eleganckich nosach wyśpiewywali łzawe ballady, które jak pojedynczy cios łamały serca stadu przelatujących wron! Jednakże nawet najbardziej żarliwy kochanek albo czuły ojciec musi tylko dwieście lat czekać, aż będzie mógł znowu zakręcić kołem świata i być może koło zwróci mu żonę albo syna. A może nie. Koła - i światy - są okrutne.

Czas dla ponadczasowych, jabłka dla tych, którzy nie znają głodu. Nie ma nic tak słodkiego i tak gorzkiego, nic równie delikatnego i równie przeszywającego.

Mój pierwszy Abir nadszedł dla mnie, kiedy byłam całkiem młoda. Miałam zaledwie sześćdziesiąt lat, praktycznie byłam jeszcze niemowlęciem, nadal napełniona trzema łykami z Fontanny. Święteczne kwiaty zaścilały szkarłatem i zielenią rynek Sirszy, skrzypce z drzewa pomarańczowego i cynamonu wygrywały pieśni ciężkie i słodkie. Matka i ojciec ucałowali mnie w powieki i pogłaskali delikatnie puste miejsce nad moimi obojczykami - jak ciemiączko pulsuje ono jedwabście,

siateczka cienia i mięsa pod skórą, nigdy do końca niezamknięte. Każdy blemia określa własne podejście do tego miejsca - obronne albo przyzwalające. Często jednak inni przyłapują nas, jak w głębokim zamyśleniu głaszczemy to miejsce, gdzie nie ma głowy. Moi rodzice pogłaskali je w milczeniu, pocałowali je także. Objęli się w niepohamowanym płaczu pod welinowymi drzewami, zostawili pola pergaminowe następnej rodzinie, zapobiegliwie zżęte i przygotowane dla nowych rąk.

Brązowy dzwon loterii wirował na dziedzińcu; wyciągnęliśmy nasze kamienie i nasze stare „ja” zniknęły.

Ctiste wylosowała mały ametyst i udała się na północ, by wyciskać winogrona i sprzedawać wino na drodze do Fontanny; mój ojciec wylosował perłę i odszedł na zachód, żeby nurkować w poszukiwaniu szafirów w zimnym bezdennym Piszonie. Drżeli z radości i smutku, ale mój żołądek napełnił się strachem jak śniadaniem, ponieważ nie byłam gotowa, żeby ich stracić, i był to mój pierwszy Abir. Nie wiedziałam jeszcze, jak uginać się pod nim z wdziękiem. Moja matka wyglądała tak pięknie, tak młodo, gdy jej czarne spódnice łopotały, a jej oczy były błyszczące i wilgotne! Już pragnęła napuchniętych fioletowych gron, nowego mężczyzny pod sobą, nowych dzieci deptających jej po piętach. Płakałam, jak to czynią niewinni, i zazdrościłam jej pierwszej nowej córce.

Ja także zmieniałam się tego dnia. Wylosowałam bursztyn i poślubiłam amyktrię imieniem Astolfo, który miał błyszczące zielone oczy i usta ogromne niczym pusta beczka, w której parzył herbatę, warzył gulasze, wyrabiał trucizny i perfumy, mieszając wyciągi w przepastnych szczękach za pomocą żelaznej chochli. Poślubiłam go w żółtej koronie i od tego dnia zaczął wyrabiać atrament, warzył orzechowy ekstrakt za zębami, a ja nie byłam już bawiącym się dzieckiem, ale właścicielką wszystkich naszych gajów, które stały nieruchome, blade, drżące, oraz rozległej, cienistej biblioteki, która czekała na mnie i Astolfo, byśmy ją całą przeczytali. Loteria obeszała się ze mną delikatnie tego roku. Nie odesłała mnie daleko. Moje serce rozdarło i zaszyto z powrotem jednym ciosem - tak działa Abir. Kieruje nim mądrość, której nie możemy zgłębić ani odgadnąć.

Kiedy żółta korona została całkiem zniszczona w błocie wskutek

radosnych, ochoczych harców typowych dla wszystkich nowożeńców, ruszyłam na przechadzkę. Skóra mi się rumieniła od żaru i wspomnień, gdy lawirowałam przez zagajniki, żeby znaleźć miejsce, gdzie matka zakopała moją małą książeczkę - tę, którą zrobiła ze swojego najmniejszego palca.

Nie była już moją matką i nic nie mogła na ten temat powiedzieć. Idąc, zajadałam niesłodkie i pikantne jagody-stronice, a ramiona już mi się zaczerwieniły od łąta.

Chwilę szukałam, nim znalazłam je pomiędzy drzewem granatowym rodzącym pióra, zgarbionym i nastroszonym i wysoką dostojną sosną klejową. Dech mi zaparło. Przycisnęłam ręce do brzucha.

Było małe, ledwie mojego wzrostu, jego kora była gładka jak przednia deseczka okładki, połyskiwała perłowo jak paznokieć. Liście oklapły, szeleszcząc cicho na leniwym wietrzyku. Drzewko miało kilka owoców wystających spomiędzy stronic-liści - delikatne brązowe ręce mojej matki z jej długimi, zręcznymi palcami, powtarzające się linie jej dłoni. Przyklękłam pod drzewkiem i jedna z drogich, znajomych dłoni obróciła się powoli na konarze jak jabłko, które obraca się na kołyszących je podmuchach. Ujęła moją pierś, ocierając opuszką łąy z oka, a druga pogłaskała delikatnie puste miejsce nad moimi obojczykami. Dłonie drzewa tuliły mnie czule i później przysięgałam Astolfo, że wśród gałęzi słyszałam starą mrużankę matki.

Tak utulona spojrzałam w górę, na konary otoczone bladymi liśćmi, a na każdym widniało jedno słowo, jedno słowo mojego trzydziestego pierwszego roku:

Zapomnij.

Szkarłatny pokój dziecinny

Dzieci pragną wiedzieć, skąd się wzięły. To dla nich pałace, straszliwe pytanie i wyrażają je na setkę sposobów: Dlaczego trawa jest zielona? (Dlaczego ja nie jestem zielony?). Dlaczego wiatr wieje? (Dlaczego ja dmucham i dmucham, ale nie wywołuję sztormów ani nie zrywam kwiatów z łodyżek?). Dlaczego mieszkamy w mieście? (Dlaczego jestem sobą, a nie jakimś innym dzieckiem?).

Zawsze moim zadaniem było odpowiadać, po trochu, na pytania, które zadawały i których nie zadawały, dopóki nie przebudziły się dorosłe.



Pewnego wieczoru Ikram, która najbardziej lubiła krwawe fragmenty, zebrała wszystkie kości z kolacji i przyniosła je do Szkarłatnego Pokoju Dziecinnego. Myślę, że miała cały szkielet ich pysznego czarnego łabędzia w swojej ogromnej dłoni. Wcześniej, rano, brat mocno podrapał jej palce z powodu wcale nie tak nieważkiej kwestii gryfa-zabawki i jego brakujących piór. Ja sama spożyłam już kolację: dźwięk ich śmiechu, chrobotanie kości ocierających się w brązowej ręce Ikram, jakby wiedźma rzucała urok, szepty księżycy poruszającego się nad posadzką pokoju dziecinnego, parskanie wielbłądów w stajniach i brzmienie małej harfy, na której w odległej komnacie al-Qasr dworka królowej brzdąkała sobie tego popołudnia balladkę o jakimś kochanku, na którego spadło nieszczęście. To był obfity posiłek; jęknęłam pod jego ciężarem. Usiadłam pośrodku czerwonego pokoju - ściany miękkie i szkarłatne, poduszki na podłodze obleczone w rubinowy jedwab, nawet misy lamp polakie-rowano na czerwień w odcieniu płonących serc. Wszystko było tu duże, mocne, ukształtowane z myślą o olbrzymich rękach i z intencją, by nigdy się nie popsuło, z wyjątkiem chwil, kiedy rozmyślnie coś niszczone.

Kiedy dzieci jadły poniżej, ja siedziałam, rozkładając uszy na pełną długość, przez co wypełniły cały pokój. Kołysały się leciutko w czerwonym świetle jak płetwy słodkich rybek, kosztując kilku nutek skrzywienia dachu na deser. Jadam tylko w samotności i otwieram się wtedy tak daleko, tak szeroko. Muszę tylko słuchać, by się pożywić. Moim pokarmem są dźwięki świata.

Gdy byłam zmuszona jeść z dziećmi, przeżuwałam skromnie bambusowy flet albo laskę cynamonu. Nie chciałam być niegrzeczna.

Tego wieczoru Ikram ułożyła wszystkie kości z kolacji według wielkości. Była bardzo skrupulatnym dzieckiem i bardzo uporządkowanym w takich kwestiach jak kości, szczypanie i inne rzeczy, które mogły zakończyć się łzami jej rodzeństwa. Lamis obserwowała ją uważnie, jej długie palce drżały w skrytości, jakby chciała pomóc. Camettenowie mają dłonie jak głazy, ale ich palce są zwinne, a Ikram oczyściła każdą kość z mięsa, obmyła i ułożyła koło jej sióstr.

Lamis, Która Nie Cierpiała Być Pomijana: Co robisz?

Ikram, Która Była Dumna Ze Swoich Kości: Houd roztrzaskał mi gryfa, a ponieważ Nasz Motyl mówi, że nie mogę roztrzaskać mu głowy, robię nową zabawkę, której będziemy mogli dotykać tylko my dwie. To zabawka Nie-Dla-Houda.

Houd, Który I Tak Nie Cierpiał Tego Gryfa: Kiedy dorosnę, przywalę tobie, a potem wszystkim innym. Nie chcę twoich wstrętnych starych kości!

A potem Ikram pokazała mi, co zamierzała zrobić z kośćmi, a ja się uśmiechnęłam, ponieważ była bardzo kochana i sprytna. To Statek z Kości, powiedziała, a stare pióra mojego gryfa będą robić za żagle, które w historii były z włosów dziewczyc. Poślę go na żeglugę po morzu poduszek, które będzie Rimałem, i będę poruszać palcami wśród poduch, żeby udawały Ośmiornice, które są bardzo przerażające, a jeśli jakąś napotkam, to każę jej udusić Houda, bo mam odpowiednie podejście do zwierzątek.

Zapytałam więc, czy mam im nie opowiadać o Statku z Kości i o tym, jak Lud przybył do Pentexore, podczas gdy Ikram nękała palcami Stateczek, który łaskawie pozwoliła pilotować siostrze po poduszkach. Lamis piszcziała i chichotała, kiedy kościana łódź rozbijała się na

jedwabnych czerwonych fałach. Nie był to piękny okręt, ale wszyscy wybaczyliśmy mu jego mierną prezencję i fakt, że bardzo mocno pachniał pieczonym łabędziem.

Houd, Który Do Tego Czasu Bardzo Się Rozsierdził: Wolałbym raczej Przypowieść Umoralniającą. Taką, która uczy nas czegoś Dorosłego i Ważnego, na przykład tego, że siostry powinny się zamknąć, a ci, których obrażono i zdeptano, odziedziczają Ziemię.

Ikram przestała nękać statek i wyciągnęła dla mnie dłonie. Przyznaję, że bardzo kochałam te dziewczynki, kiedy tak wyciągały swoje dłonie olbrzymek. To znaczyło, że pragną usłyszeć historię, że pragną słuchać, i w tym odnajdywałam pokrewieństwo. Ja zawsze chciałam słuchać. To, że bez końca do nich mówiłam, było moją ofiarą dla ich radości. Usadowiłam się na jej ręce, na poduszczyce przy kciuku, na której spoczęłam jak olśniewający książę. Oto co usłyszały:



W starych książkach miejsce, z którego pochodzimy, nazwane jest Ifriajiya, a także Afar. Jednak kto może orzec, czy są to prawdziwe słowa i prawdziwe nazwy? Być może nie ma w nich więcej sensu niż w tym, jak Lamis nazywa swojego lwa-zabawkę Grof. Czasem nie możemy sobie przypomnieć, jak coś się nazywa, ale udajemy co innego, bo lepiej coś wiedzieć niż musieć przyznać, że się zapomniało. Zapominanie jest smutne, wiedza jest słodka. Jednakże jedna rzecz jest pewna: wszyscy ludzie, których teraz znamy, przybyli z Jakiegoś Innego Miejsca, chociaż nie wszyscy oni płynęli Statkiem z Kości. Panoti na przykład przybyli z lodowatych miejsc na dachu świata i wieloma rzekami podążali za dźwiękiem śmiechu, budowy i peror, aż natknęliśmy się na Oś Niebios i tam zostaliśmy. O ile się nie mylę, słyszałam, że czerwone i białe lwy wyszły z morza, chociaż nie lubią o tym mówić. I oczywiście feniksy przybywają z Heliopolis, Miasta Słońca, i nie mówią nikomu innemu, jak tam dotrzeć.

To jednak nie znaczy, że zastaliśmy Pentexore puste! Przynajmniej ośmiornic tu nie brakowało.

Ikram, Która Udawała, Że Jest Ośmiornicą: I były straszliwe?

Uśmiechnęłam się z powagą i odpowiedziałam: Bardzo. Pamiętasz jednak, kiedy opowiadałam o Sferach i o tym, że Rzeczy uparcie się

Wydarzają, że nic nie pozostaje wiecznie takie samo? Kraje są podobne. Wielu ludzi przychodzi do nich i odchodzi i nikt nie może powiedzieć, że był pierwszy, bo wcześniej były przynajmniej mrówki, pająki i wełniste bestie, a bardzo możliwe, że także stworzenia, które zapisują swoją historię, łomoczą swoje siostry i chcą dowiedzieć się czegoś Dorosłego i Ważnego.

Lamis, Która Bardzo Chciała Poznać Wszystko na Swiecie: Kto był tutaj przed nami?

Wrony mówią, że zawsze tu były. Możliwe, że inni, których już tu nie ma, by mogli to powiedzieć, także mieszkali i umierali właśnie w tym miejscu, gdzie siedzimy.

Kiedy obdarci nieszczęśnicy, którzy żeglowali Statkiem z Kości przez Rimal, natknęli się na bagna, górskie strumienie i rozległą bezbarwną pustynię, al-Qasr już na nich czekał, już stał lśniący i pusty, wiatr wył w jego korytarzach. Al-Qasr, wasz własny dom, pałac waszej matki, wszystkie jego ametystowe ściany, porfirowe kolumny i hematytowe klatki schodowe, jego cyprysowe dachy i nieskończone korytarze. Ten pokój, Lamis, był już czerwony. Bardzo znany filozof imieniem Catacalon, który nadal żyje w Srebrnowłosie i nosi rogi na baraniej głowie, napisał, że kiedyś mieszkała tu rasa kamiennych ludzi o fasetowanych twarzach i skórze we wszelkich kolorach, i że al-Qasr to ich żywe dziecko, tak stare, że już się nie porusza, tylko дума, zapada się w ziemię i śni o dawnych czasach, kiedy każdy jego policzek lśnił.

Dzieci sapnęły, nawet Houd, rozglądając się po ścianach, posadzce i suficie. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Mówiłam jednak o Statku z Kości, prawda? Każdy mieszkaniec Pentexore twierdzi, że miał ciotkę albo kuzyna na jego pokładzie, ale Ghayth Spod Muru, który był Pawiem i Historykiem, mówi nam, że załoga składała się ze skiapodów, cametennów, astomich, amyktriów, meta-collinara i blemiów. Na gapę płynęło też parę świerszczy. Niektórzy spierają się z listą, kiedy są pijani, rozpaczają albo przechwalają się, gdy są w obcym mieście lub szukają zatrudnienia. Gdyby jednak każdy, kto twierdzi, że płynął na Statku, rzeczywiście tam był, okręt z pewnością zatonałby pod takim ciężarem. Dlaczego akurat te stworzenia, a nie inne? Wasz motyl nie potrafi odpowiedzieć. Może byli więźniami, których wysłano dryfujących z modlitwami o zatonięcie albo

reprezentantami jakiegoś wyjątkowo podejrzanego rządu, wyekspediowanymi, by założyli nowe wspaniałe królestwo, albo prześladowaną sektą religijną poszukującą Ziemi Świętej, albo trupą aktorów. Mieli tylko kości i włosy do zbudowania okrętu, dlatego myślę, że musieli wracać z wojny, musieli być zmęczeni i w wielkiej rozpacz, skoro żyli w jakimś okropnym miejscu, gdzie kości było dla nich tyle co drewna, a włosy były równie łatwe do tkania jak płótno.

Nawet jeśli najgorsze z tego jest prawdą, nawet jeżeli byli więźniami albo aktorami, ich życie było trudne, potwornie trudne. Nie wolno nam nigdy tego zapomnieć i nie wolno nam zapomnieć o współczuciu dla nich. Gdy stawiali pierwsze niepewne kroki, zmierzając ku złotu tej krainy, nie odkryli Fontanny, więc umarli w swoim czasie i więcej do nas nie mówią, ponieważ ich dzieci nie wiedziały, żeby trzeba ich zasadzić, być mieć kwitnące gałęzie ze swoimi najdroższymi, by móc z nimi rozmawiać. Zamiast tego składali zmarłych na wysokich drzewach zgodnie z okropnym zwyczajem, który tylko oni znali. Nawet serce prymitywnej bestii musi im współczuć ich zimnej krwi, ich serc obróconych w proch.

Houd, Który Był Prymitywną Bestią: Ja im nie współczuję.

Kimkolwiek byli wcześniej, zagubili się na Rimalu.

Ikram, Która Uwielbiała Opowieści o Katastrofach: Matka opowiada ten żart! Blemia, czerwony lew i centaur zabłądzili na Rimalu...

Wszyscy opowiadają takie żarty. Biada temu, kto nie jest królową opętaną chichoczącymi dziećmi, kto przy kieliszku pochyła się, żeby opowiedzieć przyjaciołom zabawne brednie o trójce niedobrych towarzyszy zagubionych na Rimalu, bo z pewnością zostanie oblany piwem i wszyscy się od niego odsuną. Oczywiście nasze morze piasku można przebyć tylko przez cztery dni w roku, kiedy coś na kształt drogi formuje się wśród jego nurtów i błyskawicznie przenosi statki tym złotym kanałem do brzegu. Rimal to przedziwna bestia, brutalniejsza nawet od Houda, i przebieglejsza. Otacza niebieskie, słone morza innych krajów swoimi szelmowskimi i podstępными sposobami, wysyłając żółte macki w wodę, chwytając stery obcych statków, wyciągając je ze znanych wód i chwytając w piach, gdzie dopadają je ośmiornice i jeszcze gorsze stworzenia.

Ghayth mówi, że pilot Statku z Kości, który był skiapodem, ujrzał

światło na niebie, które go wzywało, fioletowe światło tak jaskrawe, okropne i piękne, że skiapod poczuł ból w stopie i że serce rozpada mu się w piersi na kawałki. Nikt z pozostałych obecnych na Statku nie uwierzył mu, a przynajmniej tak teraz mówią skiapodowie.

Czy to była gwiazda? - zapytali jego towarzysze. Nie, nie gwiazda.

Czy to był księżyc? - dopytywali się towarzysze. Nie, nie księżyc.

Czy to było coś na nasze podobieństwo, z oczami, duszą i pragnieniem chleba?

Nie wiem, odpowiedział skiapod. Możliwe, chociaż nie sądzę.

Nie mógł jednak go nie dostrzegać i skierował statek w stronę fioletowego światła na niebie. Czasem myślał, że to żywe stworzenie jak on sam, ale o szerokich skrzydłach i oczach jak rany, a czasem myślał, że to wielki ogień w oddali i że kiedy dotrze do brzegu, znajdzie zwęgloną ziemię i więcej kości, jeszcze więcej i więcej kości. Światło dręczyło pilota i nawet kiedy zamykał oczy, widział blask, który nie był gwiazdą ani księżycem.

Trzynastej nocy wachty pilota Statek zadygotał i zadrżał i szaroniebieskie ramiona Ośmiornicy...

Ikram, Która Tylko Na To Czekala: Hurra!

Szaroniebieskie ramiona Ośmiornicy - chociaż niektórzy mówią Kałamarnicy - spowiły kadłub, owijając się wokół relingów, oblepiając żagle. Z wielkim trudem załoga zdołała sterować statkiem i chociaż jeden astomi został złapany za nos i zmarł, zdołali pociągnąć ze sobą Ośmiornicę na brzeg i rozbić jej miękką głowę o skały. I tak pierwszym posiłkiem naszych ludzi w Pentexore była Ośmiornica, surowa i ociekająca pod bardzo zimnym księżycem, ponieważ byli tak wygłodniali, że nie czekali, aż ją ugotują. Dlatego jemy Ośmiornicę w czasie przesilenia letniego, na pamiątkę. Może w przyszłym roku nie będziecie pożerać jej tak chciwie.

Houd, Który Zawsze Był Głodny: Ja będę. I też jej nie ugotuję! Będzie przepyszna.

Lamis, Która Miała Delikatny Żołądek: Fuj! Będzie oślizgła!

Jeszcze nie skończyłam. Skiapod-pilot obudził się w nocy i znowu zobaczył fioletowe światło, jaśniejsze i bardziej przerażające, niż było na morzu. Poszedł za nim, podskakując na pojedynczej stopie przez

opustoszałe wzgórza i mokradła, rozległe, rozległe pola dzikiego pieprzu, różowego, czarnego i zielonego, aż dotarł do doliny tak zielonej, że jarzyła się bielą w ciemności. Tam zobaczył fioletowe wieże al-Qasr, lśniące, milczące, zadowolone, jakby same kamienie wzywały go z drugiego końca świata i teraz pochwyciły go mocno.

Słowo w pigwie

Rozdział Trzeci, w Którym Pewien Makabryczny Sad Usidla Pielgrzyma, a Tam Ów Wędrowiec Pożera Całą Armatę i Podejmuje Debatę z Kilkoma Owcami.

W dniu, w którym odkryłem las, słońce otworzyło rany niczym pocałunki na mojej głowie i pomyślałem o mojej matce. Odczołgawszy się na koślawych nogach od zaspokojonego i śpiącego żurawia, w którego miękkości ciała zhańbiłem siebie, odkryłem, że myśli moje wypełnia kobieta, która mnie urodziła w odległym zakątku na kamiennej twarzy świata. W miejscach, przez które wędrowałem, żyły czerwieni wiły się wśród złotych, na wpół roztrzaskanych kopców i cokołów - wszystko skała i pył, wszystko twarde i suche, nawet maleńka trawka nie pierzyła się, by mnie nakarmić, nie było ani jednej zielonej bulwy, która mogłaby skrywać wodę. Drżałem pod ciężarem nieba, krwawy rozmaz słońca opadł zbyt blisko ziemi, zbyt blisko, zbyt blisko. Tylko cienie kopców oferowały pociechę, ale z rodzaju tych ponurych i gorących. Kolory tego miejsca oślepiały mnie, złoto i błękit, jasność niczym cios.

A jednak zamiast o wodzie, zamiast o cieniu, myślałem o mojej matce. Gdyby była mężczyzną, myślę, że zyskałaby nie mniejsze poważanie niż sam Nestoriusz. Nie była jednak mężczyzną, a w ręce brała nie święte księgi i relikwie, ale płótno, wodę, chleb i sito do sera. Każdą z tych rzeczy zajmowała się równie znakomicie, jak kapłan wznoszący kielich mszalny, a jej czarne oczy widziałem w pamięci zawsze przez zasłonę - pary z kąpieli albo czegoś słodkiego, co gotowała. Wszystkie córki, które urodziła mojemu ojcu, zmarły, a potem umarł i ojciec, na długo przed tym, nim mogłem go zapamiętać. Tylko ja przeżyłem, mały i rozkaszlany, i każdego roku, dopóki nie złożyłem ślubów, matka mówiła sobie, że musi pozostać twarda i silna jak brąz i kość, gdyż ten rok zabierze i mnie. Ponieważ stałem tak blisko drzwi wyprowadzających z tego świata, karmiła mnie piersią dużo dłużej niż inne dzieci i opowiadała mi o mirrze i aloesie, o królestwie raju, gdzie

rosły wszelkie możliwe drzewa, których owoce zaspokoilyby mój głód, dokąd anioły ze skrzydłami z ognistego fioletu i czerni zabiorą mnie i nazwą dobrym. Te wizje napełniły mnie i skłoniły ku Bogu.

Przemawiała też dziwnie, jak mógłby przemawiać mistyk na pustyni, balansując na wysokim jasnym słupie pod nieskończonymi gwiazdami - gdyby kobieta mogła to znieść, mówić tak i dźwigać ten ból - czego nie mogła.

Wstyd uderza w nas jak błyskawica latem, szepnęła raz ponad odgłosem igły przekuwającej rąbek z cichym „trach”, i chociaż jego groza rozbłyskuje tak jasno, jest w nim też przyjemność, ciarki na skórze, ściskanie w żołądku. Oto niebezpieczeństwo. Jak błyskawica, wstyd ukazuje świat w straszliwych kolorach, żebyś mógł dostrzec, jeśli dobrze się przypatrzysz, nie tylko plamę własnych grzechów, kiedy sączą się do twojej duszy, ale też rozmiar swojego czynu, wszelkie jego konsekwencje, ujawnione niczym tysiąc płonących odbić, wszystko, co uległo zmianie w chwili twego upadku. Może w tamtej chwili Ewa widziała to w ten sposób - nie tylko figę w swojej dłoni, ale setki tysięcy dygocących, skwierczących, śmiercionośnych fig poprzez cały smutek, jaki miał nadejść, przesączających się wstecz do dni jej niewinności, plamiących je, chociaż już minęły.

Nawet wtedy zastanawiałem się, jak mogła snuć takie myśli. Nawet plotkary z targu o mocnych rękach pełnych nasączonych miodem ciastek i dzbanów z winem, na których zakup nigdy nie mogliśmy mieć nadziei, uważały moją matkę za czystą i dobrą jak stadko gołębic. Co ona wiedziała o wstydzie? Jej serce pozostało dla mnie niezłębione.

A kiedy szedłem w głąb łądu - chociaż nie miałem pojęcia, dokąd powinienem się skierować, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że idę w głąb łądu, że zbliżam się, podchodzę, zmierzam ku czemuś - myślałem nieustannie o słowach mojej matki, jej zmęczonych czarnych oczach i o błyskawicy wstydu. Czułem, że prawie jestem w stanie dostrzec to w taki sposób, że kątem oka wychwytyuję jakiś ruch, figę Ewy, mojego żurawia, kołysanie się w przód i w tył, ale ku czemu to zmierzało - albo skąd wypływało - nie potrafiłem wtedy powiedzieć.

Jednakże to nie potrwało długo. Oświecenie nadeszło szybko w tamtym miejscu i spadło z ciężarem wielkiego kamienia.



Żurawie wrzasnęły z grubsza w kierunku słońca, na wschód i północ, teraz trochę bardziej na wschód, a trochę mniej na północ. Wiele miast, rzeki ze wzruszeniem ramion. Tędy, w tym kierunku., niedaleko. Zajmowała je etykieta obowiązująca po zbliżeniu, a ja rozpaczliwie chciałem odejść, przestać rumienić się jak dziecko, zapomnieć o tym wszystkim. Wykierowałem zatem swoje połamane ciało na wschód i na północ, w głąb ładu. Po wielu dniach wędrówki między złotymi filarami styli-tów z ich nielitościwymi cieniami, po wielu dniach pod oskarżycielskim słońcem i luną, która paliła mnie nie mniej niż jej brat - jej oko niczym źrenica samego Boga gapiło się na mnie z takim rozczarowaniem - natrafiłem na swoisty las. Zafalowała moja zapadła pierś i chciałem umrzeć z powodu szkarady tej puszczy, szpetnego szaleństwa zawartego w drzewach. Umarłbym szczęśliwy, gdyby śmierć wybawiła mnie od tego miejsca, od tego, co zaplanowały tutaj dla mnie matczyne anioły o fioletowo--czarnych skrzydłach. Jednakże człowiek nie może uciec z piekła poprzez śmierć.

Niebo wylało pierwsze promienie słodko-kwaśnego światła na zagajnik drzew, z których każde było w równej mierze uschłe, powykrzywiane i groteskowe. Niektóre pnie straszyły czernią, śliskie od smaru, a kiedy podszedłem, zobaczyłem, że to armaty o doskonałych kształtach - jak te ze statku jakiegoś wielkiego cesarza - a pośród srebrzystych liści wisiały owoce jak kule armatnie. W drewnie innych dostrzegłem łukowate okna i platformy, na których małe ptaszki przysiadły i śpiewały - te drzewa wyglądały jak wieże obłącznicze, w kolorze wypalonego błota, skurczone i wypaczone, jak to możliwe u żywych stworzeń, niemniej strzały, które mogłyby wzlecieć z ich wysokości, pokryły gałęzie jak strzechą, a z ich konarów ściekały smoliste jagody. Jednakże jeszcze gorsze były drzewa-konie, których kora jeżyła się jak kasztanowa sierść, a długie, podobne biczom liście strzelały na przelatujące muchy. Diabelskie owoce szczyrzyły do mnie zęby: końskie głowy w srebrnej zbroi, której płyty podzwaniały cicho na wietrze. Jeden parsknął. Patrzyłem na ogród wojny, a on patrzył na mnie, ponieważ wiele drzew - o czym opowiadam z drzeniem - to były żołnierze-dęby i rycerze-wiązy o mieczach i hełmach zwieńczonych długimi, białymi pióropuszcami wypuszczonymi z listowia, a tu i ówdzie,

tu i ówdzie wydawało mi się, że widzę piwne i niebieskie oczy zerkające spomiędzy grubych zielonych liści.

Dobry człowiek odwróciłby się od czegoś, co tak ewidentnie było piekielnym bytem. Dobry człowiek w drodze do domu mógłby powiedzieć: chociaż umieram z głodu i pragnienia nawet nie spojrzę na ten ogród węża. Dobry człowiek zgodziłby się, by słońce wydrążyło mu ciało, i nie myślałby, że skoro coś rośnie, to musi dać się zjeść i nieważne jak dziwnie wygląda; po wielu dniach głodówki na pustyni nie uległby pokusie okropnego, okropnego owocu.

Jednak ciało, ciało może zbłądzić, a ja nie jestem, nie jestem, nigdy nie byłem dobrym człowiekiem.

Wbiłem paznokcie w mięsiste drewno drzewa armaty; ugięło się pod moimi palcami, brejowate, śluzowate, a pod smarem poczułem twarde żelazo. Sięgnąłem w górę i z szorstkich konarów, powykręcanych i ciernistych jak wszystkie drzewa pustyni, zerwałem ciężki owoc, okrągły, czarny i powgniatany jak każda kula armatnia, jaką widziałem. Skosztowałem go; był ciepły, zbity, miękawy. O, Matko Nas Wszystkich, jak musiałaś stać przy tym pierwszym drzewie, ważąc w dłoni figę, zastanawiając się, jaki świat uchyli się w spotkaniu z twoimi zębami w tym słodkim, ziarnistym owocu?

Ugryzłem. Grafitowa skórka pękła, szeleszcząca, podobna do papieru. Miąższ pod nią roztopił się mi w ustach, miálki, miękki, lecz, och, jego pikantność rozkwitła w moich zmysłach, czarny pieprz trzaskał mi na języku, przytłaczająca, mroczna słodycz, gorsza i lepsza od każdej śliwki, a metaliczna pestka przesyciła owoc cierpkością. Czarny sok pociekł mi po podbródku, mocząc brodę, plamiąc mi zęby. Piłem go, żłopałem niechlujnie i sięgnąłem po więcej. Zerwałem korę z armatniego pnia i ona również okazała się smaczna, trochę jak cynamon z posmakiem miedzi. Popędziłem do obłędniczego drzewa i z upodobaniem przeżułem klejące smoliste jagody, gęste jak syrop i gorzkie, gorzkie, gorzkie jak skóra na włoskich orzechach. Splunąłem. Jednakże, ach, o ile gorszy był ciężar tych mrocznych owoców we mnie. Mniej niż dwa tygodnie na tej barbarzyńskiej ziemi, a już skalałem swoje ciało na kilka niezwykłych sposobów.

Czy nie zjawiłem się tutaj w jakimś celu? Czy nie istniał powód, dla którego porzuciłem oliwne cienie Konstantynopola i wspólne siorbanie

makreli z Kostasem na targu? Nie chciałem czegoś? Dlaczego się tu znalazłem?

- Ten, kto spożywać będzie z drzewa tego, podobny jest hienie cmentarnej - rozległ się cichy, beczący głos z głębi okropnego lasu. - A ten, co okrada groby, jest jak diabeł, a gdyby diabła więcej karano w dzieciństwie, nigdy nie skończyłby tak, jak skończył. - Cisza, a potem słońce rozcięło liście. - Zły! - rozległ się głośniejszy okrzyk, który wściekłość zredukowała do pisku. - Zły człowieku! Przestań! Zaprzestań! Zły, zły człowieku! To nie twoje!

Zerknąłem w las i poczołgałem się przed siebie, lękając się odnaleźć właściciela głosu, a jednak zbyt ciekawy, by opuścić to miejsce i powędrować dalej, nie ujrawszy źródła piskliwego beczenia. Nieco dalej wśród kiwających się drzew ujrzałem je - i mimo wszystkich armatnich owoców ciężących mi w brzuchu i szłochu czyraków od słońca na czaszce, osunąłem się na kolana i roześmiałem. Są granice tego, co człowiek może znieść. Śmiertelna groza maszyny obłączniczej zasadzonej w ziemi to jedno, jednak teraz przede mną drzewo słodkiej zieleni ocieniało spękaną ziemię, szerokie liście trzepotały nad kilkoma wielkimi owczymi łbami, ich wełniste ciała niczym źdźbła pszenicy wydymały się poniżej szyi, po czym ginęły w pniu, który wyglądał jak zrobiony z baraniego rogu. Niektóre owce miały czarne pyski, inne kremowe i blade, większość oklapła leniwie, na wpół uśpiona lub całkiem pogrążona we śnie. Niektóre nosiły własne zakręcone rogi i przeżuwały szerokie liście; drzewo karmiło samo siebie, wciąż i wciąż. Jeden baran piorunował mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Nie masz prawa, panie. Nie masz prawa jeść z nas. Albo w przeciwnym wypadku daj mi trochę swojej krwi w odpłacie. Tylko to byłoby sprawiedliwe!

- Owoce lasu należą do Boga, a co za tym idzie, do wszystkich ludzi - odpowiedziałem cicho, skrywając śmiech z powrotem w piersi.

- Czyj zatem jest ten Bóg? - zaszydziła owca.

- Panem naszym w Niebiesiech, a po jego prawicy zasiada Chrystus. Baran parsknął i obłoczek wełny poszybował na jego oddechu.

- Cóż, nigdy nie słyszałem o takim stworzeniu, o żadnym z nich. Nożyce, które są bogiem mojego ludu, z pewnością o wiele bardziej przerażającym i ważniejszym niż ten twój, który nawet nie żyje tutaj,

tylko w niewiesie, przemówił do pierwszej owcy i pierwszego barana i rzekł: Niech nikt nie raduje się owocami ciała twego, o ile nie odpłaci się własnym. Czego zawsze się trzymamy: jeśli ty i twoi ludzie chcecie prząść i tkać z naszego runa, to winniście nam zapewnić chociaż miłą, wygodną zagrodę, słodką koniczynę i odrobinę zimnej, czystej wody. Nie sędzę, żeby inaczej miała się rzecz z armatami!

- Chociaż to urocze, że tak myślisz, z pewnością nie ma innego Boga niż Chrystus, a On nam dał władanie nad ziemią pod Swoimi stopami, nad owcą i wołem i wszelkim stworzeniem w polu.

Baran spojrział na mnie lodowatym wzrokiem.

- Kiedy żyłem, widziałem swojego boga w jego Przerazającym Aspekcie, jak zszedł na zroszone pole przed świtem. Jego wspaniałe czarne runo przesłoniło mi wzrok, a świece jego oczu ociekały łzami łoj. Jego zęby były zgrzytającymi nożycami i nimi pochwycił moje jagnięta i przeżuł je, a ja płakałem. Lecz gdzie jego cień padł, tam wyrastała koniczyna i nowe jagnięta hasały jakby w blasku słonecznym, i pojąłem, że znowu będę się parzył. Tego ranka moje młode zostały pokrojone na zimową kolację, ale wiosna przyniosła nowe, które wyrosły na silne. Możesz to samo powiedzieć o swoim Bogu? Czy przyszedł i usiadł obok ciebie, zaoferował ci ukojenie, kiedy nadszedł ból? Czy spojrzalesz w świece jego oczu i poczułeś opary jego piżma? Czy też zmyślasz historię, bo jesteś samotny i ryczysz o tym cały długi dzień?

- Jesteś zwierzęciem i nie masz duszy. Gorzej, wydajesz się także swego rodzaju rośliną. Gdzie sens w udzielaniu ci duszpasterskich nauk?

-Jeśli to nie jest argument przegranego, to nie wiem, jak miałyby brzmieć. - Baran uśmiechnął się z wyższością i skubnął kawałek liścia.

Poczułem, że najlepiej zmienić temat - nigdy nie byłem misjonarzem ani nie miałem na celu zdobycia owych oratorskich talentów, jakie posiadli ci złotouści ludzie. Kiedy się o coś podobnego kusiłem, używałem zbyt wielu słów albo zdecydowanie zbyt niewiele i nikogo nie nawróciły salwy światła strzelające z moich natchnionych warg. W świecie, który znałem, w świecie, który najbardziej kochałem, w świecie Konstantynopola, malowanych na niebiesko kopuł, karczochów, pigw i lojalnych prostych ludzi z bożą modlitwą w oczach każdy wiedział, jak wygląda Bóg. Mogliśmy się nie zgadzać w kwestiach pisma, mogliśmy

nawet podzielić salę i uznać jedną część za heretyków, a drugą za czystych, opierając się na pojedynczym czasowniku, ale nikt nie wątpił, że Chrystus włada w Niebie jako król, Jego Korona jest Wielopiętrowa, Maryja jest Jego Matką i że Zmarł, aby Zmartwychwstać. Nikt z wyjątkiem barbarzyńskich Saracenów albo jeszcze bardziej perwersyjnych mieszkańców Wschodu. Często myślałem w owych dniach, że dewiacja i perwersja muszą wzrastać, im dalej na wschód zdąża człowiek. Jednak nawet na wschodzie przyznawano, że Chrystus był święty, a Jego Narodziny cudowne. Kiedy spory nie skupiały się na tym, czy Chrystus żył jako jedna istota i jedno ciało, czy też osobno w Słowie, Oddechu i Duchu oraz w Ciele, Jego Ziemskiej Powłoce, lecz na tym, czy nienasycona owca ukazała się innej owcy na jakiejś przeklętej farmie, nie można było toczyć prawdziwej dysputy.

Próbowałem innego podejścia, z jeszcze marniejszym skutkiem niż za pierwszym razem.

- Powiedziałeś „kiedy żyłem”. Zatem teraz jesteś martwy? Przyznaję, że wolałbym, żebyś powiedział, że tak, bo wtedy logicznym wnioskiem byłoby, że sam umarłem i omyłkowo zawędrowałem do jakiejś dotychczas niezbadanej sfery piekieł, a to wiele wyjaśniałoby mojemu sercu.

Owca popatrzyła ze zdumieniem, otworzyła szeroko żółtawozielone ślepa i przewróciła nimi. Teraz już i inne głowy przebudziły się i patrzyły na mnie z rozespanym zaciekawieniem typowym dla ich rodzaju.

- Oczywiście, że jestem martwy. Co z ciebie za głupek?

Jedna z owiec o czarnym pysku chwyciła za skrawek runa, które okalało szyję barana jak kołnierz.

- To cudzoziemiec - wybeczała. - Nie zwąchałeś tego? To cud, że tak długo żyłeś, ty stare zgniłe kopyto. - Zwróciła się ponownie do mnie: - Owca najlepiej zna trzy zapachy: pana niosącego jedzenie, obcego i pana niosącego ostrze.

Baran prychnął pogardliwie.

- Dożyłem tłustych późnych lat ze stadkiem owiec na zawołanie i liczbą jagniąt większą, niż zdołałem zliczyć. Ja i moje stare dostarczaliśmy dobrą baraninę na stół państwa, a oni zakopywali kości jak praktyczni farmerzy. Nadal przychodzą zbierać wełnę z tych drzew,

choć teraz już nie tak często, bo dla większości ludzi to smutne i brzydkie miejsce z racji wojny.

- Przykro mi - powiedziałem, osłaniając oczy od słońca, które nie dawało mi spokoju, nawet na moment, oślepiając mi oczy i rozum. - Jesteś jednak drzewem, prawda?

- Oczywiście.

Baran pociągnął nosem. Jego rogi lśniły jak brąz.

Owca zaśmiała się.

- Rozumiem, że nie otrzymałeś dobrego wychowania? Żadnej wartej wspomnienia edukacji? Założę się, nigdy nie czytałeś klasyków. Nigdy nie poznałeś liter.

- Wręcz przeciwnie - zaprotestowałem. - Bardzo dobrze czytam w czterech językach i trochę w piątym. Czytałem Pismo Święte i wiele więcej, Augustyna, a nawet książki pogańskie. Znam Platona i znam Arystotelesa.

Wybacz mi dumę, Panie Mój, ale z trudem wywalczyłem poznanie tych języków, a człowiek ceni sobie to, czego zdobycie okupił krwią.

Owca zmarszczyła ciemny, miękki pysk.

- Ale to przecież Arystoteles naucza: Jeśli zasadzisz głęboko w ziemi łożko, gnijące drewno i przezartą robactwem pościel, z całą pewnością i w czasie nie dłuższym niż trwanie jednej pory roku, czyli nie później niż kolba kukurydzy albo źdźbło jęczmienia, wypuszczą pędy. Drzewo rodzące łożka wyrośnie z urodzajnej ziemi, owocami będą łoża z baldachimami, liście rozwiną się jako zielone poduszki, a gałęzie będą grubymi podgłówkami, na których może spocząć dowolny pustelnik. Pamiętam, jak córka pana recytowała tę lekcję, przędąc moją wełnę, pamiętam. Powtórzyła to tyle razy, że nie mogłabym tego zapomnieć nawet po tylu latach, które upłynęły po osnowie.

- Ale Arystoteles nigdy czegoś takiego nie powiedział! Powiedział, że drzewo rodzące łożka nigdy nie wyrośnie, nawet jeśli zasadzisz łożko głęboko w ziemi, ponieważ łożko jest zrobione przez człowieka, a nasienie wyhodowała natura, i tak właśnie można jedno od drugiego odróżnić. - Zaplątałem się w swojej argumentacji. - Gdybym miał miejsce do snu w cieniu i wodę, może przypominałbym sobie ten cytat dokładnie. - Poczuję, że się rumienię.

- A jednak rozmawiamy, ty i ja - wyraził swoje zdanie baran, całkiem odsuwając od rozmowy owcę. - Zatem ktoś tu źle pojął Arystotelesa i myślę, że raczej ten, który uważa, że Bóg nie jest owcą.

Ból rozsadzał mi czaszkę.

- Nie, wiem, że dobrze to pamiętam, dobrze wiem.

- Kiedy pochowasz rzecz> musisz pielęgnować jej drzewo. Ty dałeś mu życie i masz wobec niego zobowiązania. Achyut, Święty Pod Korzeniem to powiedział - wybeczała owca, ale znowu zaczęła przysypiać. - Znam mnóstwo cytatów. Córka pana była bardzo bystra. Pochowali nasze kości i wyrosłyśmy, pamiętamy owczy żywot, ale teraz pijemy deszcz i jesteśmy bardzo zadowolone, bo nie zdarzy się już, że będzie z nas baranina.

Baran przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Nie nadajemy się do jedzenia, jeśli to rozważasz. Oczywiście człowiek, który zje kulę armatnią...

- Przynajmniej nie zjadłem końskich łbów! - tłumaczyłem błagalnie.
- A kto pochował tu armaty, maszyny i konie? Co się stało, że zasadzono tak bestialski sad?

Jeden z tych przeklętych koni zarżał cicho za mną, żałościwie, a wiatr brzęknął zbroją o konar.

-To było przed Murem - szepnął baran i odwrócił wzrok. - Gog i Magog przeszli tędy, a w ślad za nimi szedł ogień, rosły wieże i nie było słońca ani księżyca, tylko płomień ich serc, które nosili na zewnątrz kości niczym klejnoty na piersi. Kiedy to wszystko się dokonało, ziemia pokryła szczątki, a reszta potoczyła się naturalnym biegiem rzeczy.

W ustach mi zaschło i miąższ armatniego owocu skwaśniał we mnie. Nie mogłem myśleć, na jakim brzegu się rozbiłem. Zupełnie jakby każda historia, jaką kiedykolwiek słyszałem, rozbiła się u brzegów tej krainy jak ślepe, kruche wieloryby, a ja szedłem wśród odłamków, z których już nigdy nie da się poskładać całości.



Minąłem las, ścigany śmiechem owiec, i powędrowałem ziemią tak wyprążoną, że myślałem, że idę po samym popiele, bez żadnego kamienia, który by mnie dźwignął, jedynie pustka otwierała się pod

moimi pokrytymi pęcherzami stopami. Widziałem księżyc zarówno za dnia, jak i nocą, i byłem spragniony tak bardzo, że w głębinach tego pustkowia otworzyłem żyłę w ręce i piłem własną krew, tak jak owce jadły liście własnego drzewa. Nie myślałem o niczym. Nie było dzikich snów i wizji wielkiego morza piasku ani matki i jej czarnych oczu, które są oczami Maryi, które są oczami mojej matki - niczego w ogóle. Mój umysł zamienił się w przesiewany popiół, popiół na popiele i gdzie żwir mojego intelektu padł, tam też był popiół i cały świat płonął, i ja płonąłem z nim, i kiedy myślę o tym teraz, nie widzę niczego poza szarością przede mną, za mną i obok mnie; szarością i poparzoną straszliwą twarzą księżycy odzierającego mnie życia.

Wydało mi się, gdy bliski był już koniec, że poczułem zapach drogich przypraw, pieprzu i mirry, i pomyślałem: Umieram i jest ostatecznie tak, jak powiedziała mi matka. Uświęceni martwi pachną słodko, a na ich ukochanej piersi żywi układają korzenie i perfumy.

Nie potrafię powiedzieć, ile dni i nocy obeszło wokół ziemię, zanim odzyskałem spokojną myśl albo ponownie znałem swoje imię.

Księga fontanny

Finał dnia ma w sobie swego rodzaju muzykę. Odejście błękitu, nadejście srebrnych gwiazd, papugi skrzeczące peany do swoich własnych odbić, targ pod moim minaretem zamyka się, deska uderza o deskę, gotowanie ostatniej ogromnej potrawy pełnej wszystkiego, co się nie sprzedało. A moje pióro, zawsze moje pióro, skrzyp-skrzypi do ostatnich minut świata, ten mały zegarek mego pióra. Gałęzie pigwowca i granatowca zaczęły więc się przez górne pokoje mojego minaretu kilka lat temu. Odbieram je jako przyjazne, co pewien czas mają dla mnie owoce, czerwone i spękane jak serce, zielone i nowe jak wiara.

Sprzedawcy ryb nawołują do mnie. Hagio, zejdź na dół i spróbuj moich ostryg\ zamienią twoje wnętrzości w perłę! Handlarze karczochami również - nadal pamiętają, po tych wszystkich latach, żeby najcięższe zatrzymać dla Jana, a teraz dla mnie. Nieważne - dla niego czy dla mnie. Z nawyku zostawiają je dla kogoś, kto najbardziej je kocha. On kochał karczochy, ponieważ przywracały mu dom. Ja kocham je, ponieważ przywracają mi jego samego.

Przypominam sobie kilka linijek z Catacalona. Czasem mój umysł fiksuje się na jakiejś frazie i nie mogę się jej pozbyć; krąży w moim ciele, do żołądka, pięt i z powrotem - wyścig rydwanów, a tego wieczoru to stary baran ze Srebrnowłosa pogania biczem swoje zwierzęta na torze. Panny z ametystu żyły tam i młodzieńcy z gagatu!. Żaden kamień naszego pałacu nie został wycięty\ każdy zrodził się z płaczem z ciepłego łona jakiejś kryształowej oblubienicy Gdyby tylko te milczące cegły wyjawily mi jedno z ich imion! Jakąż zdradą jest śmierć w krainie życia.

Zdradziłeś mnie, Janie. Moja miłość, która wolała śmierć ode mnie. W całym twoim świecie grzechu czy nie było hańbą odrzucenie życia i jego spraw?

Spotkałam raz owego filozofa osobiście, w czasie trzeciego Abiru żył jako poławiacz klejnotów w wielkich jaskiniach. Jego oczy stały się wielkie i blade w pozbawionych światła jaskiniach, gdzie krzepcy

nurkują w czarnych wodach, wydobywając klejnoty z tajemnych szczelin. Nie mogłam tego znieść - zamknięcia, ciemności, zimnej wody - im zimniejszy pływ, tym jaśniejsze kamienie, słyszałam, że tak mawiają nurkowie. Jednakże Catacalon powiedział przy talerzu ciasteczek pomarańczowych, że jemu to odpowiada. W ciemności zbliżył się jak nigdy dotąd do kości starodawnych, którzy mieszkali w tym błogosławionym kraju przed nami. To oczywiście niegrzeczne korzystać z tego, kim byliśmy w poprzednich żywotach, więcej niż niegrzeczne: to zakazane. Jednak występna jest ze mnie dziewczyna, zawsze była, i swobodna w swojej miłości i pamięci. Pozwolił mi objąć się takim, jakim był kiedyś i jakim w moim sercu zawsze pozostanie, tam w dole, w ciemności, i pocałowałam jego baranie rogi, mając na ustach pomarańczowy cukier. Czasem straszliwa przyjemność pamiętania to zbyt duża pokusa, by się jej oprzeć.

Tutaj w al-Qasr prawie wierzę, że te kamienie mogły żyć, tak jak on mówił. Prawie wierzę, że nic nie umiera, a ja nie jestem wdową, lecz że ktoś spośród nas musiał mieć rację i znowu ujrzę mojego partnera w mocnym brązowym drzewie albo w niebie, albo w cytadeli zbudowanej z jego kości.

Och, jakże tęsknię za tobą, Janie. Jakąż zdradą jest śmierć w krainie życia.



Mówiłam jednak o życiu z Astolfo po moim pierwszy Abirze. Żyliśmy życiem prostym i słodkim jak śmietanka. Loteria łagodnie się ze mną obeszła - zachowałam sad rodziców z drzewami pergaminowymi, swoje imię, a na dodatek zyskałam przystojnego chłopca o ustach jak kielich mszalny. Inaczej było z moim mężem. Astolfo, jak już wspomniałam, należał do plemienia amyktriów, których usta odstają od czaszki i tworzą głęboką misę dobrą do warzenia wszelkich różności: herbat i nalewek, maści i alkoholi, nawet trucizn i brandy. Poprzednie życie bardzo mu odpowiadało - kupca winnego dogładającego winorośli, które wyrosły z zakurzonych butelek pełnych starych win dojrzewających na słońcu. Czasem nauka o uprawie winorośli i produkcji winą zawodziła go i pędy wypuszczały jagody z czystego szkła albo tuziny czerwonych woskowych korków. Czasem jednak

rozkwitały najdelikatniejsze i najcudowniejsze trunki, a Astolfo znał najlepsze sposoby, by je do tego skłonić, ach, już ja poznałam jego zdolności w dziedzinie łagodnej perswazji! W swoich ogromnych ustach próbował i mieszał owe wina, czasem składał śluby milczenia i zamykał usta na długie miesiące, tylko po to, żeby dać im przestrzeń i czas na rośnięcie. Co wiedział o rozpinaniu pergaminu, skrobaniu welinu, przygotowywaniu ksiązek dla poetów, tragiczków, dziejopisarzy? Jaki pożytek mogłam mieć z jego cudownego gardła?

Pamiętam nasz ślub w Lazurowym Pawilonie, jak wszędzie zwieszały się girlandy z małych czerwonych kwiatów w kształcie dzwoneczków, pamiętam siebie całą w złocie jak wszystkie inne panny młode, w złocie i w czarnym welonie. Światło przyszłości i złożenie do grobu naszych starych żywotów. Ogromna zbiorowa ceremonia zaślubin ma miejsce trzeciego dnia nowego Abiru. Czerwony lew Hadulph rykiem udzielił nam błogosławieństwa - ten, który zostanie kiedyś moim przyjacielem i u którego boku będę spała na polu pieprzu. Wszyscy wiwatowaliśmy, całowaliśmy się, muzyka lśniła w powietrzu równie ciężka i barwna jak strawa na stole, i tak się posililiśmy, tak się posililiśmy tymi skrzypcami i psalteriami i bębnami.

Fontanna teraz przepadła i wiem, że jeśli ktokolwiek pewnego dnia odczyta moje drobne litery na tej szerokiej stronie, będzie dla mnie jak świetlik dla kobiety - nagle pojawia się i zaraz znika. Musicie tak ostrożnie dobierać sobie partnerów, pasje i królów. W waszym życiu może być miejsce tylko dla nielicznych, może tylko na jedno. Czytałam książki Jana. Uczą o cnocie wyboru tylko jednej miłości, jednej pasji, jednego zajęcia, być może nawet zawodu swego ojca, by nie czuł, że jego żywot jest tak ulotny. W małej przestrzeni, jaką dysponujecie, dokonanie tego jednostkowego wyboru jest tak doniosłe, że możecie poczuć zgrzyt życia, gdy otwiera się, by wpuścić tylko tę jedyną rzecz. Dla nas być może jedyną nową rzeczą, jaką przyniósł ze sobą Jan, był żal. Do czego miałby nam być potrzebny ten żal? Jeśli nie podobał ci się partner, jakiego dał ci Abir, trzeba było tylko trochę poczekać, aż odejdzie. Może z czasem byś go polubiła. Może wzięłabyś sobie kochanków i zostawiła go własnemu losowi. Można było w ogóle nie wrzucać swojego kamienia godowego do loterii i przeżyć ten czas w pojedynkę, w spokoju, w samotności lub w radości. Jeśli nie życzył sobie zostać pasterzem i nienawidził zapachu owiec, zanim się człowiek

obejrzał, już nadchodził czas, żeby znowu stanąć przed wielką beczką obracającą się w słońcu. Wstrzymywaliśmy oddech w podnieceniu, do chwili gdy usłyszymy, co świat przygotował dla nas teraz, a odrobina nieszczęścia czyniła nas wygłodniałymi i ochoczymi, promiennymi i gotowymi.

W waszym świecie istnieje więcej możliwości niż czasu. Jednak nie dla nas. Nie wtedy. Mieliśmy dość czasu, żeby wypróbować wszystkie możliwości.

Kiedy więc mówię, że kochałam Księdza Jana, nie znaczy to, że nie kochałam Astolfo, Hadulpha, Catacalona albo Iqama, który przyszedł po Janie. Miłość jest jak ryba: rośnie tak wielka, jak jej naczynie, a ja - i my wszyscy - byliśmy ogromni.



Pewnej nocy naszego małżeństwa Astolfo otworzył swoje ogromne usta i pokazał mi, co tam warzył: tajemny srebrny trunek nowożeńców, mleczko oblubienicy przeznaczone dla mnie. Smakowało jak szron na plastrze miodu. Smakowało jak nowe życie. Przepływało między nami, kiedy się całowaliśmy, on z twarzą przy ustach na moim brzuchu, a kiedy wypijałam wszystko, pocałował miejsce, gdzie nie mam głowy, a ja znowu wsunęłam ręce w jego ciemne włosy. Nigdy nie mówił zbyt wiele, ale w miksturach, które mieszał w ustach, znajdowałam komunię, z nich czerpałam pociechę.

Nie kochał jednak mojego sadu ani pracy przy cięciu i ćwiartowaniu stron z drzew. Nienawidził smaku atramentu moczącego się w jego ustach, goryczy żelazistych galasów, tłuszczy z gruczołów piźmowców. Pokazałam mu drzewo dłoni mojej matki, a on zapłakał gorzko nad utratą swojego starego życia, gdzie znał każdy krok przez każdy rząd zielonych i pnących się winorośli. Czasem tak się zdarza, to nieuniknione. Próbowaliśmy pokazać mu, jak piękna może być ukończona książka. Szelest nowego papieru, jego zapach, widmowe wzory starej skóry, z której go zrobiono, niczym historia poprzedzająca historie, które dopiero za-szczyką te strony Próbowaliśmy osłodzić atrament miodem i trzcina cukrową. Byliśmy młodzi, oboje, i ze wszystkich sił staraliśmy się dorosnąć najszybciej, jak to możliwe.

Hadulph, czerwony lew, który przyniósł mi te właśnie stronice do

spisania opowieści o moim życiu, a wcześniej wyciął je ze skóry swojego wuja, płacząc przy tym nieustannie, poznał mnie w owych dniach, kiedy Astolfo siedział ponuro przy naszym palenisku, pozwalając najmniej ohydnyemu z moich ulubionych brązowych atramentów ciemnieć za swoimi zębami.

W owych dniach Hadulph był satyrykiem - widzicie, że nawet pisanie tego jest zbrodnią, małą czy wielką. Zdradzam go każdym ruchem pióra, zdradzam ich wszystkich, wszystkich moich przyjaciół i nawet samą siebie - mówię wam, kim wtedy byliśmy, kim zostaniemy, i nie udzielam żadnemu z nas prywatności gwarantowanej przez Abir. Wybaczcie mi albo mną wzgardźcie - jestem, czym jestem, a historyk nie uznaje konwenansów.

Hadulph przyjął nową profesję z typowo lwią lubością. Z furią atakował naszego króla o głowie muła, Abibasa, w szkicach i wierszach, naszego ryczącego władcę o aksamitnych chrapach i chronicznej niestrawności, a wszystko to na moim papierze, w moich książkach. Abibas nie brał tego do siebie, każdy musi pracować na swoje utrzymanie.

Wśród lwów Pentexore istnieją dwa plemiona: białe i czerwone. Wyrastają na ogromne stworzenia, mniej jak koty, a bardziej jak konie. Ich język jest pełen przeciąganych samogłosek i grasejowania - prosty do opanowania. Dzielią ich znaczne różnice filozoficzne - białe lwy żyją w odosobnieniu na stokach lodowych gór, często wożąc panotich po tych śnieżnych pustkowiach w czasie długich polowań. Polują, śpiewając do siebie jak wieloryby w morzu, i wyznają wiarę panotich - w pozbawiony boga kosmos, kierowany tylko przez ich własne białe łapy i wrażliwość, jaką znajdują w swoich łomoczących sercach. Czerwone lwy nie pozwalają na sobie jeździć, czczą Yiwę Dziewięciorogą Antylopę, Która Płacze Mlekiem, najłagodniejszą ze wszystkich bogów. Yiwa zgadza się na to, żeby była wiecznie i nieustannie pożerana, by wykarmić swój lud.

Pamiętam, jak raz powiedziałam Janowi o bogu czerwonych lwów. Zdumiał się, że czczą antylopę, a ja odpowiedziałam: Uważają za dziecinny upór, z jakim twierdzisz, że twój bóg wygląda tak samo jak ty. Tak myśli małe dziecko, bo ma tylko rodziców, którzy je chronią, więc wszelka potęga we wszechświecie nosi jego własną twarz.

Jednakże czerwone lwy to miejskie koty, podczas gdy ich biali

kuzyni pozostają dzikimi stworzeniami z gór. Kroczą na szkarłatnych łapach ulicami Sirszy, Srebrnowłosa, Nuralu, gdzie lśnił i stał al-Qasr. Hadulph z szeroką białą gwiazdą na czerwonej piersi narodził się z niezwyklej rozkoszy: czerwonej matki i białego ojca. Zdarzają się bowiem niekiedy związki między plemionami. Mieszkańcy Pentexore zachowują ostrożność, płodząc potomstwo, bo w przeciwnym wypadku wkrótce zalały nas milion nieznanających śmierci dzieci. Mimo wszystko jesteśmy z krwi i kości, a to, co zakazane, zawsze kusi. Czasem myślę, że królowa Abir chciała, żebyśmy poznali gorętsze przyjemności. Jeśli nic nie jest zakazane, nic nie może być perwersyjne, a jakaż rozkosz istnieje w takim świecie?

W swojej rozpaczycy Astolfo nie zgodził się z moją wspaniałomyślną oceną cnót królowej Abir.

- Była despotką. Tyranem. Jakim prawem oddała nasze życie przypadkowi?

- Wszyscy się na to zgodzili. Głosowali, wrzucając maleńkie karbunkuły do czarnej misy i do białej. Wiesz przecież. Ostatecznie czarna misa była pusta, nie licząc jednego okruchu rubinu, a jasna pełna.

Oparłam swoje piersi całym ciężarem na jego ramieniu, zatrzepotałam rzęsami, muskając mu skórę - najdelikatniejszy z pocałunków. Myślę, że w tamtej chwili oboje rozmyślaliśmy nad tym samotnym czerwonym klejnotem w ciemnej misie. Nie musieliśmy tego mówić. Wiedzieliśmy, do kogo należał kamień.

- To niesprawiedliwe. Jeszcze się nie urodziłem. Nie miałem nic do powiedzenia.

Zmarszczył czoło jeszcze mocniej, a masywna linia jego żuchwy wykrzywiła się w grymasie. Bez kłopotu mógł mówić z ustami pełnymi atramentu, bo tak jak u pelikanów gardło amyktriów jest głębokie i podzielone na dwie komory.

- Jednak gdyby nie Abir, nie mielibyśmy siebie, Asto - powiedziałam, ponieważ byłam młoda i zakochana i wszyscy mówimy niemądre rzeczy, kiedy świat wydaje się nam w najlepszym porządku.

Astolfo jednak rozluźnił się w moich objęciach. Ułożyłam się w naszym długim łóżku, a on leniwie głaskał miękkie miejsce, gdzie nie mam głowy, jego palce na nierównym pierścieniu kości, które nie do końca się stykają, jakby nasze ciała miały mieć głowy, ale nigdy jakoś

się do tego nie zebrały.

- Jak nikczemni musieli być ludzie - zdumiewał się mój mąż, a jego zielone oczy spochmurniały - skoro to było lekarstwem?

Dotknęłam kącika jego ust palcem i spróbowałam atramentu. Jeszcze nie był gotowy, zbyt taninowy, zdecydowanie niegotowy.

- Matka czytała ci kiedykolwiek „Szarłatny pokój dziecienny”, kiedy byłeś dzieckiem? - szepnęłam.

Gdy leży się w łóżku o takiej porze, każde słowo wydaje się sekretem.

- O, tak. - Uśmiechnął się, a jego splamione atramentem usta zabłysły w ciemności. - Nie wspominałem tych historii od lat. Myślę, że przez większość czasu w młodości byłem zakochany w Imtithal. W czasie mojego pierwszego Abiru modliłem się, żeby skojarzono mnie z dziewczyną panotich. Chciałem dać się zawinąć w ogromne uszy, chciałem, żeby opowiadała mi historie i całowała zimnymi ustami. Mógłbym zabić Ho-uda za okrucieństwo, z jakim ją traktował.

Ukąsiłam go żartobliwie w biodro.

- Pomyśl o tym, Asto. Przeżyła pierwszy Abir, kiedy było to najtrudniejsze, najboleśniejsze do przeżycia. Kiedy nikt nie wiedział, jak powstrzymać się przed zawołaniem do dawnej matki na ulicy albo przed objęciem dawnego męża na targu. Kiedy nikt nie wiedział, jak tego dokonać. A mimo to zdecydowała się żyć zgodnie z prawem królowej, nie wracać do śniegu i rodziny, związać swój los z nami. - Poruszyłam się sennie przy moim mężu. - Nie myślimy o Imtithal Szerpie, która prowadziła pielgrzymów na górskie szczyty, chociaż wiemy, że w taki sposób żyła wcześniej, ani o Imtithal zapalacze latarni, chociaż wiemy, że w ten sposób żyła potem. Kochamy Imtithal gawędziarkę i marzymy, żeby była naszym motylem. Jednak to loteria wybrała ten los dla niej, przypadek to wybrał. I kto wie, kiedy dla nas wybierze życie, które przyniesie nam chwałę i miłość, opowieści powtarzane bez ustanku przy tysiącach ognisk? Co, jeśli to życie skrywa dla ciebie cuda, ukochany, a ty ściągasz czerń na swoje oczy coraz mocniej i mocniej, aż nie będziesz w stanie tego dostrzec?

- Tyle że królowa oszukiwała - sprzeciwił się Astolfo. - Chciała, żeby Imtithal została piastunką jej dzieci, i to właśnie wybrała beczka. Jakim cudem to mógł być prawdziwy przypadek? Nie, ona to ustawiła,

żeby postawić na swoim.

- Nie wiesz tego. - Westchnęłam. To był stary spór, już wtedy. - Przypadek to swego rodzaju bóg i to co powinno być, ogólnie rzecz biorąc, się wydarza. Kochamy ją teraz, więc musiała wtedy zostać piastunką albo nie rozmawialibyśmy o niej w tym bezpiecznym, różanym domu. - Spojrzałam na ciepły, pomarańczowo-złoty księżyc zawieszony na niebie jak tykwa do wysuszenia. - I co z tego, jeśli stara królowa oszukiwała? Warto było, jeśli przy okazji dostaliśmy naszego Motyla.

Och, moja pamięci. Chciałabym, żebyś złagodniała, chciałabym, żebyś przesłoniła welonem tamte czasy i przywoływała jedynie szepty i miłość w ciemności. Zamiast tego moje własne słowa przedrzeźniają mnie i przeszywają do żywego.



Rankiem Hadulph przyszedł po swoje comiesięczne pamflety, trącił pyskiem moje ramię i zapytał, co sprawiło, że brzuch mi się zapadł, a oczy poczerwieniały.

- Mój mąż nie kocha swojego życia - odpowiedziałam.

I był to pierwszy dzień, kiedy Hadulph i ja poszliśmy na pole pieprzu, a ja dowiedziałam się, jak jeży się jego splątana grzywa, jak szorstki potrafi być jego język i że niektórym Pentexoryjczykom łatwiej ze sobą spółkować niż innym. Nasze zbliżenie było trudne, krótkie, szczere i gwałtowne. Nie obchodziło mnie to jednak, wiedziałam tylko, że z lwem nie jestem sama, nie musiałam zachęcać go, żeby pokochał swój świat. Nie wiedziałam, jak bardzo pokocham to stare stworzenie i jak daleko zajdziemy, on i ja. Nie będzie to bowiem ostatni raz. Powiedziałam o tym Astolfo tego samego wieczoru. Nie był zazdrosny, tylko zaciekawiony, jak zdołaliśmy wykręcić się na tyle, żeby tego dokonać.

Powiedziałam wam. Nieskończoność czasu tworzy zupełnie innego rodzaju duszę niż kilka lat niepokoju. Wiedziałam, że Astolfo przynajmniej raz odwiedził swoje stare winnice i uwiódł dziewczynę panotich pośród winorośli. Powiedział mi, jak jej uszy zamknęły się wokół całego jego ciała, a ja zdumiewałam się, nawet mu zazdrościłam. Zazdrość i zawiść to siostry, ale nie bliźniacze. W każdym razie

pierwsze lata zmiany są trudne i wkrótce mieliśmy inne zmartwienia niż wierność, ponieważ z czasem mój mąż zachorował i chociaż nie starzejemy się zbyt po trzydziestce, znamy chorobę - nawet jeśli rzadko nam się zdarza - a także zarazę i pomór. Jego twarz straciła kolor, a ja opróżniłam jego przętyk z atramentu, ponieważ nie mógł go dłużej tam utrzymać. Jego słabość rozpałała we mnie iskrę strachu; drżałam cała, jak przy nadziei, wiedząc, że prędzej czy później będzie się to musiało rozstrzygnąć. Często spał i rzadko się budził, a mnie ręce bolały od rozpinania każdego pergaminu w pojedynkę.

Wreszcie podniosłam go z naszego łóżka i przywiązałam do szerokiego szkarłatnego grzbietu Hadulpha. Tak szliśmy, Astolfo milczał w swojej chorobie jak w śmierci, słońce w górze było przyćmione i bez wiary w siebie. Wysokie bananowce pozwalały nam przejść, kwiaty mukta, kiście pereł ciężkich jak groch na łądogach, ugiwały się pod naszymi stopami i roztrzaskiwały, deszcz nadchodził i równie szybko odchodził. Więcej niż raz padałam na ziemię, płacząc, potwornie zmęczona i spragniona i przerażona. To była długa droga, ale tak jak szlak do Fontanny, gdyby nie była długa, nic nie byłaby warta i odkrywam, że trudno mi mówić o czymś tak osobistym jak ta podróż.

Jak powiedziała Imtithal, słabość zawsze była częścią nas, do samego początku. I dlatego świat wie, jak odpowiedzieć na słabość. Istnieje wiele sekretnych miejsc w Pentexore, wiele odpowiedzi. Znałam miejsce, którego szukałam: głęboko w lesie, nieruchoma biała sadzawka podobna do mleka, choć to nie mleko, gdzie dwóch starych mężczyzn stało po kolana w kredowej wodzie. Szklane pałki kołysały się tam i wydzwaniały, ale nie było ptaków. Dwaj mężczyźni, którym siwe wąsy urosły tak długie, że zapletli je w wielkie spirale jak bele siana, nucili basowo, bez przerwy, nieustannie, chyba że pojawiał się przed nimi uszkodzone ciało. Znałam to miejsce, tak samo jak znał je Hadulph, chociaż nie mieliśmy dla niego nazwy. On niósł ze stoickim spokojem Astolfo i ani razu się nie poskarżył.

W tej sadzawce znajdowała się muszla omułka wyższa niż odpoczywający wielbłąd, ciemnoniebieska, ozdobiona pąkami jak koronką. Dwaj mężczyźni, tak starzy, że ich zmarszczki napierały na oczy, aż wreszcie w ogóle przestali widzieć, strzegli jej i poddawali każdego pacjenta próbie. Nosili identyczne szaty z długiej trawy. Podparłam Astolfo, by stanął na własnych nogach; jęknął, a głowa

opadła mu pod ciężarem żuchwy. Zatoczyłam się pod jego ciężkim ciałem, które cuchnęło chorobą - chorobą, o której myślałam, że wykwitła z rozpaczy jak orzech wyrastający na drzewie orzechowym. Gdyby nie rozpaczał, nie zachorowałby, byłam tego pewna.

- Czy pragniesz zostać uleczony? - zapytał pierwszy mężczyzna.

To było ich jedyne pytanie.

Astolfo jęknął i starał się otworzyć oczy w słabym blasku słońca.

- Czy pragniesz zostać uleczony? - zapytał drugi mężczyzna.

Gdyby Astolfo skłamał, woda stałaby się czarna i nic, czego mogła dokonać muszla, by mu nie pomogło. Pod spojrzeniem wiekowych mężczyzn wielu odpowiadało „nie”. Zdawali sobie sprawę, że pragną śmierci, odpoczynku, a nie zdrowia i dalszego życia. W głębi serca nie wszyscy życzą sobie zdrowia. Niektórzy chcą odejść. Pytanie nie jest puste, niezależnie od tego, co potem powie Jan. Niektórzy sięgają po ciemność i ją właśnie odnajdują.

Jednak Astolfo wymamrotał:

- Tak. Pomóżcie mi, proszę.

Jego ciało nie zdołało wydać z siebie żadnego więcej słowa, nawet jednego.

Mężczyźni otworzyli muszlę za pomocą paznokci, które urosły im długie i pożółkły z wiekiem. Wewnątrz ukazała się różowawo-biała wilgoć, jak namoczony jedwab i coś na kształt perłowego potu zraszającego ciało w muszli. Pomogłam ukochanemu podejść, mojemu biedactwu, mojemu zagubionemu. Wszedł do ciemnoniebieskiej muszli, która zamknęła się za nim. Nie wynurzał się z niej przez cztery dni, a ja przez cały czas czuwałam oparta o bok Hadulpha, obserwując, jak gwiazdy kołują ciepłe i pewne w swoich sferach. Spróbowałam raz mlecznej wody - smakowała jak skóra. Kiedy czekaliśmy, a starzy mężczyźni nucili, Hadulph zapytał mnie:

- Wolałabyś, żeby Abir inaczej wybrał? Żeby połączył cię ze mną albo z jakąś mniej delikatną duszą?

Pod długiej chwili odpowiedziałam:

- Nie. Wolę, żeby wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak się potoczyło, bo w przeciwnym razie, w jakich opalach byśmy się znaleźli? A w ten sposób i tak cię mam.

Pogłaskałam go po delikatnym pysku.

Kiedy się wynurzył, Astolfo był zdrowy i zarumieniony, i taka radość płonęła w jego oczach, że odebrałam to jak cios, ciężki i przyjemny w moich piersiach.

Od tego dnia nigdy więcej się nie odezwał.

Muszą ma swoją cenę. Zawsze.

Szkarłatny pokój dziecienny

Letni deszcz spadał rzekami wokół al-Qasr. Deszcz to melancholijne zwierzę. Drecze za człowiekiem późnym popołudniem, kiedy wszystko jest miękkie i przyćmione, i przesywa ducha srebrnymi strzałkami. Kiedy wyglądałam z dziecięcego pokoju przez okno, które osłonięto grubą czerwienią podwiązaną szkarłatnym sznurem, zawsze żałowałam, że to nie śnieg. W szerokiej niecce Nuralu, wspaniałej stolicy, w mieście piasku i onyksu, w domu, lecz nie w moim, nigdy nie padał śnieg.

Pewnego ranka, kilka lat temu, obudziłam się i odkryłam, że wodę w misie do ablucji w naszej kaplicy ściął cieniuteńki lód, ledwie szept lodu i wystarczyło muśnięcie opuszką, żebym go roztrzaskała. Wypełniła mnie wtedy wielka radość. Szłam każdym korytarzem i ulicą uradowana, jakbym nosiła cudowny sekret. Był to jednak pojedynczy lodowy kryształek na niekończącym się sznurze gorących kamieni. W Nuralu lgnące ciepło to nasz stały towarzysz, przywierający do liści papai i baobabów, mlecznych jagód winorośli i krwawiących róż. Wielkie deszcze krążyły wokół letniego przesilenia jak potężny złoty wir odpływu i chociaż każdy kwiat otwierał się na ulicy jak dłonie żebraków, ja wędłłam od ciepła. Dzieci nie mogły bawić się na dworze i w swojej zawiedzionej dzikości popsuły tuzin zabawek i kilka innych przedmiotów, które nie były przeznaczone do zabawy, jak na przykład moje śniegowce - a to wszystko, zanim nastąpiło południe.

Oto jak to z nami było:

Houd, Którego Przede Wszystkim Należało Winić Za Śniegowce: Nie przeproszę też! Nie powinnaś mieć takich paskud! Tu nigdy nie pada śnieg!

Ikram, Która Sama Popsuła Trzech Glinianych Żołnierzyków: Pewnego dnia może wrócić do domu, Houd. Zwłaszcza że musi opiekować się takim okropnym stworzeniem jak ty.

Lamis, Która Niczego Nie Zepsuła i Była Łagodna: Nie, nigdy! Matka nigdy na to nie pozwoli! Nie wolno ci nigdy wrócić do domu! Jesteś naszym Motylem i niczym innym, podzielę każdego prosto w

twarz, kto mi zaprzeczy!

Musicie zrozumieć: dzieci to potwory. Są wygłodniałe, żarłoczne, sadzą susami przez kraj, z zaślinionymi pyskami, szukając miłości do pożarcia. A kiedy ją znajdują, to nawet jeśli mogą się nią obezreć, nawet jeśli mogą się w niej wytarzać, to im nigdy nie wystarczy. Ich głód jest większy, niż może nastarczyć jakiegokolwiek serce. Nie oceniajcie ich jednak źle z tego powodu - pod tym względem wszyscy jesteśmy potworami i dopiero kiedy dorośniemy, uczymy się nieco subtelniejszych metod podchwytywania miłości i cichaczem oblizujemy z niej palce do czysta w ciemnych kątach, rozkoszując się każdą najmniejszą odrobiną. Dzieci potrafią tylko niezręcznie rzucać się na miłość. Często nie trafiają, ale właśnie w ten sposób się uczą.

Ich ręce są tak duże, tak bardzo duże, bo tak dużo potrzebują. Wyciągają je i wyciągają i można zniknąć w uścisku ich dłoni.

Teraz wiem to wszystko, bo jestem znacznie starsza. Wtedy czułam, że zaraz się rozpłaczę, tak straszliwie tęskniłam za śniegiem i lodem, i zimnem. Tęskniłam za swoim starym życiem i dziewczyną, którą byłam. Nie chciałam dać się zamknąć w tej nieznośnie ciemnej i krwistej komnacie, nie bardziej niż same dzieci. Nie można jednak okazywać słabości potworom, nawet małym. A moje śniegowce nadal leżały w strzępach na podłodze i cała trójka dzieci umyślnie starała się omijać je wzrokiem. Przyzwałam w sobie głęboką sadzawkę spokoju i pokryłam ją lodem, aż byłam w stanie znowu odezwać się do tych bestii. Słodko, z miłością, z taką miłością, jaką w sobie miałam. Czasem, kiedy jest się smutnym, można opowiedzieć jedynie historię o smutku, dzięki czemu zgodnie z jakimś niejasnym prawem smutki się wzajem zniosą, a deszcz wszystko oczyści.

Poza tym wszystkie królewskie dzieci powinny wiedzieć, że nie znajdują się w centrum wszechświata, wbrew wszelkim dowodom dostarczonym im przez zmysły.

Kochani, powiedziałam do nich, czy wiecie, że istnieje świat bardzo daleko od naszego? Z miastami o licznych kopułach niczym stado ozdobionych klejnotami wielbłądów i wieżach tak wysokich, że nie widać ich czubków przesłoniętych przez puszyste jak krem pomarańczowe chmury?

Houd, Który Wiedział Wszystko: To kłamstwo. Nie powinnaś

kłamać.

Ikram, Której Było Bardzo Przykro z Powodu Żołnierzy: Mówi najbardziej kłamliwy z kłamców, jaki kiedykolwiek kłamał!

Lamis, Która Chciała, by Świat Był Wielki: Są tam dzieci takie jak my? O wielkich dłoniach i pomarańczowych oczach?

Dzieci istnieją wszędzie. I zgodnie z logiką niektóre z nich muszą mieć dłonie jak wy. Powinniście jednak zapytać mnie: Skąd wiem, że taki świat istnieje, skoro nigdy tam nie byłam ani nawet nie widziałam filiżanki zrobionej przez człowieka zza morza?

Houd, Który Stłukłyby Taką Filiżankę: Nic mnie to nie obchodzi.

Lamis i Ikram, Które Wytrzeszczyły Oczy: Skąd wiesz, Motylu?

Deszcz powiedział plusk, plusk, sza. Ja zaś rzekłam:

Pewnego razu, bardzo dawno temu, zanim wasza matka została królową, zanim wciągnęła brązową beczkę do Pawilonu i zakręciła w niej naszymi żywotami, przybył do Pentexore mężczyzna z tego innego świata. Byłam bardzo młoda, niewiele starsza niż wy teraz i moje uszy jeszcze nie zbielały. Kiedy panoti są młodzi, nasze uszy są niebieskie, tak niebieskie, że wydają się czarne w blasku księżyca, jak woda. Mieszkałam wtedy w Nimat-Pod-Śniegiem i miałam dwie matki i uchojca. Nie każdy jest jak cametenna z jedną wielką macierzą i tuzinem partnerów, moje kochane dziewczynki i milczący chłopcze, tańczącymi nocą pod namiotem w kolorze róży!

Ten dziwny człowiek wszedł do naszego miasta, zdrożony, umierający z głodu, z nosem niemal czarnym od mrozu. Nie jadł od wielu dni i kiedy nakarmiliśmy go wołową herbata, zadławił się; wciąż było mu mało. Może powinnam przygotować ją pewnego dnia dla was. To biała herbata, która przed zebraniem wygląda jak srebrne igły, dolewa się do niej wołą krew i miód, dodaje grudkę masła, żeby się rozpuściła w naparze. Nie ma lepszej rzeczy dla przymierającego głodem.

Ikram, Która Tego Ranka Zjadła Trzy Galaretki z Pigwy i Trochę Ją Mdlilo: Faj! W życiu tego nie tknę!

Houd, Któremu Spodobała Się Wizja Krwi: A ja owszem.

W tamtych czasach byłam jedynym dzieckiem w Nimat, ponieważ rzadko płodzimy potomstwo, a kojarząca się trójka musi zostać wybrana

spośród wszystkich mieszkańców wioski. Dzięki temu dziecko ma zapewnioną opiekę nie tylko ze strony rodziców, lecz naprawdę wielu dusz, a w Nimat nigdy nie robi się zbyt tłoczno ani zbyt pusto. Wszyscy mnie uwielbiali, a ja uwielbiałam wszystkich. My, panoti, pamiętamy tę wszechogarniającą miłość i z tego wspomnienia wypływa nasza dobroć i cierpliwość dla tych, którzy nigdy nie poznali, co to znaczy być tulonym i całowanym przez każdego sprzedawcę, przyciskany do piersi przez każdego kowala. Kiedy jesteśmy zmęczeni z powodu kochanków, królowych albo uprzykrzonych dzieci, które niszczą wszystko w zasięgu wzroku, natychmiast musimy zanurkować do tej pełnej studni, żeby schłodzić nasz gniew.

Lamis, Która Była Najmłodsza i O Niej Najczęściej Zapominano: Chciałabym być tak kochaną.

Biegałam jak szalona i turlałam się po ogrodach, aż moje niebiesko-czarne uszy całe były w płatkach śniegu. Śpiewałam i wszyscy słuchali, nazywając piosenkę czarującą i kochaną. Ja zaś kochałam małego białego liska, który biegał wokół moich kostek i spał w płatkach moich uszu. A kiedy wygłodzony człowiek o wielkich ciemnych oczach i długiej brodzie zjawił się w Nimat, pobiegłam do niego, jak biegłam do każdego, wiedząc, jak każde dziecko w Nimat wiedziało, że złapie mnie, weźmie na ręce, ucałuje i da mi trochę kwiatów gimel do ssania. Moje uszy łopotwały na zimowym wietrze, a ja skoczyłam przekonana, że mnie złapie... a on mnie upuścił. Próbował mnie złapać, naprawdę, ale ja byłam ciężka, a on słaby.

Usiadłam na śniegu. Nigdy dotąd coś podobnego mi się nie przytrafiło. Zostałam upuszczona. Uniosłam głowę i spojrzałam mężczyźnie w oczy, a one były dla mnie dziwne - białe wokół głębokiej, ciemnej studni zamiast całkowitej bieli oczu panotich. Wydawało mi się, że ma otwartą pustkę w oczach, i po raz pierwszy w życiu bałam się drugiej osoby. Jego zapadłe policzki, tak puste! Popatrzył na mnie - małe niebiesko-czarne stworzenie o wspaniałych, ogromnych uszach jak u słonia, w futrzanej odzieży całej oblepionej śniegiem, o włos od łez z powodu niezręczności nieznanego. I wtedy z wielkim trudem podniósł mnie i ukoił. Pogłaskał po uszach, co jest bardzo przyjemne dla panotich, i w języku zgrzytliwym i łagodnym zarazem powiedział mi, że wszystko jest dobrze.

Zrozumiałam go, chociaż niektóre ze słów rozbrzmiały dziwnym i zniekształconym echem. Zupełnie jakbyśmy rozmawiali w językach, które były rodzeństwem, ale rozdzielono je po narodzeniu i pozostawiono, by dorastały nieświadome, że to drugie przepada za dyftongami albo pewnymi ozdobnymi czasami gramatycznymi.

Nazywał się Didymos Tauma, powiedział, a kim jestem ja?

Imfal, szepnęłam, teraz przerażona, ledwie zdolna wypowiedzieć własne imię. Pachniał żarem i dałą jak prażony piach. Masz może kwiaty gimel?

Nie miał. Moje matki i ojciec przyrządzili mu wołową herbatę i wysłuchali jego opowieści: przybył z miejsca, którego nazwę z trudem nawet wymawiam, zwanego Jeruszałaim, gdzie wszystkie kopyły są ze złota, a drzewa oliwne uginają się od oliwy i owoców. Kiedy mówił o tym mieście, chociaż jego akcent dziwnie brzęczał, siedziałam z rozdziawionymi ustami, jakbym widziała je na własne oczy: pyliste ulice i daktyle z palm rozgniecione na ziemi, wieczorne pieśni modlitewne niczym łabędzi zew i mężczyzna zwany Jeszua, o którym Didymos powiedział, że był jego bratem, i który zginął, ponieważ gubernator orzekł, że Jeszua musi umrzeć. Jednak trzy dni później wstał z grobu, jadł chleb i pił wino, które trochę już skwaśniało, i przemawiał do nich wszystkich. Didymos musiał dotknąć ran Jeszui, na pół pokrytych strupami, na pół wygojonych, zniekształconych i zgrubiałych od tkanki bliznowatej, zanim nazwał go bratem i uwierzył, że to prawda.

Musieliście go pochować głęboko i dobrze, powiedziała jedna z moich matek, skoro wykielkował tak szybko. Przybysz popatrzył na nią, a ona odwzajemniła jego spojrzenie i nawet ja widziałam, że zupełnie nie rozumiał, co miała na myśli. Jednak żadne z nich nie dopytywało się o nic, nie chcąc okazać się niegrzecznym.

Podczas gdy przyjaciele Jeszui jedli, pili i opowiadali stare dowcipy na temat osłów, Didymos spojrział na chwilę w stronę słońca, tylko na chwilę, a kiedy zerknął z powrotem w stronę stołu, brata już nie było i nigdy nie wrócił między żywych. Jeszua wrócił do nich - a Didymos tylko krzywił się i wątpił. Wstydził się tego. Didymos Tauma żył w głębokiej żałobie, powiedział. Nigdy więcej nie ujrzy brata, dopóki sam nie umrze i może wtedy ponownie nauczy się uśmiechać.

Jeśli umrzesz tutaj, powiedział mój ucho-ojciec, obejmując

przybysza szczupłą ręką za ramiona, zadbamy o to, żeby pochowano cię obok drzewa twojego brata, nawet jeśli przyjdzie nam pójść aż do Jeruzalaim.

Didymos Tau ma podziękować mu, ale nie zrozumiał. Jeszcze nie wiedział, gdzie się znajduje.

Dobrze więc, dzieci, jak wiecie, nasz kraj jest otoczony przez morze - morze piasku zwane Rimal. Wiem, że malowałyście je w swoich zeszytach do nauki i zużyłyście całą żółtą farbę. Jednakże na cztery dni w roku wśród piachu formuje się ścieżka, która może doprowadzić kogoś zagubionego na morzu do naszych granic. Taka rzecz przydarzyła się, kiedy Statek z Kości został wyrzucony na tutejszy brzeg. Istnieje jednak inna droga, jak myślę, przez góry, i tą drogą przybył mój przyjaciel Didymos Tau ma.

Został z nami wiele lat i zszedł do Nuralu, żeby zobaczyć al-Qasr i opowiedzieć historię swojego brata królowi, którego nazywano Kanti-lal i który wywodził się z astomich, ludu mającego nosy tak wielkie jak wasze dłonie. Didymos zrobił sobie dom z wolej skóry i potężnych długich kości, jakie czasem wydobywa się na stokach Osi Niebios. Każdego dnia chodziłam do niego, ponieważ śmiertelnie ciekawiła mnie jedyna dusza na całym świecie, która mnie nie kochała - chociaż to nie trwało zbyt długo. Już wkrótce wskakiwałam na niego, całowałam mu twarz, a on drapał mnie po głowie, gdzie zaczynałam gubić stare futro i pod błękitnym zaczęło mi wyrastać nowe, śnieżnobiałe. Kiedy dorosłam i kolejna rodzina pracowicie nabrzmiewała nowym dzieckiem w Nimat, mój przyjaciel często się rumienił, kiedy witałam go w sposób, jaki panoti praktykują wśród najbliższej rodziny: siadając mu na kolanach, obejmując go nogami w pasie i zamykając całkowicie w ogromie moich bladych uszu. Szeptał do mnie, w tej świętej przestrzeni utworzonej przez moje ciało, że to niestosowne, byśmy tak siadali, że to śmiałe i bezwstydne.

Byłam zdezorientowana. Dlaczego cokolwiek miało być wstydlive w rodzinie? Teraz jesteś mieszkańcem Nimat, jednym z moich. To nie moja wina, że Jezua miał takie małe uszy i nie mógł cię nauczyć właściwych manier ani siadać ci na kolanach.

Nie, odpowiedział oschle, nie to miałem na myśli. Mąż i żona mogą się w taki sposób obejmować, ale nie niezamężna kobieta i stary

mężczyzna.

Nie rozumiałam go. On nie rozumiał mnie. Robiłam więc to, co mi odpowiadało.

Didymos najbardziej lubił opowiadać historie o swoim bracie i ich przyjaciółach, o Jeruzalaim jesienią, kiedy jedli razem kozę przy długim stole i rozmawiali o naturze świata i naturze duszy.

Co to jest dusza? - zapytałam.

Dusza to jest to, co czyni człowieka człowiekiem, odpowiedział mi, a nie zwierzęciem. To nieśmiertelna substancja w człowieku, która będzie żyła wiecznie.

Ja będę żyć wiecznie, powiedziałam i oparłam policzek o jego twarz.

Didymos nie uwierzył mi do końca. W jego świecie ludzie żyją krótko i potem umierają, jak pierwsi pionierzy, którzy założyli stolicę Nural. W jego świecie, kiedy zakopujesz osobę w ziemi, ona tam zostaje, zamienia się w kości i w ogóle nie wyrasta.

Lamis, Która Odwiedzała Drzewo Swojej Babki Co Sobotę i Rozmawiała z Nią o Rządzie i Ubijaniu Śmietany: Nie! Nie, Motylu, powiedz, że to niemożliwe. To zbyt straszne, umierać i pozostać martwym!

Ikram, Która Zadrzała: Nie płacz, Lamis. Nie żyjemy w tym okropnym świecie.

Innym razem zapytałam go: Czy ja mam duszę?

Didymos Tau ma odpowiedział: Nie wiem, Imtithal. Żałuję, że nie ma tu mojego brata. On by ci powiedział. Ja jestem tylko człowiekiem i nie wiem, co ty masz i gdzie jest moja własna dusza.

Czułam pod sobą całe jego ciało, zeszywniałe i napięte, i chciałam, żeby się rozluźnił, więc zaszczebiotałam trochę, zaśpiewałam moją ulubioną piosenkę i zatrzepotałam rękami przy jego policzku, a on zaczął łkać w objęciach moich uszu, ponieważ cudzoziemcy są zdumiewający i czasem niepojęci.

Didymos żył wśród nas przez wiele lat, aż potwornie się zestarzał. Próbowaliśmy mu powiedzieć o Fontannie, ale on upierał się, że się cieszy, bo wkrótce ponownie ujrzy swojego brata, i nie chciał przedłużać ich rozłąki. Włosy mu pobielały; jego skóra zwiędła jak orzech. Nauczył się parzyć wołową herbatę. Wybudował kaplicę, gdzie mógł czcić

swojego boga i przygotowywać się na spotkanie z bratem. Poprosił, byśmy do niego dołączyli, ale nie chcieliśmy, ponieważ czerpaliśmy pociechę ze wszechświata takiego, jakim jest - przedmiotu jedynie naszej własnej miłości i miejsca poszukiwania mądrości, niepozostającego we władaniu zazdrosnego bóstwa.

I pewnego dnia położył się i już nie wstał. Wezwał mnie do swojej chaty, a ja położyłam się na nim delikatnie, ponieważ nie mogłam się poruszyć, i po raz ostatni zasłoniłam mu twarz uszami. Do tego czasu już pokochał to, jak zamykały się wokół niego, tworząc sekretną przestrzeń. Oto co sobie wtedy powiedzieliśmy:

- Posłuchaj mnie, Imtithal.

- Słucham.

- Byłem tu szczęśliwy. To było dobre życie. Poznałem, co to radość.

- To mnie pociesza. Nie chcę, byś umierał.

- A jednak muszę. Ale zanim się rozstaniemy, pragnę ci powiedzieć, bo wiem, że powtórzysz to wszystkim: istnieje ścieżka prowadząca z mojego świata do twojego. Ludzie ją obiorą. Może niezbyt szybko, ale pewnego dnia tak się stanie.

- Uraduję się, mogąc poznać innych podobnych do ciebie.

- Nie będą tacy jak ja, Imtithal. Nie wszyscy ludzie w moim świecie są dobrzy, nie wszyscy nawet stoją w świetle miłości mojego brata. Przybędą z mieczami i będą wierni wielu ideom, których nie pojmiecie i których nie będą nawet próbować wam wyjaśniać.

- Chcesz powiedzieć, jak Alisaunder?

Zmieniła się jego twarz, kiedy zastanawiał się nad tym imieniem. Wydawało się, że piekło go w język jak żagiew.

- Masz na myśli Aleksandra?

Nasze języki często się tak zderzały - sprzeczący się kuzyni.

- Alisaunder Czerwony, który zamknął Wrota, uwięził plemiona za górami i zapewnił naszym ziemiom bezpieczeństwo. To było dawno temu. Dawno przede mną i nawet moimi rodzicami. Zanim skiapodowie znaleźli swój wielki las daleko na wschodzie. On też przyszedł z Jeruzalaim?

Didymos Tauma pokręcił głową zatroskany. Dotknęłam jego twarzy, postarzałej, ale kochanej.

- Zjawią się - westchnął - i nie będą nazywali się Aleksander ani Tomasz Didymos. I nie będziesz wśród nich bezpieczna. Musisz być ostrożna i nie skakać im w ramiona, jak skoczyłaś w moje.

- Nie jestem już dzieckiem. Nie skaczę tak często.

Zaśmiał się słabo pode mną.

- Wiem teraz - wychrypiał - że to miejsce to część wielkiego planu Boga. Myślę, że może tu nigdy nie było jabłka ani węża.

- Mamy wiele węży i jabłek. I nigdy nie podobała mi się ta historia. Nie wierzę, żeby była prawdziwa. Nic w niej nie jest takie, jak powinno być.

- Nie jest taka, jak powinna dla ciebie, w tym miejscu. Ale ludzie w moim świecie bywają bardzo nikczemni, Imti, bardzo. Będziesz żyła znacznie dłużej niż ja. Zranią cię, ponieważ dla nich ta historia jest prawdziwa i nic nie poradzą na swoje straszliwe instynkty, które każą im wszystko pożerać, wszystko wiedzieć i niszczyć wszelką rzecz, która nie jest taka jak oni. Jeśli zjawi się człowiek, który przejdzie przez piasek, traktuj go z ostrożnością. Zachowaj czujność jak przy wilku.

- Dobrze - obiecałam.

A kiedy tak przeleżeliśmy wiele godzin, powiedziałam:

- Pozwól mi pogrzebać cię tutaj, Tauma. Nie musisz iść do nieba dla ludzi, którzy są nikczemni. Pozwól mi cię pochować, byśmy nie musieli się rozstawać.

I chociaż zawsze odmawiał, umierając, ustąpił mi. Pokusa, kiedy człowiek z tego świata staje u czarnych drzwi, jest zbyt wielka.

- Dobrze, Imtithal. Pochowaj mnie głęboko.

Houd, Który Też Był Nikczemny: Czy zjawił się ktoś jeszcze? Czy przybył z mieczem?

Od tamtego czasu minęło wiele stuleci. Być może nie istnieje inny świat, a mój przyjaciel był trochę szalony. Może nie był, ale po prostu droga stamtąd jest zbyt trudna. Jednak to cudowna myśl, prawda? Inny świat, tuż obok naszego, wypełniony tak fantastycznymi rzeczami?

Domostwo błogosławionych

Nasze ziemie są domem słoń, dromaderów, wielbłądów, krokodyli, meta-collinarum, camentennus, tenseyetów, dzikich osłów, białych i czerwonych lwów, białych niedźwiedzi, białych meruli, świerszczy, gryfów, tygrysów, lamii, hien, dzikich koni, dzikich wołów, dzikich ludzi - rogatych ludzi, jednookich ludzi, ludzi z oczami z tyłu i przodu, centaurów, faunów, satyrów, pigmejów, olbrzymów wzrostu czterdziestu łokci, cyklopów i podobnych im kobiet. Jest to także dom feniksów i niemal wszystkich żywych stworzeń.

Mamy też wśród naszych poddanych ludzi, którzy żywią się ciałem ludzkim i przedwcześnie narodzonych zwierząt, nieznających lęku przed śmiercią. Kiedy ktokolwiek z nich umrze, przyjaciele i krewni pożerają go łapczywie, ponieważ uważają za najważniejszy obowiązek przeżuwanie ludzkiego ciała. Nazywają się Gog, Ma-gog, Anie, Agit, Azenachowie, Fommeperi, Befari, Conei-Samente, Agrimandri, Vintefolei, Casbei i Alanei. Te i podobne im nacje zostały zamknięte za strzelistymi górami na północy przez Aleksandra Wielkiego. Dowodzimy nimi wedle własnego uznania, prowadząc ich przeciwko naszym wrogom, i żaden człowiek ni zwierzę nie ostaną się niepożarci, jeśli nasz majestat wyda stosowne pozwolenie. A kiedy wszyscy nasi wrogowie zostają pożarci, wracamy z naszymi zastępami do domu.

List Jana Prezbitera, 1165

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Gwóźdź z mojej świecy brzęknął o cynowy talerzyk, a ja oderwałem się od tej straszliwej opowieści. Nie mogłem uwierzyć - nie tak do końca - że przyjacielem Imtithal był Święty Tomasz zaginiony w Indiach, co stanowiło odpowiedź na zagadkę starszą niż Jan Prezbiter. Ile sekretów ukryłeś w jednym małym kraju, Panie? Nie chciałem myśleć o Tomaszu leżącym pod tą obcą gawędziarką - to śmiałe i bezwstydnie, dotykać w taki sposób zwierzęcia, a czytanie o tym wydobywało szlam z dna mojej duszy. Nie wydawało się to czyste, nawet jeśli nie wydawało się także pożądlive. Ogarnął mnie niepokój w mojej nieruchomej, ciemnej celi, pośród glinianych ścian bliskich i ciepłych.

Potarłem oczy. Książka przede mną, opowieść Imtithal, cała szkarłatna i gruba, mocno zbrązowiła na brzegach. Jej zapach przybierał na słodczy, w miarę jak ją czytałem, załamania stron pociemniały i zmiękły. Wiedziałem, że mam niewiele więcej niż jedną noc na jej przeczytanie i skopiowanie - książki zgniją, umrą, jak umiera ciało, a ich słowa znikną jak dusza. Nic dziwnego, że mogłem wziąć tylko trzy: w jedną noc nawet ja nie poradziłbym sobie z większą liczbą, a prawdopodobnie i trzem nie podołam.

Wezwałem brata Alarica, najbliższego przyjaciela w naszej trupie. Osiągnął stosowny wiek, by zazdrośnie strzec opowieści o swoim młodzieńczym wigorze, innymi słowy dobiega czterdziestki, umysł ma bystry, surowy i ostry. Przyszedł bez słowa, a jego obecność niosła pociechę. Przyniósł ze sobą kubek gęstej wzmacniającej herbaty, coś na kształt jogurtowego piwa, szorstki talerz z kawałkiem koguta, którego kobieta przygotowała w palenisku swojego pana, oraz glinianą miskę z płaskimi rdzawymi liśćmi.

- Powiedziała, że pobudzają, pomogą ci nie zasnąć. Kazała mi je zapalić - wyjaśnił Alaric, wziął moją świecę, przysunął płomień do liści, aż nakapał na nie wosk i wreszcie zapłonęły, uwalniając w pokoju aromatyczny dym, który rzeczywiście nieco mnie rozbudził.

Wypiłem miksturę i przeżulem z wdzięcznością ciemne mięso, podczas gdy Alaric przeglądał moje kopie, wykrzykując to nad tym, to

nad tamtym.

- Oczywiście nie możemy dać wiary, że kapłan-król miał żonę! - zdumiewał się. - Ani w ten nonsens o Tomaszu Judaszu i jakimś słoniem.

Zaciągnąłem się głęboko dymem i podjąłem rolę światowego adwokata, zamierzając poznać przemyślenia Alarica i z ich pomocą uporządkować własne.

- Tak uważasz? Wielu świętych żołnierzy robiło gorsze rzeczy w Ziemi Świętej niż branie sobie prawowitej żony albo przyjaźnienie się z dzieckiem.

Alaric dotknął brązowiejących stron.

- To musi być fikcja - oznajmił stanowczo. - Wiesz, jak pisarze uwielbiają kłaść reputację świętych. To fikcja napisana przez króla Abbasa albo gorzej: przez tę kobietę o okropnych oczach.

- Być może - powiedziałem, rozkoszując się resztką piwa. - Nie wiem już, co o tym myśleć. W końcu zjawiliśmy się tutaj, szukając człowieka, którego żaden z nas nie poznał i którego czyny przetrwały jedynie w starodawnym liście.

-Ależ bracie Hiobie, wielu go poznało! Wielu uczonych doktorów i najemników wróciło ze wschodu z opowieściami o Janie Prezbiterze, z kamieniami z jego tronu i gałęziami z jego sadów.

- Nie zakończyłem swoich badań, bracie Alaricu, cóż mogę rzec?

I tak to rozsądziwszy, usiedliśmy na chwilę, rozkoszując się pachnącym dymem; dałem odpocząć starym oczom.

- Czytając, rozmyślałem nad tym, co nas tu spotkało, bracie. Wiesz, że kobieta w żółci pozwoliła mi zerwać tylko trzy książki z jej cudownego drzewa?

- Oczywiście, bracie Hiobie - powiedział z powątpiewaniem Alaric.

Nie wiń go, Panie. Nie było go tam; nie widział pięknego drzewa obsypanego książkami. Ja sam bym sobie nie uwierzył. Jednak moje myśli wirowały zbyt szybko, jedna za drugą, gdy łączyłem je i ścigałem. Spieszyłem się, od lat nie czułem się tak pełen życia.

- Biedaku. Niedowierzenie nie jest cnotą w twoim fachu. Czy nie dostrzegasz tego, co ja widzę? Setowi także dane były trzy ziarna z Drzewa Poznania Dobrego i Złego oraz Drzewa Życia splątanych ze sobą w Raju. Zjadł je i krzew wyrósł z jego ust, płonący, a z drzewa tej

krzewiny wzięło się drewno na drzwi Salomona i nawet na Święty Krzyż, który dźwigał Pana Naszego Chrystusa.

Alaric zmarszczył brwi.

- Powiedz mi, że nie zamierzasz zjeść tych książek.

Wzruszyłem ramionami, udając niefrasobliwego, zażenowany swoim uniesieniem w obliczu młodszego, silniejszego mężczyzny.

- Nie, nie. Ja tylko uważam, że to interesujące kroczyć echem Słowa Boga. Ktoś mógłby dostrzec w tym znak z niebios, że znaleźliśmy tu prawdziwą opowieść, ponieważ, gdzie powtarzamy opowieści z Pisma Świętego, tam z pewnością krocimy drogą cnoty.

Alaric schował głowę w szorstki kaptur, jakby wzdragał się przed chłodem, którego nigdzie się tu nie wyczuwało.

- Wierzysz zatem, że umarliśmy i znajdujemy się w Raju, że drzewo, które widziałeś i którego dotykałeś, jest niczym innym jak Rajskim Drzewem i że nasze biedne dusze opuściły ziemię, ale jeszcze nie spojrzały w światło?

Popatrzyłem na poprzecinane korzeniami klepisko. Chciałem radosnej debaty, a Alaric poczęstował mnie poezją sepulkralną.

-Tak jak Tomasz Didymos, nie wiem. - Westchnąłem. - W całym swoim życiu nie poznałem niczego dziwniejszego albo bardziej nieziemskiego od tego miejsca, a jednak nie ma ono dla mnie posmaku Raju.

- Ani dla mnie - szepnął mój brat.

- Zostaw mnie, bym mógł wrócić do pracy - powiedziałem. - Jan Prezbiter musi wkrótce spotkać lud swego kraju, jestem tego pewien. Puls mi przyśpiesza za każdym razem, kiedy sięgam po jego książkę! Idź i zaprzyjaźnij się z naszymi gospodarzami. Być może, jeśli będę nalegał, pozwolą mi zebrać więcej owoców z tego drzewa.

Czułem, jak znowu narasta we mnie podniecenie, jak daję się mu ponieść, bo czyż nie chciałem studiować tej śmiertelnej trójcy ksiąg, czynić Twojego dzieła, Panie, nie dbając o własny głód wiedzy, tęsknotę za kapłanem-em-królem? Zamiast jednak tych rozsądnych myśli usłyszałem, jak warczę szorstko:

- Więcej i więcej, aż się nasycę, a Bóg obdarzył mnie wielkim apetytem na książki, bracie Alaricu!

Przyjaciół oddalił się, kręcąc głową, a ja, z narastającą gorączką, wepchnąłem nowy gwoździć w miękkie łój.

I pomodliłem się o poprawę Jana Prezbitera na przyszłych stronach, ponieważ na razie kochałem go bardziej jako człowieka niż kapłana.

Słowo w pigwie

Rozdział Czwarty, w Którym Jan Cierpi z Powodu Niepokojącego Snu.

Nie pamiętam, jak mnie znaleziono. Pamiętam tylko, że śniłem, jak tonę, czułem napierający na mnie znaczny ciężar. Niezależnie od swoich wysiłków nie mogłem się uwolnić. Przynajmniej we śnie było ciemno i zimno, nie widziałem tam ani słońca, ani księżyca. Bardziej mi się podobał ten sen niż życie, bardziej niż wędrowanie po świecie nieochrzczonych owiec. Nie pamiętam, jak mnie niesiono ani obmywano, ani jak mnie położono do łóżka, chociaż śniłem tak długo, że wszystko to musiało się wydarzyć, kiedy spałem. Pamiętam tylko sen: siedziałem na rozległym polu pod chłodnym wieczornym niebem i wszystkie gwiazdy, cała różnaitość gwiazd wisiała niczym latarnie, ich sznury przywiązane do strasznego brzucha złoto-różowej sfery wiszącej ciężko na niebie. Sfera opadła nisko i była ogromna - większa niż słońce czy księżyc, wielka jak całe niebo i była z czystego kryształu w kolorze płomienia świecy z przebłyskującymi żyłami w kolorze krwi. Czułem, że gdybym uniósł ręce, mógłbym podtrzymać maleńką cząstkę tego olbrzymiego brzucha. Gwiazdy zwieszały się z niego na jedwabnych sznurach, a każda nie większa od perły. A jednak kiedy na to spojrzałem, poczułem głęboki wstyd i zapłakałem, chociaż nie wiedziałem czemu. Sfera obracała się powoli przed moimi oczami we śnie.

Pod nią znajdował się tron wyrzeźbiony z czarnego drewna, a na słupkach tronu zebrał się śnieg, chociaż wcale nie padało. Nikt inny, tylko mój przyjaciel Kostas siedział na tronie, przyglądając mi się, a na jego wąskiej twarzy malował się smutek. U jego stóp przysiadły dwa ogary, jeden złoty, drugi kościany.

- W królestwie pamięci - powiedział Kostas - dotknięty amnezją jest królem.

Patrzył na mnie nieugięte, dobra i wyważona dusza, która nosiła mój pergamin i biegła o zmierzchu po wino z moją monetą; która

pozostała tak idealnie beztroska wobec pytania, czy malowanie twarzy Boga to akt szatański, czy święty, czy Chrystus był Ciałem, Słowem, czy potworną tajemnicą Słowa w Ciele. Z całego świata pragnęła tylko paru wilgotnych daktyli i kawałka jagnięcego tłuszczu do chleba.

- Kostas - szepnąłem i na kamienistej ziemi padłem przed nim na twarz. - Chcę wrócić do domu. Nie powinienem był wyjeżdżać. Spójrz, jaka kara mnie spotyka, gdy tylko porzuciłem swoje miasto.

-Jaki dom może istnieć dla takich heretyków jak my? - spytał mój przyjaciel i pojąłem, że mówi prawdę, przynajmniej odnośnie do mnie, człowieka, który związał swój los z Nestoriuszem i Logosem.

Spojrzałem na niego zasiadającego na tronie w całej chwale.

-Jaką herezję ty mogłeś popełnić? Jesteś niewinny.

Kostas położył nagą brązową dłoń na łbie złotego ogara; stworzenie uniosło głowę na spotkanie ręki.

- Byłem bałwochwalcą, a ty jesteś moim złotym cielcem. Pragnąłem być nie taki jak Chrystus, ale taki jak ty. Czcilem cię i próbowałem naśladować twoje życie zamiast życia świętego, który mógłby zbawić moją duszę. Marzyłem, że pewnego dnia, jeśli wykonam każdą rzecz perfekcyjnie, pochwalisz mnie jakimś drobnym słowem, a ja to słowo zamknę w cedrowej szkatułce i zachowam na wieczność. To słowo by mi wystarczyło.

Znowu zalał mnie wstyd niczym gorący przypływ. Znowu przycisnąłem twarz do ziemi, która ugięła się we śnie, czarna i miękka. Jednakże na tonsurze otworzyła mi się druga para oczu i widziałem nimi doskonale, nie oszczędzono mi żadnego widoku. Szepnąłem:

- Nigdy nie słyszałem, żebyś mówił w taki sposób.

- Cóż - odpowiedziało senne widziadło, zabierając rękę z głowy złotego ogara, żeby pogłaskać jego kościaną siostrę, która zazgrzytała zębami z przyjemności. Widziałem jej kły poprzez kości wąskich policzków. -Nie jestem naprawdę Kostasem. W królestwie snu cierpiący na bezsenność płata figle.

Kostas odwrócił kochaną, cudną głowę w bok i kiedy ponownie spojrzał na mnie, ujrzałem twarz mężczyzny starego, ale czerstwego, o różowym nosie, jakby dużo pił albo spędzał dni w śnieżnych szczelinach, gdzie wiatr kąsał mu członki. Miał brodę i ciemne włosy,

które nie ustąpiły jeszcze siwiźnie. Jego oczy były wielkie i głębokie, światła w ciemności, gwiazdy w nim krążyły. Wszystko to widziałem moimi wyśnionymi oczami, mrugającymi ze zdumienia w czaszce. Złota sfera napierała na nas.

- Unieś głowę, mój synu. Czyż nie przybyłeś tutaj, by mnie odnaleźć?

Spojrzałem moimi naturalnymi oczami, ale go nie poznałem.

- Jam jest Tomasz Didymos, Tomasz Bliźniak. Jestem apostołem Chrystusa. Nie znasz mnie, dziecię?

Święty Tomasz uśmiechnął się z tak żarliwą i smutną czułością, że myślałem, że umrę i nigdy się nie obudzę, ale będę wiecznie błąkał się po tym na poły oświetlonym miejscu, aż na jawie moje kości obrócą się w pył i rozsypią po całej długości jakiejś bezimiennej doliny, wysypią się poza wszelką pamięć oprócz wspomnień kilku przeklętych owiec. Na swoim tronie pod złotą sferą Święty Tomasz rozpiął koszulę, nie po to, by mnie przywołać, ale by mi pokazać - miał drugą parę oczu na piersi, usta na pępku. Drugimi ustami szepnął:

- Idź już, mój synu. Wybaczam ci wszystko, co ma nadejść.

Złota sfera opadła i poczułem jej nacisk na kości pleców, miażdżyła mnie niemożliwym ciężarem, swoim pełnym powagi światłem.



Wiele lat później w przesłoniętej zielonymi zasłonami sypialni, którą dzieliłem z żoną, opowiedziałem jej ten sen. Nic jej nie obszedł. Wolałaby zapomnieć o tamtych pierwszych dniach. Byłeś wtedy taki brzydki, powiedziała. Wybaczyłeś sobie we śnie a co, jeśli ja ci nie wybaczę?

Położyłem ręce na miękkim miejscu między jej obojczykami i łopatkami, gdzie mogłaby znajdować się głowa u innej kobiety. Pocałowałem to miejsce, przyciskając twarz do jej ciepłego brązowego ramienia. Na zewnątrz letnie deszcze lały się z ciężkiego nieba.

Jeśli mi nie wybaczysz, będę stracony.

Księga fontanny

Kiedy go znaleźliśmy, leżał twarzą do ziemi na pieprzowych polach; skórę miał tak wyprążoną, że cała popękała i pokryła się szkarłatnymi pęcherzami, włosy przerzedziły mu się jak trawa z braku deszczu. To mógł być ktokolwiek.

Król Abibas wybrał nas, sprawiedliwe przedstawicielstwo ludów, byśmy zbadali rzecz, która objawiła się na usianych farmami przedmieściach Nuralu.

Miałam dwieście pięćdziesiąt osiem lat.

Powinnam wspomnieć, że w owych czasach naszym królem był Abibas, niebieski muł. Niebieskie muły nie są, rzecz jasna, naprawdę niebieskie, ale raczej barwy popiołu. Jednakże przysięgają, że ich praprzodek Urytal mógł chodzić niezauważony przez letni świat, ponieważ jego sierść była koloru nieba. Poza tym główną cechą Urytala był bujny priapizm i zdolność płodzenia dzieci przez samo kasznięcie. Kiedy para mułów powtórzyła tę opowieść Janowi w okresie, kiedy ogarnęła go obsesja na punkcie opowieści o początkach i pochodzeniu, powiedział im, że to tylko pobożne życzenia i idiotyzmy, maskujące ich wstyd płynący z faktu, że same nie są zdolne spłodzić potomstwa. Abibas go ugryzł. A raczej ugryzły go trzy z Abibasów-owoców na pogrzebowym drzewie.

Abibas zginął bowiem w czasie swoich rządów w pojedynku, który wydawał mu się najlepszym sposobem rozstrzygnięcia pewnej kwestii dotyczącej jego honoru. Pojedynki nie prowadzą zwykle do śmierci, ale przecież muły nie wiedzą, kiedy przestać. Został pochowany z wielką pompą, po pewnym czasie jego drzewo wyrosło i Abibas kontynuował rządy właściwie tak samo jak uprzednio. A kiedy zjawił się cudzoziemiec, odrodzony Abibas, którego pierwsze kwiaty dopiero zaczęły się pojawiać, wybrał nas na swoich reprezentantów: Hadulpha, mnie i parę pigmej -skich bliźniąt. Mógł wybrać dowolne osoby i kiedy myślę o tym teraz, zastanawiam się: gdybym nie została wybrana, czy w ogóle obchodziłoby mnie, co się stanie z tym człowieczym wrakiem,

którego odziedziczyliśmy po bezlitosnym Rimalu?

Jestem Pentexoryjką. Lojalnym i ukochanym dzieckiem przypadku. Podporządkowuję się losowi jak pies. Jednakże przeraża mnie czasem to, jak blisko w każdej chwili znajdujemy się całkiem odmiennego, niewyobrażalnego życia, jakie moglibyśmy wieść. Oczami wyobraźni widzę dwie Hagie. Jedna stoi nad mężczyzną, o którym jeszcze nie wiedziała, że nazywa się Jan, a druga siedzi bezpiecznie w domu z Astolfo, zajada orzechy laskowe w sadzie, całuje jego szeroką szczękę i ani razu nie pomyśli o mieście zwanym Konstantynopol. Czuję całe swoje „ja” oddzielone w tej chwili, gdy szturcham stopą ciało Jana, słońce pali mi ramiona - to swoisty żywy obraz, o którym nie wiedzieliśmy wtedy, że jest żywym obrazem, ponieważ nigdy się nie wie, kiedy świat się zmienia. To się po prostu dzieje - nie możesz poczuć, jak się przesuwa, nagle tracisz równowagę i koziołkujesz na łeb, na szyję ku czemuś, ku czemuś nowemu.



Pigmeje chcieli go zjeść.

- Musiał być silny, żeby zawędrować tak daleko z jakiegoś dziwnego kraju - tłumaczyła siostra bliźniaczka, szarpiąc swoją ozdobioną paciorkami brodę. - Powinniśmy od razu przepołowić jego wątrobę i zabrać jego siłę dla naszego plemienia.

- Nie bądź egoistyczna - upomniałam ją, nadal patrząc na nieruchomą postać.

Nawet go jeszcze nie obróciliśmy.

- Egoistyczni? My? - Brat bliźniak się skrzywił, a jego drobna twarz napełniła się goryczą. - Musisz wiedzieć, że już od dawna nie smakowałem siły. Istnieją zasady. Jesteśmy gotowi przyjąć jego witalność i wnieść ją do naszej rodziny. Ty jej nie potrzebujesz. Daj ją nam!

Hadułph szturchnął nosem okaleczone stopy człowieka i powąchał jego ciemne ubranie.

- Pachnie wodą morską i sprasowaną mąką - oznajmił - a ten, kto pachnie sprasowaną mąką, zna smak pieczonego chleba, a ten kto zna

smak pieczonego chleba, jest cywilizowany, a my nie jemy cywilizowanych ludzi, chyba że już nie żyją albo są naszymi krewnymi, bo wtedy to kwestia religijna i nikomu nic do tego.

Spojrzałam w dół na ludzki kształt między czarnymi i czerwonymi krzewami pieprzu posadzonymi w długich rzędach jak na szachownicy. Wyglądało to dla mnie jak koniec rozgrywki: ja, skoczek o szerokich ramionach, stoję nad obalonym królem. Poglądziłam ciemiączko nad obojczykami, zastanawiając się nad szczątkami wyrzuconymi przez pustynny wiatr na naszą plażę z czarnego pieprzu. Mężczyzna w ogóle nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego - miękki, pozbawiony pazurów, o kształtach bardzo małego olbrzyma. Może olbrzymi adoptują go jako swojego pupila. Jednakże nie powiedziałam tego na głos ani nie stanęłam po stronie pigmejów. Zamiast tego podjęłam decyzję za nas wszystkich i jeśli kogoś trzeba obarczyć winą, to ja ją wezmę na siebie.

- Jest nieszczęsny jak dziecko, pomarszczone, leżące na brzuchu i pozbawione matki. Zabierzcie go do al-Qasr i prasujcie go, aż będzie gładki - powiedziałam cicho, a pigmeje gderali, zgrzytając wytatuowanymi zębami.

Hadulph wziął przybysza na szeroki różowy grzbiet, gdzie futro jeżyło mu się między potężnymi łopatkami, i tak skończył się nasz świat.



Położyliśmy obcego człowieka na jednym z obalonych filarów w centralnej sali al-Qasr - gładka wieża fioletowego kamienia zwała się na posadzkę pewnego dnia, kiedy pod portykiem trwała krzątania targu w porze księżycowej kwadry. Kiedy padła, odłamki złotych dachówek i drzazgi hebanu runęły za nią i teraz przez powstałą dziurę widać było gwiazdy niczym monety rzucone w dłoń nieba. Byłam tam owego dnia - para tygrysów podniosła łby, przerywając sprzeczkę z dwulicową aptekarką na temat tego, czy powinna sprzedawać sproszkowane jądra wielkich kocich kastratów jako afrodyzjak; lamia przerwała jadowity taniec; ja przysunęłam rękę pod piersi i podniosłam wzrok znad rękopisu, który leżał przede mną, by spojrzeć na sklepienie. Wszyscy patrzyliśmy to na filar, to na dziurę w dachu, w górę i w dół, w górę i w dół - to na niebo, to na zniszczoną architekturę.

Tak właśnie działa pamięć, kiedy żyje się wiecznie. Kładziesz

człowieka na kamieniu i widzisz człowieka, i widzisz kamień, ale widzisz też historię kamienia - kiedy był cały i wypolerowany, kiedy był spękany i zaniedbany, kiedy niemal wszyscy wiedzieli, że niedługo się zawali, kiedy zadygotał, kiedy padł. Pamiętasz, kto wzniósł kamienny filar, debatę nad jego kolorem, czy jest jaskrawy, czy też nie. Myślisz o książkach, które znasz, na temat filarów, może o poezji architektonicznej Yuliana z Babel. Może o perorach skiapodów na temat pogorszenia się jakości budowli. A ponieważ widziałaś tak wiele wzorów, jak nabierają kształtu, splatają się i rozwijają, widzisz też - migoczące tuż poza twoim zasięgiem - możliwości przyrodzone obcemu przybyszowi o tak małych uszach, tak małym nosie, tak maleńkiej szczęce. Widzisz możliwości tańczące na obrzeżach jego kształtu, to, czym może się stać. Czym ty możesz się stać.

W tamten wieczór, kiedy filar się przewrócił, byłam zajęta przy moim straganie, pisząc dla zarobku. Po chorobie Astolfo odnalazł w sobie niechętną miłość do gajów pergaminowych drzew i długich obręczy z suszącą się na słońcu skórą. Ostatecznie zaczął mnie całkiem ignorować i zamieszkał wśród nich, szczęśliwy i milczący, w swoistej komunii z nimi, w której ja nie miałam udziału. Zaczęłam wozić nasz welin i atrament na targ co kwadrę księżyca, a nasz towar był coraz sławniejszy i coraz bardziej poszukiwany, ponieważ zawsze był doskonały, a ja miałam dobrą rękę. Piękne pismo sprawia, że papier lśni.

Z rzeczy, które istnieją, niektóre istnieją z natury, a inne z odmiennych powodów, przekopiewałam z jednego zielonkawego arkusza papieru z pieprzowych liści na drugi. Był to wyjątek z Anty-Arystotelesa z Candrakantu, z którego owdowiały gryf imieniem Fortunatus polecił mi wykonać małą książeczkę. Widzicie, Anty-Arystoteles sam sływał z tego, że owdowiał w młodości i ogromnie cierpiał, kiedy jego żona się utopiła i nie pozostało ciało, które można by pochować. Całą swoją pasję filozof przelał w arcydzieło Physikai Akroaskeos, a kiedy je zakończył, wpadł w taką rozpacz, że nikt nie mógł zbliżyć się do niego, nie ryzykując podrapania i zmożenia łzami.

Filozof poszedł do muszli omułka i tamtejszych starców, ale nie mógł im powiedzieć, że pragnie zostać uleczony. Słowa go zawiodły. Powędrował na zachód i nie powrócił.

W noc, kiedy filar się zawalił, gdy wokół trwała wrzawa targu,

pisałam płynnie: Zwierzęta i ich różnorodne części istnieją i rośliny i proste ciała istnieją, a my mówimy, że one i im podobne powstały dzięki naturze.

Złożona baza filaru ukruszyła się, całość zachwiała się i padła na onyksową posadzkę. Zignorowałam hałas. Dekoncentracja jest wrogiem perfekcji.

Wszystkie te wspomniane rzeczy prezentują cechę, która odróżnia je od rzeczy stworzonych przez sztukę. Każda z nich zawiera w sobie zasadę niezmienności (pod względem miejsca, rozrostu albo słabnięcia, czy pod względem przemiany).

Gwiazdozbiór Taurus in Extremis, Zarzynanej Krowy, mrugał przez dziurę w połamanym drewnie. Hebanowy pył poszybował w dół niesiony leciutkim wietrzykiem znad rzeki.

Nawet ruch można uznać za rodzaj niezmienności, jeśli jest kompulsywny i nieustanny, jak ruch serca gryfa albo wzrost bambusa. Z drugiej strony łóżko albo płaszcz albo wszelka inna rzecz tego rodzaju, na ile jest wytworem sztuki, ma przyrodzony impuls do zmiany.

Kamienny filar runął z łoskotem; żyzna czarna ziemia trysnęła przez spękaną posadzkę. Trzon filaru zadygotał i popękał z głośnym i niedającym się zignorować hukiem. Ja jednak obowiązkowo dokończyłam linijkę, żeby nie wypaść z rytmu: za wskazówkę weźmy powszechnie znany Eksperyment Antinoe: jeśli zasadzisz głęboko w ziemi łóżko, gnijące drewno i przeżartą robactwem pościel, z całą pewnością i w czasie nie dłuższym niż trwanie jednej pory roku, czyli nie później niż kolba kukurydzy albo źdźbło jęczmienia, wypuszczą pędy.

Za zniszczonym filarem mignęła mi krawędź karneolowego węża, który strzegł wejścia do al-Qasr, pilnując, by nikt, kto nie jest lamią i - co za tym idzie - nie jest uprawniony, nie wniósł trucizny do pałacu. Za nim w dali gwiazda-świerszcz migotała jakby w świergoczącej piosence.

Zgromadzeni na targu wzruszyli jak jeden mąż ramionami i wrócili do swoich spraw, przechodząc nad filarem i zostawiając go tam, gdzie upadł - czy to nie lepiej, pomrukiwały cyklopy, teraz tu wpada trochę światła i jest gdzie rozprostować nogi. Wróciłam do mojej trzeciej kopii traktatu, męczącego jak wszelkie traktaty z drugiej ręki, i dokończyłam stronę.

Jednakowoż, ponieważ eksperyment ten można powtórzyć z bambusem, gryfem, metacollinarum czy trylobitem, być może sprawiedliwiej byłoby powiedzieć, że zwierzęta i ich części, rośliny oraz proste organizmy są wytworami, braćmi łóżka i płaszcza, że natura składa się jedynie z substancji, w których owe rzeczy można pogrzebać - a mianowicie z gleby i wody, niczego więcej.

Położyłam mężczyznę na kamieniu i patrzyłam, jak kamień upada, i nie było rozdziału między tymi dwoma wieczorami. Zrobiłam obie rzeczy i myślałam, podczas gdy filar przewracał się raz za razem w moim sercu:

Jest tak do nas niepodobny, Co to znaczyć



Zanim położyliśmy przybysza na filarze, kamień zarósł floksem, opornikiem, lawendą i pieprzycą. Oparliśmy jego poturbowaną głowę na liściach bananowca. Jęknął i szarpnął się w odruchu wymiotnym jak żeglarz wykastujący morze, a ja trzymałam go, aż pozbył się wszystkiego do czysta. Trzymałam go jak dziecko i czułam, jak dryfuję w górę i w dół poprzez wspomnienia, kiedy jego choroba ustępowała i napływała. Pielęgnowanie drugiej osoby jest męczące, chociaż żadna pielęgniarka się do tego nie przyzna. Choroba ma w sobie pewną jednostajność, cykle oczyszczania, gorączkowania, dreszczy i znowu oczyszczania. Miałam tego dość przy swoim mężu. Nie zostało mi nic cierpliwości dla cierpień przybysza, a jednak zdołałam go utrzymać, nie był zbyt ciężki, podczas gdy wokół zebrali się ludzie - Grisalba, zamożna lamia, przepchnęła się przez tłum, za nią owdowiały Fortunatus, a ja przypominałam sobie, jak lśniło jego złote futro tamtego dnia, gdy filar się przewrócił i jakie miał czerwone oczy od płaczu. Staralam się myśleć o wszystkim, byle nie o wilgotnych cielesnych palpatacjach obcego, tak bezradnego w moich rękach.

Minęła już godzina połowów, kiedy jego powieki uchyliły się w szparki i szepnął głosem słabym jak ćma:

- Tomasz...

- Tak się nazywasz, chłopcze? - warknął Hadulph, który z racji swoich rozmiarów każdego mógł nazywać chłopcem.

- Ehm. - Mężczyzna zakaszłał, kurz i popiół posypały się na moją

rękę. - Nie, nazywam się... nazywam się Jan.

Imię powinno rozleć się echem. Wszyscy powinniśmy zatrzymać się, żeby przeszło między nami niczym wieszczce przecucie. Jednakże nie uczyniliśmy tego. Zamiast tego zwilżyliśmy jego pokryte pęcherzami usta, a on jeszcze nie zauważył, że trzymam go w ramionach, wspartego o piersi, które wkrótce nazwie demonicznymi i nienaturalnymi. Jeszcze nie nazwał nas wszystkich demonami, sukubami, inferniy, poprosił tylko

0 chleb i więcej wody.

Jeszcze nie krzyknął, kiedy Hadulph się odezwał, ani nie zadrżał, kiedy świerszcze zacykały w rytmie jambicznym. Jeszcze nie nazwał nas przekłętymi, nie zażądał trybutu dla królów, o których nigdy nie słyszeliśmy, ani nie zakazał nikomu, kto nie został stworzony na Boże podobieństwo, dotykać jego ciała.

Jeszcze nas nie zganił za naszą ignorancję na temat Trójcy ani nie nauczał o niepokalanym poczęciu w czasie naszej pory godowej. Jeszcze nie zaczął wędrować po nizinach w poszukiwaniu drzewa figowego, którego nie powinniśmy dotykać, ani nie zaczął bełkotać w antykamerze załamany naszymi spokojnymi i zaciekawionymi spojrzeniami, które kierowaliśmy na naszego pupila dzień i noc, czekając, aż pokaże jakąś nową i interesującą sztuczkę.

Jeszcze nie osuszył swoich łez i nie dostrzegł, jak bardzo al-Qasr nie przypomina Bazyliki, jak daleko olbrzymom do nefilimów, jak niepodobny jest do awatary Świętego Marka Hadulph, a dolina naszych plemion do Edenu. Nie zdecydował jeszcze, że wszystkie stworzenia naszego świata nie są tak całkiem niepodobne do rzeczy świętych, z wyjątkiem blemiów, z wyjątkiem mnie, której brzydoty nie mógł zrodzić żaden święty wzrok. Jeszcze nie ogłosił swojej misji i nie poszedł za lamią Grisalbą do jej domu, próbując jej wyjaśnić transsubstancjację, którą, jako spowinowacona z derwiszem-kanibalem, pojmowała dostatecznie dobrze, ale udawała coś przeciwnego, by zwabić go do siebie.

Jeszcze nie nazwał jej dziwką i nie próbował zmusić do pokuty ze świecami w obu rękach. Ona jeszcze nie zatopiła zębów w jego policzku i nie odesłała go fioletowego i krostowatego z powrotem do Hadulpha.

Hadulph jeszcze nie wylizał go do czysta, szorstko i cierpliwie, jak to robią koty, i nie nazwał go zbłąkanym lwiątkiem. Jan jeszcze nie zasnął

przy szkarłatnym zadzie lwa.

Jeszcze nie wycofał się do al-Qasr, żeby studiować naszą naturę i nabrać pokory, zawstydzony swoimi oświadczeniami i swoją dumą. Jeszcze nie przyniosłam mu chleba jęczmiennego i czarnego wina ani nie opiekowałam się nim podczas trzech gorączek, ani nie pokazałam mu, kiedy rozpaczał, jak moje obojczyki otwierają się pod kawałkiem skóry niczym chmury rozciągnięte na krośnie.

Jeszcze nie przypełzył w ciemnościach, palony wstydem, żeby posłuchać, jak mówi mój brzuch, jak czyta mu z zielonych pieprzowych papirusów mojej codziennej kaligrafii, tylko po to, żeby słyszeć, jak wymawiam samogłoski. Jeszcze nie powiedział, że mówię z akcentem serafinów.

Tak działa pamięć, kiedy żyjesz wiecznie. Patrzysz z żerdzi lat i wydaje się, że wszystko dzieje się naraz.

- Nazywam się Jan - rzekł. - Chyba... chyba zabłądziłem. Wiem, że przybyłem w poszukiwaniu Tomasza i jego grobu. Apostoł, gdzie jest apostoł? Zabierzcie mnie do niego, jeśli jesteście chrześcijańskimi duszami.

Hadulph i ja spojrzeliśmy po sobie.

- A co to jest apostoł? - zapytał lew.

Szkarłatny pokój dziecienny

Po każdej wizycie feniksa dzieci ogarniała orgia nowych ambicji, frazeologii i szaleńczych marzeń, a wszystko to balansowało na piramidzie zabawek i błyskotek, jakie przynosił im Rastno. Połowa z nich zostawała popsuta w ciągu miesiąca, a druga połowa lokowała się wygodnie wśród najbardziej hołubionych zabawek w naszym małym żłobku. Nigdy nie doszłam do metody, która pozwoliłaby mi przewidzieć, jaki los czeka każdą jedną szklaną kulkę, klatkę albo kryształową lamię z ogonem rozbłyskującym ognistym oranżem i błękitem. Był doskonałym dmuchaczem szkła, ten Rastno. Uważał, że jego szkło powinno być najwspanialsze, skoro on nie boi się żadnego płomienia oprócz własnego. I zgodnie z tym przekonaniem napełniał stolicę paciorkami i świecidełkami, misami i kielichami, talerzami i amforami oraz zabawkami dla dzieci. I lustrami, zwierciadłami w każdym kształcie. Dzieci tygodniami przygotowywały się na jego wizytę. Nieważne, że przybywał spotkać się z ich matką, by poinformować ją o wielkim smutku i jeszcze większym strachu; dla moich kochanych zjawiał się tylko po to, by ich olśnić. Jego szkarłatne i kremowe pióra unosiły się i wyginały w tańcu ku ich uciesze; złoty pióropusz jego czoła kiwał się z zaciekawieniem, kiedy dzieci dzieliły się z nim swoimi małymi triumfami i zdradami. Był niewiele większy od Lamis, jeśli nie liczyć jej rąk, dla nich jednak był ogromny jak góra.

Martwy księżyc ześlizgnął się nisko nad horyzont; przygotowaliśmy się na nocny piknik z okazji jego odrodzenia. Ikram cały dzień gotowała miętę i jagody, żeby zrobić dżem - to odpowiadało jej naturze, ogień, bulgotanie, ból poparzonych kciuków. Lamis rozwałkowała małe ciasteczka, okrągłe jak żywy księżyc z ciasta jajecznego i żółtego, bardzo cicho i skrupulatnie, jakby własną cnotą zachęcała nowy księżyc do wzejścia. Houd zaparzył dla na wszystkich kawę w srebrnym dzbanku, rozgniatając ziarna kolosalną pięścią, już silną jak młot. Zerkał na nią z pewnym podnieceniem - ciemna, gorzka, gorąca, pachnąca mocno cynamonem, ziemią, a nawet małymi niebieskimi kwiatkami, które królowa zawsze trzyma obok łóżka.

Wszystko to, ponieważ - jak powiedział Houd - te rzeczy księżyc lubi najbardziej.

I tak usiedliśmy pod gwiazdami na wzgórzu za al-Qasr, na tyle wysoko, żeby móc zerkać nad karneolowymi wierzchołkami pałacowych wież i ich koronami z brązowych gwiazd, których sylwetki rysowały się na tle prawdziwych, płonących gwiazd. Ciasteczka smakowały trochę anyżkiem, pochwaliłam Lamis, ponieważ często potrzebowała pochwały, młodziutka i niepewna wszystkiego w świecie. Czekaliśmy, aż księżyc wzejdzie. Zaśpiewałam piosenkę o szlachetnych zwyczajach cyklopów.

Ikram, Której Rastno Podarował Szklany Róg: Motylu, dlaczego feniks Rastno jest taki smutny?

Lamis, Której Rastno Podarował Szklany Kwiat: Stara się być dla nas pogodny, ale płacze pod skrzydłem. Nawet ja to widziałam.

Houd, Któremu Rastno Podarował Szklany Sztylet: Jest dorosły. Dorośli zawsze są smutni. To ich hobby.

Kazałam im przysunąć się do mnie. Moje uszy sływały wokół ich ramion. Zachęcałam dzieci, by spojrzwały w dół na dolinę Nuralu, zobaczyły nocne kwiaty, jakie są czarne, jak trzepoczą na długich łodygach niczym ćmy. Księżyc wywołuje ten wiatr, kiedy przygotowuje się do narodzin. Kłopot nie polegał na tym, że Rastno jest dorosły. To prawda, że gromadzimy smutek w naszych sercach niczym skarb, ale także miłość i szczęście, zapewniłam dzieci. Serce jest chciwe i rozległe. Jednak smutki Rastno były także chciwe i rozległe, wystarczyłoby ich dla wszystkich ludzi. Póki kawa parowała, zapytałam je, ponieważ zawsze byłam dla nich nauczycielką: Co wiecie o feniksach?

Lamis, Która Zaśpiewała Piosenkę dla Feniksa, Kiedy Zostali Sami, Piosenkę O Tym, że Ma Okrutnego Brata i Nie Jest Ładna: Przynoszą prezenty!

Ikram, Która Zatańczyła dla Feniksa, Kiedy Zostali Sami, Szalony Taniec Derwisza, Kręcąc Się w Kółko: Żyją pięćset lat i palą się na śmierć w cynamonowym gnieździe, a potem zmartwychwstają jako nowe ptaki, by żyć nowym życiem.

Houd, Który Nic Nie Powiedział Do Feniksa, Kiedy Zostali Sami, Ale Patrzył na Niego Kamiennym Wzrokiem, a Potem Zaszłochał: Jak księżyc. Jak my, kiedy zawiruje beczka loterii.

Och, takie bystre dzieci. Ja jednak wiedziałam coś więcej, tak samo Rastno, i dlatego był smutny.

Posłuchajcie mnie teraz. Słuchać to stać się jak księżyc, cichy i pełen światła, świadek w ciemności.

Kiedyś w cynamonowych lasach żyło tak wiele feniksów, że wydawało się, że to długa czerwona rzeka. Lasy znajdowały się na południe od wielkiego jeziora srebra, które graniczy z miastem Simorg daleko na północy Pentexore. Nie aż tak strasznie daleko od Nimat-Pod-Sniegiem, ale na ciepłych nizinach, skąd widać wielkie góry mojego serca, jasne i śmiałe na tle łagodnego błękitu. Tam pnie drzew są z miękkiego, aromatycznego bursztynu zwanego mirrą, ich liście są czerwono-brązowe, słodkie cynamonowe płatki w kolorze rozżarzonych węgielków. Kiedyś w tych lasach roilo się od feniksów, a Simorg był ich miastem. Urządzały tam jesienne bale i pod koniec tyle namiętności i tak skomplikowane tańce wypełniały parkiet, że cały pałac stawał nagle w płomieniach, a ptaki w najwspanialszych toaletach z rosy wychodziły na zewnątrz i wiwatowały z tupaniem i pianiem.

Kiedy starszy kur albo starka - bo tak prawidłowo nazywa się przedstawicielei płci męskiej i żeńskiej wśród feniksów - czuli, że nadszedł ich czas, wszyscy z całego Simorg przynosili im złoto i kasję, cynamon i kadzidło, liście herbaty i korzenie pieprzu do budowy gniazda. Był to świąteczny dzień, wszyscy wiwatowali, chwalili długie życie, zanim feniks spalał się, a niebo ciemniało od jęgo dymu.

W tamtych czasach nie wystarczyło spłonąć w miękkim, słodko pachnącym gnieździe. Feniks, który dożywał kresu swoich dni i pragnął zmartwychwstać, miał przed sobą długą drogę, najdłuższą i najbardziej mozolną w swoim życiu. Zanim pochłoną go płomienie, starzejący się ptak przygotowywał dla siebie jajo z mirry, pogrzebowe jajo, i do niego upakowywał nie tylko swoje własne popioły i zwęglone kości, ale też wszystkie wspomnienia i miłości, rozczarowania i lęki, wszystko, co było tym starym ptakiem. Przez wiele dni stara matrona albo nestor wysiadywali jajo, jakby coś mogło się z niego wykluć, jakby zamierzali pielęgnować duchy samych siebie. Kiedy gniazdo płonęło, jajo pozostawało nietknięte, nawet nieosmolone, i pierwszym zadaniem nowego feniksa było wziąć pogrzebowe jajo w szpony i polecieć daleko, bardzo daleko, do miasta zwanego Heliopolis, za Nuralem, za

Srebrnowłosem, za Nimat i Osią Niebios. Rastno powiedział, że miasto leży nawet za Rimalem, ale tylko feniksy znały drogę.

W głębi serca podejrzewam, że Heliopolis znajduje się w świecie, w którym urodził się mój przyjaciel Didymos, ale sam Rastno, bazył feniksów, cesarz, który tworzy piękne zabawki, tego nie wie, już nie. Tylko poprzedni bazył znał tamto miejsce, a kiedy matrona szła na pozogę, szeptem wyjawiał jej do ucha drogę, by mogła odejść w spokoju. Jednak ten łańcuch cesarzy przerwano i mapa przepadła.

Widzicie bowiem, dawno temu Alisaunder Czerwony przybył do tego kraju. Pamiętacie, że rozmawiałam o nim z Didymosem Taumą w jego chacie. Wiecie, czemu go zwano Czerwonym?

Ikram, Pełna Nabożnej Trwogi Dla Wszystkich Wojowników, Która Pragnęłam Sama Jednym Zostać, Szepnęła: Z powodu wron.

Z powodu białych wron, meruli, które potrafią dostrzec tak wiele rzeczy, których my nie widzimy. Kiedy pierwszy raz przebył Rimal, który w tamtych starożytnych czasach nie był tak nieprzystępny jak teraz, nie tak pełen piasku i zębatych ryb, merule odsunęły się od niego, szepcząc, że widzą śmierć wiszącą nad jego głową, czerwony rozbryzgniczym korona. Przybył z żoną, Roszanak, kochankiem imieniem Hefajstion i czwórką młodych mężczyzn o ramionach jak ze skały, którzy przenieśli jego palankin przez morze piasku, podczas gdy on i jego ukochani spoczywali na poduszkach w kolorze róż i nieba, dzieląc się chlebem i miodem. Wykrzyknął zachwycony, kiedy powitała go delegacja skiapodów pod dowództwem Tarsalis, która była ich największą księżniczką. Alisaunder zdumiewał się ich żyłastymi, umięśnionymi nogami, ogromnymi, pojedynczymi kolanami, szerokimi, płaskimi stopami i tym, jak to możliwe, że taki cud istnieje. Ochocho zapytał Tarsalis, której włosy przypominały strumień srebra: Czy jest morze na drugim końcu twojego kraju? Wielkie morze\ które obejmuje cały świat? Tego właśnie szukam.

A Tarsalis odpowiedziała: Nie mam czasu na lekcje dla dzieci. Weź jedzenie, jeśli chcesz. Weź wodę i olejki do namaszczenia. Weź nawet nowych tragarzy, by odnieśli cię do twojego kraju. Jesteśmy bowiem w stanie wojny, a merule mówią, że wkrótce umrzesz.

Alisaunder uśmiechnął się, ponieważ był bogiem wojny. Znał się na walce lepiej niż na małżeństwie, jedzeniu czy spaniu. Uśmiechnął się tak

szeroko, że Tarsalis dała się oczarować, a jej świta zaśmiała się na widok jego dziecięcego entuzjazmu, kiedy położył rękę na jej ramieniu i obiecał: Mogę sprowadzić dziesięć tysięcy oficerów i tyle samo koni, a każdy z tych konnych arystokratów będzie miał na służbie tuzin żołnierzy piechoty. A każdy z pieszych żołnierzy zjawi się ze służbą, a nawet najniższy stojący z nich wiedzą, jak maszerować w formacji, unosić tarczę i ścinać wroga między jednym oddechem a drugim.

Tarsalis, której stopa złamała kark wielu żołnierzom, nie była głupia. Co musieliby mu dać za taką pomoc? Żaden człowiek nie idzie na wojnę za nic. Jednak Alisaunder Czerwony powiedział, że prosi tylko, żeby pozwolić kilku oficerom jego piechoty wżenić się między nas, jeśli znajdą chętne panny, i by nazwać jakieś miasteczko albo osadę imieniem Ali-saundria. Oczekiwał także, że merule naradzą się z nim i porozmawiają z nim na temat jego śmierci. Tarsalis, która skończyła z ideą małżeństwa po swoim trzecim mężu, nazywanym w królestwie jej Trzecim Utrapieniem, oszacowała spojrzeniem wysoką Roszanak o skórze jak cynamonowa kasja i delikatnego Hefajstiona o oczach jak migdały, patrzących na Aisaundra Czerwonego z cierpliwą miłością. Dopóki ona sama nie była zmuszona wziąć sobie Czwartego Utrapienia, chętnie zagrała na rogu Aisaundra na drodze wśród piasków.

Jednak żadni oficerowie nie nadszedli z hukiem przez szeleszczący piasek. Piach burzył się i rozbijał biało-złotymi falami za Alisaundrem, kiedy droga, która zniosła jego palankin z wyznaczonego szlaku, ponownie zniknęła. Alisaunder uśmiechnął się po raz drugi. Nie potrzebuję ich. Roześmiał się. Powiedz mi, co leży u korzeni wojny, która przyszła do tych drzwi, a położę jej kres.

I tak skiapodowie przyklękli, a Alisaunder i jego rodzina usiedli w cieniu srebrnego palankinu i słuchali uważnie, nie tylko sam Czerwony, ale też jego mężczyzna i jego kobieta, a nawet czterech służących.

Tarsalis wyjaśniła z wielką powagą. Były to bowiem dni Goga i Mago-ga, plądrowali kraj, ich straszliwe zęby szukały czegokolwiek miękkiego do pożarcia, ich krok był długi na wiele mil, ich klingi były tak ostre, że mogły odciąć oddech od piersi i zostawić człowieka martwym, choć bez żadnej rany. Tarsalis westchnęła: Nie pragną terytoriów ani bogactw.

Kochają tylko śmierci spożywają tylko śmierć, zabijają nas,

ponieważ żyjemy tak długo, że żaden posiłek nie może być dla nich słodszy. Są końcem wszystkiego, ponieważ taki jest sens ich istnienia.

Z pewnością tak być nie może, zaprotestowała Roszanak. W jej długie czarne włosy wpleciono wiele lazurowych paciorków, a Tarsalis uznała, że jest zbyt piękna, by móc na nią patrzeć, nawet długie blizny na jej policzkach czyniły ją tylko surowszą i bardziej czarowną. Każdy czegoś chce. Każdy czegoś pragnie.

Tarsalis wyznała więc całą prawdę. W tym kraju zwanym Pentexore mamy filozofa, który nazywa się Artavastus. Nadal żyje i ma bardzo długą sierść, ponieważ jest niedźwiedziem ogromnych rozmiarów, a jego kolor przypomina perłę. Podyktował swoim skryptom długą księgę, którą wam streszczę, ponieważ niedźwiedzie mają niewielkie pojęcie o lakoniczności w literaturze i oczekują, że każda książka warta swojej wagi powinna wystarczyć na kilka snów zimowych. Artavastus powiedział, że kosmos, jaki znamy, zawsze trwa w stanie rozkładu, podąża ku rozpadowi, w kierunku ognia na końcu wszechrzeczy. Uznał, że my - a miał na myśli samo Pentexore - stanowimy trzpień w substancji sfer, który powstrzymuje go przed uleceniem zbyt szybko ku końcowi. Zatem to naturalne, że powinniśmy uważać za ojczyznę tę samą ziemię, która zrodziła naszego przeciwnika. Gog i Magog, moja pani, to wysłannicy tego ognia, tej ciemności na końcu wszechrzeczy. Zmierzają ku niemu, tęsknią za nim, to ich matka, żona i dziecko.

Alisaunder rozpromienił się z nieskrywaną dumą. Chcesz powiedzieć, że toczycie wojnę tylko z dwoma mężczyznami?

To nie są ludzie, warknęła Tarsalis. Nie rozumiesz. Każde pole, którego dotkną, idzie do ich służby.

Widziałaś ich? Czym są, jeśli nie ludźmi? To były słowa Hefajstiona, który mówił cicho i z wielkim wdziękiem.

Tarsalis zastanawiała się przez dłuższą chwilę. W końcu odezwał się jeden z jej generałów. Nikt ich nie widzi, wyjaśnił. Widzimy tylko to, co zostawiają za sobą. I może pęd powietrza przy ich przejściu, kiedy nas powalają.

Alisaunder naradzał się ze swoim sercem, a słońce wędrowało przez swoją błękitną sferę. I zanim zmierzch zapadł na dobre, poprosił o trzy rzeczy: przełęcz w górach, otoczoną wysokimi skałami i bardzo wąską;

ogromną ilość diamentów, tak dużo, jak uda się zebrać ze wszystkich kopalni, z każdej tajemnej sadzawki pod czarną skałą; kilku olbrzymów, jeśli znajdą się tacy w tej krainie cudów, która zrodziła ludzi z jedną nogą.

Tarsalis знаła taką przełęcz, ale po jej drugiej stronie leżał Simorg i wiele innych cudownych miast, wszystkie były oblężone, lecz dzielnie się broniły. Jednakże straszliwego planu Alisaundra nie dało się zrealizować nigdzie indziej. Dzięki pomocy kolosalnych olbrzymów Holbda i Gufdala, niech na zawsze pozostaną zapamiętane ich imiona, oraz Wielkiej Toni, w której liczni nurkowie z głębokich wód wstrzymywali oddechy przez cztery dni i noce, by z najciemniejszych jaskiń wydobyć diamenty większe niż wielbłądy, błyskawicznie wzniesiono Wrota Alisaundra. To dlatego w Pentexore znajdziecie wszelkie drogocenne kamienie prócz diamentów, ponieważ wszystkie zużyto na budowę Muru. Nocą Wrota zatrzęsnięto, odcinając nie tylko Goga i Magoga, ale też piękne cyprysowe lasy, samo miasto Simorg i większą część wszystkich feniksów tego świata... i być może także samo Heliopolis, owo tajemnicze miejsce. Diament, jak wiedzą wszyscy ludzie, nawet cudzoziemcy jak Alisaunder, odstrasza nikczemność równie dobrze jak magnez i klingi, i ma w sobie takie światło, że wypala z serc okrucieństwo. Gog i Magog pozostali po drugiej stronie uwięzieni, osłabieni, rozgoryczeni i z frustracji i wściekłości z pewnością pożarli feniksy oraz ich miasto - ogromna ofiara, złożona, żebyśmy mogli przetrwać. Jednakże Ghayth, historyk, który mieszkał w biednej osadzie Pod Murem, twierdził, że słyszał ich śpiew nocą tysiąc lat później. Kto wie, jaka jest prawda?

Śpiew albo krzyk.

I tak oto feniksy utraciły swoje sekretne domostwo. Tylko bazyl znał do niego drogę, a on został uwięziony za Murem wraz z wszelką nikczemnością. Feniksy nie ścierpią choćby najmniejszej wzmianki na jego temat, ponieważ był arogancki i nie uwierzył, że Mur może go powstrzymać, dlatego nie ostrzegł nikogo i nie zdradził nikomu sekretnych ścieżek. A jednak Mur go zatrzymał, tak samo jak pozostałych. Nie możemy się dowiedzieć, co wydarzyło się za Wrotami, dlaczego żaden ptak nie zdoła nad nimi przelecieć - i z pewnością nie chcemy wiedzieć. Nieliczne feniksy, które miały sprawy do załatwienia poza miastem Simorg, pozostały przy życiu. Jednakże jeden po drugim

każdy przeżywał pięćset lat i płonął, umierając i przepadając, bo żaden nie mógł pogrzebać siebie w świętym mieście, nie mógł przewodzić własnemu pogrzebowi i dlatego ich dusze wymykały się z jaj i uciekały. Teraz zostało tylko pięć feniksów, a Rastno jest ich bazylem, lecz chociaż ma diadem, nie zna sekretu. Feniksy rozpaczają i nie mogą zrobić nic, by temu zaradzić.

Później, przed powrotem na brzeg Rimalu z wieloma wyliczeniami zapewniającymi mu względnie bezpieczne przejście, Alisaunder wezwał do siebie białe merule. Zjawiły się niczym wysokie zające, skacząc na czarnych szponach.

Zapytał je: Czy to będzie dobra śmierć? Szlachetna, w bitwie, zwycięska, opiewana w pieśniach? Czy zadławię wrogów własną krwią?

Wrony spojrzały po sobie i na czerwony rozbryzg, który tylko one widziały nad jego głową.

Nie, odpowiedziały. To będzie mała śmierć, bez powodu i sensu. Narobiłeś sobie wrogów wśród tych, którzy pragną zniszczyć sens i porządek.

Alisaunder odwrócił wzrok, patrząc w kierunku swojego domu i życia. Mógł się z tym pogodzić. Nie ma wojny bez ofiar.

Ale czy moje cesarstwo przetrwał

I na morzu piasku milczenie wron poniosło się długo i daleko.

Rozpadnie się. To będzie ich zemsta na tobie, odpowiedziały wreszcie, tych, których uwięziłeś za Murem.

Słowo w pigwie

Rozdział Piąty, w Którym Jan Wygłasza Dość Długą Mowę na Temat Religii po Tym, Jak Okrutnie Się Przeraził i Został Uśpiony.

Nawet kiedy chodziłem wśród żurawi, zdawało mi się, że zarazem rozumiem ich mowę i jej nie rozumiem. Dla mojego ucha mieszkańcy tej dziwnej krainy mówili w swego rodzaju grece, którą łączą jakieś niewymowne związki zarówno z językiem perskim, jak i tureckim, ale także z jakimś dziwnym językiem, wydającym mi się nie tyle dalekim kuzynem tych dialektów, ile raczej ich ostateczną matką, pełną słów przekształconych i odmienionych w lustrzane odbicia tego, co znałem i rozpoznawałem. Jedyne język, który zdawał się nie mieć związku z ich mową, to łacina, chociaż ten fakt mógł się wydawać niewiarygodny. Na szczęście jako obywatel Konstantynopola przywykłem, że słyszę tuzin różnych języków, zanim minie południe, i byłem w stanie rozeznąć się z pewną łatwością - dopóki nie usłyszeli, jak siłuję się z takim czy innym słowem, bo wtedy z reguły przechodzili na całkiem przyjemną, nawet jeśli koturnową i staromodną grekę. Kiedy znacznie później zapytałem o to gryfa Fortu-natusa, roześmiał się na swój sposób, na poły gdacząc, na poły rycząc.

- Czyż nie wszyscy barbarzyńcy mówią w grece? - powiedział i była to pierwsza sugestia, jaką mi podsunęli, że cały ich kraj ma świadomość istnienia mojego świata i zwyczajnie wolał się go wyrzec.

Powiedział mi o Alisaundrze, jego cudownej metodzie nauki języków i jak nauczył olbrzymów Holbda i Gufdała, a oni nauczyli resztę. Zadrzałem, jak każdy człowiek zadrzałby na moim miejscu. Nadal, nawet teraz, nie mogę do końca uwierzyć, że ten wielki mąż mógł tędy przechodzić. A jednak ujrzałem prawdę na własne oczy.

W głębi serca wierzyłem, że ich mowa to święty język adamowy, język, który wszyscy znaleźmy przed wieżą Babel, ta doskonała mowa dana człowiekowi przez Boga. Owego odległego dnia, kiedy natknęliśmy się na ruiny kolosalnej wieży, poczułem, że ta prawda

narasta we mnie jak miłość.

Wyprzedzam jednak fakty, a Hagia jest niecierpliwa, jej oddech jest ciemny od fig, a oczy jasne i lśniące w przyćmionym świetle. Nasza świeca spala się tak gwałtownie... Musimy skończyć, zanim moje serce lub moje tchnienie wygra wyścig o to, które z nich pierwsze zawiedzie.



Przede wszystkim pamiętam grozę przebudzenia na tym filarze z drogocennego kamienia. Poczułem, jak rozchylają mi się powieki, i pomyślałem, że światło dzienne roztrzaska mi czaszkę. Odnosiłem wrażenie, że piasek nadal przywiera do każdego skrawka mojego ciała. Chociaż jakaś dobra dusza wyszorowała mnie do czysta, ciągle czułem drapanie piachu. Ujrzałem pochylającą się nad moim biednym, udręczonym ciałem głowę orła o szerokim dziobie, szkarłatny lwii pysk, bardzo piękną kobiecą twarz o długich czarnych włosach i agresywnie miedzianych oczach, w których fioletowe pierścienie ścigały się wzajem jeden wewnątrz drugiego, oraz parę pełnych brązowych piersi zwieńczonych oczami w kolorze chłodnej zieleni zamiast sutków. W pierwszej chwili pomyślałem, że nadał snię i Święty Tomasz stoi przede mną z ustami na brzuchu, ale moje spojrzenie ogarnęło bujność kobiecych piersi i zalało mnie płomienne przerażenie, panika niczym przedśmiertne drgawki.

Wybacz mi, żono. Byłem wtedy taki młody.

Złapałem gwałtownie powietrze, a potem spróbowałem zapytać o Świętego Tomasza i jednocześnie powiedzieć im własne imię, ale wszystko się poplątało, zderzyło i chyba ukazało mnie w nie najlepszym świetle. Moje osłabione ciało zdradziło mnie, a ja skuliłem się na kamieniu, odsuwając się od monstrum nade mną, patrzącego na mnie wielkimi, okolonymi rzęsami oczami z zaciekawieniem i rozbawieniem. Z jakiegoś powodu to rozbawienie mnie rozsierdziło. Teraz już wyraźniej widziałem, że po-czwarze brakuje głowy, a całą twarz ma na tułowiu, a tego nie dało się ścierpieć. Nie mogłem spojrzeć jej w oczy, nie widząc jednocześnie hańby jej nagości. Nosiała szerokie czarne spodnie z jedwabiu z szeroką niebieską przepaską w talii, ale jej pępkiem były czerwone usta, a jej piersi - jej piersi już mnie torturowały

i nie mogłem na nią patrzeć ani odwrócić od niej oczu.

Druga kobieta o wielobarwnych oczach węża roześmiała się na widok mojego skrępowania. Jej ruchy były zbyt płynne i swobodne - zerknąłem w dół i jęknąłem, ponieważ dama ta nie miała niczego podobnego nogom. Od talii w dół była węzem, miedziane i różowawo-zielone wzory zwijały się i rozwijały. Okropna krzątanina rozlegała się echem wokół mnie, jakby obok przepływały liczne dusze i po tak długiej samotności dźwięk atakował moje uszy i serce. Modliłem się gorąco o wybawienie z tego piekła.

- To potrafi zrobić coś ciekawego? - spytała wężowa kobieta.

- Powiedziało: „nazywam się Jan” - zadumał się na głos orzeł, który miał, jak zauważyłem, porośnięte piórami końskie w kształcie uszy, długie złote ciało lwa i ciemnofioletowe skrzydła złożone gładko do boków. - To całkiem interesujące. Nie znam nikogo imieniem Jan.

- Chce czegoś, co nazywa się ap-oss-eł - zaszczębiotał czerwony lew, którego głos był niezwykle wysoki i łagodny jak na tak ogromne stworzenie.

- Ooooch! - wykrzyknęła wężyca. - To maszyna czy warzywo?

Odrzuciła ciężką masę włosów z twarzy. Jej pierś lśniła przyodziana w monety, które dzwoniły przy każdym jej ruchu.

- Myślę, że to osoba - orzekła groza gróz w zamyśleniu. - Nazwało ją Tomasz. Wspomniało grób.

- Idę o zakład, że to „on” - rzuciła znacząco wężyca i obmacała moje odzienie.

Wyrwał mi się krzyk i natychmiast poczułem się idiotycznie.

- Niczego nie zakładaj z góry, Grisalbo - zbeształ ją czerwony lew. - Nic nie wiemy o tych ludziach. To może być kobieta albo hermafrodyta jak tensevetowie. Jeśli będzie chciało nam powiedzieć, to powie. A do tego czasu pamiętaj o dobrym wychowaniu i rodzaju nijakim.

- Kto się tym zaopiekuje? - zapytał gryf, bo mój rozmiękły umysł przynajmniej tyle sobie przypomniał, gdy zakłębiło się w nim od starych ilustracji na marginesach narysowanych z najdrobniejszymi szczegółami, że skrzydłami pociągniętymi złotą farbą, oczami czerwoną. - Ktoś musi się tym zająć.

Próbowałem uspokoić oddech, ale bolało mnie całe ciało i straszliwie

się trząsałem. Niepotrzebnie się martwiłem. Nikt się za mną nie ujął.

- Zatem to będę musiał być ja. - Gryf westchnął z łobuzerskim skinieniem wielkiej głowy. - Ja zajmę się tym zagubionym stworzeniem, dopóki nie przyjdzie chwila, kiedy samo będzie w stanie zająć się swoimi przekłętymi sprawami. Poświadczacie?

Pozostali przyklasnęli jego decyzji i stało się - należałem do gryfa.

- Tomasz - szepnąłem. Tylko tego byłem w stanie się trzymać, jego straszliwej wizji pod kulą. - Zabierzcie mnie do Świętego Tomasza. Wiem, że tu jest! Zostawcie mnie w spokoju, demony. Nie chcę mieć z wami nic do czynienia!

Wąż, którego pozostali nazywali Grisalba, podpełznął do mnie i ułożył czubek ogona na mojej talii, przesuwając go w dół, jak mu kazała jego wyuzdana natura, pojąłem już bowiem, że cechuje go nieuleczalna lubieżność. Podniósł palec i patrzył, jak kropla płynu formuje się na nim niczym kropla deszczu. Zalśniła zielenią, potem złotem, a później różem, jakby wędrowała przez kolory tęczy w poszukiwaniu właściwego odcienia. Sukub robił wrażenie zamyślonego, jakby wymagało to znacznego wysiłku. Potem złapał mnie za twarz, jakbym był dzieckiem, które nie chce przyjąć lekarstwa, i wepchnął mi w usta palec. Ciecz wpłynęła we mnie, a ja jęknąłem - rozkosz smaku zawładnęła mną gwałtownie i nic na to nie mogłem poradzić, że zacząłem ssać chciwie, zawstydzony, ale przytłoczony gęstością, mlecznym bogactwem. Oto moje ciało, myślałem gorączkowo, oto moja krew.

A potem specyfik uderzył w mój umysł jak pięść owinięta w różane płatki i niczego więcej już nie wiedziałem. Śmiech węża ścigał mnie w dół czarnych schodów prowadzących do snu.



Obudziłem się w ciepłej ciemności otoczony bogatymi woniami. Kiedy uchyliłem powieki, ujrzałem, że leżę na długim cokole w jaskini, której sklepienie wznosiło się w oddali. Jakiś sprytny kamieniarz wyciosał półki i nisze w całej jaskini aż po najwyższe miejsca i wiele powierzchni wyłożono wspaniałymi futrami oraz stosami zwojów i książek. Kiedy mój wzrok nabrał ostrości, zdusiłem okrzyk, ponieważ ściany jaskini zrobiono ze złota i za samą wartość skromnych schodów można by kupić papieżstwo. Nad przyjemnym ogniem stał na straży

zwalisty gryf, mieszając w garnku żelazną łyżką trzymaną w dziobie. Wyczułem cebule, dzikie buraki, ostre, gorzkie zioła i nawet pieprz - bezcenny pieprz na kolację dla inwalidy! Jak przez sen przypomniałem sobie, że padłem na polu tej bezcennej przyprawy, ale byłem wtedy zbyt ogłupiały od słońca, by się zdumieć.

- Nie mogę przytrzymać ci głowy i dać popijać łyżkami jak dziecku - warknął gryf. - Anatomia jest nieprzychylna. Będziesz musiał sam się nakarmić.

I tak zrobiłem, wygłodniały i zdesperowany. Stworzenie wykierowało mnie, nadal roztrzęsionego, do garnka z jogurtowo-buraczną potrawą, a moja wdzięczność wzrosła tak bardzo, że nie byłem w stanie jej wyrazić. Gryf przedstawił się jako Fortunatus, a imię to wydawało mi się łacińskie i dostatecznie bliskie domowi, by wywołać łzy w oczach. Zaryzykowałem i wypowiedziałem kilka słów:

- Znamy opowieści o takich stworzeniach jak ty, tam, skąd pochodzę. Jego potężna pierś uniosła się nieco od lwiej dumy.

- Doprawdy? Cóż, rzeczywiście jestem fascynującą indywidualnością. To chyba zrozumiałe. Co mówią?

Zastanowiłem się. Moje obowiązki duszpasterskie walczyły we mnie z pragnieniem zupy i ochrony przed demonem o oczach na piersiach. Już czułem się silniejszy i koszmar morza piasku przybladł, gdy powróciło do mnie moje imię, moje własne „ja”.

- Mówimy, że jesteś jak Nasz Pan Jezus Chrystus, po części silny ziemski lew, co odpowiada ciału, a po części szybujący orzeł, co odpowiada boskiej duszy. Jesteś symbolem tajemnicy Boga.

Gryf zamrugał zdumiony, a jego klarowne złote oczy zaśniły troską w świetle ognia.

- Jestem Fortunatus. Nie jestem symbolem niczego.

- Nie, chciałem powiedzieć, że Boża mądrość mieszka we wszystkich żywych stworzeniach i że Pan wybrał twój lud na ilustrację Swojej Boskiej Natury.

- Mój lud to gryfy. Nie ilustracje ani symbole. Niełatwo być gryfem, ale ty nadmiernie to komplikujesz.

Uniosłem ręce.

- Pozwól, że zacznę inaczej. Na początku było Słowo, a Słowo było

u Boga i Bogiem było Słowo.

Fortunatus zaczął sadowić się przy ogniu, ugniatając futrzane dywany na podłodze, i po długim, kocim przeciągnięciu się gwałtownie opuścił zadek.

-Jakie słowo? - zamruczał przyjemnie.

- Co masz na myśli?

słów. Które jest Bogiem? Miłość? Radość? Pigwa?

- Cóż, istnieje wiele Sandała? Niebieski? To bardzo ciekawe!

- Chrystus jest Słowem Boga, ale Chrystus jest Bogiem, a Bóg jest Chrystusem. Ale Chrystus był też człowiekiem.

- Jak ty?

- Nie jak ja. Chrystus był Synem Boga. Bogiem wcielonym, zrodzonym z dziewicy, który zmarł na krzyżu i wykupił nas od śmierci.

Fortunatus pochylił opierzoną głowę.

-Wybacz mi, Janie. Nie bardzo pojmuję, jak śmierć może wybawić od śmierci.

- Przez twoje pytania opowiadam wszystko na opak! Przed Chrystusem byli Eden i Ewa, i wąż, i Abraham, i Sara, i Izaak, i wiele innych ważnych rzeczy. Cała historia świata.

- Proszę, opowiedz mi o tym, Janie. Lubię słuchać historii.

Pociłem się w jaskini. Nie byłem stworzony do takich zadań. Książki,

cicha modlitwa, nauka, rozmyślanie. Nigdy nie widziałem, żeby nawrócenie zrodziło się z samych słów, a nie mam serca do innych narzędzi.

- Bóg... Bóg przebywał w pustce, dopóki nie stworzył wszystkich zwierząt polnych i owoców ziemskich, nie oddzielił wody od łądów, nie sprawił, że wypiętrzyły się wielkie góry i zafalowały oceany, i nie osadził gwiazd na firmamencie.

- Dlaczego? - Stwór miał serce dziecka, nie potrafił zostawić jednego zdania w spokoju.

-Co?

- Dlaczego Bóg stworzył... zwierzęta? - Słowo to zabrzmiało gorzko w dziobie Fortunatusa. - Twoim zdaniem. Po co stworzył wodę i góry?

Dlaczego zrobił to wtedy, a nie w innej chwili? Dlaczego Pustka okazała się w jakiś sposób niezadowolająca?

- Nie... nie potrafię powiedzieć. Za nic w świecie nie potrafiłbym powiedzieć.

Przywykłem do sporów w kwestiach wiary z ludźmi, którzy wiedzieli to samo, co ja, którzy dzielali swego rodzaju plemienną wiedzę, wspólną płaszczyznę i żaden z nich nigdy nie zapytałby, czy Pustka nie była dość dobra dla Boga. A jednak gryf oczekiwał odpowiedzi, a żaden starszy kapłan nie zjawi się, żeby mnie uratować.

- Może był samotny.

Przez chwilę nie potrafiłem kontynuować. Straszliwy smutek ogarnął mnie w tym miejscu, w tej złotej norze, bez przyjaciela czy podobnej mi twarzy. Kiedy podjąłem opowieść, czułem chropawość własnego głosu w gardle.

- W końcu stworzył Człowieka na własne podobieństwo i nazwał go Adam, i było to Jego największe dokonanie. Tchnął żywą duszę w Swojej boskiej Miłości w Adama i umieścił go w cudownym ogrodzie pełnym wszelkich dobrych rzeczy, wszelkich roślin zielonych i rosnących, wszelkich dumnych i szlachetnych zwierząt, i dał mu panowanie nad nimi, i kazał mu nazwać każdy kwiat i każde zwierzę zgodnie z ich naturą. Miejsce to nazwał Edenem. Z żebra Adama stworzył Kobietę i nazwał ją Ewa, i kazał im jeść i pić wszystko, co znajdą w ogrodzie oprócz owoców jednego drzewa, które było Drzewem Poznania Dobrego i Złego. Bóg orzekł, że to Jego drzewo i tylko Jego.

- Jakiego rodzaju to było drzewo?

- Niektórzy mówią, że jabłoń, inni, że drzewo figowe, ale to nie jest ważne.

- Wybacz, ale nie mogę się z tobą zgodzić. Drzewo Poznania Dobrego i Złego brzmi jak coś niesłychanego. Wiele bym dał, żeby poznać jego botaniczne właściwości. Czy mówiło? Jakiego rodzaju wiedzę posiadało? Czy to książka dała mu życie, kamień, trup? Czy to może była jakaś wcześniejsza próba twojego Boga wcielenia się i, umierając, stał się drzewem, o którym mówisz? A może to jeden z jego pomocników, bo zakładam, że Bóg miał takich?

- Aniołowie - odpowiedziałem odrętwiały. - Jak ludzie, ale czyści, pozbawieni płci, skrzydlaci.

Fortunatus zmarszczył podobne do sowego czoło.

- Myślę, że musisz poznać mojego przyjaciela. Ma na imię Qaspiel. Ma skrzydła, nie ma za to płci.

Przyznaję, że parsknąłem z niedowierzaniem. Przyprawy w zupie zakręciły mi w nosie.

Fortunatus ciągnął pośpiesznie, wyraźnie wciągając się w temat.

- Być może jeden z tych aniołów zginął i z jego ciała wyrosło drzewo doskonałej, bezpłciowej jabłoni, okryte skrzydłami i liśćmi, najpiękniejsze drzewo ze wszystkich!

Pomyślałem o drzewie owiec i wiązach obłączniczych.

- Fortunatusie, obawiam się, że tam, skąd przybyłem, martwe rzeczy wsadzone do ziemi pozostają martwe. Nie ma żywych drzew jak te, o których mówisz.

- Och, wybacz mi, Janie. Nie chciałem się pysznić ani przechwalać przymiotami, pod względem których moja ojczyzna przewyższa twoją. Nie możesz jednak zaprzeczać tragedii swego domu. Muszę zabrać cię, byś zobaczył drzewo mojej żony i mojej córki. Wtedy dowiesz się, jakie można znaleźć wybawienie od śmierci.

Nie wiedząc, jak zareagować na to szaleństwo, kontynuowałem nauki, jakby mi nie przerwał.

- Ewa jednak była kobietą i w związku z tym miała w sobie nasienie występku. Wąż, który był szatanem, także mieszkał w Ogrodzie. Przyszedł do niej i skusił ją, by zjadła owoc z zakazanego drzewa. Z powodu swojej słabości uległa pokusie i wykorzystując swoje umiejętności uwodzenia, przekonała także Adama do skosztowania owocu.

Fortunatus szarpał pióra zasmucony, stukał dziobem.

- Jakie brzydkie rzeczy myślisz - szepnął. - Jak bardzo ci współczuję. Odchrząknąłem. Ręce nieco mi drżały.

- Bóg za karę wygnał ich i sprawił, że zawstydzili się swojej nagości. Wbił płonący miecz w bramę do Edenu, żeby nigdy nie mogli wrócić.

I tak grzech pojawił się na świecie, a ten występki jest powodem wszystkich strasznych rzeczy, jakie musimy znosić, ponieważ żyjemy na upadłej ziemi, która była karą dla Adama i Ewy, a poza królestwem Boga nie może istnieć prawdziwy pokój. - Zakaszlałem i sięgnąłem po

mleczne, kwaśne piwo. - Jednakże Nasz Pan Bóg nie opuścił Swojego ludu.

- Wydaje się, że wręcz przeciwnie. Dlaczego im nie wybaczył? Rodzic, który nie wybacza pierwszego występku dziecku, jest tyranem. Gdybym nie przyklasnął mojej córeczce i nie przytulił jej za pierwszym razem... ba, nawet za siódmym!... kiedy pociągnęła mnie za ogon albo oprócz swojej porcji zupy na wielbłądzim ogonie zjadła także moją, jaki byłby ze mnie ojciec? Gdyby pobrudziła sobie futro błotem, a ja zamiast wrzucić ją do czystej sadzawki i śmiać się, kiedy by się pluskała, wyrzuciłbym ją z domu i powiedział... to wszystko, co ty powiedziałeś o Ewie, a czego nie powtórzę, bo jestem zbyt uprzejmym zwierzęciem? Jak mógłbym sobie wybaczyć? A gdyby cierpiała na wygnaniu, ponieważ nie ugiąłem się, jak mógłbym z tym żyć?

- Ścieżki Boga nie są ścieżkami śmiertelników - odparłem słabo.

Wielki gryf już chciał zaprotestować, ale uniosłem ręce. Modliłem się,

żeby dał mi skończyć. Uznałem, że najlepiej pominąć wiele pokoleń Izraela, skoro Stworzenie Świata zrobiło na nim tak małe wrażenie.

- Znacznie później zesłał nam Swojego Syna, którego samo istnienie jest tajemnicą, jakiej żaden człowiek nie zdoła zgłębić. Dziecię było po części Ciałem ze swojej Matki, Najświętszej Maryi Dziewicy, a po części istotą Boską, Słowem Boga. Bóg chodził pośród nas, Bóg wcielony. - Uśmiechnąłem się z żalem. - Tam, skąd przybyłem, robimy niewiele więcej poza sprzeczeniem się o tę ostatnią rzecz. Zjawiłem się tutaj, bo uciekałem przed wojną wynikłą z tego sporu, poszukując czegoś świętszego, czegoś bardziej bezpośredniego niż debaty nad Pismem Świętym postawione na ostrzu noża. - Pokręciłem głową, próbując wrócić do przerwanej wątku. - Nasz Pan, którego nazywano Chrystus, miał dwunastu uczniów, którzy byli wielkimi ludźmi, ale nie istotami boskimi. Jednak władze ziemskie nie pojęły Go, a czego nie rozumiały, tego się bały. Został ukrzyżowany i zmarł w cierpieniu za nas wszystkich. Jego śmierć zbawiła nas od grzechu Ewy i trzy dni później wstał z martwych, łamał się z nami chlebem i obiecał powrócić, kiedy nadejdzie kres życia ziemskiego i początek Królestwa Niebieskiego. Zdobył dla nas Raj i życie wieczne po prawicy Boga Ojca. - Moje serce uspokoiło się, jak w kaplicy, kiedy pierwszy raz składałem śluby.

Skończyłem dawać świadectwo i poczułem, jak narastają we mnie długie cienie letnich okien oraz łagodny spokój. - Być może Bóg nie mógł nam sam wybaczyć - dodałem cicho - i odcierpiał za swój własny grzech.

To była herezja, bez najmniejszej wątpliwości, ale czułem, że powinienem to powiedzieć.

Fortunatus nic nie odrzekł. Poruszał tylko ogonem.

Parłem więc dalej.

- Właśnie grobu jednego z tych dwunastu uczniów szukam. Niewiernego Tomasza, Tomasz Bliźniaka.

Gryf głęboko zmarszczył czoło. Sierść mu zadrzała.

- Janie, nie pragnę cię obrazić, mam niewielkie doświadczenie w kontaktach z cudzoziemcami i ich religią. Jednakże mylisz się.

Roześmiałem się. Nigdy jeszcze poganin nie odrzucił mnie równie prosto i stanowczo. Fortunatus sam zaśmiał się krótko - rozległ się gardłowy pomruk.

Poczułem, że odzyskuję równowagę.

- Chrystus nie przyszedł między was, a to utrudnia sprawę. Taka jest natura wiary, wierzyć w to, czego się osobiście nie doświadczyło.

- Och, nie, nie to miałem na myśli. Wierzę ci, wierzę w twoją historię o Chrystusie i jego dwunastu braciach, o ukrzyżowaniu i całej reszcie. Tyle że ja już mam życie wieczne.

- Niemożliwe. Mówiłeś o martwej żonie.

Gryf wzruszył ramionami i zafalowały mu szerokie mięśnie. Przechylił głowę jak ptak i przez chwilę myślał.

- Chodź ze mną - powiedział nagle, złapał mnie za kołnierz i wrzucił na swój szeroki grzbiet jak lalkę.

Chwyciłem się jego szorstkiej sierści, a on opuścił jaskinię. Wyszedł pod gwiazdy i skoczył w powietrze. Zacisnąłem powieki; nie mogłem oddychać. Nie mogłem spojrzeć w dół. To nie był długi lot, ale miałem wrażenie, że mógłbym zwymiotować własne serce na grzbiet gryfa. Cały się trząsałem, kiedy znowu postawił mnie na ziemi, cała moja osoba dygotała, starając się objąć sercem to nadzwyczajne doświadczenie lotu.

Stało przed nami dostojne i wysokie drzewo. Miało gruby czarny pień, powykrzywiany i poskręcany, oraz wielkie puszyste liście z frędzlami nieokreślonego koloru - światło gwiazd sprawia, że wszystko

wydaje się srebrne. Wśród liści dziesiątki dziesiątków złotych oczu otwierały się i mrugały jak świetliki, niektóre małe, inne wielkie i czyste.

-To moja żona - wyjaśnił łamiącym się głosem Fortunatus. Trącił pierzastym czołem drzewo. Oczy przymknęły się w ciepłym geście rozpoznania. - Miałem nadzieję na twarz, na usta, które do mnie przemówią i pocieszą. Czasem jednak świat obchodzi się z nami niełaska-wie. Oczywiście do śmierci może dojść, jeśli ktoś jest nieuważny albo los okaże się nieżyczliwy. To jednak łatwo przewyciężyć i dopóki mam dość szczęścia, żeby nie roztrzaskać sobie czaszki, będę żył wiecznie. Tak samo ty możesz, jeśli tu zostaniesz, bez żadnej pomocy ze strony twojego Chrystusa. Myślę, że to w większym czy mniejszym stopniu psuje całą twoją historię i prawdę mówiąc, niespecjalnie mi przykro, ponieważ chwilami była szorstka i małoduszna. - Rozprostował łapy i przyjrzał im się z ciekawością, unikając mojego zaszokowanego wzroku. Jego głos stał się nieskończenie łagodny. - Janie, musisz dostrzegać, że nie ma dla mnie miejsca w twojej historii. W najlepszym razie byłbym zwierzęciem polnym, prawda? I nigdy nie miałbym wyboru: posłuchać cię czy się sprzeciwić? Nigdy nie poddano by mnie kuszeniu, byłbym tylko częścią królestwa. Wiem, że myślisz, że mówisz prawdę, ale tak być nie może. Obalam to samym swoim istnieniem. Oddycham, mówię, myślę, marzę. Rozpaczam i kocham. I żyję wiecznie. Moja partnerka, która była moim ciałem i duchem, zginęła w burzy, która rozniosła w pył cały las. Nigdy nie przestanę jej opłakiwać, dopóki nie nadejdzie kres wszystkiego, co jest mną; tak jak nie przestanę opłakiwać naszej małej, która zginęła razem z matką. Czyż jestem gorszy od ciebie, który jesteś, zgodnie z twoją opowieścią, moim panem?

Moje myśli kłębiły się gorączkowo, ale do niczego nie doszły. Nie mogłem przestać patrzeć na drzewo oczu, na dowód życia wykraczającego daleko poza moje pojmowanie. Teraz mogę przyznać: szukałem sztuczki, mechanizmu, za pomocą którego zwierzę mnie oszukiwało. Mogłem uwierzyć w gryfa, ale nie w to drzewo, nie w życie wieczne na Ziemi, bez Boga.

- Nie... nie potrafię powiedzieć. Nie wiedziałem wcześniej, że coś takiego jak ty istnieje. Naprawdę mam uwierzyć, że nie ma tu śmierci, czy po prostu powinienem uznać, że demony kłamią w zgodzie ze swoją naturą?

- Nie jestem demonem. Kochamy nasze religie, Janie, tak jak ty, a to taka przyjemność nawrócić przyjaciela na własną wiarę, prawda? Myślę jednak, że nie znajdziesz tu wielu chętnych, skoro twoja historia wymaga takiej pracy, bycia, ni mniej, ni więcej, tylko nieświadomym wszystkiego co ważne w historii świata.

W tamtej chwili stało się to dla mnie całkiem jasne, jakby nasienie światła wypuściło we mnie liście. Nie zabłądziłem. Bóg przysłał mnie tutaj, żebym dokończył pracę jego świętych, pokazał tym cudownym istotom chwałę Pana, poprowadził je do zbawienia i radości. Prawie wyrwał mi się okrzyk pod wpływem siły tego objawienia. Piwo podeszło mi do gardła, taka wrzawa podniosła się w moim ciele. Będę po prostu musiał powstać, stać się misjonarzem, którym nigdy nie byłem, znaleźć gdzieś w tym królestwie pełnym cudów dar wymowy, którego nigdy nie miałem. Poznam ich sposób życia i wpasuję go w Pismo Święte. Jak Paweł zinterpretuję dla nich Słowo, żeby mogli przyjść do Boga.

Możesz się śmiechać się teraz ty, który to czytasz i wiesz, jak to się skończy. Który wiesz, jakim byłem głupcem.

Zacząłem, jak zaczęliby moi greccy nauczyciele, pytając i ucząc się, ucząc się, żeby potem nauczać:

- Powiedz mi wobec tego, jak świat został stworzony?

Fortunatus poruszył językiem w dziobie i mlasnął dwa razy.

- Serce gryfa bije w środku świata...

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Krzyknąłem w proteście, w cierpieniu. Okrzyk wydarł mi się z ust. Nie, nie, nie!

Strona pod ostatnimi słowami gryfa zrobiła się brązowa i rozmiękła, cały tekst zgnił. Moje palce oderwały się poplamione papką książki, aromatyczną i miękką. Panie, dlaczego tak mnie karzesz? Dlaczego dałeś mi te bogactwa i tak okrutnie zabrałeś mi je sprzed nosa? Co takiego uczyniłem, żeby Cię obrazić? Przyznaję, jestem stary. Nie jestem dostatecznie szybki, nie mogę prześcignąć rozkładu. Czyż jednak nie byłem dobrym człowiekiem, Twoim sługą?

Jeśli to, co zapisał Jan, było prawdą i ten przedziwny kraj posiadał wszelkie rzeczy bez zepsucia i w całej ich chwale, to z pewnością już się to skończyło, ponieważ na moich oczach zgnilizna przenikała żyłkami piękne litery Hagii.

To była herezja. Oczywiście. Czym innym mógłby być mit o stworzeniu świata opowiedziany przez gryfa? Czułem jednak, jak dziura formuje się w moim sercu w miejscu, w którym mogłaby znaleźć się ta opowieść. Czy wierzyłem, że Jan Prezbiter prowadził dyskusję z gryfem? Nie potrafiłem powiedzieć. Z pewnością godziłem się z faktem, że takie zwierzęta mogą bądź mogły istnieć, jednakże to niedorzeczne uznać, że posiadały ludzki rozum - równie dobrze można by ro dopuścić w przypadku świń na podwórzu. To niewykluczone, że alegoria rządziła tym tekstem i że dialog odbywał się między Janem i cudzoziemcem o wielkiej sile osobistej, posiadającym swego rodzaju mądrość duchową zgodną z jego zwyczajami, odmiennymi niż chrześcijańskie, i że Jan zdecydował się ukazać go pod symbolem gryfa. Być może klucz do tej metafory krył się na zniszczonej stronie, ale ja nigdy go nie znajdę ani nie poznam.

Przekląłem posiłek z Alarikiem, bo skradł mi cenny czas na książki. Byłem wilkiem, smokiem kłapiącym paszczą nad swoim skarbem, niechętnym, by się nim podzielić. Nie mogłem jednak dłużej zagarniać tylko dla siebie przywileju tych owoców. Raz jeszcze wezwałem Alarica

- specjalnie wybrałem go do tej podróży, znałem go bowiem od dziecka, jego delikatną twarz, niemal karygodnie łagodne serce; nie nadawał się do niczego innego prócz książek. Wziąłem go pod skrzydła i nauczyłem greki, a także aramejskiego, zawodzącej mowy Arabii, szeleszczącej wymowy Rusów i ostrzejszych znanych mi dialektów: fenickiego, abisyńskiego i walijskiego. Dzięki znajomości łaciny i naszej rodzimej francuszczyzny i niemczyzny Alaric prawie dorównywał mi jako tłumacz. Czerpał taką samą głęboką, ciernistą przyjemność z szarad przekładu. Jego ulubieńcem zawsze był Arystoteles, poganin, owszem, ale nie ma chyba drugiego człowieka, który konstruowałby zdania bardziej przyprawiające o szaleństwo niż on. Pamiętam tak liczne dni, kiedy przysięgaliśmy dbać, by ten drugi jadł i pił w czasie pracy, ponieważ mieliśmy w zwyczaju zapominać o potrzebach ciała. Byliśmy tacy podobni - dlatego obstawałem przy tym, żeby znalazł się w delegacji, mimo niewielkiego doświadczenia i całkowitego braku zainteresowania pracą misjonarską.

Raz w czasie długiej drogi przez wyprężone pustkowia pełne kurzu, kogutów i posiniaczonego słońca Alaric i ja zjedliśmy kilka dzikich jajek, które znaleźliśmy, szukając jedzenia. Drobnym to grzechem - nie podzieliliśmy się z innymi, tylko przysiedliśmy pod powykrzywianym baobabem, wśród jego bujnych korzeni, i rozmawialiśmy w nasz ulubiony sposób: przeskakując na kolejne znane nam języki pomiędzy kolejnymi zdaniami. Gra toczyła się w następujący sposób: zaczynałem w grece, przechodziłem na łacinę, a potem egipski, Alaric podejmował egipski, zręcznie przechodził na francuski i tak dalej. Gdy czuliśmy się wyjątkowo sprytni, przeskakiwaliśmy między dialektami jednego języka.

- Bracie Hiobie - zaczął po hebrajsku - wierzysz, że świat jest nieskończony?

- Nic nie jest nieskończone prócz Boga - odpowiedziałem po łacinie.

- Wszechświat jest nieskończony w przestrzeni, ale nie w czasie - szepnął po angielsku Alaric, w jedynym języku, o którym wiedział, że go nie znam. Jednak tę linijkę rozpoznałem. - Oczywiście - umocnił się w przekonaniu, przechodząc na grekę - jednak czy w oparciu o tę logikę wszystkie dzieła Boga nie mogą zostać nazwane nieskończonymi? Czy skończone może wynikać z nieskończonego źródła?

- Do czego zmierzasz, bracie Alaricu? - zapytałem w starej francuszczyźnie, wysysając złote zółtko.

- Do niczego. Zastanawiam się tylko, czy świat, nie wszechświat, ale ten świat, jest nieskończony, na tyle nieskończony, żeby pomieścić to, czego szukamy. Abisynię podbito, Nowy Świat odkryto i nie było tam smoków, wanilia i szafran są na wschodzie, ale nie ma tam cudownego króla. Zastanawiam się, czy świat nie jest znacznie uboższy, niż mieliśmy nadzieję, i mniejszy. Tak niewiele miejsc zostało do sprawdzenia, gdzie nadal może coś się skrywać. O ile nie jest nieskończony, im dalej popłyniemy, tym więcej Nowych Światów odkryjemy, a każdy pełen dyń, czekolady, ziemniaków i niewolników. Jakimż pięknym rozwiązaniem byłby świat bez końca, odwrotność okropnych słów tego pogańskiego filozofa: świat, gdzie wszystko jest prawdą i wszystko jest dozwolone. - Ta imponująca przemowa wygłoszona po hiszpańsku, amharsku, aramejsku i wreszcie po arabsku, by zacytować starego asasyna Hasana ibn as-Sab-baha, chyba wyczerpała mojego młodego przyjaciela. - Oto świat, w jakim - chciałbym w to wierzyć - żyjemy - dokończył w swojej własnej szwajcarskiej niemczyźnie. - I myślę, że to jedyny świat, w którym możemy odnaleźć Jana Prezbitera.

Przyjrzałem się bałaganowi zmierzchu, jaskrawemu i pomarańczowemu światłu przesianemu przez popiołowy kurz.

- Nieskończoność, moim zdaniem, to nie kwestia zewnętrznej przestrzeni, ale wewnętrznej głębi. Wszyscy schodzimy po spirali coraz głębiej, głębiej i głębiej, w kierunku iskry boskości pochowanej w naszej istocie i ta powolna spirala nie ma końca. Myślę, że świat jest właśnie taki: ograniczony, ale mimo to głębszy niż śmierć. - Do ostatnich słów wybrałem akadyjski i poczułem dużą satysfakcję z zaszachowania partnera tak trudnym językiem. - Jak bardzo cię lubię, bracie - dodałem w sindhi, jednym z lokalnych dialektów, które ćwiczyliśmy. - Weź ostatnie jajko.

Sprzeciwił się, tak to jest między przyjaciółmi. Nie zniósłbym, by czy jakolwiek inna ręka dotykała książek z drzewa dziwów, które widziałem kołyszące się na wietrze. Zadrzałem na myśli o tamtych czerwonych liściach. Zadrzałem na myśl o tym, że ktoś inny będzie czytał moje książki, a jednak tak trzeba było uczynić.



Kiedy Alaric wszedł z pochyloną głową, pokorny wobec starszego, zobaczyłem niebiesko-żółty świt skradający się za jego zakapturzoną głową. Pokazałem nowicjuszowi zniszczone strony - było ich kilka, ale nie cała książka. We dwóch mogliśmy szybciej pracować. Dałem mu materiały, by czynił to samo, co ja, posłużyliśmy się kawałkami liścia palmowego do przewracania pozostałych stron tomu, żeby oleje naszych rąk nie przyśpieszały zepsucia. Delikatnie wycięliśmy zniszczone karty, zebraliśmy ich papkę do małego glinianego kubka i odstawiliśmy na bok, święte, pełne żalu. Powróciłem do relacji Hagii, które cuchnęły przesłodzonym winem, mączne stronice pokryły się teraz długimi pasmami czerwieni. Serce mnie zabolalo: już nie mogłem w pewnych miejscach odczytać jej zamaszystego charakteru pisma.

Alaric zajął się opowieścią Jana. To był mój dar dla niego - oddanie mu księgi Jana. Ostatnie jajko.

Jednakże po chwili nie mogłem tego znieść. Przeprosiłem go wylewnie i zabrałem książkę z powrotem, bezradnie głaszcząc okładkę, jakby to był słodki mały ogar, który może odwzajemnić uczucie. Jestem zazdrosny. Boże na Wysokościach, jeśli Ty Sam przyznajesz się do tego grzechu, to nie można mnie winić, że okazałem się mniej cnotliwy od Ciebie.

Księga fontanny

Trzymałam się z dala od niego. Przybysz mnie niepokoił. Większość pozostałych najwyraźniej uważała go za cudowną nową zabawkę, która mówiła, chodziła i wydawała z siebie takie czarujące odgłosy, kiedy udowodnić jej, że się myli. Wyobraźcie sobie! Biedactwo nie wiedziało

O drzewach i Fontannie, nie wiedziało o muszli ani nawet, kim są astomi! Stało się popularną rozrywką przyprowadzanie przedstawiciela nowego gatunku do księdza, żeby go zaszokować - im większy szok Jana, tym bardziej nadymał się z dumy eksponent. Zdawało się, że najbardziej nie lubił tensevetów, ich milczące spojrzenie go niepokoiło. Nie mogę go winić. Są osobliwi, nawet dla mnie.

Pamiętam, kiedy Fortunatus przyprowadził do al-Qasr swojego przyjaciela Qaspiel, żeby poznał Jana. Odkąd nasz król Abibas został posadzony w centrum Lazurowego Pawilonu i nie potrzebował już królewskiego pałacu, al-Qasr stał otwarty dla wszystkich, zasłony szeroko rozsunięto, pokoje oświetlono dla każdej duszy, która ich potrzebowała. W szkarłatnym pokoju dziecinnym z baśni perfumiarz handlował swoimi towarami

1 każda poduszka pachniała krokusami. W sali tronowej dzieci biegały jak szalone wokół wspaniałych tronów.

Znaliśmy się z Qaspieiem dobrze i blisko - poznałam je w czasie ostatniej wizyty u Fontanny na którą wybrałam się sama jako już dorosła kobieta, samotna i poważna - a przynajmniej tak sobie siebie wyobrażałam. Najpierw zobaczyłam, jak Qaspiel kupowało długie rękawy na skrzydła, żeby mu nie zamarzły na wysokościach w górach. Rozmawialiśmy o drobiazgach, jak to pielgrzymi, nawet kiedy jeszcze nie byli nazywani pielgrzymami. Nie mogło się doczekać swojego bliźniaka, ponieważ antrop-terony nie rodzą, ale wytwarzają substancję w pewnym gruczole w okresie godowym, coś jak pszczele mleczko. Usuwają tę substancję w kolorze śniegu i nakładają na miejsce między skrzydłami. Po pewnym czasie zaczyna się proces wzrostu i biedny antropteron musi jeść ogromne ilości pożywienia, żeby podtrzymać

rozwój. Qaspiel powiedziało, że już czuje nieprzepartą chęć na kokosy. Wreszcie rośnięcie się kończy i drugie stworzenie, w pełni rozwinięte i dorosłe, odrywa się od rodzica i zarazem swojego bliźniaka, po czym natychmiast opatruje ranę po oddzieleniu, jaką ma rodzic-bliźniak. Jeden leczy drugiego - z samotności, z bólu.

Qaspiel pracowało wtedy jako hodowca wanilii i mocno pachniało tą przyprawą. Przytrzymałam je, kiedy piło, ono podtrzymało mnie. Gdy wróciliśmy do domu, uniosło mnie w ramionach i poleciliśmy nad znanymi mi miasteczkami, wirując i wirując jak strzała w powietrzu, a jego blade ciało wypełniło mi cały widok. Gęsta, zielona woda Fontanny szybowała we mnie, a my szybowaliśmy w powietrzu w pierwszym dniu naszego nieskończonego życia.

I tak z radością, z jaką wita się starego przyjaciela, powitałam Qaspiel, kiedy gryf przyprowadził je przed oblicze Jana. Delikatne stopy stworzenia prawie nie zostawiały śladów na gęstej, czarnej glebie Nuralu, nie tak różnej od delikatnego, wilgotnego piasku wanilii w głębinach strączków. Przycięło włosy, odkąd ostatni raz je widziałam, i przepłotło krótkie loki drobnymi koralikami hematytu specjalnie na tę okazję. Jego suknia była niemalże bezbarwna, pajęczyna, która przylgnie płasko i rozpostrze się w czasie lotu, a skrzydła - wyższe od niego - miały odcień głębokiego kobaltu, który płata figle oczom. Podeszłam, by objąć przyjaciela, ale zanim zdążyłam go wziąć w ramiona, Jan padł między nami na kolana. Patrzyłam na niego, kiedy płakał z rozdziawionymi ustami, drżąc na całym ciele z zachwytu.

[W tym miejscu zepsucie pochłonęło trzy akapity, puszysta ciemnoczerwona pleśń, która pożarła tekst i nie zostawiła mi nawet słówka. Nie pozostało nic czytelnego, prócz kilku linijek w drugim akapicie, których nie sposób było nie rozpoznać]

Gdy zaś Jakub wrócił i został sam jeden, anioł zmagął się z nim aż do wschodu jutrzeńki, a widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania się z nim. A wreszcie rzekł: „Puść mnie, bo już wschodzi zorza!”.*

[* Tłum. na podstawie Biblii Tysiąclecia.]

[Tekst stawał się wyraźniejszy kilka stron dalej i nie mogłem znaleźć niczego więcej, co dotyczyłoby słów, jakie Jan wypowiedział do swojego anioła. Dalszy tekst zaczynał się od słów:]

Za filarami z kości słoniowej i ametystu al-Qasr - znacznie później Jan uprze się, byśmy nazywali go Bazyliką Świętego Tomasza - usiadłam z rękami skromnie złożonymi na kolanach, gładząc ognistej barwy ogon Hadulpha siedzącego po jednej stronie i z milczącym Astolfo po drugiej. Siedzieliśmy w rzędach jak dzieci. Pigmeje dłubali w uszach, samica feniksa pogryzała laski cynamonu, skiapodowie odpoczywali na plecach, trzymając w górze szerokie stopy, których każdy palec był ozdobiony srebrem i szmaragdami. Grisalba szcztokowała długie czarne włosy. Wyglądała na znudzoną.

Ksiądz Jan starał się na mnie nie patrzeć. Włosy mu odrosły, ale były siwe, bielsze, niż powinny być u mężczyzny w jego wieku.

Powiedziałam mu raz, wiele lat później, kiedy przesuwiał językiem po moim krzyżu, że słońce odebrało mu całą krew, zostawiając w żyłach tylko światło.

Jan, który zawsze był dobrym nauczycielem, starał się każdemu po kolei spojrzeć w oczy, ale nie mógł spojrzeć w moje, nie mógł spojrzeć na pełną krągłość moich wysokich brązowych piersi i w zielone oczy spokojnie patrzące z ich czubków spod gęstej zasłony rzęs. Zawsze odwracał wzrok ode mnie i każdej innej kobiety blemiów. We mnie jednak coś w szczególności go zawstydzalo. Może dlatego, że to ja go znalazłam, widziałam go słabego, opiekowałam się nim. Czerwienił się jak dzieciak, kiedy niechcący spojrział mi w oczy. Później droczyłam się z nim z tego powodu, ale on się nie śmiał. Oczywiście, że nie mogłam na ciebie patrzeć. Byłaś naga.

Nie pojmo wałam jego moralności. Nawet kiedy ją zrozumiałam, patrzyłam na nią w dużym stopniu jak na coś martwego, czego smród muszę znosić. Byłam zawstydzona, że stałam się wyróżnionym obiektem, który postanowił ignorować. Często mrugałam, żeby przerwać mu jego gładzenie, by przyciągnąć jego spojrzenie, ale on starał się patrzeć tylko w to miejsce, gdzie znajdowałyby się moja głowa, gdybym była ludzką kobietą.

A-ve.

Powtarzał te słowa, jakby miały dla nas jakieś znaczenie, wymawiając każdą sylabę z osobna. Nie lubiliśmy łaciny. Odkładała się na naszych językach jak stara pomarańcza, słodko-kwaśna, z przerośniętą skórką.

A. Ve.

A-ve Ma-ri-a.

A. Ve. Mari. A.

Grisalba ziewnęła i podniosła ogon, leniwie uderzając jego koniuszkiem o chalcedonową posadzkę. Hadulph zarechotał i wgrzył się w spółgłoski jak w stawy łokciowe. W przednim rzędzie mała panoti wyciągnęła uszy, żeby uważnie słuchać go całą swoją istotą. Z drugiej strony w taki właśnie sposób panoti słuchają. Widziałam niebieskawą krew pulsującą w delikatnej skórze jej płatków uszu.

A-ve Ma-ri-a gra-ti-a ple-na. Maria gra, gratia plena. Ona gra, Ave Maria gratia plena.

A. Ve. Mary. Ja. Gracji. Pełna.

- Ciekawa jestem, jak smakuje jego pot? - mruknęła siedząca obok mnie Grisalba.

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu, ale ksiądz nie mógł mnie zbesztać, bo musiałby zerknąć poniżej moich oczu-sutków na usta-które-są-pep-kiem, a nie podjąłby takiego ryzyka. Ja też się zastanawiałam. Zastanawiałam się, jak by smakował pocałunek tego cudzoziemca. Jednak były to leniwe myśli, letnie pochmurne dumania.

Nie, nie. Ona gra. Ona; gra. Może powinniśmy zamiast tego spróbować Pater Noster?

Pater. Nos. Ster.

[Kolejny kawał grzyba i zgnilizny skradł mi słowa blemijki. Tym razem pochłonęły całą stronicę, z której mogłem uratować tylko mizerną wymianę już fioletowiejącą w linijkach liter. M w słowie Maria poczerniało od rozkładu:]

Rozumiałam, że ta rzecz z Marią jakoś odnosi się do dziewicy, która miała dziecko. Nie robiło to na mnie szczególnego wrażenia. W końcu Qaspiel też tego dokonało. „Dziewictwo obdarza siłą” - powiedział Jan w czasie jednej z nauk. - „To perła, która kupuje raj”. Nikt z nas tego nie rozumiał.

„Jaki raj masz na myśli?” - zapytała ze złością Grisalba, kiedy próbował wyjaśnić konieczność zachowania czystości. - „Jaką przyjemność tam można kupić nieszczęściem tutaj? Janie, rozejrzyj się! Czego takiego chcesz, czego raj naszego domu, którym tak hojnie

dzielimy się z tobą, nie daje w obfitości?”.

On popatrzył na mnie i odrzekł: „Cnoty”.



Czy pragnęłam go, bo mnie nienawidził? Nie lubię tak myśleć. Wolę zachować lepsze zdanie na swój temat. Może jednak taka jest prawda. Ksiądz uwielbiał spacerować z Qaspiem i rozmawiać z nim, nawet po prostu słyszeć jego głos, który zawsze brzmiał melodyjnie, łagodnie, płynnie. Qaspiel nawet nie wiedziało, co Jan miał na myśli, gdy wypowiadał słowo „anioł”, ale pozwalało na to - skoro cieszyło to cudzoziemca, to niech go tak nazywa. Łamał się chlebem z Fortunatusem i sączył sok czarnych cebulek, które szczególnie lubił. Ja też je lubiłam. Te owoce są małe i miękkie, ich miąższ jest ciemnofioletowy, a pestka, jak samotna perła. Dzieci w szczególności za nimi przepadały i trzeba było trzymać je od nich z dala, bo owoce te sprowadzały bogate i przerażające sny. Dziwiłam się, że Fortunatus pozwala mu tak często sobie dogadzać. Pomyślałam, że może gryf ma lepsze serce, niż podejrzewałam, ale kiedy go zapytałam, odpowiedział tylko: „Nie jest moim dzieckiem i nie będę go beształ”.

Nawet w Grisalbie znalazł swojego rodzaju przyjaciela. Pozwoliła mu wierzyć, że na chwilę się nawróciła, bo ją to bawiło. Nosiła nawet woal, kiedy ją o to prosił. Modliła się razem z nim w szabas, z jednym okiem otwartym. Napełniła kilka kielichów truciznami i jadami swojego ciała, żeby mógł ją lepiej poznać. Miała ich w sumie siedem i była bardzo dumna z ich kolorów. Pokazała mu wszystko na temat jej ludu z dumą, wdziękiem i elokwencją. Jednakże pewnego wieczoru, kiedy pouczał ją w kwestiach eschatologicznych, pochyliła się ku niemu i go pocałowała. Kiedy mi o tym opowiadała, powiedziała, że odwzajemnił pocałunek, chociaż zjadła na jego oczach kolację, ale szczerze wątpię, żeby patrzył na to z wielkim kontenanssem, ponieważ jej natura była niepodważalnie wężowa. W związku z tym była zmuszona wybić sobie szczękę, żeby móc pochłonąć swój posiłek w całości i żywy. Lamia w taki sam sposób całowała. Owinęła wokół niego ogon, ściskając jego chudą postać, żeby oparła o jego wargę w wygłodniałym pocałunku, zagarniając go całego dla siebie. Ale Jan ją odepchnął, oczy napełniły mu się łzami i nazwał ją dziwką, i szarpał paznokciami jej ogon jak coś

dzikiego. Krzyknęła na niego, że jest beużyteczny, że jest eunuchem, psem, i ugryzła go brutalnie w policzek - do dnia śmierci nosił bladofioletową bliznę w tym miejscu, jakby pocałunek nigdy go nie opuścił.

Uciekł od jej namiętności do al-Qasr, gdzie niemal cały Nural wyciągał się w skwarze późnego lata, jego sennej, powolnej słodyczy, gdzie fontanny szemrały delikatnie i cicho. Hadulph opatrzył go, a kilka małp zwieszających się z sześciorekietego posągu zapomnianego boga go wykpiło. Wreszcie, kiedy dzień postarzał się o kilka godzin, zjawiała się Grisalba. Szukała go. Policzki rozbłyskiwały jej zielenią, gniew stroił ją jak klejnoty Warknęła na niego na oczach większej części naszego narodu.

- Jestem wężem i nie przejmuję się tym, co sobie myślisz. Tak, mam wielki apetyt na parzenie się i na wiele innych rzeczy poza tym. Tak, piję krew. Nie dlatego, że jestem nikczemna, ale ponieważ moje ciało zostało tak stworzone, że każdą cząstką pragnie krwi, trawi ją, by czerpać z niej życie. Ty nic nie możesz poradzić na to, że czerpiesz życie z ciast, potrawek i pieczeni. Pijesz krew swojego Boga! Jakie masz prawo, żeby osądzać mój lunch? Spróbuj pożyć, jedząc drewno, i powiedz mi potem, że moje nawyki są obrzydliwe i grzeszne. I owszem, pożeram własne jaja. Nie ma w tym nic złego. To część naszych najintymniejszych rytuałów. Dziecko kończy rozwijać się w moim ciele. Jajo rodzi wężową część, łono ludzką połowę i naprawdę myślę, że nieco mniej mdłości w związku z biologią lepszych od ciebie dobrze by ci zrobiło. Żyję zgodnie ze swoją naturą i jeśli twój Bóg stworzył wszystko, to stworzył i mnie, i nie powinieneś mazać się jak dzieciak z powodu jednego małego pocałunku. - Usiadła, a miedziany ogon owinął się wokół niej. - A teraz, jeśli chcesz, żebyśmy odmówiła różaniec, zrobię to. Ale to będą ostatnie słowa, jakie wypowiem do twojego Boga, ponieważ wydaje mi się, że to bardzo specyficzny Bóg i nie ma nic wspólnego ze mną, ale jedynie z tobą. Jeśli chcesz pozostać prawiczkim i zadzierać nosa, twoja sprawa, ale nigdy więcej nie nazywaj mnie dziwką tylko dlatego, że robię to, co słuszne, dobre i naturalne. To naganne zachowanie.

I tak Grisalba pozostała jedynym konwertytą Jana, teoretycznie, ponieważ nigdy nie namówił jej do odmówienia tej ostatniej modlitwy Od tamtego czasu czuli się swobodnie w swoim towarzystwie; Jan pobłogosławił jej jaja, kiedy się pojawiły, po tym, jak znalazła sobie

odpowiedniejszego kochanka, który przynosił jej kwiaty kurkumy, by dekorowała jego czyste słodkie ciało.

Jan kochał nawet małą panoti, którą widziałam na jego naukach. Wszędzie za nim chodziła i nauczyła się łaciny tak dobrze, że rozmawiali w tym sekretnym języku. Wbrew sobie byłam zazdrosna. Mój mąż nie mógł do mnie mówić, wszyscy powariowali na punkcie tego bezużytecznego obcego, a ja byłam samotna. Jednak mnie jednej nie mógł znieść, nie chciał mnie uznać. Widziałam raz, jak bawił się z małym dzieckiem blemiów, dziewczynką. Nazywała się Oro; znałam ją, miała wielki talent do matematyki, byliśmy z niej bardzo dumni. Jan łaskotał ją i oboje się śmiali, a mnie przeszła igła zazdrości, bo na nią mógł patrzeć, na jej chudą, nierozwiniętą pierś z jasnymi piwnymi oczami, z pępkiem ładnej buzi - ale nie na mnie. Recytowała teorematy, żeby mu zaimponować, a on zachowywał się zupełnie tak, jakby paplała dziecinne głupotki. Uśmiechał się po ojcowsku i klepał ją po ramieniu. Spuściłam wzrok ogarnięta wielkim wstydem.



Pewnego dnia natrafiłam na lekcje udzielane Janowi przez Fortunatusa w długiej, ocienionej bibliotece al-Qasr, gdzie zwoje leżały w niszach niczym długie kiście cytronu.

Gryf czytał na głos:

- „Długie kości znajdują się w kończynach, a każda składa się z trzonu i dwóch końców. Trzon kości jest cylindryczny z centralną jamą nazywaną jamą szpikową”.

Prezbiter odgrodził się z towarzyszem; na niskim biurku z drewna cyprysowego leżały rozłożone przekroje poprzeczne satyra i blemia oddane w delikatnych, kosztownych brązowych atramentach - blemia płci męskiej z rozpostartymi członkami, otoczony schematycznymi symbolami, jakby przyszpilono go do koła, ukazując zwarty ideał jego czterech kończyn, które odpowiadają poszczególnym żywiołom. Satyr zginał się wpół, chwytając się za kopyta niczym kozi uroboros.

- Skup się, proszę, Janie - prosił Fortunatus, jego zwerbowany przymusem nauczyciel. - Jeśli nie poznasz naszej anatomii, jak będziesz żył między nami? W jaki sposób pomożesz nam w dzieleniu zbiorów, jeśli nie wiesz, że feniksy potrzebują kasji cynamonowej i kardamonu na

gniazda, a z kolei satyrowie nie mogą jeść pieprzu, który pozostali tak cenią? Jak będziesz budował cegła na cegle, jeśli nie wiesz, że blemiowie orientują swoje domy w grupach po cztery, wejściami na zewnątrz, podczas gdy skiapodowie w ogóle nie mają domów, ale kładą się pod własną stopą jak myszy pod muchomorami? Jak będziesz sprzedawał nasze towary w czasie targu o kwadrze księżyca, jeśli nie wiesz, że lamie szczególnie lubią plastry miodu nadal oblepione zaspanymi pszczołami, podczas gdy derwisze nie jedzą niczego poza swoimi zmarłymi?

-Tam, skąd pochodzę, wszyscy ludzie mają taki sam kształt - gderał ksiądz, a oczy miał przekrwione od czytania; nie chciał mnie zauważyć, tej, która w tajemnicy stała się najlepszą uczennicą wśród jego wszystkich dyscypułów, jego discipuli. Wzięłam na siebie obowiązki skryby i przetłumaczyłam każdy z tych ilustrowanych atlasów anatomicznych na łacinę, żeby Jan uwierzył w ich prawdziwość, ponieważ powiedział nam, że łacina to język prawdy, a prostackie języki to dialekty kłamstwa. Mimo to nadal nie podziękował mi za to.

- To smutny kraj i powinienesz dziękować swojemu Bogu, że nie musisz wracać tam, gdzie każda twarz jest bliźniaczym odbiciem drugiej -odpowiedział gryf z przeciągłym westchnieniem.

- A jednak tęsknię za nim i chciałbym znaleźć się w tym miejscu, gdzie nie ma niczego dziwnego - mruknął Jan i spojrzał w dal, omijając mnie wzrokiem.

Udałam, że jestem zajęta kopiowaniem własnego zwoju na temat rytuałów centaurów pod długimi i wąskimi jak świeca oknami. Obserwowałam go jednak jednym okiem. Nadal między włosami na głowie przebłyskiwały placki skóry, ale nie była już poparzona i nie łuszczyła się jak wcześniej. Pomyślałam sobie: Tak, musi tęsknić za domem. Musi być smutny; Musi żałować że nie znalazł się w miejscu, w którym nie byłby obcy. Nadal musi tęsknić za swoim Ap-oss-elem. Jan otrząsnął się i ponownie skupił na kręgach z ciałami.

- Nie rozumiem blemiów - oznajmił, nie zwracając głowy w moją stronę, jakby mnie tam w ogóle nie było. - Noszą twarze na piersiach i nie mają głowy. Zakładam wobec tego, że mózg znajduje się za sercem, w klatce piersiowej, ale jak - ksiądz się zarumienił i poprawił na krześle, żeby było jasne, że nie kieruje nieprzyzwoitego pytania do mnie - ich

kobieta wykarmiłaby dziecko, Fortunatusie?

Gryf poruszył ciemnymi skrzydłami, raz, drugi.

- Płacząc. Jakżeby inaczej?



W domu Astolfo był zagubiony we własnych marzeniach i myślach, jego oczy często się szklily, szczęśliwe, zapatrzone w jakąś dal, o której nic nie wiedziałam. Często się modlił do Wiśuddhy, jedenastoustego boga swojego ludu. Wyrzeźbił ołtarz z jedenastu kamieni i przelał tam wiele swojej miłości. Ceremonie religijne dla Wiśuddhy, tak przepełnione melodyjnymi recytacjami i jedenastoczęściowymi wierszami, zawsze przyprawiały mnie o zawrót głowy. Przez wzgląd na Astolfo uprzejmie uczestniczyłam w świątecznych nabożeństwach amyktriów, ale nigdy ich nie ogarnęłam. Nauczyłam się antyfon i agon, ale nie mogłam odnaleźć wiary. Myślę, że to weszło mi już w krew.

Mój mąż nie mógł ze mną rozmawiać, jedynie ze swoim bogiem i drzewami. Zjadłam zupę w milczeniu, które stało się naszym trzecim towarzyszem.

[Długie palce szkarłatu zatarły dalsze uwagi na temat męża, cudownych rozmów Jana z lamią czy nawet późniejszych dysput na temat anatomii - widzisz, Panie, jak marzyłem, co mogło znajdować się na tych stronach, jak odgadywałem, że musiało to być coś cudownego, ponieważ było dla mnie niewidzialne? Następne ustępy rozplynęły się, a kiedy tekst odzyskał klarowność, całe miasto zebrało się, żeby osądzić księdza].

Fortunatus drapał piasek naszego popadającego w ruinę amfiteatru, gdzie ludy naszej krainy zbierały się - na ile były skłonne się zebrać, a to znaczy leniwie i bez specjalnej intencji, by cokolwiek naprawdę przedyskutować. Gryf się denerwował; kolor jego ogona był teraz przygaszony, a w gardle mu zaschło. Ogromne stworzenie nie przepadało za przemawianiem, a jeszcze mniej odpowiadało mu to, że jego rozmiary budziły respekt, na który w swojej opinii tak naprawdę wcale nie zapracowało. Wszyscy więc go słuchali, a on nienawidził ich za to, że go słuchają.

- Moim zdaniem - zaczął, a jego dziób błyszczał jak złoto w ostrym słońcu - powinniśmy pozwolić mu dorzucić swój kamyk do naszych

podczas Abiru.

- Dlaczego?! - krzyknęła Grisalba, próbując odebrać kawałek plastra miodu siostrze, która myślała, że zaproszono ją na święto, a nie na obrady prowizorycznego parlamentu. - Nie prosił o to.

- A gdyby wylosował szton króla? - zapytał Hadulph, unosząc z troską czerwony pysk. - Władałby nami. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby to dobrze się skończyło.

Fortunatus zmarszczył czoło i oślepiające światło odbiło się od jego złota.

- No dobrze, i co wtedy? Czy byłby gorszy do kogoś z nas? A gdy-by szton króla wylosowała Oro? Albo Qaspiel? Ksiądz przynajmniej nie będzie stronnicy, nie ma tutaj innych stworzeń takich jak on, nie ma odłamu, który mógłby faworyzować. - Gryf wbił spojrzenie żółtych oczu w piach i mówił cicho. -1 musi być samotny. Nie ma tu dla niego nikogo, nikogo jego rodzaju, kto rozumiałby jego miłość dla Ap-oss-ela, nikt nie mówi w jego wibrującym języku i nie spojrzy mu w oczy, nie odzwierciedlając przy tym jego własnej dziwności. Król ma tysiące przyjaciół; nie można go wykluczyć z żadnego towarzyskiego wydarzenia ani nikt nie może kręcić na niego nosem z pogardą. Żal mi go. Wam nie?

- Jeśli tu zostanie, zmusi nas do nawrócenia! - wykrzyknęli skiapodowie, strzelając w konsternacji pończochami. - Chce zamienić al-Qasr w kościół, a my wszyscy będziemy pełzać, błagając o wybaczenie kto wie za co!

Fortunatus wzruszył masywnymi kudłatymi ramionami.

- A kiedy feniks Gamaliel była królową, nazwała al-Qasr gniazdem i podpalała go co sto lat. Przebudujemy pałac i nazywamy go, jak chcemy. Tak działa rząd. Taki jest los podwładnych. W jaki sposób Jan mógłby zażądać więcej, niż zażądała Gamaliel? Poza tym Loteria jest dziwnym bogiem i równie prawdopodobnie może skończyć jako szewc albo hodowca sałaty. Nie możecie odmawiać człowiekowi, kierując się tym, co może zrobić w okolicznościach, do których niemal na pewno nie dojdzie.

Trzymałam obiema rękami długi zielony baldachim nad torsem, żeby osłonić się przed słońcem; para gawronów przysiadła na nim i ciężar sprawiał, że ciepły materiał opadał mi na ramiona. Nic nie

powiedziałam, ale skrzywiłam się i w myślach ćwiczyłam czasowniki.

Regno, regnas, regnat. Regnamus, regnatis, regnant.

Ja rządę, ty rządysz, on lub ona rządzi.

- Nie może wziąć udziału w Abirze, ponieważ nie pił z Fontanny - odezwałam się głośno i wyraźnie.

Zignoruj mnie teraz> pomyślałam, patrząc na jego nierówno porośniętą* udreńczoną głowę, gdy siedział na dolnych ławkach. Zignoruj to.

Pomruk rozszedł się wśród tłumu, a Fortunatus sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście nigdy nie pomyślał o tym fakcie. Zwrócił się do Jana, który naprawdę potrzebował nowych ubrań; jego habit wyglądał gorzej niż pajęczyna.

- Jesteś skłonny podjąć się tej podróży? - zapytał gryf, a jego głos rozbrzmiewał w amfiteatrze jak trąbka. - Nazwałbyś ją sakramentem. Jeśli napijesz się z Fontanny, naprawdę staniesz się jednym z nas, zwiążesz swój los z naszym losem. Mówisz, że życie w twoim świecie jest krótkie; czy odrzucisz wieczność?

Jan nic nie mówił. Wreszcie się odezwał:

- Życie wieczne może przyjść tylko poprzez Boga. Nie ma innego życia niż w Chrystusie. Nie mogę, Fortunatusie. Nigdy nie zdołam odplacić się za twoją dobroć dla mnie, ale to już za wiele. Mój Bóg nigdy by mi nie wybaczył.

- Zatem postanowione - orzekłam, nie próbując nawet ukrywać ostrza w moim głosie. - Umrze za jakieś czterdzieści lat. Nie ma potrzeby włączać go do Abiru.

Fortunatus nie odpowiedział, ale popatrzył na mnie poważnymi, smutnymi oczami.

Nie przyjaźniliśmy się w owych dniach, nie jak Hadulph i ja, czy nawet Qaspiel. Uznał, że jestem zgorzkniała i bezwzględna, i być może taka byłam.

Wybacz mi, mężu. Kocham cię teraz, ale wtedy byłeś dla mnie taki okrutny.

- Czekaście - odezwał się Jan, podnosząc ręce, nadal poblížnione i różowe od pustyni. Znudzona Grisalba przeżuwała laskę wanilii. Strączek wystawał jej elegancko z ust. - Czekaście - powtórzył. -

Przybyłem tu w poszukiwaniu grobu Świętego Tomasza, ale go nie znalazłem. Moja pamięć nadal jest osłabiona, ale tyle pamiętam. Nadal pragnę wyruszyć w dzikie ostępy Pentexore i odszukać miejsce pochówku. Nie mogę naprawdę odpowiedzieć na żadne postawione mi pytanie, dopóki nie znajdę satysfakcjonującej mnie odpowiedzi, czy grób znajduje się tutaj, czy też nie. Pozwólcie mi odejść, dajcie mi worek jedzenia, bukłak z wodą i może towarzysza lub dwóch, a gdy wrócę, zapytajcie mnie ponownie. Zbyt wiele nowości przyprawia człowieka o zawrót głowy. Nie mogę zebrać myśli.

Zatroskane Qaspiel złożyło i rozłożyło długie niebieskawe ręce. Końcówki jego skrzydeł trzepotały.

- Jak go znajdziesz, Janie? - zapytał antropteron. Głos mu drżał od ogromnego pragnienia, pragnienia, które tak dobrze znałam: by nikogo nie urazić.

To była jedna z naszych głównych motywacji i zdałam sobie wtedy sprawę, że Jan w ogóle nie pojmuje, dlaczego zachowywaliśmy się wobec niego z nieustającą życzliwością, bez względu na to, do praktykowania jak bardzo dziwacznych rytuałów nas zachęcał. Pośród nieśmiertelnych dobre wychowanie jest równie ważne jak chleb i woda. Nie możemy o niczym zapomnieć, grzeczność obowiązuje nas wszystkich.

- Pan mnie poprowadzi, Qaspiel. Wskaże mi drogę przez góry, przez pustynię, przez wszelkie trudności.

Pomruk rozległ się wśród tłumów. Miło i dobrze nauczyć się łaciny, ale powierzyć cenne ciało tym górą, tym pustyniom, mając tylko obcego Janowego Boga, który z całą wyrazistością nie przemawiał, nie ukazywał się i właściwie niczego nie robił? Nie jestem pozbawiona wiary. Matka nauczyła mnie tajemnych hymnów Pępka Niebios, który łączy nas wszystkich. W dobre dni, kiedy nie pada deszcz i nie jest mroźno, wierzę, że w trudnej chwili to połączenie będzie jaśniało i mnie zachowa. Wierzę jednak także w mapy, kartografię, magnetyczną północ i dobrego, niezbyt narowistego wielbłąda, który mnie poniesie. Jan obstawał niezachwianie przy swoim, ale my po raz pierwszy dostrzegliśmy, że być może nie przebył Rimalu nietknięty, że możliwe, iż jego umysł jest posiniaczony i na wpół rozwodniony. Książd nie mógł powędrować samotnie. Zginąłby natychmiast.

Hadulph ziewnął. Fortunatus stał nieruchomo zastygły w skupieniu. Grisalba beknęła. A ja ujrzałam szansę dla siebie. Nie dam się znowu odsunąć. Nie mógł mnie dłużej ignorować.

Wstałam, żeby nie mogło być mowy o pomyłce, i zawołałam wyraźnie, jak w modlitwie:

- Pójdę z tobą, Janie. Będę cię chronić i utrzymam cię przy życiu w drodze.

I wezmę mapę, dodałam w myślach.

Ksiądz skrzywił się, a ja wygrałam. Nie mógł mnie odrzucić na oczach wszystkich. Jak małoduszny i podły by się wtedy wydał! Jednak Astolfo u mojego boku, mój mąż pełen pozbawionej głosu miłości i o szczęście jak beczka, spojrzał na mnie, a jego oczy napełniły się poczuciem straty.

- Wrócę po ciebie - zapewniłam go cicho i odgarnęłam włosy z czoła mojego ukochanego.

Jednakże aż za dobrze nauczyliśmy się rozmawiać w milczeniu. Nie będzie mnie trzymał za słowo.

Hadulph ostatecznie także się zgodził i oczywiście Fortunatus. Qaspriel także i mała panoti, chociaż wielu protestowało, że nie będzie z niej żadnego pożytku i powinna zostać tam, gdzie znajdzie miłość i opiekę. Syknęła przez doskonałe, maleńkie ząbki. Spojrzałam na Grisalbę, a ona ryknęła śmiechem.

- Nie za twojego życia, mój bezgłowy skarbie - powiedziała, kręcąc głową.

Kiedy zakończyliśmy rozmowy, słońce wyciągnęło w górę złote ramiona i skapitulowało za odległymi wzgórzami, ku którym wyruszymy wszyscy razem i wrócimy całkiem do siebie niepodobni.

Szkarłatny pokój dziecienny

Pewnego razu Lamis przyszła do mnie, kiedy noc rozbrzmiewała jak stary, pusty słój z prawie całkiem wysuszonym osadem. Usta jej drżały, gdy wyciągnęła ogromną dłoń, szukając bliskości, bojąc się poprosić, ponieważ powinna spać i nie kłopotać swojego Motyla, kiedy gwiazdy opatulają się w łózkach do snu.

Lamis, Która Była Po Prostu Samotna: Opowiedz mi historię, Motylu. Tylko dla mnie. Opowiedz mi o tym, skąd pochodzisz.

Powinnaś spać, moje jagniątko.

Lamis, Która Chciała Czegoś, Czego Jej Rodzeństwo Nie Ma, Czegoś Tylko Dla Siebie: Jeśli mi opowiesz, zasnę.

Dziecko w potrzebie to najgorsza pułapka, jaką świat może zastawić.

Wobec tego, zaczęłam, oto cała prawda: nie jestem taka jak ty. Zostałam zrobiona z czegoś innego niż uliczny kurz i przyprawy, z innych rzeczy niż te, które miasta mogą wykuć w swoich niekończących się i peregrynujących sercach. Moi ludzie nie przybyli razem z pozostałymi na-Statku z Kości. Mieszkaliśmy tu w czasach przed chlebem i solą, mieszkaliśmy w plastrach śniegu, zamrożone pszczoły pełzające po dźwigarach świata. Wy wszyscy jesteście tu cudzoziemcami, nawet twoja matka, nawet ci kamienni ludzie, o których śnił Catacalon, ale to mój dom.

Nie jestem taka jak ty. Śpię zwinięta w kłębek na podłodzie pokoju dzieciennego. Słyszę poruszające się wokół mnie dźwięki pałacu, każdy co do jednego: cebule siekane w kuchniach i limetki, serca krokusów suszące się na pomarańczowy szafran w pomywalni. Słyszę waszych ojców, wszystkich dwunastu, śniących i chrapiących. Słyszę kochanie się nade mną, ciało królowej poruszające się w ciemności. Słyszę kamienie ścian, jak oddychają, wiatr powoli rozcierający je na proch, zbyt wolno, by to zobaczyć, ale ja to słyszę. Słyszę, jak lampy są gaszone, bo zbliża się świt, słyszę też dźwięk nadchodzącego świtu. Gra jak dzwon, rozbrzmiewający bardzo długo i bardzo nisko. Wiem o wszystkim, co się dzieje w tej dolinie, ponieważ to słyszę, przez cały

czas, każdej nocy, każdego dnia.

Posłuchaj mnie teraz. Panoti uczyli się słuchać; to dar, który przynieśliśmy do miasta. Moją ofiarą dla dzieci, znakiem, jak ogromnie kocham je, a także ich matkę, jest fakt, że przez wszystkie te wieczory, wszystkie te dni, mówiłam więcej, niż słuchałam.

Zamknij oczy. Mogę cię upodobnić do siebie.

Pewnego razu dziecko zaginęło na stokach góry, którą kiedyś nazywano Osią Niebios, a także Czomolungmą i Sagarmathą. Dziewczynka miała szare włosy, chociaż była dzieckiem, nie posiwiała ze starości, ale szare jak kamień. Jej oczy zaś były bezbarwne, opalizowały jak twardy kryształ. Jej imię udokumentowano i chociaż wszystkie zapisane rzeczy są niedoskonałe, wierzymy, że owo dziecko bez barwnika w oczach nazywało się Panya. Uważamy, że rodzina ją kochała. Mamy nadzieję, że była kochana, że spała koło ciepłego bułanego konia o miękkich nozdrzach, którymi trącał ją, kiedy śniła o ogniu. Miło tak myśleć.

Jednak śnieg zabrał jej matkę, a lód ojca, i dziecko czepiało się skał niebieskimi paznokciami, szcękając mlecznymi zębami za pobielającymi ustami. Mimo wszystko wspinało się coraz wyżej, ponieważ słuchało i słuchając, usłyszało muzykę w kolorze weselnych kwiatów - im bardziej zbliżasz się do nieba, tym bardziej bezwładnie mieszają się wszystkie ziemskie rzeczy. Muzyka ma kolor, kamienie mają głosy, zapachy - ciężar i smak. Skoro nie było nikogo, kto by ją zbeształ i powiedział, żeby zeszła jak grzeczna dziewczynka, Panya wspinała się od grani do grani. Muzyka grała dla niej i tylko dla niej, a ona potrafiła tak uważnie słuchać w białych cieniach rzucanych przez śmierć.

Zanim wreszcie dotarła do krawędzi świata i na szczyt wielkiej góry, Panya dorosła. Zjadła jednak tylko dwanaście zamrożonych źdźbeł ryżu w czasie dorastania, więc tylko oczy urosły jej duże. Była blada jak diamentowy czerw i oplatała ramionami tamtejsze kamienne iglice, które nie są aż tak różne od tutejszych miedzianych iglic. I znalazła tam źródło muzyki, nadal cichszej niż szept, a ono okryło ją miłością koloru konia w mroku.

Panya znalazła Schody.

Schody nie były ani fioletowe, ani złote, ani zielone, ani czarne. Wyciągały się w górę i były wyższe, niż Panya mogła mieć nadzieję

dosięgnąć, wyrzeźbione z myślą o olbrzymie, a do ich szczytu przywarły chmury. Wznosiły się z górskiego szczytu długą spiralą i gdyby spod zmrużonych powiek Panya spojrzeła na straszne, zamarzające słońce, dostrzegłaby początek następnych Schodów. U stóp Schodów Panya została i słuchała muzyki, aż się nią napełniła. W swoim czasie urodziła syna, którego oczy nie miały koloru, i córkę, i znowu syna, aż wioska dzieci zamieszkała u podnóża Schodów i jadła zamrożone mleko jej ciała. I słuchała.

Słuchali tak długo, aż ich uszy urosły szerokie i powłóczyście jak żagle, by wychwytywać cichą, niechętną muzykę Schodów. Owijali się nimi, żeby nie marznąć, ale także, by słuchać własnych serc. Zaczęli się uczyć i w trakcie nauki zaczęli rozumieć, że Schody to miejsce, gdzie Pierwsza Ruchoma Sfera niebios dotyka Sfery Pospolitej Ziemi. Tam, gdzie te dwie się łączą, sadowi się na nasza wioska, która tak naprawdę jest klasztorem, i wszyscy z nas, którzy są braćmi i siostrami, słuchają tam muzyki styku i siebie wzajem. I siebie samych.

Urodziłam się tam, w wiosce Nimat, która zawiera Schody, tak jak niektóre wioski zawierają ryneček z posągiem albo dwoma, i piłam dźwięk spadającego śniegu.

A kiedy Lamis zapadała w sen, powiedziałam jej, najmniejszej z ich trójki, że rano obudzę ją i jej rodzeństwo i dam im chleb ze śmietaną i żółtym owocem, bo Lamis najbardziej lubiła kolor żółty, chociaż Houd wolał fioletowy. A wieczorem zapalę czerwone świece i wyłożę czerwone mięso, nać selera i słoń zupę, żeby urosli silni i mądrzy. I powiem im wszystko, co wiem, żeby nauczyli się słuchać jak Panya, jak ja. Mieszkaliśmy w mieście pełnym cekinów i rzeczy rozpraszających uwagę. Otworzyłam ich uszy i zwinęłam w wasze dłonie.

Śpiewałam swoją historię, która jest także ich historią. Słuchaj, szepnęłam do niej. Stań się jak panoti, którzy jako jedyni słyszeli wieczorne ablucje gwiazd.

Lamis, Która Prawie Zasnęła: Jesteś taka lekka, Motylu. Ledwie cię czuję na dłoni. Jakbyś była z wiatru.

Słowo w pigwie

Rozdział Szósty, w Którym Opowiedziane Są Trzy Historie na Temat Natury Miłości, a Droga Wiedzie przez Bardzo Piękną Krainę.

Rzesze życzliwych odprowadziły nas długą, wąską drogą wychodzącą z Nuralu. Lud rzucał szylkretowe kwiaty, nasiona gujawy i wilgotny zielony ryż na nasze głowy w błogosławieństwie, podzwaniał miedzianymi dzwoneczkami, przytupywał kopytami, uderzał w dłonie i stopy, śpiewał pieśni wędrowców, lubieżne piosenki i wszelkie przyśpiewki, których refren wszyscy znali. W pewnej chwili chmara podzwaniających derwiszy zawirowała tak chyżo, że dzwoneczki posypały się z nich niczym migotliwe kwiecie. Wyśpiewywali moje imię: Jan, Jan, Jan. Brzmiało to obco i cudownie w ich ustach. Wreszcie ogół znieruchomiał i wszyscy po prostu stali, machając nam na pożegnanie, dopóki nie zniknęliśmy za ruczajami.

Unikaliśmy drogi pielgrzymkowej do Fontanny. Nie chciałem zbliżyć się do tego diabelskiego miejsca. Źródło całej ich siły nie mogło być źródłem mojej siły. Mała panoti, która nazywała siebie Hadździ, obstawała przy tym, że wie, dokąd nas zabrać, byśmy przynajmniej dowiedzieli się, gdzie może znajdować się grób świętego, jeśli go w owym miejscu nie znajdziemy. Nie chciała jednak powiedzieć, dokąd zmierza, a kiedy próbowałem wypytać ją o jej imię, które wbrew sobie rozpoznawałem, bo słyszałem je z ust wielu saraceńskich pielgrzymów przelewających się przez Ziemię Świętą, zmrużyła przejryste białe oczy i zamilkła, odmawiając mi jakiegokolwiek odpowiedzi.

- Jesteś zatem pielgrzymem? - próbowałem ją zagadnąć, ale zostałem odrzucony, panoti odwróciła się do mnie wąskimi białymi jak śnieg plecami i szurała bosymi szorstkimi stopami na kamienistej drodze niczym koza, która wykarmiła maleńkiego Zeusa.

Pentexore ożywia w pamięci wszystkie stare historie. Wyjąłem je jak pranie, rozłożyłem pod tym nowym słońcem i sprawdziłem, czy

wyglądają na poprzecierane, czy na całe. Kiedy oddalaliśmy się od Nuralu, opowiedziano trzy historie - jedną we śnie, drugą na jawie, trzecią w miłości. Pragnę je tu przedstawić. Pamiętam je z ostrością reliefów w kryształach, tak mocno mną wstrząsnęły, wtedy i teraz.



Podczas naszej pierwszej nocy rozbiliśmy obóz pod poskręcany, łukowato wznoszącymi się korzeniami wielkiego banianu; każda jego ra-
dełkowana drewniana macka była niczym udręka narośli i szczelin. Korzenie sięgały tak wysoko, że przechodziliśmy pod nimi i wyciągaliśmy szyje, by dojrzeć ich szczyty. Zdawało mi się, że słodka zwiewna mgiełka zebrała się wysoko wśród nich jak na szczytach wzgórz. Posplatany, tkany baldachim korzeni w kolorze pieczonego chleba zdołałby osłonić całe miasto...

- I czyż nie osłania? - powiedział Hadulph, wielki czerwony lew, którego pysk i złote wąsy były potężniejsze niż moja głowa i większa część ramion. - Mrówki też mają kraje, a i robactwo ma swoje cesarstwo. Ćmy władają rozległą społecznością ogromnie przejęte gromadzeniem światła. Nawet pędy asparagusa, które upieczemy na kolację, i owoce liściokwia-tu o zielonej skórce, nawet one są książętami i wicehrabiami potężnych jarzynowych dworów, których zwyczajów nie znamy. Biada temu, kto przez własną ignorancję lub nikczemność złamie prawa cebulek tulipanowych i wyssie z nich słodki syrop.

- Mówisz całkiem poważnie?

W przypadku tych istot nie sposób się zorientować, a już w szczególności, gdy mają w sobie coś z kota, na przykład ogony z kępką futra jak Fortunatus i Hadulph.

Hadulph wzruszył ramionami, a ja już się nauczyłem, że takie wzruszenie schodzące falą po potężnym grzbiecie, począwszy od szerokich ramion, jest podstawowym wyrazem wszelkich emocji.

- Kiedy mieszkałeś w swoim Konstantynopolu - lew zwyczajowo przekreślił końcówkę nazwy „Konstantynopol” - ze wszystkimi jego kopułami, makrelami i krzyżami, czy myślałeś, że jeśli źle skęcisz na Bosforze, to znajdziesz miejsce, gdzie rosną drzewa z owcami, a lwy potrafią mówić? Tak właśnie podchodzimy do banianowych miast. My nie możemy pozwolić sobie na luksus zakładania, że nasz świat to

jedyny świat, jaki istnieje. Może gdybyście ty i twoi pobratymcy mieli lepsze wyczucie kierunku, moglibyśmy pławić się w solipsyzmie tak jak ty.

- Nie lubisz mnie, Hadulphie?

- Ani cię nie lubię, ani lubię, Janie. Fortunatus mówi mi, że według twojego Boga już żyjemy pod twoją władzą, zgodnie z naturą i przeznaczeniem, więc nie ma znaczenia, co myślę, prawda?

- To dlaczego zgłosiłeś się na ochotnika? Z pewnością masz lepsze zajęcia.

- Przyszedłem dla Hagii - warknął, a ja umilkłem.

Nie odezwałem się jeszcze do potwornej kobiety; prawdę mówiąc, nawet nie spojrzałem w jej stronę.

Nie, nie powinienem kłamać. Zerkałem na nią, a nawet więcej, kiedy nie mogła zauważyć, jak błądzi mój wzrok. Kiedy odwracała się plecami, wyglądała prawie jak człowiek - wysiłek mięśni jej szerokich, brązowych pleców, silne ręce, mocna talia. Gdybym tylko nie spojrzał wyżej, na jej ramiona... ale, ach, zawsze patrzyłem i zawsze się wzdrygałem. Gdy odwracała się do mnie, groza jej piersi i brzucha powalała mnie jak cios i nie mogłem znieść tego widoku. Nie nosiła niczego powyżej pasa - nie mogła, bo nic by nie widziała; mimo to szokowała mnie ta nieprzyzwo-itość, to, jak bezwstydnie obnosiła się ze swoją nagością, swoimi rozmiarami - była bowiem o półtorej głowy wyższa ode mnie i żaden koń pociągowy nie byłby od niej silniejszy. W całym jej ciele i duszy nie było kropli wstydu. Nie mogłem na nią patrzeć; nie mogłem oderwać od niej wzroku. Nosiła piękny pas, z ciemnej koźlęcej skóry wysadzany matowymi kamieniami: agatem, karneolem, obsydianem, malachitem we wzorach naśladowujących konstelacje, i zwieszał się z niego wisiorek, jakby miniaturowy model Układu Słonecznego, obracający się i podzwaniający przy każdym jej kroku. Kiedy - straszliwa chwila! - przyłapała mnie, że się na nią gapię, znalazłem schronienie w pozorach i udałem, że przypatruję się uważnie pasowi.

Czy już wtedy jej pragnąłem? Nie, oczywiście, że nie. Nadal byłem księdzem. Byłem dobrym człowiekiem.

Zawsze jej pragnąłem. Byłem głupcem.



Kiedy Qaspiel przygotowywało dla nas obiecaną sałatkę z przypiekanych młodych szparagów, liściokwiatów, cebulek tulipanowych i solonego mięsa jaka, które zabraliśmy z niezmiernych zapasów Nuralu, Hadulph usadowił się na trawie niczym kolosalny rubinowy posąg, a korzenie krzyżowały i rozciągały się nad nim. Wszyscy jedliśmy. Hagia śmiała się i żartowała z Qaspielem - ach, z jakim trudem przychodziło mi posługiwanie się rodzajem nijakim, a wszyscy delikatnie mnie napominali, żebym tak właśnie czynił! Chciałem mówić „z nim”, kiedy Qaspiel wyglądało straszliwie i groźnie jak aniołowie, „z nią”, kiedy Qaspiel było delikatne i tkliwe, jak tej nocy, gdy śpiewało dla Hagii, by się uśmiechnęła, piosenkę o duszkach nękających zbiory wanilii, kradnących laski, żeby robić z nich sobie długie liry. Wiem, że Qaspiel powiedziało, że nie jest aniołem, nawet nie znało tego określenia. A jednak nie mogłem powstrzymać drżenia przenikającego mnie do szpiku kości, kiedy śpiewało.

Noc nadciągała, a ja znajdowałem pociechę w tym, że rozpoznaję kilką z gwiazd iskrzących się nad moją głową, gdy całe niebo wyglądało jak zawartość szkatułki z biżuterią wysypana na czarne płótno. Qaspiel spało na wysokich korzeniach ze skrzydłami złożonymi nad twarzą jak nietoperz. Fortunatus spał przy ogniu, chrapiąc i wydając z siebie dziwne pohukiwania i świergoty. Hadździ, panoti, milczała. Przyłożyła brzoskwinię do ust, nasłuchując jakiegoś hymnu, którego nie mogłem dosłyszeć. Hagia skryła się w cieniach i nie wiedziałem, gdzie się położyła. Za to czerwony lew siedział niewzruszenie tam, gdzie się usadowił. Niespokojny, dręczony bezsennością odwróciłem się do niego i zobaczyłem, że oczy nadal ma otwarte, lśniące białkami jak kamienie w ciemności, chociaż basowe, dudniące chrapanie gotowało mu się w piersi, aż, kipiąc, wylewało się i znowu zaczynało perkotać.

- Lwie, czuwasz czy już śpisz? - szepnąłem, ale on nie odpowiedział.

Podpełzłem bliżej, między jego wielkie łapy, i powtórzyłem pytanie.

- Chrrr... - zachrapał w odpowiedzi. - Mrrr...

Nietoperze zapiszczały w górze, śmigając pod gorącymi gwiazdami.

- Jak on może być jednym z nas? - odezwał się lew głosem bardziej basowym niż zwykle. Nie potrafiłem powiedzieć, czy mówi przez sen,

czy też wie, że stoję obok i słucham. - Nigdy nikogo nie kochał prócz Boga. Co to za człowiek?

- Kochałem - szepnąłem w transie prawdy, jaki sprowadza na człowieka głęboka noc. - Kochałem chłopca imieniem Kostas, a on kochał mnie. Nie powinienem nazywać go chłopcem, ale jego twarz była tak szczupła i młoda, że nigdy nie potrafiłem myśleć o nim jak o całkiem dorosłym. W sumie podejrzewam, że był tylko kilka lat ode mnie młodszy. To było proste: miłość to służba, a on służył mnie. Miłość to pokarm, a ja karmiłem jego. Miłość to wiedza, a my uczyliśmy się wzajemnie. Ja mu dałem litery, on wszystkie sekretne miejsca jego miasta.

- Miłość to miłość - zamruczał wielki lew, a w miarę jak mówił, jego głos stawał się coraz niższy, a język zamieniał się w język snu, coraz bardziej podobny do mowy dzieci. - To wszystko. Kocham Hagię. Ona kocha mnie. Nie muszę kochać jej wiecznie. Kocham ją teraz. Kocham też wiele innych. Moja matka była tak dobra w kochaniu, że inne koty przychodziły i błagały ją, żeby nauczyła ich swojego oddania, swoich rytuałów i praktyk kochania, by mogły zostać magami. Oczy błyszczały jej złotem i wirowały jak mandale, kiedy mówiła im, co wie. Powiedziała: Miłość jest głodna i surowa. Miłość nie jest bezinteresowna, wstydliva,, służalcza czy delikatna. Miłość żąda wszystkiego. Miłość nie jest pogodna i nie prowadzi ksiąg. Miłość czasem się poddaje, traci wiarę,, nawet nadzieję i nie potrafi znieść wszystkiego. Miłość czasem ustaje. Jednak jej wspomnienie trwa wiecznie i miłość zawsze może powrócić. Miłość nie jest górą, ale kołem. Nie ma surowszej praktyki na świecie. Istnieją trzy rzeczy^f, które doprowadzą serce do ruiny i sprawią, że będzie się czołgać: wiara, nadzieja i miłość, a z nich najokrutniejsza jest miłość.

Zdumiałem się, rozpoznając dziwaczne odwrócenie sensu psalmów, które znałem na pamięć. Lew mówił dalej, jakby przemawiał we śnie do kogoś innego, kogoś zaufanego, kogoś, kogo kochał:

- U piersi mojej matki nauczyłem się najlepszego. Byłem jeszcze lwiątkiem, kiedy przyszedł do niej tensevet. Imię jego brzmiało Tajała. Lwiątko, którym byłem, bało się jego lodowej twarzy podobnej do górskiej grani, płaskiej i sonej jak odmrożenie, głowy większej od piersi. Tajała płakał; kochanka już go nie chciała. Kiedy ją kochał, roztopiali się

razem, aż stawali się lawendową kałużą pod księżycem i nie mieli końca. Zadygotałem, słysząc tak osobiste wyznania. Nadszedł Abir i jego kochanka wyciągnęła z brązowej beczki szmaragd z czerwoną skazą, a to znaczyło: Idź na równiny Aamra i uprawiaj zielone mango, poznaj znaczenie jego kwiecica o pięciu płatkach, liści, które zmieniają się z różnanych w czerwone i zielone, jego włochatych, ukrytych nasion. Poznaj rozkosz ronienia łez na ich korzenie, żeby je podlać. Uczyń to z Rasaalą, nie Tajałą, i bądź szczęśliwa. Przystrój się kwiatami mango, licz swoje bogactwo w pestkach lepkich od skórki. Ucieszyłem się, że tak jej się trafiło, bo uwielbiałem mango. Tajała wylosował czarny kamień bez skazy, a to znaczyło: Idź do Osi Niebios i prządz wełnę z futer bardzo upartych wołów piżmowych, które uwielbiają przeżuwać tamtejsze mekonopsy; niebieskie maki. Zrób to bez towarzyszki, naucz się psalmów samotności. Ucieszyłem się, że tak mu się trafiło, ponieważ woły piżmowe są zabawne i nas rozśmieszają.

Tajała powiedział: Nie chce na mnie spojrzeć tak, jakby mnie znała. Teraz roztapia się z Rasałą. Mogłaby go opuścić i moglibyśmy być kochankami w nowym życiu, prządlbym okrycia dla jej drzew, żeby chronić je przed mrozem, ale ona tego nie robi. Chcę umrzeć.

Matka powiedziała: Abir jest trudny.

Tajała powiedział: Chcę umrzeć.

Matka powiedziała: Nie umieraj. Zamiast tego pokochaj mnie.

I wylizała go jak lwiątko, jak mnie. Wylizała go całego, jego policzki (a były bardzo wielkie), powieki, czoło i uszy (a były bardzo długie). Przez cały czas Tajała płakał, a matka cały czas mruzczała, a potem Tajała stał się pod nią kałużą, lawendową. Matka weszła do niej, a ona pokryła całą jej głowę (matka jest największym stworzeniem, jakie istnieje) i znowu ogarnął mnie strach. Nocą matka wyszła i otrząsnęła futro, a kałuża znowu zamarzła i stanął tam Tajała, i nie czuł się jeszcze zupełnie dobrze, ale z pewnością lepiej.

Matka powiedziała: Miłość czasem ustaje.

I po raz trzeci jej lwiątko się przestraszyło.



Rano poprosiłem Hadulpha, żeby powiedział mi coś więcej o swojej

matce i rozpaczającym tensevecie. Stwierdził, że niczego takiego mi nie opowiadał, i przez cały dzień traktował mnie bardzo szorstko, chociaż niebo napuchło straszliwym upałem i dużo bardziej wolałbym jechać, zamiast iść, tak jak czasem jechała Hagia, jednakże Hagia cieszyła się przywilejami, jakich ja nie otrzymałem, a Bóg jeden w niebiosach wie, czym sobie na nie zasłużyła.

W południe sfrunęły wróble.

[Gdyby ta wojna między moimi oczami a stroną potrwała dużo dłużej, zacząłbym chyba krzyczeć. Nie mogłem czytać jeszcze szybciej, a rozkład walczył ze mną o panowanie nad stronicą. Mój wzrok ścigał się z umysłem; jedno i drugie było zdyszane, wyczerpane. Bujne kępki miękkiej, włochatej pleśni rozlały się i zagarnęły wielką połać słów, a wtedy łzy zakłuły mnie w serce. Kiedy tekst znowu się pojawił, Qaspiel już opowiadało swoją historię, przykucnąwszy przy ogniu, jak sobie wyobrażam, zamiatając czerwoną ziemię długimi ciemnymi skrzydłami, długie żółte fasolki siedziały w glinianym garnku, a wszyscy żuli herbaciane liście dla uprzyjemnienia wieczoru].

- ...i tak człowiek imieniem Herododos, który miał brodę tak czarną, że połyskiwała na niebiesko, ale za to głowę całkiem łysą, który w szczególności przepadał za owocami tamaryndowca i który opowiadał doskonałe żarty o słoniach, trzymał ptaszka. Niektórzy mówią, że to był gwarek, a inni, że papuga. Tak czy inaczej, ptak umiał mówić, a Herododos przywiózł ze sobą także pół-żonę, jak ją nazywał, z miejsca zwanego Lidia, a jej włosy także połyskiwały błękitem, a na imię miała Sapham. Blemiowie wplekli jej w warkocze kwiaty passiflory, ponieważ czerwone płatki prezentowały się promiennie na tle jej włosów, a ona śpiewała im piosenkę o człowieku, który wiedział wszystko na świecie, ale opowiadał to piękniej, niż było naprawdę, więc biedna Lidyjka stawała się królową, a świstaki olbrzymimi, szlachetnymi mrówkami o duszach z niezniszczalnego złota. Wszyscy dawali mądrym człowiekowi jedzenie i wszyscy go kochali, chociaż wiedzieli, że ich porzuci, kiedy wróci do domu do pełnej-żony, niezależnie od tego, ile piosenek zaśpiewa jego pół-żona. Sapham mrugała żartobliwie, śpiewając, ale też szlochała. Blemiowie włożyli sobie do ust knykcie jej dłoni, ponieważ wśród nich to wyraz najwyższej czułości... - Wtedy Qaspiel urwało i podsunęło swoją dłoń Hagii, która ukąsiła je delikatnie w kostkę i uśmiechnęła się, o ile można to było nazwać uśmiechem. -

Blemiowie kochali ją, ponieważ знаła bardzo wiele zmyslnych piosenek, a niektóre z nich były sprośne, a takie są najlepsze. Ptak gwarek-lub-papuga zaczął śpiewać z nią w duecie, a blemiowie nazywali go Pham, ponieważ powtarzał po niej słowa jak echo, i karmili go pestkami śliwek, żeby nie przerywał ładnych harmonii. - Qaspiel opowiadało, jakby nie mogło znieść zakończenia zdania, każde przeciągając jak najdłużej. Posługiwało się spójnikiem „a” jak desperacką ręką, wyciąganą do tyłu, żeby pociągnąć naprzód słowa.

- Jednakże pewnego dnia Sapham zachorowała i żadne cukrowe jabłka nie mogły skłonić jej do dawnych piosenek, i nie zachwycało jej żadne pogryzanie kostek, ani nie mógł jej rozbawić widok Herododosa zapędzającego stado sarnap, a jej twarz opuchła, poczerwieniała i zalewała się potem, włosy jej wypadły, a kiedy pół-mąż zabrał ją do muszli, która dopiero co wnurzyła się z białego stawu, więc strzegący jej starzy bliźniacy byli jeszcze młodzi, powiedziała, że nie chce zostać uleczona, lecz pragnie zostać tam, gdzie blemiowie ją kochali i wplatali jej we włosy kwiaty passiflory, nie chciała wracać do Lidii, gdzie zostałaby sama, podczas gdy jej pół-mąż wróciłby do swojej pełnej-żony i spłodził dwójkę dzieci, które w żaden sposób by jej nie przypominały. Wszystko to wypowiedziała w piosence, bo taki miała zwyczaj, a bliźniacy po obu stronach muszli zdumieni się i błagali, żeby weszła i pozwoliła się uleczyć, ale ona nie chciała.

Sapham umarła i wszystkim było bardzo smutno, ponieważ takie rzeczy nie zdarzają się często, i wszyscy powiedzieli Herododosowi, że tutaj nikt nie umiera, i wszyscy ogromnie się zakłopotali. Mniej więcej w tym samym czasie gwarek-lub-papuga Pham także zachorował i w dniu, -w którym pochowano Sapham, padł martwy, do ostatniej chwili pozostał echem Sapham, i razem pochowano ich w ziemi, Sapham z passiflorą we włosach i Phamem o czarnych piórach lśniących błękitem, przyciśniętym do jej piersi.

Po roku w miejscu, gdzie pochowano Sapham, zaczęło wyrastać drzewo, a owoce miało ciężkie, ciemne i puszyste. Wszyscy niecierpliwie czekali, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie, chociaż Herododos powrócił już do domu za ziemiami Lidii, gdzieś, gdzie mieszkał i kochał swoją pełną-żonę, ponieważ cudzoziemcom trudno jest uwierzyć w drzewa. Minął drugi rok, zanim owoc pękł i wyszliśmy z nich ja i kilkoro mojego rodzeństwa o włosach jak Sapham i skrzydłach

jak Pham, i nie mamy płci, ponieważ nie jesteśmy zwierzętami, ale owocami, i lubimy śpiewać, i lubimy latać, i lubimy być wierne, i lubimy kochać. Drzewo się otworzyło i odleciało, a kiedy to się dokonało, zostało tylko kilka gałązek i parę niebieskich liści, a wiatr je rozwiął, a my narodziłyśmy się gotowe żyć. - Qaspiel wykręcało długie palce, chyba ze zmartwienia, na ile byłem w stanie to zinterpretować. - Sto lat później drzewo zaowocowało znowu i byłyśmy tak uradowane, tak podekscytowane, tak gotowe kochać naszą nową rodzinę! Ale w owych dniach po raz pierwszy pojawili się Gog i Ma-gog i ich monstrualne kroki położyły się cieniem na równinach, a płyny z ich owrzodzonych twarzy, ich łzy i ślina, wydzieliny nosa i pot spadły na drzewo i zniszczyły je, i pomyślałyśmy, że już nie będzie nas więcej, nigdy, ale wtedy pierwszy rodzic, Irial, zaczął wydzielać i dowiedziałyśmy się, że nie jesteśmy całkiem owocami, ale też trochę zwierzętami, i byłyśmy takie szczęśliwe, ale drzewo pozostało martwe, i nikt nie umiał układać piosenek tak zmyślnych jak Sapham, i żałujemy, że jej nie poznałyśmy.

Przeżuwałem w zadumie porcję solonego jaka. Kawałek włóknistego tłuszczu wszedł mi między zęby.

- Kto opowie następną historię? - zapytałem. Spojrzałem na skryte w cieniach widmowe chuchro panoti. - Hadździ?

Przysunęła kolejny owoc do ucha, tym razem śliwkę.

- Ja nie opowiadam historii - odparła cicho.

Rozgoryczony spuściłem wzrok na ostatni kawałek jaka. Kiedy pozostali kpili ze mnie, byłem w stanie to znieść. Kiedy odtrąciła mnie Hadździ, przygnębienie opadło na mnie jak płaszcz.

- Zakop to - powiedziało Qaspiel - żeby następny podróżny miał wspinałe drzewo solonego mięsa jaczego i mógł się posilić.

Zacząłem grzebać palcami w ziemi - chciałem, żeby Hadździ uśmiechnęła się do mnie, dała oczarować się moją zgodnością. Więcej jednak: chciałem już przestać być obcym, pragnąłem patrzeć na tę cudowną ziemię tak jak oni - jak na coś zwykłego, codziennego. Chciałem postąpić tak, jak postąpiłby krajowiec. I być może to był mój pierwszy akt akceptacji magii, która żyje w tym miejscu, pierwszy raz, kiedy naprawdę uwierzyłem, że drzewo wyrośnie w miejscu, w którym upuszczę okrawek mojej kolacji.

- Wiem, że wierzysz w prawdziwość swojej opowieści, Qaspiel - odezwałem się łagodnie, nadal mając nadzieję wynieść z tego wieczoru jakąś przypowieść albo alegorię. Przyznaję, że nie byłem całkiem pewien, na czym polega różnica. - Gdybyś jednak wyświadczyło mi tę uprzejmość, powiedziałbym ci, czym jest anioł, i może znalazłobyś w tym objawienie.

- Nie jestem aniołem.

Jednak w tamtym czasie byłem tak pełen własnych poglądów na świat jak słoik oleju i byłem tak gotowy rozlać je na wszystkich, że ani trochę nie przejmowałem się, co myślało Qaspiel.

- Anioły mieszkały z Bogiem na początku świata i kiedy wszystkie gwiazdy jutrzeńki śpiewały razem i radowały się...

Qaspiel wyciągnęło dłoń o długich palcach i rozprostowało ją płasko. Z ciała wyrósł pojedynczy, jaskrawo czerwony kwiat passiflory, a jego płatki zdrząły na nocnym wietrzyku.

Słowa umarły we mnie. Hagia zaśmiała się okrutnie, a kwiat zaczął...

[Tutaj pleśń tak zniszczyła tekst, że raniło to moje oczy, jej jaskrawe kolory już nie przypominały jabłka, które ciemnieje - przybrała żywą złotą barwę z puszystymi fioletowymi i zielonymi włoskami, które wyrastały spomiędzy liter niczym płomienie, pożerając je, spalając, chyląc ku gorzkiemu czarnemu zniszczeniu. Kolory, Panie, kolory! Wolumin krzyczał szkarłatem i oranżem, głęboką fuksją z maleńkimi grzybiczymi pióropuszcami poruszonymi przez jego oddech, zwiewna chmurka zarodników skłębiła się i opadła na chropowaty stół. Było już bardzo źle i obawiałem się, że trzecia opowieść o miłości wyląduje w kałuży brei i szlamu, umknie nam na zawsze.

Z sześciu, może siedmiu przeżartych słów (jesionowy koszyk, duszona balsamka, wetniak, ćmy i gwiazdy) wywnioskowałem, że następnej nocy rozłożyli obozowisko na obfitującej w ćmy otwartej przestrzeni wśród czerwonych kwiatów wetniaka, pod obracającym się gwieździstym niebem, gdzie Hagia opowiedziała ostatnią historię].

- Janie, posłuchaj mnie. Popatrz na mnie. Wszyscy inni śpią. Nikt nie będzie wiedział, że dostrzegłeś moje istnienie.

Podjeżdżałem, że Święty Tomasz mógł spojrzeć na nią bez strachu czy wstydu. Ja ledwie byłem w stanie obrócić się do połowy w jej kierunku, ledwie umieścić ucho na ścieżce jej głosu.

- Dlaczego na mnie nie spojrzysz?

Pytała prosząco. Stanowczość jąkała się w mojej piersi.

- Jesteś naga - szepnąłem.

I to były pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem do mojej żony. Ze wstydem, z duszą w płomieniach.

Zamilkła.

- Widziałam, jak rozmawiasz z innymi blemiami. Z Oro.

Poczułem wtedy, jak czerwienię się straszliwie, i podziękowałem za mrok nocy, za trzepot ciem w pomarańczowych kwiatach, które mnie ukrywały

- Oro jest... jeszcze nieukształtowana. Jest niewinna. A mężczyźni twojego gatunku... nie mają bujnych kształtów. Naga męska pierś została stworzona na obraz Boga. A kobieta...

Wiedziałem, że nie spodoba jej się ten argument, ale nic nie mogłem poradzić na to, że po niego sięgnąłem. Co innego mogłem powiedzieć? Tylko twojego widoku nie mogę znieść i nie potrafię stawić czoła powodom tego stanu rzeczy? Zastanawiam się, czy w ogóle masz umysł albo duszę, skoro brakuje ci głowy, siedziby rozumu? Obawiam się, że masz tylko dzikie serce i że ono, jak twój brzuch, ma zęby.

Przez zaciśnięte zęby odpowiedziała mi tonem zimnym i ostrym:

- Nic nie poradzę na to, jak mnie stworzono, Janie. Nie proszę, żebyś odwrócił twarz, zanim zbiorę siły, by odezwać się do ciebie. Nie proszę, żebyś oślepił się dla mojej wygody. Ciało to tylko ciało, a wszystkie ciała są nagie przed Bogiem. Jak jakiegokolwiek Bóstwo mogłoby uznać za wstydlive swoje własne, jej własne, dzieło?

- Bóg to nie ona.

- Ty tak mówisz. I nie jesteś kobietą. Nie mogę uznać tego za zbieg okoliczności.

Hagia błyskawicznie pokonała dzielącą nas odległość - mimo swoich rozmiarów poruszała się bardzo szybko, jak żółw, który nagle dostrzeżga pająka i śmiga ku niemu. Złapała mnie za ramiona, a potem za policzki i przyciągnęła moją twarz do swoich piersi, pełnych i ciężkich piersi z oczami na koniuszkach, czarnymi w przyćmionym świetle gwiazd, okolonymi długimi rzęsami, i do ust poniżej, ust na płaskim brzuchu, a ja, och, starałem się patrzeć na jej pas i tak się wstydzę swojego wstydu

w tamtej chwili, kiedy modliłem się gorączkowo w głębi serca, żeby Bóg mnie ocalił i wyłupił mi oczy, oszczędzając mojej duszy jednego spojrzenia na nią.

- Janie, spójrz na mnie, spójrz na mnie. Nie jestem brzydka, nie jestem demonem, jestem Hagia, po prostu Hagia. Kopiuje rękopisy, wiem, jak opiekować się drzewami, i przeczytałam wszystko, co może przyjść ci na myśl. Nie jestem inna od kobiet twojego rodzaju. Czasem noszę kwiaty ogórka wokół talii, bo lubię ich zapach i to, że są odrobinę zielonkawe, jakby wiedziały, czym się staną. Kochałam matkę i ojca tak samo jak ty i wyruszyłam z tobą, ja właśnie, pierwsza ze wszystkich, żeby pomóc ci znaleźć świętego, pomóc ci znaleźć drogę. Samo Qaspiel, które tak czcisz, latało, trzymając mnie w ramionach, a ty nawet na mnie nie spojrzysz. Proszę, Janie, spójrz na mnie.

Spojrzałem. Wierzę, że Bóg mi to wybaczył. Odwzajemniła spojrzenie, a jej oczy były szeroko otwarte i klarowne. Powędrowałem wzrokiem po niej, ogarnąłem wszystko, czego wcześniej nie chciałem widzieć. Umięśnione ramiona, ręce i dłonie silniejsze od moich. Miejsce, gdzie znajdowałyby się głowa (i zastanowiłem się wtedy, jak by wyglądała z twarzą podobną do mojej, czy byłaby piękna, czy nieładna?), gdzie jakiś cień poruszał się pod skórą, trzepotał. Potężne nogi, zgięte, gdy kuciała obok mnie, odziane w powłóczyste czarne spodnie. Ozdobny pas. I usta, szczere i przyjazne, ciało ciepłe i pachnące czymś dziwnym i delikatnym, może kwiatami ogórka i popiołem z wieczornego ogniska. Noc poruszała się nad nami i ja także byłem poruszony.

Hagia wzięła mnie za ręce, a ja próbowałem je zabrać, ale nie za bardzo, przyznaję, nie za bardzo. Przyłożyła moje dłonie do krągłego spodu jej piersi, a one nie ciążyły za bardzo, nie za bardzo.

- To tylko ciało - powiedziała. - Nie może cię skrzywdzić.

- Oczywiście, że może. - Zaśmiałem się słabo. - Może mnie unicestwić.

A jednak nie potrafiłem zabrać rąk. Zaczęła powoli mówić.

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

I tam delikatny rumieniec bursztynu splamił stronę, wymazując wszystko, co Hagia mogła powiedzieć Janowi, wszelką opowieść, jaką mogła przedstawić. Delikatne żyłki srebra przecinały kartę i w dotyku wydała mi się mokrym popiołem. A jednak sama utrata tego smutnego zdarzenia nie przybiła mnie. To była prywatna sprawa między nimi dwojgiem, cokolwiek Hagia powiedziała, a co wszystko zmieniło, jakikolwiek sekret powierzyła Janowi niczym dar. Nigdy nie miałem żony, ale nawet ja wiem, że czasem zasłona musi opaść nad chwilą, kiedy otwierają się wewnętrzne drzwi i świat między ciałami nie jest już niewinny, nie jest już pusty ani pozbawiony potrzeby.

Bursztynowa zasłona poprzecinana srebrem.

Miałem nadzieję, że powiedziała coś pięknego; wiedziałem, że tak było. Może coś o drzewie swojej matki i o tym, jakie słowo przyniosło na ten rok jej życia. Może coś o swoim mężu. Może coś zupełnie niepoznawalnego, baśń o pigmejach albo lament nad duszą mrówkolwa. Wszystko mogło skrywać się pod bursztynowym przebarwieniem, w każdą rzecz bym uwierzył. I być może tylko dlatego, że nie mogłem tego ujrzyć, tak gorąco wierzyłem, że była to doskonałość, olśniewające sylaby miłości, które poruszyłyby nawet mnie, tajemniczy klucz, który skłoniłby każdego kapłana do unieważnienia ślubów. Nie mogło to być nic gorszego, skoro miało podbić Jana Prezbitera. To nie mogło być nic mniejszego niż najwspanialsze i najbardziej przeszywające z błagań, argumenty przemawiające za światem, ciałem, życiem.

A niczego, co doskonałe, nie da się ujrzyć.

Alaric podniósł wzrok znad książki.

- Dobrze się czujesz, bracie?

Już nigdy w życiu nie poczuję się dobrze, pomyślałem.

Ty wiesz, co ona powiedziała, Boże. To wystarczy.



Skąd wiem, że uwiodła go gdzieś pod tą bursztynową pleśnią zepsucia i słodkim, wędzącym owocem? Ponieważ kiedy rozdział kończył się masą złota, tylko to zostało, powoli znikając, przesączaając się w pleśń:

I leżałem w kwiatach wełniaka z jej ciężarem nad sobą i całowałem jej usta, i czułem jej rzęsy na twarzy, i pomyślałem o żurawiach, i oboje zapłakaliśmy.

- Powiedz to, Hagio - szepnąłem i jej głos poszybował cichy i ciepły ku gwiazdom.

- Ave Maria - powiedziała, głaszcząc moją twarz, i mówiła to nienagannie, bez wahania. - Gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus...

Świt nadszedł z całą mocą, bestialski. Ukryłem twarz w dłoniach. Tylko schludna zielona książka Imtithal pozostała nietknięta przez zepsucie powietrza. Jej przenikliwy ziołowy zapach osłabł może, stał się mniej pikantny, nie tak świeży, by oczy od niego łzawiły. Strony nadal lśniły blado, złoto--biało, litery nadal odcinały się, sztywne i brązowe, od owocowego miąższu. Tak jak trzecia część Trójcy Świętej pozostała nieskazitelna, nietknięta. Drobnе dowody życzliwości, niech będą Ci dzięki, Panie. Pozostałe księgi nie zostały jeszcze zniszczone, ale stały na krawędzi unicestwienia.

Powinienem był też dziękować Ci za błogosławieństwo tych stronic, które mi zostały - tych, które zachowały się nieoszczędzone; tu i ówdzie słowo albo trzy przegniły, ale czyż nie spędziłem połowy życia, garbiąc się nad biurkiem przy mdławym świetle świecy i poznając wszelkie sztuczki skryby? Potrzebowałem tylko połowy zdania, żeby odtworzyć całość, przynajmniej kiedy nie przejmowałem się, czy mój Cyceron jest doskonale precyzyjny. Jednakże słowa Jana inspirowały większą troskę niż stary Marcus Tullius. Moje serce zaś było głodne, tak: głodne i srogie jak miłość lwa. I unicestwiająca wszystko smuga złotego zepsucia wydobywała ze mnie tylko wściekłość, że dostałem właśnie tyle i ani trochę więcej, że każda kolejna strona przybliżyła mnie do ostatniej, a jednak nie mogę dotrzeć do końca z winy trującego, niewidzialnego powietrza. Alaric próbował mnie uspokoić i zacząłem go trochę za to nienawidzić - młody człowiek z wyważoną cierpliwością w głosie

podwyższonym o rejestr i osłodzonym, wyćwiczonym do uspokajania starszych ludzi, jakby się zwracał do wybuchowego dziecka.

To było niegodne. Mógłbym to wydrapać, ale Ty nie dasz się oszukać, a szczerść Jana budzi we mnie podobną cnotę.



Zawiodłem, pomyślałem, a potem powiedziałem: To koniec. Kogo obchodzą opowieści dla dzieci? Jednakże Alaric, który nie miał za sobą bezsennej nocy, był młodszy i mniej skłonny do gniewu czy rozpaczycy dręczących nas, ludzi starszych, mieszkających tak blisko końca wszystkiego, co warte wysiłku, wykazał się trzeźwiejszym umysłem i czystszy sercem. Zostawił mnie i kałużę woskowej ruiny po naszej świecy-zegarze i poszedł do wioski. Jakiś czas później, kiedy kończyłem kopiować ciekawą historię Imtithal o pochodzeniu, wrócił z odzianą w żółć kobietą o dziwnej pokrytej meszką skórze i topazowych oczach. Przyjrzała mi się spokojnie. Wątpię, żeby ta kobieta kiedykolwiek w swoim życiu rozstała się ze spokojem. Zapytała, w czym kłopot. Oniemiały wskazałem na miazmaty zgniłego owocu przed sobą. Popatrzyła.

- Powinieneś był szybciej pracować - orzekła w końcu i zostawiła nas samych.

- Bezduzne stworzenie - powiedział Alaric.

- Kto wie, z czego robią serca w tej krainie. - Pociągnąłem nosem. - Bez wątpienia z samej czerwonej skały.

- Przyznaję, że mnie fascynuje. Prawie wcale się nie odzywa, a kiedy już to robi, czuję się tak, jakby gwóźdź, i to bardzo zardzewiały, przebijał mi żołądek. To niepokojące.

- Na pewno bracia z Lucerny woleliby, żebyś nie oddawał się fantazjom na temat gwoździ - odparłem cierpko i wróciłem do książek, żeby skorzystać z nich jak najwięcej.

- Nie mówię o miłości - warknął po aramejsku Alaric. - Nie pragnę jej. Wiesz, że nigdy nie poświęcałem myśli kobietom.

- Zatem o czym?

- Kiedy mówi, cierpię - odpowiedział zwyczajnie i nie powiedział nic więcej.

Ku mojemu zaskoczeniu kobieta wróciła do nas z koszykiem w rękach. Jej żółta sukienka zaczepiła się o suche trzciny plecionki. Kobieta napełniła kosz gotowanymi niebieskawymi jajkami, kawałkami suszonego ptasiego mięsa i kilkoma kwiatami, które, jak zrozumiałem, mieliśmy zjeść.

- To nie śniadanie mnie martwi - zaprotestowałem, ale mój żołądek się sprzeciwił.

Zaczęliśmy jeść, a w tym czasie kobieta w żółci wyjęła z kosza kilka kawałków złotej substancji - imbiru, sądząc po zapachu, ale znacznie ostrzejszego od imbiru, jaki znałem (a szczerze mówiąc, niewiele go znałem; nasz opat w Lucernie nigdy nie uważał ostrych przypraw za cnotliwe jadlo).

Patrzyłem, jak z nieskończoną delikatnością bierze nasze książki i wciera w zachowane kruche strony złoty korzeń, ledwie ich dotykając, a jednak pokrywając je uderzającym do głowy olejem. Zebrała najgorszą zgniliznę, dorzuciła do naszego kubka z papką i po długim milczeniu, jedzeniu i aplikacji lekarstwa oddała książki z powrotem pod naszą opiekę.

- Nie przestaną gnić - powiedziała. - Ale będą gnić wolniej. Może - nawet skończycie je czytać.

Alaric spojrzał na nią spomiędzy włosów, które za bardzo urosły w czasie podróży.

- Powiedz nam, jak masz na imię - poprosił cicho.

- To nie jest istotne - odpowiedziała.

- Proszę.

- Moje imię należy do mnie. Nie zapracowaliście na przywilej poznania go.

I zostawiła nas, a podeszwy jej stóp błyskały czystością i pięknem, kiedy stawiała kroki.

Odchrząknąłem.

- Kochałem dziewczynę, kiedy byłem młody - powiedziałem, przełknąwszy jajko i otarłszy podbródek. - Robiła najśłodszy ser pod słońcem, a jej włosy pachniały tymiankiem. Nigdy w życiu nie przeczytała książki i знаła tylko połowę Modlitwy Pańskiej. Uważałem, że jest istotą doskonałą, na ile to możliwe na ziemskim padole. Tu, na

końcu świata, wyznam ci nawet, mój drogi przyjacielu, że złamałem śluby i kochałem się z nią pewnego lata wśród jej krów, pod jasnymi zimnymi gwiazdami, z muczeniem łaciatych stworzeń w uszach. Całowała mnie... cóż, jak lamia. Czułem, jak jej ogon zaciska się na mnie, czułem jej duszę we własnych ustach i kochałem ją jak ogień, Alaricu, kochałem ją jak ewangelię. Kiedy jednak nadszedł ranek i obudziłem się obok niej śpiącej na trawie, nie była lamią ani ewangelią, ale prostą dziewczyną o ładnej skórze, zdrowych włosach i niczym więcej. Niczym wartym mojego upadku. Odnowiłem śluby składane Bogu. Chcę przez to powiedzieć, że miłość zna różne obrony i ataki, ma swoje naturalne strategie. Miłość pragnie wygrać, płodzić dzieci, przedłużyć świat. Szlachetnie jest stanąć ponad tym. Zdecydować się być czymś lepszym niż zwierzę. Wybrać wiedzę zamiast beczki dzieci i bardzo słodkiego sera. Jeśli jednak złamiesz swoje śluby z tą kobietą, nie zdradzę cię, to zdarza się nam wszystkim. Jestem pewien, że dostrzeżesz mądrość w moich słowach, kiedy już z nią skończysz. Myślę, że istnieje niewielkie niebezpieczeństwo, że zajmiesz się hodowlą jaków w wiosce popiołu.

Alaric słuchał z kamienną twarzą i wreszcie otworzył usta, żeby się odezwać. Poczulem lekkość na duszy, oczyściwszy się z tej dawno zapomnianej dziewczyny, i przypomniałem sobie, jak cudownym Twym darem może być dla obarczonych brzemieniem sakrament spowiedzi.

- Hiobie, nie marnujmy na to oddechu. Nie zamierzałem powiedzieć, że jej pragnę. Tylko wtedy, gdy słyszę jej głos, wydaje mi się równie obcy i odległy, jakby anioł mówił do mnie z Saturna, i moje kości drżą z trwogi. To nie jest miłość ani jej obrona. Powróćmy do ksiąg. Mamy tak mało czasu, a że nastąpiło już światło dnia, nie potrzebujemy świec.



Krwawy szkarłat pleśni, która wcięła się w schludne pismo Hagii, cofnął się po posługach kobiety w żółci. Alaric mi pokazał: grzyb odsunął się na marginesy, lśniąc jak marginalia, jak iluminacje, barwy plam od wina, koloru bordo i winogron, ze złotymi pasemkami niczym strunami harfy. Tworzył abstrakcyjne wzory - gdybyśmy mieli mniej powodów do pośpiechu, myślę, że obaj z przyjemnością patrzylibyśmy po prostu na powolne sączenie się rozkładu, odnajdując w nim kształty

jak dzieci w chmurach. O, tu jest smok. A tu jest wóz pełen nożyc druciarza.

Nadal dostrzegałem pociągnięcia nałożone przez kobietę w żółci za pomocą jej dziwnej roślinnej gąbki i teraz wydawało mi się, że kolejny autor wkroczył do naszych trzech świętych ksiąg, że kobieta w żółci też zamieszkała na stronach, pozostawiając swój ślad, swój podpis w powłóczystych muśnięciach pewnej ręki, odsłaniających biały, zdrowy owoc tam, gdzie zdało się, że wszystko pochłonęła zgnilizna. Mimo fascynacji Alarica jej osobą modliłem się za nią w głębi serca, prosiłem o błogosławieństwo dla niej, dla jej duszy, kogutów, przenikliwie pachnącego imbiru, gotowanych jajek i nawet jaskrawo żółtej sukienki. Powróciliśmy do ksiązek z wygłodniałym zachwytem jak umierający z głodu żeglarze, którzy nieoczekiwanie znaleźli port, bezpieczny i schludny.

Księga fontanny

Ósmego dnia Fortunatus został ze mną w tyle; jego dziób błyskał w oślepiającym słońcu. Odezwał się z troską; byliśmy wtedy prawie sobie obcy.

- Skąd wzięłaś swoją mapę? - zapytał, uważnie dobierając ton głosu, żeby nie zasugerować lekceważenia, a jedynie zawodową ciekawość.

- Znam drzewo w jednej z południowych dzielnic Nuralu. Jakaś biedna kartografka zakopała tam obcięte kawałki paznokci palców stopy. Drzewo tekowe, które tam wyrosło, jest ogromne. Jego pień jest ciemnobrązowy i ostemplowany wskazówkami kierunków, a liście są z łaciatego miękkiego pergaminu. Kiedy wrócimy do domu, myślę, że wytarguję się o podrost dla Astolfo, mojego męża, w ramach przeprosin. Zanim wyruszyliśmy, kiedy tygrysy nadal tańczyły modlitwy za nasze powodzenie, całe godziny wspinałam się po gałęziach mapowego drzewa, szukając czegoś, co moglibyśmy wykorzystać. Z konarów wyrastają zwoje, ale wiesz, jak nieprzewidywalne potrafią być drzewa. Niektóre mapy prowadzą przez cały świat z powrotem do drzewa, inne pokazują szczegóły Nimat, zanim wyrosła tam góra, niektóre ukazują ścieżkę do oświecenia albo lądy po drugiej stronie morza większe niż Pentexore, pełne dziwnych stworzeń. Niektóre opisują pojedyncze serce albo duszę, rozrysowane tak, by dało się je całkowicie zrozumieć. Miałam nadzieję, że wśród owoców znajdę naszą mapę.

- Ta mapa pokazuje szlak do grobu Ap-oss-ela, którego szuka Jan?

Musiałam przyznać, że nie. Coś jednak ukazywała - długą drogę, znaki i zagrożenia, tego rodzaju rzeczy, które mapa powinna wyjaśniać, a na końcu coś, co dla mnie wyglądało jak grób, i pomyślałam, że może... może to wystarczy. Jemu. Jakikolwiek grób. Mamy ich tak niewiele, każdy mógł należeć do dowolnej osoby.

- Poza tym - westchnęłam - prawie się nią nie posługuję. Hadździ nas prowadzi. Gdzie ona odpoczywa, tam my odpoczywamy. Jest cicha i subtelna, ale z pewnością zauważyłeś, że sprawia wrażenie, jakby wiedziała, dokąd zmierzamy?

Fortunatus wydawał się zatroskany, zmarszczył pióra na czole, ale skinął głową.

Prawdę mówiąc, ledwie rozumiałam mapę, którą niosłam. Była delikatnie narysowana, pożyłkowana jak liść, koniuszki gór pomalowano srebrnym atramentem, a nazwy miast, które mieliśmy minąć, wypisano w intensywnej tynkturze uzyskanej od sepii. Kiedy zerwałam ją z gałęzi, przesunęłam dłonią po sztywnym pergaminie - sztywnym prawie, ale nie do końca, jak paznokiec u nogi - zastanawiając się, gdzie w alchemii ziemi zadecydowano o nachyleniu liter na tej mapie. Babel wypisano zakrętasami. Ultima Thule. A co jeszcze bardziej tajemnicze, mapa ukazywała drzewo banianu, połąć kwiatów wełniaka i dwie małe postaci, których kształtów w ogóle nie chciałam odgadywać.

- Kochasz księdza, chociaż chce cię nawrócić? - zapytałam.

Nie wiedziałam, czy chciałam poznać odpowiedź gryfa, czy własną.

- Współczuję mu. Litość to kuzynka miłości. Kiedy zapomina o sobie, potrafi być kochany jak dziecko. Pewnego popołudnia ugotował dla mnie zupę, z samych cebul, bez mięsa, ponieważ, jak mi wyjaśnił, nie wiedział, co tu można zabić na mięso, zważywszy, że według jego Boga jestem zwierzęciem, ale on przynajmniej wie tyle, że mnie nie powinno się jeść. Nie była to smaczna zupa, ale zrobiona z dobrych chęci i myślę, że to go trafnie podsumowuje.

Szliśmy w przyjaznym milczeniu i po chwili Fortunatus podniósł mnie za pas i wciągnął na swój grzbiet. Uśmiechnęłam się - gryfy nie wyrażają przywiązania słowami, ale trudno go nie dostrzec, kiedy ładujesz po kostki w złotym futrze. Nie są też tak przewrażliwione na punkcie dosiadanania ich jak czerwone lwy.

Wkrótce potem dotarliśmy do wysokiego urwiska, którego podnóże znikało we mgle i cichym szeleście. Drzewa sterczały ze skał, krzywiąc się i prąc w górę, ku wąskiemu pasmu światła sączącego się z wysokości. Wszyscy zerknęliśmy z krawędzi. Hadździ, do której nie odezwałam się jeszcze słowem i nie zamierzałam, dopóki ona nie zwróci się do mnie, zrzuciła w dół odłamek skały. Koziołkował w powietrzu, aż osiadł we mgle i tam zawisł, ugrzązł podtrzymywany przez zimne opary. Nadal spadał, ale tak powoli, że ledwie dostrzegaliśmy jego ruch.

- Thule - westchnęła Hadździ i przeturlała się na plecy, rozciągając uszy na zachwaszczonej trawie. - Przyjaciel o bardzo pewnym wzroku

powiedział mi raz o tym miejscu. To już nie jest ani ląd, ani powietrze, ani morze, ale mieszanka wszystkich trzech o konsystencji ciała meduzy i ta mikstura utrzymuje Thule w całości. Coś się tu wydarzyło, co wymieszało tak świat. Do Thule można dotrzeć, można ją znaleźć, ale gdy raz się ją znajdzie, nie sposób ruszyć się dalej, zrobić więcej niż kilku kroków na szklistym brzegu. Nie da się zbadać serca Thule, nie można iść dalej, czy jest się pielgrzymem, czy też nie, nie można jej opuścić. W każdym razie słyszałam, że to niemożliwe. Nie znam wszystkiego pod słońcem.

Słyszałam nieco o tym miejscu. Chciałam dowiedzieć się więcej, poprosić Hadździ, by powiedziała nam wszystko, by opowiedziała nam o najmniejszej duszy, która mieszkała tam w dole albo o swoim przyjacielu o pewnych oczach. Cokolwiek. Jednak milczałam. To kwestia dobrych manier, a maniery to wszystko, co mamy. Poza tym nigdy dotąd nie słyszałam, żeby aż tyle mówiła.

- Może gdybyśmy wlecieli tam bardzo szybko - zastanawiał się na głos Fortunatus. - Mogłaby otworzyć się studnia. Każde powietrze ma swoje-wzory, prądy, nawet ta kleista mgła i z pewnością gdzieś eter musi się zbijać w kłęby, musi się rozdzielać, puszczać jakiś liść albo orzech, by spadł na jakiś gzyms zaokrąglonych, jak mniemam, kopulastych pałaców zbudowanych tak, by zniosły ciężar miazmatów. Mógłbym polecieć; mógłbym wypatrzeć dla nas pęcherzyk, który zaniósłby nas w dół, byśmy zobaczyli, co tam jest... - Urwał i przypomniał sobie o swoim przyjacielu Janie; jego niespecjalnie interesowały nowe i ekscytujące miejsca, o których po powrocie do domu można opowiadać cudowne historie. - Byśmy zobaczyli, czy wiedzą coś o Ap-oss-elu, jeśli ktoś tam na dole mieszka. W każdym razie przejście na wskroś jest zawsze szybsze niż obejście, a ta rozpadlina ciągnie się na wiele mil.

- Możesz też ugrzęznąć tam jak ten kamyk, a wtedy będziemy śmiać się z ciebie i stracimy miesiąc, wiążąc linę, żeby wyciągnąć cię z powrotem na górę - zauważył Hadulph.

- Ja też mogę latać - powiedziało Qaspiel. - Oboje jesteśmy bardzo szybcy. Fortunatus mógłby ponieść Jana na grzbiecie, a ja latałem już z Hagią. Może nawet Hadździ zmieściłaby się za Janem? Niestety nie wiem, jak przeprowadzić ciebie, mój lwi przyjacielu.

. Hadulph zmarszczył pysk.

- Podejrzewam, że dalibyśmy radę, gdyby ktokolwiek chciał przedostać się na drugą stronę. Popatrzcie jednak na wszystkie te oczy błyszczące zapalem, żeby zejść na dół, dostać się, dotrzeć. Myślę, że wybiorę lwi los, czyli praktyczną trasę, pójdę wzdłuż rozpadliny, aż znajdę drogę prowadzącą naokoło albo most. Spotkamy się po drugiej stronie, jeśli nie roztrzaskacie sobie głów albo nie ugrzęźnicie w wiecznej mgle.

Hadździ nie odezwała się słowem, tylko zręcznie wdrapała się na szkarłatny zad lwa, chociaż Hadulph warknął w proteście. Jednakże, mając też naturę białego lwa, czerpał swoistą przyjemność z obecności panoti na grzbiecie. Ruszyli w cichą wędrówkę; panoti klapnęła na plecy na wielgachnym lwim grzbiecie i patrzyła na chmury.

Qaspriel wzięło mnie w ramiona i uniosło w górę, bezpiecznie ponad mgłą, w świeże, rześkie powietrze. Przez długą, wirującą po spirali, szarpaną wiatrem chwilę w ogóle nie myślałam o Janie i poczułam w sobie drobinę spokoju podobną do kamyka zawieszzonego we mgle.



Kiedy słońce minęło południe i opadło ku złotym godzinom popołudnia, Qaspriel wypatrzyło bąbel pod nami, a przynajmniej dziurę we mgle. Wykrzyknęło z radości i kilka niewidocznych papug odpowiedziało mu echem, wzbogacając harmonię dodatkowymi nutami irytacji. Nasza czwórka niewiele zobaczyła przez szczelinę - ciemność może, ale to mogły być też cienie. Dachy może albo też tylko kolejne warstwy mgły. Droge? Posąg? Byłam przekonana, że wypatrzyłam ogród pełen srebrnych kwiatów ćampaka i ciężkie żelazne granatowce z zamarzniętą rosą, liśćmi obrębionymi lodem. Przez chwilę widziałam to niezwykle wyraźnie, a potem nie miałam pewności. Jednak Jan wtedy wykrzyknął, a papugi go zakrzyczały.

- Kościół! - Jan przekrzykiwał porywisty wiatr między nami. - Widzę tam we mgle kościół! Jestem pewien! Krzyż ze srebra i opali zamarznięty w lodzie! Kaplica! Musimy zejść niezależnie od ryzyka. Kościół, Hagio!

Spojrzał mi w oczy i zobaczyłam w nich błaganie, milczący frymark, żebym, jeśli to kościół, nie zdradziła księdzu ani żadnej innej chrześcijan-skiej duszy, co zaszło między nami. Zacisnęłam usta, a moje

serce zabiło gniewnie. Nie dam się zawstydzić - nie słodyczą kwiatów na jego skórze i każdego dreszczyku, jaki przepłynął między naszymi ciałami niczym sekret albo obietnica. To był jego świat.

Prawdę mówiąc, nie chciałam z nikim o tym mówić. Nie zdecydowałam jeszcze, gdzie to umieścić w sobie - w sercu czy w trzewiach, jakby to ujął Hadulph. To, co umieszczasz w sercu, pozostaje. To, co kładziesz do trzewi, zostaje strawione i zapomniane. Dodaje energii całości, ale równocześnie znika. Gdzie schować zapach tamtych kwiatów i to, jak wreszcie przemówiłam na głos w jego łacinie, jak mówiłam w jego skórę, w jego usta? Na razie skrywałam to gdzieś w miejscu ciemnym i bezpiecznym, odłożyłam na późniejsze rozmyślenia. Czy w ogóle go chciałam? Nie wiedziałam. Chciałam, o tak, chciałam mu pokazać, że się myli, ukazać mu swoje piękno, nawet go zdeprawować, jak twierdził, ale nie w nikczemny sposób, lecz w taki, który mówi: świat cię połknie, a ja stoję pierwsza w kolejce. Wszyscy inni byli nim zafascynowani, ale to ja go złamałam. Ta, której nienawidził; ta, której nie chciał widzieć. Takie rozumowanie wystarcza na jedną noc, ale czy na więcej? Nie potrafiłam powiedzieć. Tamto pole czerwonych kwiatów było za mną, a przede mną leżała Thule, coś nowego i ekscytującego. Może nawet groziło nam niebezpieczeństwo. Wtuliłam się w zimne objęcia Qaspięła. Wszyscy to czuliśmy, może z wyjątkiem Jana, mężczyzny tuż po czterdziestce i nadal dziecka. Kto wie, czy cokolwiek czuł, czy był zdolny wyczuć tarcie nadciągającej opowieści, naszej własnej historii, którą będziemy mogli opowiadać i powtarzać, wyolbrzymiać i umniejszać przez co najmniej stulecie. Och, nie chcecie znowu słuchać tej starej historii! No dobrze, skoro nalegacie.



Mężczyzna kopał.

- O, la-la! - śpiewał i kopał dalej, a jego brązowa łopata unosiła z gładkiej, pozbawionej wyrazu ulicy stosy przeźroczystej, mlecznej mgły, którą zrzucał obok siebie na zapadającą się zaspę, jakby to był stary śnieg. - O, la-la, świat jest z cukru, widzisz? A ja jestem filizanką herbaty O, la-la, o, lada, świat jest z pajęczyn, a owszem, a ja jestem małą czarną muszką.

Miał przyjemny, wysoki głos, mimo utrudniającej śpiew koziej

głowy i długiego ozora. Jego rogi zwijały się imponująco, szare futro skręcało się od wilgoci. Nogi miał ludzkie, ale pokryte kozią sierścią jak spodniami dopasowanymi do futra, którym porastał od pasa w górę. Tylko wielkie, płaskie ludzkie stopy i grube palce zdradzały nie-kozią naturę. Potężne ręce plasowały się w punkcie pośrednim, pokryte rzadką szorstką sierścią, przez którą przeświecała brązowa skóra. Całe ciało wyciągało się i prężyło w wysiłku, kudłate i imponujące zarazem. Myślę, że nie zamierzał śpiewać na cały głos, ale melodia kipiała z niego, melodia z gatunku bezsensownych przyśpiewek, które umilają niekończącą się pracę.

Zawołaliśmy do niego. Powitał nas ochoczymi rękami i szczerym kozim uśmiechem.

- Och, witajcie, witajcie! O, la-la, nie słyszałem, jak zlatujecie! Gdybym wiedział, że zjawi się towarzystwo, szybciej machałbym łopata. Och, ale jak dobrze spotkać żywą duszę! - Objął nas, całując nasze twarze, łapy, dłonie; miał dobry nastrój, imię brzmiące Knyz, zawód kopacza i dom w tym właśnie mieście.

- Lecz gdzie się wszyscy podziewają? - zapytałam.

Widzieliśmy tylko nas samych i Knyza z łopata, jej perłowy trzonek był mokry od skroplonej pary. Reszta niknęła we mgle i chłodzie, kilka zaokrąglonych grud, bezkształtne cienie. Nie słyszeliśmy żadnego dźwięku prócz miłego skrobania szpadla.

- Jesteście w moim bąblu - zabeczał Knyz. - Utrzymanie go to potworny wysiłek. Cały czas osypuje się do środka. Rozumiecie, Thule nie cierpi pustki. - Wskazał na wielkie otulone mgłą garby za sobą. - Pewnego dnia dotrę do pałacu. Są też pewnie inni w swoich bańkach, ale nie więcej niż dwie, może trzy osoby, bo inaczej już byśmy się spotkali. W pierwszej chwili myślałem, że wszyscy jesteście Thulanami i wreszcie udało nam się przebić do siebie! Niestety nie macie łopat.

- Widziałem kościół - wyrzucił z siebie bez tchu Jan, a ja przewróciłam oczami.

Nie dostrzegął nawet otaczającej go cudowności, do tego stopnia ugrzązł w swojej tęsknocie za domem i Bogiem. Czułam zakłopotanie z jego powodu, ksiądz był zbyt tępy, żeby samemu się zawstydzić.

Jednak Knyz skinął głową, chlapiąc rosą z rogów.

- Stoi w pobliżu pałacu, gdzie nikogo nie skrzywdzi. A jeśli istnieją

tunele w Thule takie jak mój, to wszystkie prowadzą w stronę pałacu. Jak ślepe robaki wężymy w stronę naszej niewidocznej królowej, o, lada. A jeżeli po drodze mały zwiewny szyb się zawali i ciała starych skiapodów wypadną z mgły oszołomione, jeśli wędrowcy przydryfują, to cóż, hura, ale nie przestanę kopać. Głównym zajęciem na Thule jest kopanie, kopanie w stronę królowej. I możliwe, że królowa także trzyma czarny szpadel w rękach, ale siedzi nieruchomo przy oknie w ciężkim powietrzu, ledwie zdolna odkopać własne fontowe drzwi. Jest jak wtedy, kiedy zwykł padać śnieg i nie można było otworzyć bramy z powodu śnieżnej brei.

- Co się stało? - zapytało Qaspiel, przesuwając dłońmi ponad i poprzez galaretowatą mgłę.

- O, la-la! - Knyz wyszczerzył z zakłopotaniem zęby. - Gog i Magog, jak mniemam. Krwawili tutaj w drodze powrotnej zza Wrót. Nikt nie miał złych zamiarów, ale zostali ranieni i kilka kropel spadło, wzięło nas przez zaskoczenie i prośbę, wszystko ścięło się jak śmietana w wiadrze. Jednak nikogo za to nie wini. Czas daje i czas odbiera.

- Nawet ich krew jest tak żrąca? - zagdakał Fortunatus. - Nawet ich krew.

- Och, nie - zaoponował Knyz. - Nie rozumiesz. Nic nie mogą na to poradzić. Tak jak ty nic nie poradzisz na swoje wielkie, długie pióra. Ktoś ich takimi stworzył i wypuścił, a oni po prostu nie przestają być tacy, tak jak ja nie przestaję kopać. Zdziwiłbyś się, jak kopanie sprawia, że zaczynasz z pogodą ducha podchodzić do takich kwestii.

To mnie ostudziło, ponieważ to był mój własny argument rzucony mi z powrotem w twarz.

- Zniszczyli twoje miasto! - wtrącił Jan.

- O, la-la, miasta przychodzą i odchodzą. Jesteś zbyt młody, by ogarnąć sytuację. Gog i Magog niczego nie niszczą, oni zmieniają. Thule nadal tu jest, tylko inna. A mgła, cóż, nie zostaliśmy zatrzymani, ale spowolnieni. Mówią „zatrzymani”, ale mają na myśli „spowolnieni”. Mówią „niemożliwe”, lecz mają na myśli, że nikomu się nie udało. Wszyscy są tacy nieprecyzyjni. Kiedy żyjesz powoli, chyłkiem, masz niewiele słów, które możesz nazwać własnymi, i uczysz się wyrażać precyzyjnie. Albo precyzyjnie, albo ładnie, musisz wybrać przynajmniej jedno. Najlepiej oba. Wiecie, dwadzieścia lat temu przekopałem się do

mostka kochanków nad wąską rzeczulką, gdzie dwójka dzieciaków została pochwycona przy zaplataniu kwiatów. Zdołały spleść całe sześć kwiatów w tysiąc lat! Nie są tak szybkie jak za dawnych czasów, ale zawsze to jakiś postęp! I na dobre im to wyjdzie, moim zdaniem. Tak bardzo kochały te kwiaty. A ponieważ tak dużo czasu spędziły na ich splecieniu, poznały każdą jedną rzecz na ich temat, nawet najmniejszą skazę na płatku. I kiedy moja bańka objęła te dzieciaki, mogły się nawet pocałować, zanim mgła znowu się wślizgnęła. To nie takie złe, móc tak skupić się na pocałunku przez następne tysiąc lat. Oni dalej się kochają, a ja dalej kopię. A królowa dalej robi to, co robią królowe, co dla mnie zawsze sprowadzało się zasadniczo do siedzenia na tronie. Naprawdę, czy na zewnątrz jest aż tak bardzo inaczej? Zdaje mi się, że pamiętam, że kiedy czas na Thule biegł szybko i barwnie, życie nadal składało się głównie z czekania na tę jedną chwilę w roku, by los uśmiechnął się do mnie. Żyłem długo, ale mam wrażenie, że cały ten czas był mniej więcej jednakowy. Jeśli nie mogłem czegoś zrobić w jednym roku, to najprawdopodobniej nie zrobiłbym tego w następnym. Kopanie jest przynajmniej konsekwentne, a nagroda za wysiłek w mniejszym lub większym stopniu natychmiastowa. Właściwie czyż nie wszędzie jest tak samo: bezruch, zamrożenie, smutek? Pomijając fakt, że tam poruszacie się tak szybko, że nawet nie dostrzegacie wartości koślawej ręki i tego, co to znaczy siłować się dekadę i dłużej, żeby doprowadzić do tego, by mały czerwony kwiatusek wspiął się po winorośli.

Już chciałam wyjaśnić mu ideę Abiru, powiedzieć, że to, co osiągnęło się w jednym roku, w następnym może zostać wywrócone do góry nogami, i jakie to może być ekscytujące, to czekanie, ta niewiedza. Jednak Fortunatus odezwał się pierwszy. Jego skrzydła oklapły w mglistym, zatechłym powietrzu.

- Poza Thule wszystko jest na odwrót - powiedział, jakby się bał zgodzić lub nie zgodzić z kopaczem. - Tam żywioty pozostają rozdzielone, ale ludzkie myśli, marzenia i lęki są gęste i lepkie jak zastygły eter i każdy kopie łyżeczką, nagarniając kęs, który może nazwać własnym. Tam wszyscy mieszkają na wolnym powietrzu, ale dzielą się sercami, odsłaniają je, żeby wszyscy mogli je widzieć. By zakręcić beczką raz na kilka wieków i przemieszać się. Nie jest lepiej. Nie jest gorzej. To udręka, ale nie inaczej jest w Thule. Tylko sprawiamy wrażenie szybkich. Niektórzy z nas są powolni, potwornie powolni,

poruszają się we własnej mgłę i zapominają, co czasem przynosi pewną ulgę, a niekiedy w ogóle nie daje pociechy.

Jan jednak nie słyszał ani Knyza, ani Fortunatusa. Nie potrafił dać im mówić.

- Kościół - odezwał się. - Kto wybudował kościół? Daj mi, panie, swoją łopate, przekopię się do niego.

- Zbudował go Didymos Tau ma. Przypuszczam, że to było dawno temu, o, la-la, wieki, wieki temu. Powiedzieliśmy mu, że nie musi wygłupiać się z deskami i gwoździami. Po prostu odłam kawałek pałacu i go zakop. Może minie kilka pór roku, zanim wyjdzie, jak trzeba, ale w końcu dorobisz się ładnej niedużej posiadłości. Ale Tauma, uparty jak osioł, poświęcił własne drewno i majątek, nawet na krzyż. A kiedy robota była skończona, otworzył wielkie drzwi dla całej Thule i powiedział: Dziś jest niedziela., dzień święty. Nadal nie wiem, co to jest niedziela, ale on otworzył drzwi i nikt nie przyszedł, co najwyżej ktoś zerknął do środka, żeby zobaczyć, przy czym tak się Tauma grzebał miesiącami. Ale on się tylko uśmiechnął. Dużo się uśmiechał ten Tauma.

- On ma na myśli Tomasza - z trudem wykrztusił Jan, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Didymos to Tomasz. On tu był i budował kościoły.

- I nikt do nich nie przychodził - zauważyłam, ale on tego nie słyszał.

- Masz na myśli Tomasza - powtórzył uparcie.

- Pewnego dnia - dodał rzeczowo Knyz, wbił szpadel w kolejną zaspę brei żywiołów i dźwignął - wróci.

- Tomasz nie żyje.

- O, la-la, tak, ale mimo to wróci. I ponownie zmieni świat, jak zrobili to Gog i Magog.

- Chrystus - powiedział z niepokojem Jan. - Chcesz powiedzieć, że Chrystus wróci i zmieni świat. W Zmartwychwstaniu.

- Nigdy nie spotkałem człowieka imieniem Chrystus. - Knyz wzruszył włnistymi ramionami. - Ale poznałem Tomasza. Poczęstował mnie imbirowym plackiem.

- Tomasz powiedział ci, że wróci? Że wróci z martwych?

- Kto by to pamiętał? On to powiedział albo kto inny. Nieważne. Tyle jeszcze kopania do jego powrotu, la-la!

Jan uniósł ręce.

- To herezja! - wykrzyknął bezradnie. - Czekamy na powrót Chrystusa! Kiedy martwi powstaną i świat zostanie odnowiony na podobieństwo raj u!

Knyz dalej spokojnie kopał. Nasza pozostała trójka gorączkowo starała się być gdzie indziej, podczas gdy Jan był coraz bliższy łez.

- To brzmi naprawdę uroczo - powiedział pojednawczo Knyz. - Jeśli zgłodniejecie, czekając, potrafię zrobić przyzwoity placek z mgły, a do tego mglistą herbatę; nawet dobrą pieczeń z mgły.

- Kim jest królowa, o której wspomniałeś? - spytałam cicho, a Jan zerkał w stronę kaplicy, do której nie mógł dotrzeć, której nie mógł dotknąć. - Świat poszedł naprzód, gdy Thule stała nieruchomo. Nie pamiętamy królowej tego miasta.

- Poznałem ją, kiedy była małą bestyjką, la-la. - Knyz się uśmiechnął. - Wspaniałe wielkie ręce, w życiu nie widzieliście większych. Mogłaby wycisnąć mnie na mleko i skrawek futra, gdyby zechciała. Wiedziała wszystko. Kiedy Magog ruszył chwiejnie w naszą stronę, zobaczyła jego cień padający na bulwary. Wiele tygodni praktykowała siedzenie nieruchomo, żeby być gotową.

Jan błagał o łopatę. Próbowałam położyć rękę na jego ramieniu, żeby go przytrzymać, ale on cały czas bełkotał, prosząc o nią, sięgając po nią, i gdybyśmy dali mu tam zostać, kopałby pewnie przez wieczność mamiony obietnicą kościoła na końcu tunelu. Kopał zawzięcie, pot lał się z niego i odpływał, stając się częścią mgły.

- Nie - powtarzał Knyz coraz bardziej dezorientowany. - To moja łopata. To wszystko, co mam. Gdybym jej nie miał, mgła zatrzymałaby i mnie. Nie, nie.

Ale Jan nie chciał przestać. Pragnął kościoła, jakiegokolwiek kościoła. Ten kościół był ważniejszy od wszystkiego innego. Ja stałam za nim, a kościół stał przed nim i Jan raczkował do niego jak dziecko i ani razu na mnie nie spojrział.

Nic nie zrobiliśmy. Staliśmy z boku i patrzyliśmy, jak Jan rozbija się o mgłę. Z dziećmi czasem to jedyne, co można zrobić.

- Umarł tutaj ? - zapytał w końcu bezradnie ksiądz, z mokrymi i brzydkimi pięściami zaciśniętymi u boków. - Został tu pogrzebany? Bóg

pokazał mi to miejsce, Bóg mnie tu doprowadził. On musi tu być.

- Opuścił nas żywy, zachowaliśmy jego kościół. Nie rozbiera się kościołów. O, la-la, tak się po prostu nie robi. Wrócił do domu z żoną, która przysłała wiadomość, kiedy zmarł. Myślę, że musieliśmy go w pewien sposób rozczarować.

- Święty Tomasz nie miał żony - warknął z niedowierzaniem Jan.

- Skoro tak mówisz. - Knyz najwyraźniej skończył z naszym księdzem.

Kozy i fauny mają wysoce rozwinięte poczucie własności, a Jan całkowicie je zdeptał.

- Możemy zabrać cię ze sobą - zaproponowałam faunowi. - Na zewnątrz, do świata.

- O, la-la, blemijko, istnieją światy wewnątrz światów. Jeśli odejdę, kto będzie kopał?

- Powiedziałaś, że są inni.

- Nie mogę jednak mieć pewności. Cała moja praca przepadnie. Doceniam tę rozmowę bardziej, niż myślicie, to najszybsza rzecz, jaką robiłem do wieków. Jednak nie, o la-la, tutaj mieszkam. Rozumiem, dlaczego nie chcecie zostać, ale królowa mnie potrzebuje, tak samo jak miasto. Mnie i mojej łopaty, a to wszystko, czego można chcieć. Być potrzebnym.



Wylecieliśmy wzdłuż powolnych, lepkich ścian bańki z naszej studni we mgle. Jan płakał. Spojrzałam w mgłę... i ujrzałam łukowate okno, które pojawiło się przelotnie, a za nim ciemnowłosą kobietę ze wzrokiem spuszczonej na dłonie ogromne jak skrzydła.

Szkarłatny pokój dziecienny

W te ciężkie dni, które potoczyły się ku nam jak grom, al-Qasr rozbrzmiewał krzątaniem i gwarem. Królowa zaplanowała wielką pracę i rozkazała przygotować ogromną brązową beczkę, tak dużą, że kowale przynieśli ją w częściach, by złożyć w jednej z sal sądowych, które służyły jako sale balowe w ciepłe wiosenne dni, kiedy zielone pędy przeciągały się, a taniec wydawał się radośniejszy niż prawo. Kwiaty rumianku zdobiły girlandami wielkie posągi, które stały na straży przy zewnętrznych drzwiach: dwa ogromne węże wyrzeźbione w karneolu i hebanie o wijących się ogonach i rozwartych paszczach, a w każdej z nich złote jabłko z rubinem osadzonym w skórcie jak siniak. Kiedy słońce paliło żarem i nikt nie pragnął pracować, często widziałam, jak Houd ćwiczy strzelanie z procy do tych jabłek. Nigdy nie był w tym szczególnie dobry. Byłam przekonana, że jabłka są bezpieczne.

Dzieci czuły podniecenie, ale nie wiedziały, czemu są podekscytowane. Myślę, że to trafne podsumowanie całego dzieciństwa. Dziecko czuje, ale nie rozumie. Dorastały - Lamis stała się piękną, jej pomarańczowe oczy były jak skórka tykwy, zdrowe i jasne... a jak kochała książki, a jak ja kochałam ją! Ikram mogła złamać młode drzewo potężnymi rękami i miała tatuaże z pigmejskimi wzorami wokół bicepsów. Była tak silna, że zastanawiałam się, czy nie powinniśmy jej odesłać, by uczyła się u olbrzymów w ich kolosalnym mieście, tylko po to, żeby znalazła jakieś wyzwanie. A Houd był Houdem, tyle że był jeszcze bardziej sobą niż dotąd. Dużo dumał; zapowiadało się, że będzie wysoki.

Pewnego dnia, kiedy naczynie z brązu w sali balowej złożono do połowy, Houd wreszcie zdołał wybić jedno ze złotych jabłek z paszczy karneolowego węża razem z zębem z kości słoniowej. Wykrzyknął z radości i wykonał mały taniec, a na policzki wypłynęły mu rumieńce. Jabłko śmignęło po porfirowym dziedzińcu, a Houd zdumiał się, że zawiera niewielką maszynę, maleńką pompę od spodu, delikatne kółka. Dziewczeta tłoczyły się, żeby popatrzeć i spróbować odgadnąć przeznaczenie jabłka, zanim zwróciły się do mnie. Dryfowały -

wiedziałam to - pragnąc rozciągnąć czas między odkryciem i wyjaśnieniem, rozciągnąć go jak plastyczną żywicę, by przedłużyć przyjemność tajemnicy. Jednak jabłko im się wymykało, przybiegły więc po mnie, kiedy spożywałam lunch na osobności - piosenkę zielonych zimorodków siedzących na drzewie brzoskwiniowym tego popołudnia, kiedy chmury ocierały się o siebie, a księżyc powoli wschodził, jak to czasem się dzieje w letnie dni, gdy wisi na niebie blady i zwiewny niczym duch samego siebie.

Houd, Który Chciał, Żeby Była z Niego Dumna, Bo Popsuł Jabłko: Motylu! Zobacz, co zrobiłem!

Ikram, Która Żałowała, Że Sama Go Nie Popsuła: Nie przechwalaj się tak. Każdy mógłby to zrobić.

Lamis, Która Ogromnie Się Wstydziła, Że Cokolwiek Popsuto, A Ona Temu Nie Zapobiegła: Napraw je, Motylu. Niech znowu działa.

Powiedziałam im, że aby je naprawić, musiałabym powiadomić ich matkę, a ona posłałaby gońca do Candaj, gdzie mieszka wielki kowal Gahmuret, a on musiałby obudzić swoją córkę Gahmureen, która była jeszcze wspanialszym złotnikiem od niego, lecz ciężar jej geniuszu był tak duży, że musiała przesypiać cały rok, by oszczędzać energię na stworzenie jednego doskonałego dzieła. I Gahmureen musiałaby obmyć twarz, wypić bardzo mocną herbatę z cynamonem, spróbować zapomnieć sny, a potem usiąść przy swoim warsztacie i patrzeć na całkowicie popsute jabłko, aż jej umysł objąłby całość, całe jego działanie i znaczenie, i dopiero wtedy byłaby w stanie je naprawić, ale za cenę jakiegoś cudownego wynalazku, jaki stworzyłaby w tym roku, gdyby Houd nie stał się całkiem dobrym procarzem.

Lamis, Która Zaczynała Już Płakać: Och, proszę, nie możesz go sama naprawić? Wiesz wszystko!

Ikram, Która Zaczynała Być Bardzo Rozeźlona na Brata: Widzisz, co narobiłeś!

Houd, Który Zaczynał Powątpiewać w Moje Opowieści: Ale co to jest? Co robiło tam na górze, w paszczy węża?

I być może wreszcie były dostatecznie duże, żeby dowiedzieć się, że za długo żyjemy. Wiedziały, że ich matka będzie żyć wiecznie, tak samo jak one i ja, i zakładały, że to oznacza, że będziemy żyć wiecznie tak jak teraz: w pokoju dzieciennym z grubymi poduchami i czerwonymi

ścianami, ze mną zawsze pod ręką, gotową wyjaśnić im każdą niepokojącą rzecz, i z ich matką władającą bez końca. Wierzyły w to, ponieważ były szczęśliwe; gdyby były nieszczęśliwie, już by wiedziały, do czego służą jabłka.

Dzieci, powiedziałam do nich, moje najdroższe, macie ambicje?

Lamis, Która Nie Znała Świata: Czy Rastno przyniósł mi jedną?

Ikram, Która Pomyślała o Czymś Trochę Innym: Chciałabym zostać królową, kiedy matka już z tym skończy.

Houd, Który Myślał, że Główną Cechą Ambicji Jest To, że Ukrywa Się Je w Tajemnicy, Niechętnie: Chciałbym zostać żołnierzem. Ale tak naprawdę to mi nie zależy.

Oczywiście było już wielu żołnierzy, tak samo jak była już prawdziwa królowa z mocnymi rękami. Co waszym zdaniem robi królowa, kiedy ktoś inny chce być królową, a ona wciąż jest równie silna, jak była? Albo żołnierze, którzy nigdy nie będą musieli przestać być żołnierzami, bo w ich żyłach płynie woda z Fontanny, bo zachowują młodość, siłę i nigdy nie będą zmuszeni porzucić zawodu, o ile sami tego nie zechcą?

Teraz zrozumiały. Ujrzałam to w ich niepewnych, szeroko otwartych oczach.

Śmierć jest matką ambicji, a tu wszyscy jesteśmy sierotami. Każdy chce, każdy się zмага, ale potykamy się o nieskończoność. Jeśli monarcha żyje wiecznie, jak cokolwiek może się zmienić? Jak ma zostać wyniesiona jakakolwiek genialna istota? Jeśli monarcha zamienia się w despotę, jak mamy się wyzwolić?

Pochyliłam się ku dzieciom, żeby mnie nikt nie podsłuchał, a one dobrze mnie rozumiały.

Jak myślicie, w jaki sposób wasza matka została królową?



Meta-collinara odkryły Fontannę, kiedy odsuwały się coraz dalej od gwarnych osiedli tych, którzy nie byli do nich podobni - głośnych, hałaśliwych, głodnych, zapalczywych. Lud o łabędzich głowach był łagodny, nie pragnął niczego, tylko mieszkać razem, splatać szyje, liczyć jaja i jeść ciszę. Kiedy meta-collinara znalazły tę szczelinę, którą teraz

wszyscy tak dobrze znamy, pokazały nam drogę i zostawiły jedną ze swoich, żeby zarządzała wodą - to była wielka ofiara z jej strony, została w tyle, podczas gdy pozostali odchodzili coraz dalej, nie zdradzając nikomu nazwy swojego nowego miasta. I tak historia Pentexore zmieniła bieg, porzucając ten, który rozpoczął się na Statku z Kości, kiedy wszyscy nadal bali się śmierci i mieli tak mało czasu.

Nagle świat zyskał obfitość czasu. A ponieważ nie jesteśmy ani czysti, ani idealni, potraktowaliśmy go brutalnie.

Pewnego razu, jakiś czas po Fontannie, ale zanim Abir się urodziła (tak, istniał taki kosmos, który jej nie zawierał!), żyli król i królowa w al-Qasr. Chcę przez to powiedzieć: jeden mężczyzna, który był królem, i jedna kobieta, która żałowała, że on jest królem. Król Senebaut był yartulą, zatem miał czarujących pomarańczowych oczu jak wasze miał pierścień wielobarwnych oczu wokół głowy. Królowa-pretendentka, Giraud, była cyklopową służącą, z tylko jednym okiem na czole, ale za to niezwykle bystrym i jasnym, dzięki któremu widziała na odległość wielu mil.

Od pewnego czasu władanie Pentexore stało się zajęciem wymagającym bezwzględności, ponieważ jeśli monarcha zostanie jedynie zadźgany albo zrzucony z wielkiej wysokości, może zostać pochowany i o ile nie wyrośnie z niego drzewo rodzące jedynie jego paznokcie albo włosy, to będzie mógł kontynuować rządy równie dobrze - lub równie kiepsko - jak do tej pory. Aby naprawdę pozbyć się poprzednika, ciało należało całkowicie zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi. I możliwe, że gdyby Giraud została obdarzona nieco bardziej gwałtowną naturą, byłaby skłonna pociąć Senebauta na kawałeczki i zamknąć je w jednym z wysokich srebrnych naczyń, jakie stały wzdłuż głównego holu - jak myślicie, co się w nich znajduje? Nie przyprawy i nie złoto.

Nie płaczcie. Taka właśnie bywa historia.

Jednakże nawet gdyby chciała kogoś poszatkować, trudno zaskoczyć yartulę, skoro widzi wszystko, co znajduje się za nim i przed nim. Giraud musiała znaleźć inny sposób.

Houd, Któremu Zrobiło Się Niedobrze, Chociaż Nie Zdradziłyby Się z Tym Przede Mną: Czy Senebaut był złym królem? Aresztował ludzi? Trzymał swoje żony w piwnicy?

Możecie tak myśleć, ale nie był ani lepszy, ani gorszy od innych królów. Chciał, żeby wszystko było po jego myśli, a to główna cecha króla. Nie lubił zarówno owsianki, jak i filozofii gospodarczej. Urządzał jednak wiele świąt, zbierał tylko tyle podatków, żeby wybudować most na Piszonie, i zatrudnił kilku kronikarzy, rzeźbiarzy i malarzy, by tworzyli, co zechcą, nie oczekując przy tym, że będą go jakoś szczególnie wysławiać.

Giraud miała wyjątkowy talent do rządzenia, od małego panowała nad pozostałymi cyklopami i z wielkim sprytem oraz subtelnością potrafiła zadbać, żeby bawili się tylko w te gry, które lubiła, chociaż nie upierała się przy tym, by zawsze wygrywać, ponieważ miała praktyczne podejście do życia. Kiedy przegrywała, pograżała się w kontemplacji na wiele dni, aż potrafiła dokładnie wskazać, dlaczego doszło do przegranej. Kiedy dorosła, wyznaczała zalotnikom niewykonalne zadania, takie jak przynoszenie pierścieni ze szczytów gór i stanie na straży cyklu księżycowego bez snu. Nie prosiła o te rzeczy dlatego, że chciała, by je wykonano, tylko dlatego, że interesowały ją instrumenty władzy, ciekawiło ją, czy spróbują wykonać wyznaczone przez nią zadania, czy ma dość siły, by zmusić zalotników do ich wypełnienia. Jej jedyne oko płonęło zdecydowaniem. Zdobyła taką wprawę w wywieraniu nacisku, że wyczerpała wszelkie możliwości poddania swoich umiejętności próbie z wyjątkiem jednej jedynej - i tylko Senebaut stał na jej drodze.

Chciała po prostu być królową. Czasem czegoś pragniemy i nie potrafimy wyjaśnić dlaczego, wiemy tylko, że tak nas stworzono, byśmy tego właśnie chcieli. Nie ona pierwsza postanowiła zabić króla, wszystkie te srebrne naczynia mówią same za siebie. Kiedy zabrakło naturalnej śmierci, która zamaszystym gestem kończyłaby rządy, stało się to nagminną praktyką, nie tylko w przypadku królów, ale wszelkich profesji, jakich można zapragnąć. Oczywiście kraj może utrzymać znacznie więcej kowali niż królów, jednakże istnieje też limit liczby kowali, więc prędzej czy później komuś przychodziły na myśl te srebrne naczynia i któregoś popołudnia jedna usmolona twarz w Pawilonie była zastępowana przez drugą, całkiem z siebie zadowoloną, i to by było tyle.

A teraz, moja małe łabędzie, napomniałam dzieci, zanim powiem wam, w jaki sposób vartula został obalony, powiedzcie mi, czym jest śmierć. Mówcie śmiało, nie wstydźcie się.

Ikram, Która Czytała o Takich Rzeczach: Babcia umarła. Ale nikt poza nią.

Lamis, Która Była Okropnie Przestraszona: Nie wiem! Nie chcę jej! Każ jej sobie pójść!

Houd, Któremu Ciekawość Zaróżowiła Policzki: Ludzie odchodzą i jeśli nie zostaną zasadzeni, nigdy nie wracają. Nie wiem, dokąd idą. Jeszcze tego nie rozgryzłem. Gdzieś, gdzie już więcej nie mogą mówić, gdzie ich nie widać, i może żyją tam zwyczajnie, a może nie, nie wiem.

Nikt nie wie. Wysłuchałam wielu historii i myślę, że wszyscy bardziej boimy się śmierci, ponieważ możemy jej uniknąć. Śmiertelna dziewczyna, jeśli jest nieuważna i zdoła wcześniej umrzeć, straci z pięćdziesiąt lat życia. Albo mniej. My tracimy niezmierny czas, wieczność.

I tak Senebaut przegrał.

Ponieważ Giraud była cierpliwa. Na polaci żyznego czarnego błota posadziła wszelką trującą rzecz, jaką zdołała znaleźć: węże z kapturami, grzyby, pająki z zielonymi cętkami na brzuchach, maki z czarnym pyłkiem, ryż, który skwaśniał i jeżył się od kolorowej zgnilizny. Zajął się tymi drzewami gorliwie, tak jak zajmowała się wszystkimi innymi rzeczami. Podlewała je łzami, żeby zwiększyć ich gorycz, krwią, by zyskały na okrucieństwie. I dzień po dniu w jej sadzie rosły drzewa obsypane dziwnymi czarniawymi jabłkami cukrowymi, które nie tylko zabijały ćmy (Giraud specjalnie po to je hodowała), ale też rozpuszczały ich maleńkie ciała, redukując je do odrobiny mokrego pyłu.

Nieśmiertelnego stać na czekanie. Giraud była bardzo piękna; ciemne rzęsy okalały jej pojedyncze oko, a umysł miała bystry, lecz nigdy nie przyjęła żadnego zalotnika. Przedstawiła się królowi jako pretendentka do tronu i z ciepłym pocałunkiem powiedziała mu: Zostanę królową> kiedy ty umrzesz,.

Wyszła za niego, drogie dzieci, i każdej nocy, kiedy ją całował, mówiła mu te słowa, a on się śmiał, i ona także, ponieważ członkowie królewskiego rodu mają przedziwne poczucie humoru. Przez wiele lat byli szczęśliwi.

Lamis, Która Wierzyła, Że Nigdy Nie Wyjdzie Za Mąż: Dlaczego ją poślubił, skoro chciała go zabić?

Bardziej boimy się śmierci niż śmiertelni, ale też jesteśmy w niej

bardziej rozmówani. Może jej nie uwierzył. Może myślał, że małżeństwo ją ułagodzi. Może spojrzął w jej pojedyncze oko swoimi niezliczonymi oczyma i ujrzał przywołującą go ciemność. Jednakże Giraud urodziła mu jedno dziecko, a potem następne, by mieć pewność, że nikt nie odmówi jej prawa do tronu, kiedy króla zabraknie. Potem pewnej nocy, kiedy leżała obok niego, a jej długie włosy przykrywały jego skórę, podała mu esencjonalną herbatę, pełną jej miękkich owoców. Może nawet wiedział, kiedy pił, może obejmował ją mocno, gdy jego ciało obracało się w pył. W każdym razie wypił, a ona została królową, rządziła dobrze i dostatecznie łagodnie, nie gorzej od Senebauta i nie lepiej. Ona także lubiła, żeby wszystko toczyło się po jej myśli. Królowie zmieniają się nie z powodu potrzeb kraju, ale ponieważ ciało pragnie zostać królem. Ambicja jest źródłem wszelkiej zmiany.

Kiedy tylko oddano jej koronę, nowa królowa udała się do Candaj, gdzie żył Gahmuret, i poprosiła go, żeby uchronił ją przed truciznami wszelkiego rodzaju, ponieważ nie była głupia. Gahmuret siedział przy warsztacie przez rok, zastanawiając się, jak tego dokonać. Ostatecznie nie zdołał wypełnić zadania. Powróżył z gwiazd i odkrył, że powinni z żoną spłodzić dziecko, gdyż ono może dorosnąć do zadania wyznaczonego przez królową. I tak jakiś czas później urodziła się Gahmureen, i urodziła się, śpiąc. Rodzice opiekowali się nią, kiedy ona spała, rosła, śniąc i znowu rosła. Kiedy skończyła szesnaście lat, obudziła się gwałtownie i wzięła się do pracy nad posągami dwóch wielkich węży, każdy z jabłkiem w paszczy, a każde jabłko miało karbunkuł, który ciemniał w obecności szkodliwej trucizny, a w skórcie zawarto alarm rozbrzmiewający piskiem i sykiem, gdy karbunkuł ciemniał. Giraud nagrodziła córkę wynalazcy wspaniałym łóżem, pełnym puchów i jedwabi, za jej zmyślność. I tam dzisiaj śpi Gahmureen, w Candaj, gdzie powinniśmy ją teraz obudzić, by naprawiła to, co Houd zepsuł.

I tak trwała zmiana królów i królowych, jedno wymieniane na drugie, aż do dnia dzisiejszego, kiedy zaczęto montować w Pawilonie konstrukcję z brązu.

[W końcu i tu się zaczęło - na marginesach tekstu Imtithal długie zawijasy bladozielonego śluzu snuły się jak koronka, wdzierały się w tekst, sięgały ku niemu, jakby droczyły się ze mną, jakby mówiły: Jeśli tylko zechcę, mogę zabrać to wszystko. Nawet te słodkie historyjki,

nawet je. Moje serce dostrzegało w tym alegorię, zepsuty świat rozkładający czysty umysł, niewidzialne demony powietrza, które rozkoszują się niszczeniem ksiąg, anioły naszej lepszej natury, śpieszące, by zachować czystość, nienaruszoność.

Szybciej, Hiobie, szybciej].

Słowo w pigwie

Rozdział Siódmy, w Którym Nasi Towarzysze Odkrywają Pewną Wieżę oraz Jej Ruiny, i Znajdują w Niej Wielkie Upodobanie, i w Którym Książd Walczy z Konwergencją Serca i Ciała.

Między Thule i ruinami leży niekończący się las - a przynajmniej wydawał się nieskończony i źle wpływał na moje sny, które ostatnio stały się mroczne i nieme. Śniłem o Hagii i czasem miała głowę, a czasem dziecko, i wszystko było tak zalane światłem, że ślepiem i tonąłem w ciemności, czując tylko jej ręce na sobie, tylko jej oddech, dzięki czemu wiedziałem, że nadal żyję na ziemi i nie przeniosłem się do Nieba. Żar w moich snach przesuwiał się po mnie jak głęboka woda. Nikomu o tym nie powiedziałem, a kiedy teraz myślę o wszystkim, co się wydarzyło, wiem, że zagubiliśmy się we własnych snach, ale wtedy myślałem, że mnie dręczą w szczególności. W tamtych pierwszych latach często myślałem o sobie w specjalnych kategoriach; nie można mnie o to winić, doprawdy. Wszyscy prócz mnie byli groteskowi, wszyscy prócz mnie posiadali wiedzę o tej krainie. Każdy służył jakiemuś fałszywemu bogu albo żadnemu. Jednak kopacz odnowił moją wiarę; Tomasz przybył tutaj, Tomasz tu zmarł i znajdę jego grób, i będę się modlił, a on powie mi, co mam robić. Od tego są święci - by kierować nami, istotami zagubionymi na ziemskim padole.

Czy jej pożądałem? Owszem. Co noc wyznawałem swoje grzechy gwiazdom, lecz żądza mnie nie opuściła. Ranilo mnie to wtedy jak ostrze; nie fakt, że pragnienie we mnie wzbierało, ale że nie potrafiłem się od niego odwrócić, nieważne jak zdeformowany był jego obiekt. Powinienem być silniejszy. Teraz wierzę, że początkowo pragnąłem jej, ponieważ jej natura była niemalże całkowicie demoniczna. W przypadku Grisalby wystarczyło, żebym odwrócił wzrok od jej ogona i mogłem myśleć o niej jak o łagodnej śmiertelniczce. Delikatność Hadździ usprawiedliwiała jej monstrualne uszy, a lwich mężczyzn mogłem

kochać, ponieważ Bóg stworzył mężczyzn na towarzyszy i łatwo odnajdujemy się pośród swojej płci. W końcu Daniel kroczył pośród lwów i nic mu nie było. Qaspiel stworzone na kształt anioła nie budziło we mnie żadnego niepokoju. Nie potrafiłem jednak zignorować jej ciała i tego, jak bardzo przypominała rzecz z piekła rodem umieszczoną na marginesach księgi cnoty, jak niewiele delikatności żyło w jej duchu, jak wszystkie kobiece cnoty zostały w niej zastąpione przez śmiałość, spryt i śmiech niczym ryk. Jednakże Piekło, jak budzi strach, tak też napełnia powietrze pokusą, a ona kusiła mnie ogromnie. Dlatego znowu starałem się nie odzywać do niej i traktowałem ją z niewiadomych przyczyn okrutnie. Kiedy jednak raz miłość wyzwoli się pośród czerwonego kwiecica, nie da się jej z powrotem wtłoczyć między żebra i zaprzeczyć, jakoby kiedykolwiek się wyrwała.

A jej usta poruszały się na brzuchu jak we śnie o Świętym Tomaszu i nie potrafiłem powiedzieć, co to znaczy, ale niepokoilo mnie to i prowokowało zarazem.

Nocą, kiedy wszyscy spali, wyciągałem ku niej rękę i czułem ciepło jej nagich pleców. Jeśli nawet wiedziała, że to mój dotyk, to nie odwracała się, ja jednak walczyłem ze sobą i Bóg zna mój mózół.

Starałem się powstrzymać. Tylko tyle Niebo może oczekiwać od mężczyzny.

Starałem się także nie dostrzegać jej zażyłości z czerwonym lwem Hadulphem. Nie potrafię nawet spróbować wyobrazić sobie, jak mogło dojść do ich zbliżenia, ale połączyły się ich serca, a lew nie musiał wypierać się jej jak ja. W jakiś przedziwny sposób ich bliskość ukazała mi prawdę o Pentexore. Dla kobiety lec pod lwem i radować się cichymi pomrukami, sekretnymi rozkoszami, plasowałyby się gdzieś daleko poza obsceniczno-ścią, w krainie czystego szaleństwa. Nie pomyślałbym o niczym innym jak tylko o zamknięciu w odosobnieniu chrześcijańskiej kobiety, która dopuściłaby się czegoś równie diabolicznego.

Jednakże Hadulph mówił, myślał, miewał humory, wolał mango od balsamki i lubił Hagię bardziej niż wszystkich pozostałych. Skoro pod każdym względem lew zachowywał się jak człowiek, prawa dotyczą-ce jego godów nie mogły pozostać takie same, prawda? Ponieważ lwy w świecie chrześcijańskim warczą, polują i nie mają duszy, żadnej natury poza naturą drapieżcy. A skoro to najbardziej podstawowe prawo można

zawiesić - prawo mówiące, że anielska natura człowieka nie powinna nigdy mieszać się ze zwierzęcą - co jeszcze jest dozwolone?

W nieskończonych lasach za Thule nie mogłem jednak pozwolić sobie na takie myśli. Jeszcze nie wtedy - kiedy Hadulph i Hadździ dołączyli do nas po drugiej stronie wielkiej rozpadliny, kiedy las zamknął się wokół nas, a każde drzewo ugięło się pod jedwabiem, rozwijając bele jasnego oranżu, złota, zieleni, już utkane, bez jedwabników w zasięgu wzroku. Nie, kiedy Tomasz czekał gdzieś przed nami, gdzieś w ukryciu, spodziewając się tylko, że wytrwam.



Zbliżyliśmy się do ruin niedługo przed świtem; ponieważ jedwabny las emanował aromatem, który napełnił nas energią i bezsennością, szliśmy całą noc przy księżycu rzucającym trzepoczące cienie wśród udrapowanej na drzewach, mieniącej się tkaniny. Zastanawiałem się leniwie, jaka dama zakopała tu swoją suknię, by urodził się taki las. Hadulph czule trącał Hagię nosem, a ja chciałem, by opowiedział jeszcze o swoje matce albo byśmy natknęli się na nią, żeby mogła uwolnić mnie całkowicie od Hagii, powiedzieć mi, że to nie moja wina: Miłość jest głodna, miłość jest surowa. Qaspiel zaczęło śpiewać, bez słów, jak ptak, jak łabędź, wydając z siebie klangor, świergot i kłaskanie, które brzmiały jak przyjemna, chociaż melancholijna piosenka w srebrzystym zmierzchu.

- Dlaczego idziesz z nami, Qaspiel? - zapytałem tej nocy, gdy zakończyło swoją słowiczą pieśń. - Co masz nadzieję osiągnąć? Tomasz nic dla ciebie nie znaczy.

- Myślisz, że skoro nie łączę się w pary, skoro latam i dojrzewam w roślinie, tak bardzo się od was różnię? Mam nadzieję, że zostanę pokochane. Mam nadzieję, że ponieważ dzielę drogę z tobą, będziesz dla mnie dobry i pokochasz mnie, nie dlatego, że będziesz uważał mnie za anioła, ale dlatego, że pojmiesz, że jestem Qaspiel, ujrzysz moje serce i obronisz mnie, kiedy będzie trzeba. Fortunatus też pragnie być kochany; chce być kochany, tak jak kochała go żona i córka, chce wypełnić pustkę po nich nami, tobą. Hadulph chce, żeby Hagia uznała go za odważnego i bezstronnego, za kogoś", kto - gdyby o to poprosiła - stanie u boku tego, kto ją obraził i nie okazał sympatii dla niczego, co oferuje nasz kraj. A

Hadździ, cóż, ona ma nadzieję, że pokochasz ją dla niej samej, i z tego powodu uczy się twojej łaciny, chodzi za tobą jak pies. Jesteś nowy i jesteś jedyną osobą, w której miłość może uwierzyć. Za każdym razem idzie o miłość, Janie. Nawet w twoim przypadku: jeśli twój Tomasz pokocha cię i powie, żeś godzien, będziesz wolny, prawda? Wolny i wyswobodzony, i wybawiony od ciężaru, godny i bezpieczny. W dziejach świata nikt nie uczynił niczego, czego nie robiłby dla miłości. Musisz tylko nauczyć się to widzieć, tę zmyślną szmaragdową nić, która łączy duszę z jej pragnieniem, wszystkie pętelki i supły na niej, które mogą sprawiać, że wydaje się zmierzać ku bogactwu albo władzy, ale tak naprawdę mówi tylko: kochaj mnie, odwzajemnij moją miłość, kochaj mnie wbrew wszystkiemu.

- Bóg jest miłością - rzekłem słabo i księżyc zamigotał między czarnymi gałęziami.

Wierzyłem w to wtedy.

- Kiedy ty to mówisz i ja to mówię, nie sędzę, żebyśmy mieli to samo na myśli. Dla ciebie to tylko metafora.

Rozmyślałem nad tym, a anioł szedł obok mnie, Hematyt w jego włosach był jak czarne łyzy.



Las gwałtownie ustąpił miejsca blademu piaskowi i szorstkim zielonym trawom obsypanym czarnym kwieciem, z odsłoniętymi korzeniami oblepionymi solą. Świt ukazał się kościsty i chudy nad nimi oraz wielką liczbą potrzaskanych kamieni, niebiesko-czarnych na tle perłowej ziemi, poznaczonych żyłami kwarcu. Łukowate przejście prowadzące donikąd nadał stało, podobnie porzrucane po ruinach kopce kamieni i rozliczne odłamki brązu obrośnięte zielenią ze starości. Kamienie leżały byle jak, niszcząc, jak okiem sięgnąć, i nie było im końca, powtarzały się raz za razem.

Chcę powiedzieć, że poczułem tam głębię, odebrałem wrażenie... czego? Echa Boga. Ale prawdę mówiąc, nie poczułem niczego, tylko umiarkowaną ciekawość i pieczenie oparzeń słonecznych.

Pozostali jednak natychmiast zamilkli i zamarli. Myślę, że nikt nie spodziewał się, że natkniemy się na to miejsce, może z wyjątkiem Hadździ, której nic nie zaskakiwało. Zaczęli wyjmować z rozlicznych

pakunków różne przedmioty: trochę solonego jaka, parę kwiatów mango, butelkę wody, kawałek jedwabiu z lasu. To wszystko złożyli na stosie przy przejściu, a ja zobaczyłem wiele zasuszonych kwiatów i pożywienia, które tam wcześniej zostawiono. Kiedy o to zapytałem, odniosłem wrażenie, że zapanowało pewne zamieszanie, odnośnie do tego, kto powinien opowiedzieć mi historię - zachęcali Hadździ, ale ona odsłoniła zęby i zazgrzytała nimi. Wreszcie Qaspiel podjęło się zadania. Słońce oćwiczyło jego niebieskawą skórę, aż stała się szara.

- To bardzo święte miejsce, Janie. Znajdowało się już tutaj długo przed narodzeniem któregokolwiek z nas, a nawet długo przed Statkiem z Kości i Abir. Wznosiła się tu wieża, tak wysoka, że nie było widać jej czubka; przez wiele pokoleń ludzie trudzili się przy jej budowie. Na wysokościach rodziły się dzieci, których stopy nigdy nie dotknęły ziemi. Żywiły się ptakami morskimi, które zdołały zestrzelić z chmur, a owoce wędrowały na górę podawane z ręki do ręki. Ostatnie i najmłodsze z wielkich dzieł wielkich budowniczych. Wybudowali tę wieżę, mając nadzieję osiągnąć najbliższej krystalicznej sfery, Dobrodiwego Srebra Sfery Księżyca.

- Dlaczego? Czy świat był wtedy tak nikczemny, że pragnęli z niego uciec?

- Ty o to pytasz? Stoisz tu przed nami, pozostałość świata, którego żadne z nas nie widziało, nadzwyczajny dla nas obiekt fascynacji każdej duszy w Nuralu i nie tylko? Chcieli dotknąć nieba. Tęsknili za większym światem niż ten zastany, marzyli, by był otwarty i serdeczny, by ich serdecznie powitał. Chcieli dotknąć srebrnego brzucha księżyca i poczuć zapach tamtejszych wiatrów, dowiedzieć się, czy jest tam woda, czy chodzą tam jakieś piękne i rzadkie monstra, kochają, rodzą i jedzą warzywa. Chcieli wiedzieć, Janie. Chcieli zobaczyć.

Kiedy Qaspiel mówiło, poczułem, jak granice jego opowieści i granice mojej własnej wiedzy całują się i łączą.

- Niektórzy mówią, że otarli się o spód, inni, że nigdy się nawet nie zbliżyli. Niektórzy powiadali, że wieża stała tak długo, że dzieci urodzone na szczycie w niczym nie przypominały dzieci rodzających się na dole: były małe i chude, by mogły oddychać obcym powietrzem, ich oczy widziały doskonale w ciemności, ich żebra się rozrosły, a żołądki skurczyły, ponieważ niewiele żywności docierało na szczyt. Ich język

tak się zmienił, że żaden chłopiec naprawiający dziury w starodawnych fundamentach nie zrozumiałby sylaby z mowy dziewczyny kładącej zaprawę pod najnowsze cegły na szczycie. Niektórzy mówią, że księżyc ich odrzucił, a inni, że wieża stała się tunelem łączącym Sferę Księżyca ze Sferą Ziemi i że ludzie przechodzili między nimi, zanim wielkie wiatry pomiędzy Sferami zniszczyły wieżę. Niektórzy uważają, że to sabotaż ją zburzył, dywersja z góry lub z dołu, że cały naród mieszkał w jej obrębie, że prababki nigdy nie widziały swoich prawnuków, i to stało się nieznośne, albo że ludzie ze szczytu zazdrościli tym z dołu darów ziemi. Niektórzy utrzymują, że Księżyc nie zaoferował niczego ciekawego, wszyscy wrócili rozczarowani do domów i rozebrali wieżę. Niektórzy prawią, że nigdy nie należało próbować, że Sfer nie wolno łączyć. Inni twierdzą, że powinniśmy znowu spróbować, teraz, kiedy jesteśmy lepszymi architektami i mamy skrzydlate ludy, które przyspieszyłyby pracę. Jednak niezależnie od tego wszystkiego wieża się zawaliła. Ogromna liczba ludzi zginęła od upadku.

- To miejsce nazywa się Babel, Janie - odezwała się cicho Hagia.

Poczułem wtedy, jak żołądek ze mnie wypada, serce przyspiesza, i w nagłym zalewie myśli pojąłem, jakim cudem ich język wydawał mi się tak znajomy. Mówili w Języku. W tym języku, jedynej prawdziwej mowie. Byli Babelczykami, tyle że nawet nie rozumieli własnej pychy, gdy postanowili wybudować tak wysoką wieżę, nie pojmowali nawet, że Bóg zniweczył ich ambicje. Byli nadzy i niewinni, tak niewinni, że ich czystość mogła mnie sparzyć.

- Czcimy tych, którzy tak usilnie się starali, i to jeszcze przed Fontanną, która wykupiła nas od śmierci - powiedział Fortunatus, szturchając dziobem zasuszone kwiaty, żeby je ułożyć. - Sam często myślałem o tym, żeby lecieć coraz wyżej i wyżej, tak wysoko, by dostrzec Srebrną Sferę, ale umarłbym z głodu, zanimbym do niej dotarł, zmęczyłbym się i nie jestem tak odważny, jak byli ci, którzy mieli do stracenia tylko kilka lat.

Usiadłem ciężko na szerokich piaskach. Obok mnie leżał kamień. Rozcapierzyłem palce na jego ciepłej powierzchni, tak starej, że nie potrafiłem nawet zbliżyć się do wyobrażenia sobie kamieniołomu, z którego pochodził. Jak ogromnie żałowałem, że nie mogę tego pokazać Kostasowi, moim braciom kapłanom: Nikosowi, lingwiście, który

zachwyciłby się tym widokiem, Anastorusowi, biczownikowi, który by się przeraził. Chciałem wtedy tylko podzielić się nim z kimś, dla kogo to miejsce nie było znajome, kto podzielałby moje zdumienie. Z kim mógłbym się śmiać, bo nie można niczego innego zrobić w obliczu ruin Babel na końcu świata.

Tego dnia poczułem się tak, jakbym wędrował po Sferze Księżyca, a tutejsi ludzie tylko patrzyli na mnie i mówili: Na co się tak gapisz? To najzwyklejsza rzecz pod słońcem.

Mimo że tak dobrze znali to miejsce, najwyraźniej nikt nie miał ochoty go opuszczać. Chociaż poranek ledwie wyzierał spomiędzy pomarańczowych chmur podobnych do ptaków na horyzoncie, wszyscy ociągali się, dotykali kamieni, przesiewali piasek przez palce. Widziałem Hadździ, jak przyciska usta do łuku przejścia i zamyka oczy w zastygłym grymasie czci. Hadulph przeturlał się na plecy z łapami w powietrzu, warcząc basowo z głębi piersi. Qaspiel spacerowało wśród pozostałości wieży, a każdy jego krok był jak taniec kreślący powłóczyście wzory na piasku; uśmiechało się do siebie, błyskając niebieskimi zębami. Obserwowałem ich wszystkich i odbierałem własne odseparowanie jako namacalne. Także znałem to miejsce, ale nie mogłem się zmusić, żeby wyznać im prawdę na jego temat, by zerwać rodzinne więzi łączące ich z tymi ciemnymi, bardzo ciemnymi kamieniami, te zmyślne szmaragdowe nici, jak to ujęło Qaspiel, które ich tu uwiązały. Nie mogłem popsuć ich radości opowieścią o bożym gniewie.

Widzicie, jak mnie zagarnęli, jeden maleńki grzech po drugim.

Ale byli tak szczęśliwi wśród ruin.

Hagia rozłożyła piknik i wszyscy zjedliśmy daktyle i jedwabiste jagody z lasu tkanin; były szorstkie na języku, ale pikantne i słodkie. Zjedliśmy ostatnie kawałki suszonego jaka od Hadździ. Panoti cicho zawodziła do nieba, jakby wzywała do siebie Sferę Księżyca. Hadulph zdrzemnął się z otwartymi oczami - dotarło do mnie wreszcie, że zawsze tak śpi - a Fortunatus oparł się o niego, bok w bok.

- Rozumiesz, prawda? - zapytała mnie Hagia, kiedy dzień mijał i wszyscy bez słów zgodzili się tu przenocować wśród cieni, które się wydłużały. - To jest dom. Cały lud Pentexore kiedyś tu mieszkał. To dom nas wszystkich.

- Nie - odpowiedziałem cicho, kładąc się obok niej z napiętym ciałem, ponieważ nic nie potrafiło go przekonać, że jest w Hagii cokolwiek cnotliwego. - To Eden.

- Powiedziałeś tę nazwę Fortunatusowi. Tłumaczyłeś, że to miejsce, w którym ludzie zgrzeszyli. Ale ja nie jestem ani mężczyzną, ani kobietą i czuję, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

- Ależ oczywiście, że ma - odparłem żarliwie. - Teraz rozumiem. Tutaj właśnie znajdował się Eden na początku świata. Ziemia jest tu żyzna w sposób, w jaki nigdy nie mogłaby być w Konstantynopolu czy dowolnym innym ludzkim mieście;*tu jest magia, o jakiej nie mamy pojęcia, bogactwa i klejnoty, których ty nawet nie dostrzegasz, tak codzienny jest dla ciebie ich blask. Te drzewa, te jedwabne drzewa, drzewa oczu i drzewa owiec... Czy Drzewo Wiadomości mogło być drzewem innego rodzaju? I ty, i oni wszyscy... Skoro nefilimowie mogli mieć cztery twarze, skoro Trony istnieją jako płonące koła z oczami, to kto twierdzi, że ty nie możesz istnieć?

- Doceniam twoje przyzwolenie.

Jednak ja jej nawet nie słyszałem. Ani jej gorzkiego sarkazmu, ani ostrzeżenia.

-To jest Eden, Hagio. To pępek świata. Gdzieś, gdzieś tutaj, zapewniam cię, stoi brama ze złota z wbitym w nią mieczem, poczerniałym i spalonym, ponieważ jego płomień dawno już zgasł. Gdzieś tu jest jabłko, nikt nie miał zjeść. Tylko dlatego, że nigdy ich nie znaleźliście, nie znaczy, że ich tu nie ma. To jest kraina, którą Bóg zachował dla ludzi, zanim upadliśmy.

I pocałowałem ją, tak byłem napełniony radością. Niewinność we mnie jak pożądanie, tak wielka, że nie mogłem jej w sobie pomieścić. Położyłem się tak, żeby ustami zagarnąć jej usta na brzuchu, a dłonią objąłem ją w talii.

- Nie jestem potworem, Janie - powiedziała delikatnie i nie bez uczucia, jak sobie wyobrażałem; jej słowa padały w ciemność między nami.

- Nie słyszałaś mnie? Wiem, że nie jesteś.

- Słyszałam. Teraz myślisz, że jestem istotą boską jak twoje Trony, więc twój Bóg może pozwolić na pocałunek. To żadna różnica. To tylko inny sposób, żeby powiedzieć; to coś nie jest takie jak ja, więc nie

zasługuje na to, na co ja zasługuję, nie potrzebuje tego, czego ja potrzebuję.

- Nie to...

- Cieszę się z twojej radości, że znalazłeś sposób wpasowania nas w swoją historię, Janie, ale ty nie pasujesz do naszej i obawiam się tego, co zrobisz, kiedy to odkryjesz.

Odwróciła się ode mnie. Gwiazdy nad jej ramieniem były tak jasne i ciepłe, że wydawało się, iż wyrastają z jej skóry - ukryte w niej światło, tajemny blask. Odwróciła się ode mnie, ale kiedy noc wreszcie nastąpiła, znowu się do niej przysunąłem, a ona nic nie powiedziała, lecz wygięła się w łuk przy moim pożądaniu i smakowała jak piasek, kiedy zamknąłem oczy przy jej skórze, gdy poruszaliśmy się razem, niewinni jak jabłko, jedność nietknięta, niewidziana, nawet niewyśniona.

Księga fontanny

Postanowiłam go nie kochać. Czułam w tamtych dniach pewność, że można sobie taką rzecz postanowić. Gdzieś pomiędzy pocałunkami i obietnicami istnieje maleńka przestrzeń, gdzie można narzucić sobie takie decyzje, między polem czerwonych kwiatów wełniaka i ruinami wieży. Mogłam się nim cieszyć i go nie kochać. Mogłam popisywać się przed Grisalbą, której się to nie udało. Zdecydowałam. Nie będzie żadnej dalszej dyskusji. Nie będę też marnować serca na zamartwianie się nocami spędzonymi z dala od pozostałych, pod księżycem zbyt jasnym, w cieniach zbyt głębokich.

Trzymałam się na uboczu. Pozwoliłam księdzu i Hadździ zapuścić się między szerokie kamienie Babel i trochę byłam zła, że nie mogłam dotrzeć do tego miejsca sama, poznać go bez tłumaczenia wszystkiego obcemu, jakbym była książką, którą czyta w wygodnym starym fotelu. To możliwe: zamknąć wszystkie drzwi, które kiedyś stały otworem, sprawdzić zamki, zaciągnąć zasuwę i stanąć na straży. Zrobiłam wszystkie te rzeczy. Nie będę go kochać, miłość nie może istnieć między zwierzęciem i aniołem. Kiedy jego pocałunki nadal były świeże na moich ramionach (ponieważ nadal nie potrafił znieść widoku mojej przedniej strony, gdy mnie kochał), poznałam geografię jego serca.

- Żałuję, że nie odwiedziłam twojej matki - powiedziałam do Hadulpha, jadąc na jego grzbiecie z policzkiem przy jego grzywie.

- Nie jest nieomylna, Hagio. Powiedziałyby, że jeśli musisz go mieć, to i musisz. To jedyny sposób, żeby pozbyć się miłości. A jeśli miałaś go dwa razy, będziesz miała i po raz trzeci.

- Jest okrutny i surowy. I uważa mnie za zwierzę.

- Bo nim jesteś. Tak jak ja. Tyle że on myśli o tym cierpko. Ja lubię być zwierzęciem. To oznacza jedzenie, parzenie się, życie i światło. Nie wiem, za kogo siebie uważa, jeśli nie za zwierzę.

- Hadulphie, skończyłam z nim. Są granice tego, ile mogę znieść mówienia o Bogu i mojej brzydocie. Dojdziemy tam, dokąd zmierzamy, i mam nadzieję, że tam go zostawimy. Może czcić grób do swojej

śmierci.

Nie mam cierpliwości do szyderstw za dnia i żarliwości przy księżycu. To dziecinada.

- On jest dzieckiem. Ma dopiero czterdzieści lat! Wyobrażasz sobie? Pamiętasz choćby, kiedy miałaś czterdzieści lat? Jako czterdziestolatek nadal piłem mleko matki na śniadanie! Nic dziwnego, że jest taki nieokrzesany, nic dziwnego, że wierzy w prostackie idee.

- Pamiętam, jak miałam czterdzieści lat. Astolfo nadal mógł mówić. Kochaliśmy się na słońcu. Nie odwracał ode mnie oczu.

- Ja nie odwracam od ciebie oczu - zamruczał życzliwie Hadulph. - Zapominam jednak, że masz za sobą dopiero jeden Abir, sama wciąż jesteś młoda. Nadchodząca loteria będzie dla ciebie ekscytująca. Myślisz, że potem nadal będziemy chodzić we dwoje na pola pieprzu?

- Nie wiem - odpowiedziałam, kierując wzrok na intensywnie niebieskie niebo przyprószone lecącymi zielonymi liśćmi. - Nie potrafię j wyobrazić sobie życia po drugiej stronie Abiru. Chyba na tym polega jego sens. Drzwi na drugą stronę, która pozostaje nieogarnialna. - Powieki mi ciążyły; chmury rozwiewały się, rozdzielając się nade mną, łącząc i ponownie, sennie się odsuwając. - Myślisz, że sam świat też ma Abiry? ' Dzień, kiedy wszystko zawirowuje i wychodzi tyłem naprzód, wywrócone na nice, pomieszane, i że gdy to się dokona, nic nie wygląda tak jak wcześniej?

Dobrze sobie przypominam, teraz, w tych cienistych godzinach, jakie spędzam w swoim minarecie, ostatnią rzecz, jaką powiedziałam, zanim równy, dudniący krok Hadulpha posłał mnie między sny:

- Jestem tylko wdzięczna, że Jan nie wrzuci swojego sztonu do beczki i żadna biedna dusza nie weźmie go na swoje barki.



Myślę, że w gruncie rzeczy szliśmy równolegle do drogi prowadzącej do Fontanny, tyle że daleko na zachód od niej, ponieważ znałam te kolczaste, pachnące chwasty, płatki śniegu, które dryfowały bez celu przez jasne słońce, zwiastując odległy chłód, ale jeszcze nim nie grożąc. Nie wyrastały tu żadne kramy, nie było kobiety-hieny z błyskotkami za grosik. Nie było orzeźwiających napitków, stołów

udrapowanych fantastycznymi tkaninami, które przyodziałyby moją talię. Było tu samotnie, chociaż w szóstkę wędrowaliśmy tą drugą drogą, drogą cienia, która nie prowadziła do życia, lecz do śmierci, do mogił i grobowców. Przez wiele dni podejrzewałam, że zbliżamy się do Wrót Alisaundra, w okolice wysokich gór odgradzających te stare duchy. Tak twierdziła mapa, tak mówiły mi lekcje historii. Chciałam wypytać Hadździ o śnieżne krainy przed nami, gdzie żyli panoti, gdzie i ona musiała kiedyś żyć. Jednak zachowałam spokój.

Dostrzeżliśmy błysk, wreszcie, daleko przed nami, kilka tygodni za ruinami, które ciągnęły się dalej, niż potrafiłam sobie wyobrazić. Długa równina rozpościerała się szeroko pełna czarnego piasku - nie żyznego ani osmalonego, lecz zwyczajnie pozbawionego koloru, światła, ciemnego jak niebo. Po jednej stronie równiny lodowe góry rysowały się ostro, bez pogórza, jakby rzuciło je tam niedbałe dziecko. Słońce przeświecało przez takie diamenty w szczelinie, że pryzmatyczne tęcze padały na każdy kamień, na naszą skórę, na uszy Hadździ, na częściowo łąsą czaszkę Jana, na dziób Fortunatusa. Qaspiel rozłożyło skrzydła, jakby chciało pić światło, a skrzące się refrakcje ścigały się z drzeniem po jego piórach.

Nikt nie rzeźbił ani nie kształtował klejnotów, żeby były miłe dla oka podróżnego odwiedzającego to miejsce; nikt nie wygładził ich ani nie ociosał w zawyłych wzorach. Po prostu zrzuciono je z grubsza na stos i umocowano. Jednak gdybym nie znała ich celu, pomyślałabym, że Wrota są piękniejsze od wszystkiego, co widziałam w swoim życiu. Ich surowa, dziwna majestatyczność przyćmiewała całkowicie miasto, które rozpościerało się pod nimi. Światła świec i ognisk już skrzyły się we wczesnym zmierzchu, który doprowadził nas w góry, między chaty i domy, nawet posiadłości - nie było to obozowisko, ale miasto. Nie tak wielkie jak Nural, ale podobne do Sirszy, z zatopioną studnią, bulgocącą fontanną, amfiteatrem dla letnich rytuałów. My - zaniebani po długiej podróży obcy - szliśmy ulicami zdumieni, a wszędzie wokół tańczyły i śmigały tęcze diamentowych Wrót. Jednakże dróżki były puste, nikt nas nie witał, nikt nie pytał nas o cel, nie proponował jedzenia ani nie żądał, byśmy natychmiast stąd odeszli. Tylko trzy szerokie ulice przecinały się w centrum miasteczka, a my bez przeszkód przeszliśmy najszerszą z nich - ziemia była ubita, zdeptana stopami i kołami. Poszliśmy przez ciszę do progu Wrót. Tam zesłam z szerokiego grzbietu Hadulpha i

wyciągnęłam rękę, by dotknąć niewzruszonej bramy.

Klejnoty mnie sparzyły. Z krzykiem zabrałam rękę.

- Gorące, co? - rozległ się głos za mną i wszyscy się obejrzelśmy.

Ujrzelśmy wiekowego, bardzo wiekowego pawia, tak starego, że ogon

mu obwisł i poczerniał zbryzgany jaskrawą, piekącą zielenią. Oczy nadal mu błyszcząły, ale zmęczenie przemawiało każdym piórem. Ci, którzy pili z Fontanny, zwykle pozostają młodzi, a przynajmniej tak młodzi, jak byli, kiedy przełknęli trzeci łyk słonawego mułu. Jednakże nieliczni przez przypadek albo z powodu zawziętej natury nie pili, dopóki nie wkroczyli w godny wiek. Ci osiągnęli coś w rodzaju monarszej starości, nadal byli krzepcy, ale dziwnie zabarwieni, a ich głosy stawały się chropawe i basowe. Ten ptak osiągnął to wszystko i więcej - jego ogon był tak pełny i ciężki, że rozpościerał się za nim niczym cesarska szata. Po tym właśnie go poznałam, bo czegoż nie wiedziałam o starym pawiu, który tak wiernie spisał kroniki plemion kanibali? Stary ptak odnalazł drogę do Fontanny dopiero w zaawansowanym wieku z powodu leniwej natury i uzależnienia od nektaru czarnych cebulek.

- To ich czujesz - powiedział paw. - Ich obu. Zawsze opierają się o Wrota, mając nadzieję, że te runą. Stare łajdaki. Nie mają nic lepszego do roboty po tamtej stronie?

Jan potrzebował wyjaśnień. Jak zawsze. Nie zniósłabym jednak powtarzania całej długiej historii o AJisaundrze i budowie Wrót, nie teraz. Niech Hadździ mu powie. Ktokolwiek. Mnie to nie obchodziło. Nie po to przewędrowałam pół znanego świata, żeby opowiadać baśnie pruderyjnemu głupcowi. Baśnie albo historie. Za czterdzieści lat będzie martwy.

Co potrzebował wiedzieć? Jak się pomarszczyć i oślepnąć. Byłam pewna, że jego zdolności pozwolą mu to osiągnąć bez mojej pomocy.

Teraz żałuję, że to nie ja mu opowiedziałam. Czegoż bym nie dała, żeby móc mu opowiedzieć jeszcze jedną rzecz, której nie wiedział, opowiedzieć mu historię po zachodzie słońca, słyszeć, jak nie dowierza!

- Ghayth - powiedziałam i poczułam, że uśmiech na moim brzuchu jest tak szeroki, że skóra mi się napięła. Nie powinnam była tego mówić.

Powinnam była go powitać jak nieznanego. Jednak nie mogłam się powstrzymać. - Ghayth Spod Muru.

Paw zamrugnął zaskoczony, przekrzywił czarną głowę. Wrota dudniły żarem wylewającym się na długą drogę za nami.

- Hagia - szepnęła rozpaczliwie Hadździ, zaciskając uszy wokół siebie tak ściśle, że przeświecały przez nie niebieskie żyłki. - Nie. Proszę, nie rób tego.

Ale Ghayth był Ghaythem i nie mógł temu zaprzeczyć. Zachowałam mężnie uśmiech. Kiedy już raz się naruszy zasady postępowania, najlepiej iść za ciosem. Paw-historyk poderwał wspaniałą ogon, rozłożył go ogromnym wachlarzem, pasma zieleni i fioletu wiły się jak olej przez czarne pióra.

- Czytelniczka! - zaskrzeczał, potrząsając pióropuszem. - Uczennica! Musisz wielce kochać moje prace, żeby odezwać się tak niestosownie!

I oto słowa te padły między nas. Myślałam tylko o sobie, o swojej radości z tego spotkania. Nie wolno nam mówić innym o tym, kim byliśmy wcześniej, o przeszłości sprzed Abirów. Jesteśmy teraz tym, kim jesteśmy teraz. Musimy żyć tym w pełni, bo inaczej jaki sens miałoby przechodzenie przez to wszystko? Gdybym ujrzała matkę na drodze, pozdrowiłabym ją jak nieznaną. Znałam Ctiste kiedyś, nie znam jej teraz. Nie jest tą samą osobą. To nie ten sam świat. Etykieta to wszystko, co mamy.

- Hagia z pewnością pomyliła cię z kimś innym - wtrącił się szybko Fortunatus.

- Nie, nie, ma rację! Dajcie spokój, mógłbym udawać, że się obraziłem, ale spójrzcie, gdzie jesteście! Pod każdym względem to kraniec świata. Po drugiej stronie jest piekło i groza. To koniec cywilizowanej przestrzeni, więc darujmy sobie konwenanse. Tak, byłem Ghaythem i jestem nim. Ostatni Abir uczynił mnie pisarzem fikcji, wyobrażacie sobie? - Ghayth bez skrupowania dziobnął w czarny pył ulicy i podniósł głowę z poskręcany żółty robakiem w dziobie. Przełknął go. - Muszę wyobrazić sobie rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły, a potem układać je w przyjemnej kolejności i spisywać! Muszą łączyć się motywami, metaforami i wątkami! Motywami, powiadam wam! Co za bzdura. Tęsknię za byciem Ghaythem Spod Muru. Teraz jestem Ghaythem, Który Zmyśla Historie I Wydziwia Nad

Motywami. - Wypluł łebek robaka. - Dajcie mi znowu historię! Solidną, opartą na faktach, szacowną! Pozwólcie mi znowu udokumentować spustoszenie spowodowane przez Goga! Pozwólcie mi zliczyć statki w porcie albo oszacować, jak długo określona miedziana moneta była w obiegu! Wiecie, że moje ostatnie arcydzieło opisuje dwie młode religie, które ledwie wyszły z pieluch własnych proroków? Jedna przeszła pół kontynentu z zamiarem wybicia drugiej, tylko po to, żeby znudzić się w połowie drogi i wymordować miasto, które nie miało nic wspólnego z żadną z nich. Proszę, to dopiero wymyślne, to dopiero satyra, to praktycznie pijacka ballada! Właśnie to wymyśliłem! Nudziłem się! Musiałem coś napisać! Nie można mnie winić! A moja publika twierdzi, że to moja najlepsza rzecz do tej pory.

- Powiedźże, kto jest twoją publiką, ptaku - powiedział Jan i naprawdę myślę, że chciał być uprzejmy.

- Cóż, Azenachowie, rzecz jasna. Tu właśnie się znajdujesz. Gdybyś miał mapę, byłoby napisane w tym miejscu „Azenach. Tu żyją kanibale. A także Pawie. Nocuj gdzie indziej”. Wystawiają moje dzieła literackie w amfiteatrze. To naprawdę coś, mają maski, wielokrążki i wszelkie maszyny, żeby przerażać. Przede wszystkim interesuje ich straszenie. Raz zbudowali prawdziwy trebusz do scen batalistycznych. Pomalowali go na zielono, na moją cześć. Myślę, że to nawet zabawne. Nikt do tej pory nie wystawiał moich historii.

- Kopiowałam twoje historie dla najróżniejszych ludzi - powiedziałam nagle onieśmielona. - Raz dla wielkiej biblioteki w al-Qasr.

- I czy popsułaś moją prozę, pododawałaś samogłoski i poprawiałaś dialogi, czyniąc je znacznie piękniejszymi, niż były w rzeczywistości, i pominęłaś całe epizody?

- Nigdy nie zmieniałam nawet słowa.

- Dobra kobieta! Za to nakarmię was wszystkich, chociaż nie mogę obiecać, że nasze lokalne dania przypadną wam do gustu.

W ciemnych, mrocznych domach - były zaledwie zasłonami rozwieszonymi na tyczkach, spoczywającymi w fali żaru bijącego od diamentowych Wrót - widoczne były teraz oczy i dłonie poruszające się nieznacznie, nerwowo.

- Obrali mnie na Komitet Powitalny - wyjaśnił Ghayth. -

Azenachowie budzą w ludziach niepokój.

Drobna postać podreptała ku nam i przez moment myślałam, że Azenachowie to pigmeje, ale nie, to było dziecko, dziewczynka o sylwetce bardzo podobnej do Jana. Tylko jej skóra była w pasy jak u tygrysa, a zęby połyskiwały wielką ostrością.

- Nie bójcie się - oznajmiła uroczyście. - Zjadamy tylko siebie nawzajem.

- Och, proszę! - Ghayth zatańczył, przeskakując z jednej trzypalczastej nogi na drugą. Ogon zafalował mu przepięknie w diamentowanym świetle. - Och, proszę, pozwól, że im powiem! Mam znowu szansę być historykiem! Mówić prawdę, przedstawić długą i uczciwą opowieść o prawdziwych rzeczach!

Kilku innych napłynęło, wszyscy w pasy, wszyscy cisi i ostrożni.

- Dobrze - zgodziło się kilku.

- Musisz? - westchnęli inni.

-Ja i tak nie lubię opowiadać historii - powiedziała dziewczynka, która, jak wkrótce się dowiemy, nazywała się Yat i w swoim życiu zjadła tylko małeńki kawałeczek drugiej osoby. - Wiemy, kim jesteśmy. Jaki to ma sens?

- Rzecz w tym, że oni nie wiedzą, więc dzielenie się wiedzą to nadzwyczajna przyjemność. Kiedy skończysz, oni wiedzą, ty wiesz i możecie wiedzieć razem, i jakiś czas potem razem sobie żartować.

-Ja chcę patrzeć - upierała się Yat i tak zrobiła, a my przysiedliśmy cierpliwie i uważnie słuchaliśmy.

Wszyscy z wyjątkiem Hadździ, która kurczowo ścisnęła rękę Jana, oddychała płytko i widać było, że stara się być taka mała, jak to możliwe, co oznacza doprawdy niewielką. Jednak ja nie zamierzałam popełniać dwa razy takiego samego nietaktu i zwiększać jej zakłopotania. Ostentacyjnie zostawiłam jej przestrzeń, nie kucając nigdzie w pobliżu jej ani Jana. Miałam nadzieję, że zorientuje się, że nie chciałam jej skrzywdzić.

Ghayth uniósł jedną nogę w zawodowym geście.

- Azenachowie zostali odcięci za Wrotami, kiedy olbrzymi Holbd i Gufdal zamknęli nikkzemnych bliźniaków Goga i Magoga, przypieczętowując los miasta Simorg o iglicach z miedzi, oraz paru

innych plemion.

Jan spojrzał ostro na pasiaste dziecko.

- Chcesz powiedzieć, że ona widziała na własne oczy Goga i Magoga?

Yat się roześmiała.

- Głupiś! Jeszcze się wtedy nie urodziłam.

Ghayth spojrzał na Jana znacząco, mrużąc oczy jak paciorki.

- Zapomniałem, kiedy piszesz książkę, nikt ci nie przerywa. To ogromnie irytujące. No dobrze! Wielu zostało odciętych przez Wrota, a wśród nich znaleźli się Azenachowie. Przez jakiś czas starali się w miarę możliwości żyć zwyczajnie po drugiej stronie, ale ich sąsiedzi byli strasznym towarzystwem. Jeśli rodzina zdołała wznieść dom albo stodołę, Gog przegryzał budynek na pół, a Magog pożerał resztki. Jako bracia dzielili się po równo. Jak feniks, to na pół, przez środek. Jak Fommeperi, siostrzane plemię Azenachów, to po tyle samo wojowników dla każdego, dokładnie odmierzone porcje. Kiedy prażyli ziemię i wypalali glebę, żeby żadne więcej drzewo nie wyrosło, nawet drobiny ziemi ukazywały ich równość: połowa zniszczona przez Goga, połowa przez Magoga.

- Muszę dzielić się z siostrą - szepnęła Yat. - Nawet kiedy jest niedobra.

Ghayth skubnął jej włosy z czułością.

- Tak, z pewnością to dokładnie taka sama sytuacja. - Przycisnęła długą szyję do policzka Yat. - Można żyć obok ciemności i nadal ucztować, nadal mieć dzieci, śpiewać i czcić księżyc. Jednak nie obok tych dwóch, kiedy jeden bierze twoją lewą połowę w ramach dziesięciny, a drugi prawą. Co gorsza, ci, którzy znaleźli się po zawietrznej stronie Muru, zostali odcięci od Fontanny. Chociaż nadal mogli żyć wiecznie, musieli patrzeć, jak ich dzieci starzeją się i umierają, ponieważ ich potomstwo nie mogło napić się i zostać zachowane. Kto ugiąłby się pod takim losem i mu uległ? Tak się składa, że Azenachowie są kanibalami. Nie wspomniałem o tym do tej pory, ponieważ zwykle nastawia to słuchaczy przeciwko nim, chociaż tak naprawdę nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. Kanibal zjada tylko swoich, a wy nie jesteście swoi, nie ty, blemijko, nie ty, panoti, ani wy, gryfie, lwie i antropteronie, ani ty, czymkolwiek jesteś - powiedział,

wskazując Jana głową. - Poza tym jedzą tylko martwych. Mają bardzo bogaty rytuał, w którego ramach każdy z członków rodziny zjada część zmarłego reprezentującą ich związek. Uczniowie nieboszczki powinni podzielić się jej mózgiem. Ci, którzy w młodości wdali się w bójkę z nią albo których obroniła, kierując się swoim gwałtownym temperamentem i miłością dla mniejszych, powinni z całą powagą przełknąć mięso jej mięśni. Jej dzieci powinny zjeść łono, a mąż serce. Mają całkiem skomplikowaną liturgię anatomii, strach, na przykład, rezyduje w żołądku, gniew w śledzionie, wdzięk w stopie. Mógłbym trzymać was tu całą noc, objaśniając ciało Azenachów i krążące w nim humory. W sercu mieszka miłość, naturalnie, ale także sztuka żołnierska. To, co wydaje się najpotężniejsze w Azenachu, musi zostać zjedzone po jego śmierci. Możecie myśleć, że to ohydne, ale tak naprawdę to całkiem oczywiste: kochali zmarłego, a teraz na zawsze będą mieli go w sobie. To wyraz najwyższego szacunku, zapewniam. Cały proces to pozostałość folkloru poprzedzającego Fontannę, ale nadal zdarza się, że Azenach ginie z powodu przemocy lub zarazy, a trudno porzucić religijne nawyki.

Yat uśmiechnęła się, pokazując ostre jak brzytwa zęby.

- Zjadłam rękę mojego przyjaciela Otta, kiedy wół zabódl go na śmierć, bo kiedy bałam się nocą, Ott trzymał mnie za rękę, dopóki znowu nie zasnęłam. Nie smakowała szczególnie dobrze, ale potem nie byłam już tak smutna.

- Cóż, jedno po drugim dzieci po drugiej stronie Muru starzały się i azenachowe matki i ojcowie patrzyli przerażeni, ponieważ zapomnieli już, że ciała wykonują ten chwiejny refren. I kiedy śmiertelne dzieci przepadły, rodzice zasadzili ich szczątki, po tym, jak ciała podzielono w stopniu dostatecznym, by ukoić rozpacz i zadowolić wiarę. Cał po cał ciała dzieci rosły pod ziemią. Korzenie i kiełki poruszały się w stronę ciepła, które rozlewało się gorączkowo po drugiej stronie Wrót zintensyfikowane przez diamenty. Pewnego dnia blade pasiaste drzewko wyrosło za Murem. Potem następne i następne. Wyrastały pnie, liście i kwiaty, aż któregoś dnia pąki otworzyły się i całe pokolenie Azenachów wyskoczyło z nich ze śmiechem. Oczywiście, ponieważ podzielono się nimi podczas świętej uczty przed pogrzebem, niektórzy nie mieli mózgów i nie śmiali się, lecz padli martwi jak durny owoc, który spadł na ziemię. Niektórzy nie mieli łona i nigdy nie spłodzili dzieci. Niektórym brakowało śledziony, bo poszkodowali wielu ludzi w

poprzednim życiu po tamtej stronie Wrót. Jednakże ci, którzy padli martwi, zanim zdążyli choćby wziąć oddech, mieli dość do podziału dla pozostałych - ci mogli względnie dobrze połączyć własne ciała, połykając brakujące organy od rodzeństwa. Po jednej stronie Wrót to metafora, po drugiej to fakt. Teraz tylko kilkoro z nich nie ma serc, krew w nich krąży bardziej na podobieństwo soków w drzewie i są pacyfistami.

- Słyszę dziadka po drugiej stronie Muru - powiedziała Yat. Załamała pasiaste ręce. - Tęskni za mną.

- Trzymają się blisko Wrót, nawet teraz, kiedy nowe dzieci urodziły się tu w bardziej zwyczajny sposób, jak Yat na przykład. Czekają na dzień, kiedy Wrota się otworzą i znowu staną się jednym plemieniem. Jednak nie wiercie jej. - Paw westchnął. - Nie może słyszeć swojego dziadka. Nawet dźwięk nie przekroczy Muru. Azenachowie po drugiej stronie nie wiedzą nawet o istnieniu tej kolonii.

- Nie kłam! - krzyknęła Yat, podskakując. - Słyszę go! Słyszę! Mówi: „Wkrótce, wkrótce”. A Mur się rozgrzewa.

Zadrzałam. Ja też wątpiłam, żeby to był jej dziadek.

- Och, Yat, moja kochana, musisz trzymać się z dala od Wrót. Nic dobrego nie przyjdzie ci ze słuchania przeciekających przez nie szeptów, a twój dziadek nie mieszka w tym kraju sam.

- Co ty wiesz? Nigdy nikogo nie zjadłeś!

Dziecko odbiegło ze złością, a Ghayth przeprosił pozostałych. Starszy Azenach przytulił dziewczynkę, a ona rozplakała się rozpaczliwie. Tubylcy piorunowali nas wzrokiem, stojąc po drugiej stronie czarnej drogi. W milczeniu zaczęli zapalać pochodnie przy drodze, a Yat w tym czasie ssła palec. Ghayth rozprostował krótkie nogi.

- Tak czy inaczej, miło było wreszcie przedstawić prawdziwą opowieść! Zostaniecie, prawda? Jutro chór młodzieży wykona „Romans dwunastu niewiernych i cudownego nosorożca”. Nie chcę się przechwalać, ale myślę, że motywy są całkiem adekwatne. Niemalże do mistrzostwa opanowałem sztukę zamykania fabuły.

- Nie - szepnęła Hadździ. - Musimy iść.

Ghayth spojrział na nią nagle, a mała panoti pobladała, o ile to możliwe w przypadku stworzenia koloru śniegu.

- Nie patrz na mnie - poprosiła rozpaczliwie. - Przestań.
- Ale ty nią jesteś- powiedział ze zdumieniem. - Jesteś nią.
- Proszę! - zawyła. - Nie chcę nią być!

- Skoro twoja bezgłowa przyjaciółka uznała za właściwe rzucić welon skromności i wyciągnąć mnie na światło dzienne, nie rozumiem, dlaczego ty masz zachować fałszywą skromność. - Skrzywił się. Odwrócił się jednak do mnie, nie potrafiąc ukryć dumy: - Widzisz, jestem na drodze do osiągnięcia prawdziwego mistrzostwa w krasomówstwie. Potrafię przemawiać przez piętnaście minut bez przerwy.

Panoti wypuściła rękę Jana i podpełzła do Ghaytha. Położyła dłonie na jego ptasiej twarzy, pod oczami, gdzie malowały się duże, ładne białe kręgi.

- Proszę - szepnęła, a oczy napełniły jej się łzami. - Pozwól mi być Hadździ. Pozwól mi pozostać Hadździ.

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Staralem się przeredagować tekst tak, jak wyobrażam sobie, że wyglądał - to należy do pracy skryby, zręczne przenoszenie dokumentu, jakby nie pojawił się żaden błąd, jakby nie było wątpliwości co do żadnej litery. Jednakże gdyby moi bracia mogli przeczytać go takim, jakim widziałem go w tej celi ze śmiałym słonecznym światłem szukającym punktu oparcia na ścianach, serca zacisnęłyby im się i zamarły

Mój Pan Bóg jeden wie, co te stronice mówiły Ja nigdy nie będę wiedział. Dlaczego nie przysłałeś anioła, by podyktował mi doskonałą nieskalaną opowieść, jak to czyniłeś dla swoich wybranych skrybów w dawnych czasach? Dla Pawła, Mateusza, Marka, Jana i Łukasza? Dlaczego po prostu nie napełniłeś mnie swoim światłem, jeśli chciałeś, by te rzeczy zostały odkryte, poznane? Wydaje mi się, że to byłoby bardziej wydajne.

Czerwono-fioletowa zgnilizna znowu zaczęła kraść litery od miejsca smutnej opowieści Ghaytha o kanibalach, a nawet całe słowa. Nie byłbym wart swojego piwa, gdybym nie potrafił wywnioskować, że między „Ojcze nasz” i „przyjdź królestwo Twoje” musi znaleźć się „któryś jest w niebie”, ale przyznaję się do olbrzymich trudności w ustaleniu całości relacji, kiedy strony w moich dłoniach miękły i rozpadały się, i musiałem zgadywać przy łzach Yat - być może było to całkiem inne słowo (zostało mi z niego tylko „ł”), bo kto wie, czy Azenachowie płaczą?

A jednak w najtajniejszych głębinach duszy, którymi nie dzielę się nawet z Alarikiem, oniemiałem poruszony pięknem samego zepsucia - wydawało się, że stronice nie tylko mówią, ale też krwawią niczym stygmaty krwią jakiegoś straszliwego bóstwa, która sączyła się na moje palce, płamiąc mi dłonie swoim własnym głodnym sercem.

Czy panoti powiedziała coś więcej, czy grupa wzięła udział w uczcie kanibali, czy poznali rodziców dziewczynki, czy ją pocieszyli - to wszystko zniknęło w miękkim skrzydle karminu rozlewającym się w

górze z dołu słodko pachnącej stronicy.

Tak bardzo się starałem. Starałem się, żeby wszystko gładko się układało, bym mógł uwięzić Jana Prezbitera w księdze i odesłać ją do Lucerny tak doskonałą i przemyślaną, jak na to zasługujecie. Jednakże w miarę upływu dnia, gdy słońce kładło się coraz większym ciężarem, czułem się tak, jakbym ścigał jelenia z żywego srebra, a każdy krok w głąb lasu oddalał mnie od mojego upragnionego celu.

A jednak nie mogłem przestać. Nie mogłem ustać. Sięgnąłem po jelenią skórę... i nie złapałem niczego.

[Zieleń wdzierała się z rogów książki Imtithal jak cztery skrzydła, rozdmuchując efemeryczne słowa. Alaric i ja zasłoniliśmy usta materiałem, żeby nasze oddechy nie przyśpieszały tego procesu, ale on postępował, bez przerwy, co żywo. Długo jeszcze opowieść snuła się po akapicie, który skopiowałem, ale wszystko zatoneło, tylko litera, może dwie wypłynęły z zielonego morza chlupoczącego na stronie.

A. M. O. Nic, czego mógłbym się chwycić. Wzory pleśni zaczynały mnie urzekać i wyobrażałem sobie, że widzę, jak powoli się rozwijają, a każda maleńka porcja tekstu tonie w jej grzęzawisku. Kiedy Alaric wrócił do pracy, polizałem skrawek palca umazanego pleśnią. Smakowała jak wiosenne soki z drzewa].

Szkarłatny pokój dziecienny

W dniu, w którym Houd ruszał do Fontanny po raz drugi, obudziłam się wcześniej, żeby go obmyć, póki nadal spał, bo była to jedyna pora, kiedy uznawałam za rozsądne, żeby go w ogóle myć. Z pomocą Lamis, mojej drogiej konspiratorki, podniosłyśmy go z łóżka. Spał nago, bo przeczytał, że tak sypiali wojownicy jego rasy z dawno minionych czasów, i oznajmił, że tak jak Aleus Zamknięta Pięść będzie witał swoje sny bez wstydu i w gotowości. Ikram roześmiała się, a on uszczypnął ją złośliwie, ponieważ nie pozwalałam na bicie takimi dłońmi, jakie mają dzieci. Jednakże dzieciom dobrze robi, jeśli czują, że od czasu do czasu ujdzie im na sucho drobna podłość wobec rodzeństwa.

Zanurzyłyśmy go w mydlanej kąpieli w porfirowej wannie i wyszorowałyśmy jego śpiącą skórę świeżo ściętym sitowiem, wyczesalyśmy mu brud z włosów i wypachniłyśmy je owocem czapetki o różanym aromacie, natarłyśmy go mirrą i bursztynem. Obudził się, kiedy wyglądałam płataninę jego włosów, ale pozwolił mi wierzyć, że nadal śpi. Zachowywał stoicki spokój, kiedy wyłożyłam mu ubrania - całe czarne, tak jak lubił, chociaż nieco mniej pogodnie przyjął paciorki z jaspisu i długie wstążki, które wplotłam mu we włosy. Sama pomalowałam mu oczy i dałam monety do butów na szczęście. To matka z nim pójdzie, ale ja go przygotuję.

Mimo jego małowówności kochałam tego chłopca, który nie był już tak naprawdę chłopcem i wkrótce zupełnie nie będzie potrzebował mojej opieki. Być może kochałam go nawet goręcej, ponieważ odwracał się od moich objęć, bo kucał w kątach i nie odzywał się, był powściągliwy, posępny. Jego siostrom śmiech przychodził z łatwością i stałyśmy się sobie bliskie jak róże na jednym pędzie, ale jakże straszliwie słodki był blady uśmiech posłany mi przez chłopca, który nigdy się nie śmiał.

Houd, Który Nawet Nie Lubił Jaspisu: Dlaczego trzeba iść trzy razy? Byłem tam już raz, powinno wystarczyć.

Ikram, Która Pójdzie W Przyszłym Roku: Myślę, że ty możesz potrzebować czterech.

Kto potrafi wyjaśnić coś takiego? Trzy razy, ponieważ to zawsze były trzy razy. Może w dawnych czasach żył lekarz, który potrafiłby to wyjaśnić. Słyszałam, że dawniej lekarze byli równie powszechni jak owoce dzikiej róży. Jeśli ktoś zachorował, tuzin medyków i ziołarzy wyrastał jak grzyby po deszczu, a każdy z fiołką, kataplazmem, tynkturą albo ostrzem, każdy z cudownym lekarstwem. Niektóre z nich naprawdę działały.

Lamis, Która Boi Się Krwi: Rozcinali człowieka? Żeby go uzdrowić?

Co byś zrobiła, żeby się ratować, gdyby śmierć stała po drugiej stronie człowieka z nożem? Ciesz się, upomniałam moją kochaną dziewczynkę, że nigdy nie będziesz musiała o tym myśleć. Lekarze, te dziwne i straszliwe bestie, wyginęli. Słyszałam o ich mrocznych rytuałach od Didymosa Taumy, o którym opowiadałam wcześniej. Często chorował i musiałam się nim opiekować, bo nikt inny nie mógł znieść zapachu jego choroby. Nie wiedziałam, co robić, ale pokazał mi przynajmniej, jak przygotować tynkturę. Och, oczywiście wszyscy wiemy, jak obmyć ranę, jeśli ktoś wybije sobie dziurę w głowie albo wbije zadrę z palmy w kolano. Jednakże Didymos Tauma znał takie rzeczy jak chirurgia, kiedy lekarz pracował nad ciałem jak kowal nad mieczem. I tacy medycy dawno odeszli.

Ikram, Która Tygodniami Bawiła Się w Operacje ze Swoim Drewnianym Gryfem i Czerwonym Jedwabiem w Roli Krwi: Dokąd odeszli?

I otwiera dłonie, ponieważ wie, że będzie historia, a ja siadam na jej dłoni jak pręcik w lotosie i mówię:

Meta-collinara nie mogą znieść gwałtu i hałasu; są łagodnymi samotnikami i wolą swoje towarzystwo. Kto potrafi orzec, dlaczego weszły na pokład Statku z Kości razem z innymi? Z każdym rokiem cofały się niczym błądź odpływ, odsuwając się za wzgórze, zapuszczając się w góry, szukając miejsca, gdzie nikt inny się nie zjawi, gdzie będą mogły obcować ze sobą w tajemnicy. Niektórzy mówią, że to wynika z ich łabędziej natury, łabędzie bowiem łatwo wpadają w gniew i bardzo się do siebie przywiązują. Inni mówią, że to dlatego, że trudno im mówić przez wydłużone szyje i posługują się własnym językiem sygnałów i znaków. Ja widziałam tylko Oinokhę. Nie potrafię odpowiedzieć na to

pytanie. Mogę tylko powiedzieć, że odezwała się do mnie. Czy to ją bolało? Kim jestem, by to wiedzieć?

Łuczniczka ich rasy pierwsza znalazła Fontannę. Nazywała się Celet i nawet pośród meta-collinara wyróżniała się jako samotniczka. Rzadko się odzywała, tylko trąbiła chrapliwie o wschodzie księżyca. Wspiniała się po kamieniach na wysoko położone miejsca, futro jej butów oblepiał śnieg, jej strzały były oplecione jemiolą, a oczy ponure. Jednak mimo to nie była nieszczęśliwą dziewczyną, po prostu osiągnęła najdalsze krańce spektrum charakteru jej ludu. Badała więc tereny daleko przed swoją nomadyczną grupą. I pewnego dnia, takiego samego jak inne, odkryła szczelinę w wyniosłej skale porośniętą zielonym szlamem i pianą. Poczula przymus skosztowania wycieku i przykucnęła, żeby spojrzeć, jak słabe promienie słońca poruszają się po jej galaretowatej powierzchni, jak brzegi zamarzły w zielone drobinki lodu. Dotknęła jej palcem i spróbowała. Pamiętajcie, kiedy piliście ją po raz pierwszy?

Lamis, Która Napiła Się Pierwszy Raz Dopiero w Zeszłym Roku: Pamiętam. Smakowała jak cała ziemia.

Zatem Celet spróbowała i straszliwa, niepoohamowana siła popłynęła przez jej ciało. Woda w Fontannie nie jest słodka, ale mimo to Celet pochyliła głowę do skały i zaczęła łapczywie pić, wysysać to życie z ziemi. Kręgosłup jej pracował, gdy wyciągała krew góry z ciała skały. Wezwała swoje plemię, a ono zjawilo się na dźwięk jej łamiącego się sopranu. Meta-collinara napiły się, jedno po drugim, i poczuły w kościach, że uległy przemianie. Wiedziały tylko, że napełniły je siłą i radość; nie wiedziały, że trzeba napić się trzy razy. Nie wiedziały, że po trzecim hauście nigdy nie umrą. Jednak stopniowo to odkryły, tak jak się odkrywa nieunikniony koniec opowieści. I wiedziały, że trzeba się tym podzielić, rozumiały, że chociaż nie kochają towarzystwa ludów z nizin, ich licznych plemion, i nie mogą zachować tego dla siebie i żyć jako nieśmiertelni mędracy na górze, ukrywając swój sekret i patrząc, jak inne pokolenia wędzną niczym liście.

Dzięki temu wiemy, że meta-collinara są być może zyczliwsze, niż sugerowałyby to ich naturalna rezerwa.

Houd, Który - Chociaż Wyglądał Niezwykłe Szykownie - Nadal Był Dzieckiem: Ja nie podzieliłbym się, gdybym ją znalazł. Tylko z siostrami. I matką. I może z tobą, Motylu, gdybyś mi za to dała kawałek

placka imbirowego.

Możemy być wdzięczni, że Celet była nieco słodsza od Houda. Jednakże kiedy rozeszła się wieść o cudownej Fontannie, wielu ludzi podzielało twoje zdanie. Tylko piękni powinni żyć wiecznie, albo tylko mądrzy, albo tylko silni. Tylko skiapodowie albo tylko blemiowie. Plemię lekarzy przeczuwało, że zostanie zniszczone przez to nowe lekarstwo - tak właśnie to nazwali, lekarstwem, by mieszkańcy Pentexore myśleli, że to od początku była domena lekarzy. Metacollinara nie sprzeczały się, powiedziały jedynie, że zachowałyby odkrycie dla siebie, gdyby nie zgubna obecność moralności w ich łabędzich sercach.

Nie pozostało nic innego jak rozpocząć wojnę. Wielu lekarzy zostało generałami, by bronić źródła swego utrzymania, i nie możemy ich osądzać, ponieważ trzeba ścierpieć wiele małych śmierci na świecie, a nikt nie zachowuje się dobrze w obliczu czarnych drzwi. Z tego powodu nazywano ją kiedyś Wojną Medyków, chociaż teraz jest nazywana po prostu Ostatnią Wojną. Celet okazała się lepszą łuczniczką, niż ktokolwiek by przypuszczał. Przykucnęła w strumyczku Fontanny, który wszyscy pamiętacie i wiecie, jaki jest maleńki, jak ciasny. Nikt jej nie rzucił, nie ogłosił się zwycięzcą i nie zassał szlamu, nikt.

To był ostatni raz, dzieci, kiedy wielka liczba Pentexoryjczyków umarła, a ja nie mam dość pamięci, żeby zliczyć lata między tamtymi czasami a chwilą obecną. Tysiąc lat, może więcej. Przed Alisaundrem i Herododosem, zanim lwy podzieliły się na białe i czerwone. Zdobywanie tronu to paskudna robota, istnieją urwiska, z których można spaść, i burze, które miażdżą kości, ale w swoich długich żywotach zetkniecie się może z garstką śmierci i będziecie straszliwie je opłakiwać z powodu ich rzadkości. Żałoba będzie jak haust z Fontanny, posmakujecie jej, ale rzadko, a potem bardziej pokochacie życie, ponieważ poznacie jego przeciwieństwo. Być może nasze długie żywoty musiały się tak zacząć, żeby nikt nie uznał, że tanio je okupiono.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak bardzo musiała płakać Celet, widząc ze swoich wyżyn całą tę krew, całą tę śmierć. Nie mogę sobie wyobrazić takiej ilości śmierci - kilka ciał leżących razem i oczy żadnego nie błyszczą, żadne z nich nie mówi, tylko krwawią na śniegu, by nigdy więcej nie powstać. Mogę o tym mówić tylko tak, jak opowiada się

historię, którą słyszało się tak wiele razy, że zatraciła realność: tak, ludzie umierają. Didymos Tauma zmarł, a ja na to patrzyłam. Ale tak wielu, tak wielu naraz, z pewnością to nie może naprawdę się powtórzyć. Z pewnością ktoś by to powstrzymał. Jednak Celet widziała to w dole, tych wszystkich ludzi umierających, by żyć wiecznie, więc uczepliła się grani w rozpacz, krzycząc ptasio i skrzecząc, jak to tylko łabędzie potrafią.

Kiedy więc to wszystko się dokonało, meta-collinara i ich sprzymierzeńcy zwyciężyli, spisy żołnierzy zostały zapieczętowane i spalone, żeby nikt nie wiedział, kto walczył po której stronie, i nikt nie szukał później zemsty, bo wuj jakiegoś biednego chłopaka uważał, że tylko cyklopi zasługują na dar Fontanny. Gdy to wszystko się skończyło, kraj był chory z powodu wojny; wybudowano drogę z Nuralu i pozostałych prowincji aż do wielkiej góry i nazwano ją świadectwem, i wszystkie dusze w Pente-xore, jedna po drugiej - skoro medycy nie żyli (choć jedno z ich drzew od czasu do czasu owocuje zdumiewającą różnorodnością buteleczek i zakraplaczy napełnionych płynami wszelkich kolorów), a dzieci były słabe i małe - przeszły tą długą drogą i wypily solidny haust. Tak zaczęło się to wszystko, co trwa po dzień dzisiejszy, kiedy to Floud pójdzie i usiądzie ze starą Oinokhą, o której już zapomniano, że nazywała się kiedyś Celet i że mówiono niegdyś, że potrafiłaby posłać strzałę przez środek księżyca, a księżyc by jej za to podziękował.

Houd, kiedy pójdiesz, kiedy weźmie cię w ramiona, pochyli twoją głowę i napoi cię zieloną krwią góry, musisz myśleć o tym wszystkim. Musisz pamiętać. To jest cel opowieści - niezależnie od tego, dokąd idziemy przez świat, idziemy dwa razy: raz w ciepłym słońcu i raz w srebrzystym świetle każdej opowieści, jaką kiedykolwiek usłyszeliśmy, i widzimy każdą rzecz, jaką jest, ale też jaką była.

To dlatego wasza matka sprowadziła mnie z Nimat, kiedy byliście dziećmi, długimi drogami w szpalerze żółtych kwiatów, wzdłuż niebieskiej rzeki, kamienistej. Byście wiedzieli, jak iść dwa razy, dzięki czemu wasz krok będzie życzliwy.

Słowo w pigwie

Nimat-Pod-Śniegiem. Tak nazwała Hadździ tę starą wioskę na łące zakopaną pod lodem, a pozostali zareagowali na tę nazwę, jakby wyskoczyła z jej bladych ust i uderzyła ich brutalnie. Nie zrozumiałem, a oni przestali mi cokolwiek wyjaśniać. Diamentowe Wrota wstrząsnęły nimi do głębi, a ja czułem się, jakbym wpadł przez ukrytą dziurę w ziemi, bez przewodnika, który wyjaśniłby mi, dlaczego moi towarzysze zachowują się tak, a nie inaczej.

Qaspiel powiedziało:

- Nie możemy powiedzieć. Nie proszę, żebyś wyjawiał mi swoje tajemnice. Może gdybyś inaczej odpowiedział tamtego dnia w amfiteatrze, kiedy Hagia zapytała cię o Fontannę. Teraz jednak wszyscy ugrzęźliśmy i wszyscy wiemy, czego nie mówimy, ale mimo to nie możemy tego powiedzieć.

Stworzenie, którego nie potrafię przestać nazywać w sercu aniołem, zatrzepotało skrzydłami, jakby nie pragnęło niczego innego, jak znaleźć się daleko i konwersować z chmurami.

- Życ jak my, Janie, życie po życiu, przeżywać palimpsest doświadczeń, to jak przejść przez to samo pole dwa razy, więcej niż dwa razy. Bezmiar chodzenia przez pole drogie sercu i znajome, ale my zawsze jesteśmy różni, a ta różnica to wszystko, czym jesteśmy.

- Skoro sprawia wam to ból, czemu dalej tak żyjecie?

Fortunatus przerwał nam, kucając w śniegu. Zwrócił ku mnie oczy z płynnego złota.

- Czemu trwasz przy swojej wierze, skoro to oznacza, że musisz zaprzeczyć każdemu świadectwu swoich zmysłów i cierpieć dla obietnicy wiecznie odwlekanej rozkoszy? Ponieważ nauczyłeś się w taki sposób rozumieć świat, żyć w nim i nie rozpaczać. Mówisz o wojnie w swoim kraju; my tego nie mamy. Mówisz o zazdrości, pragnieniu żon i bogactwa; nie znamy tego w ogóle, jeśli nie liczyć starych, bardzo starych opowieści o czasach, w których dobrze, że nie żyjemy. Mówisz o potwornym okrucieństwie z powodu sporu, czy należy malować .wizerunki twojego Boga, czy też nie. Ja i my wszyscy uznajemy to za

ohydne i nie jesteśmy w stanie tego pojąć. Żyjemy wiecznie i żyjemy w pokoju, a to jest kruche. Tak bardzo kruche. A kiedy rzecz jest krucha, najlepiej jej nie tykać.

- W Chrystusie także jest pokój - powiedziałem, a anioł nie odpowiedział słowem.



Kilku panotich mieszkało jeszcze w Nimat; przez całe życie nie widziałem wioski tak starej, tak podupadłej. Wiele domów zaczęło się zwyczajnie zapadać w lodowej ziemi. Panoti wynurzali się jak ćmy z zasypanych drzwi swoich małych jurt, a Hadździ obejmowała ich, jej uszy opływały każdego po kolei. To mój kuzyn trzeciego stopnia, Isoud, powiedziała o jednym. To moja przyjaciółka, która namalowała freski w al-Qasr sto lat temu, nazywa się Mara. Sprawiali wrażenie tak efemerycznych, tak małych - jak płatki śniegu; ledwie sięgali Hadździ do pasa, uszy mieli otwarte i przyjazne, przeświecające. Na zimnie współczułem blemijce, bo chociaż owinęła ramiona wilczą skórką, musiała mieć odsłonięte piersi, żeby widzieć - pokryły się gęsią skórką, kiedy oczy łzawiły jej od wiatru.

Postanowiłem ją kochać. Gdzieś podczas tej okropnej wędrówki pod górę, wspinaczki po graniach, kiedy skóra zamarzła mi na skorupę, uznałem, że lepiej ją kochać niż nie. To możliwe podjąć taką decyzję, rządzić własnym sercem, nim człowiek zajdzie zbyt daleko, by była mowa o jakimkolwiek władaniu. Lepiej podjąć decyzję niż dać się porwać. Nie mogłem wejść do jej ciała i nie kochać jej. To nie byłem ja. Zdecydowałem tak, zanim dotarliśmy do Nimat. Nie będzie żadnych więcej dyskusji ani żadnych więcej nocy z dala od pozostałych, dopóki nie zdecyduję, co dalej zrobić z tym wszystkim.

Panoti imieniem Glepham, którego Hadździ przedstawiła jako swojego ulubionego rzemieślnika pracującego z kością (jeśli szukała jakiegoś wyrobu z kości, co zdarzało się bardzo rzadko), przyniósł nam gorące, gęste, podobne do koziego mleko z ziarenkami lawendy. Wyjaśnił, że panoti rozproszyli się, zeszli powoli, jedno po drugim, „jak woda skapująca ze szkła, w dół na niziny, do stolicy, szukając pracy w cieple i oczywiście każdy kolejny Abir rozpraszał ich coraz bardziej, ale Nimat nadal jest naszym domem i tu nie obracamy beczką loterii. We

wszystkich innych miastach panoti pamiętają Nimat-swój-probierz, tak jak pamięta się, po której stronie nieba wstaje słońce. Tak się cieszymy, że mamy naszą małą siostrzyczkę z powrotem w ramionach, że możemy spowić ją uszami i podzielić się ciepłem”.

Nie potrafiłem w żaden sposób wyjaśnić niepokoju, jaki niezaprzeczalnie przeżywała Hadździ. Drżała. Strzelała oczami na wszystkie strony. Owinęła się ciasno uszami. Poruszała się w taki sposób, jakby spodziewała się, że w każdej chwili może zwalić się na nią jakaś groza. Uśmiechała się, ale to był uśmiech zwierzęcia odsłaniającego zęby, osaczonego, zrozpaczonego.

- Przyszliśmy go zobaczyć - powtarzała Glephamowi, który sprzeciwiał się: jeszcze jeden kubek mleka, siostró. Jeszcze jedna opowieść o tym, jak Mara zdenerwowała białe lwy, zbyt długo warząc piwo i psując całość, jeszcze jedna opowieść o tym, jak serdecznie białe lwy kochają swoje czarne, bardzo czarne piwo.

Pomyślałem o matce Hadulpha. Ciekawiło mnie, jak miała na imię. Ciekawiło mnie, czy tu mieszkała. Pomyślałem: Miłość nie jest górą, ale kołem. Nie ma surowszej praktyki na świecie. Istnieją trzy rzeczy; które doprowadzą serce do ruiny i sprawią, że będzie się czołgać: wiara, nadzieja i miłość, a z nich najokrutniejsza jest miłość. Zastanawiałem się, czy tej nocy, kiedy czerwony lew zaśnie, powtórzy zdumiewające i piękne odwrócenie słów Pawła, czy za nim zatęskni. Znowu moje myśli krążyły wokół jednego: albo to kraina diabła, albo Boga. Wywracają na opak wszystko, co uznawałem za prawdę. Jednak za każdym razem, gdy coś twierdzą, moje oczy, uszy i ręce potwierdzają, że mówią prawdę.

Uwikłany w tych myślach zobaczyłem ją w chłoszczącym śniegu - monolit bieli. Hadulph ruszył ku niej, przycisnął nos do jej nozdrzy. Osłoniłem oczy przed wiatrem. Pomrukiwali cicho i bez słów.

- Vyala. - Glepham skinął radośnie głową. - Wiedziała, że Hadulph nadchodzi. Zebrała wiele łez do wypłakania z myślą o ponownym spotkaniu.

- Janie - powiedziała Hadździ - chodźmy. Wolisz zobaczyć go przy świetle księżyca. Nocą ma lepszy nastrój.

- Kogo masz na myśli?

Hadździ pokręciła głową, drżąc od rozpierającej ją nerwowej energii.

- Zostaną, jeśli im tak powiesz. Albo pójdą. Mnie to obojętne.

- Hadździ - powiedziałem na poły ze śmiechem. - Przestań! Kogo masz na myśli?

- Tomasza - odrzekła żałośnie. - Powiedziałeś, że chcesz go zobaczyć. On tu jest. Jest tutaj, ponieważ tu go zostawiłam.



Hadździ poprowadziła mnie, jakbym był jej własnym potulnym dzieckiem. W górę, w górę, dalej za Nimat, w rzadkie powietrze i lód. Dygotałem. Na brodzie zebrały mi się lodowe paciorki, które podzwaniały na wietrze. Pozostali zostali z gorącym mlekiem i lawendą oraz z Vyalą, którą Hagia szczególnie pragnęła poznać i którą Hadulph z ogromnym zadowoleniem przedstawił. Nigdy nie widziałem gwiazdy na jego szkarłatnej piersi tak wysoko wypiętej. Ostatecznie wziąłem tylko Hadździ, chociaż, prawdę mówiąc, to ona zabrała mnie. Pozostali nie zrozumieliby albo prawie nie dotarłbym do grobu, dla którego zawędrowałem tak daleko, bo co rusz zatrzymywałbym się, by wyłożyć im co bardziej subtelne kwestie chrześcijaństwa. Byłem świadomy, że starali się zachować cierpliwość wobec mojej ignorancji, ale w tamtej chwili nie mogłem znieść braku ich zainteresowania. Tęskniłem za obecnością Boga, za dotykiem bladego światła Logosu na mojej duszy, pokojem, który utraciłem.

Hadździ precyzyjnie przeszła przez szczelinę w wysokich kamieniach obwieszonych soplami; przeszedłem za nią z pewną trudnością, ponieważ kraj ten, nawet Nimat, był zbyt bogaty i żyzny, by nie wypchać mi znacząco brzucha.

Nagle wiatr ucichł, śnieg zniknął, zimno rozwiało się w pustkę. Staliśmy na okrągłej polanie falującej wysoką trawą pod czarnym niebem obwieszonym gwiazdami jak kryształowymi kadzielnicami. I wraz z wiatrem, śniegiem i zimnem moje serce zamarło z gwałtownym szarpnięciem, padłem na kolana i nie mogłem nawet płakać.

Pośrodku polany stało rozłożyste drzewo, jego długie ciemne korzenie rozczapierały się na ziemi jak spódnice, liście ułożone we wzorach srebra i bursztynu łapały słabe światło, falowały delikatnie na ciepłym wietrzyku. Jego pień był tak szeroki, że nie zdołałoby go objąć sześciu mężczyzn, gdyby złapali się za ręce; kora była pomarszczona i śliska, gdziekolwiek z otwartych narośli sączyła się wonna mirra, a jej

zapach był słodki jak -podobno, według każdej ze znanych mi ksiązek -
woń ciał świętych.

Miało tylko jeden owoc, ogromny i dojrzwały, rosnący w miejscu,
gdzie dwa potężne konary spotykały się, tworząc załom obramowany
bursztynowymi i srebrnymi liśćmi, trój graniasty i cienisty. Owoc był
twarzą. Twarzą brodatego człowieka o spojrzeniu pogodnym i
życzliwym, zmarszczkach ukazujących troskę i rozpacz, ale także
akceptację. W jego brodzie dostrzegłem ptaki, maleńkie jak muchy, ich
białe skrzydła skrzyły się w blasku gwiazd.

- Tomaszu - szepnąłem.

- Imtithal - westchnął.

I Hadździ podbiegła do niego z szeroko rozłożonymi uszami, wspięła
się na czubki palców, by przycisnąć swój policzek do jego. Po ich
twarzach spłynęły łzy, ale jego łzy były pachnącym sokiem. Przyłożyła
ręce do jego brody, do powiek i szeptali między sobą, tak że nie mogłem
ich słyszeć.

- Przybyłem odnaleźć grób Świętego Tomasza zwanego Niewiernym
- powiedziałem, a raczej poprosiłem błagalnie.

- I znalazłeś - odpowiedziało drzewo.

Policzki mi zapłonęły. Dlaczego Hadździ pozwalała sobie na taką
bliskość z tą okropną twarzą? Przyszedłem tu, szukając zjednoczenia, i
Hadździ je osiągnęła, a ja nie.

- Kim jest dla ciebie ta panoti? Dlaczego nazywasz ją Imtithal?

Twarz była łagodna i zaciekawiona, ciemne brwi się uniosły.

- Jest moją żoną i tak ma na imię.

Hadździ spojrzała na mnie poprzez polanę, a jej oczy były ogromne i
głębokie.

- Janie, nie możesz rozmawiać o tym z pozostałymi. Nie zniósłabym
tego. Obiecujesz?

Skinąłem głową odrętwiały, chociaż znalazłem się w tym straszliwie
cudownym miejscu.

- Wiesz, że zmieniamy się z każdym Abirem, od życia do życia. To
świętsze niż świętość, a ślepy traf losowania to prawo. Jestem dużo
starsza niż Hagia, Hadulph czy nawet Qaspiel. Gryf przy mnie to ledwie
dziecko. W moim pierwszym życiu nazywano mnie Imtithal, byłam

mężatką i zostałam wdową. Opiekowałam się trójką dzieci, które kochałam do szaleństwa, a kiedy dorosły, spisałam wszystkie historie, jakie kiedykolwiek im opowiedziałam, bym nie zapomniała dzieci i by one nie zapomniały mnie. Jednak, Janie, ci, którzy zostali w Nimat, popijają teraz mleko Glephama i słuchają wielkiej białej lwicy, wszyscy oni dorastali, czytając historie, jakie opowiedziałam tamtym maluchom. Naprawdę kochamy nasze opowieści w Pentexore, i te historyczne, i te zmyślane. Dorastali, wyobrażając sobie, że jestem ich matką, ich Motylem. Wszyscy zachowali swoje imiona i żadne nie złamało zasad; pocięli swoje serca i pochowali kawałki w tysiącu osobnych pudełek, ale ja musiałam zmienić swoje imię, żeby światło nie raziło ich w oczy za każdym razem, kiedy się odzywam. Mimo Abiru nadal pragną być kochani, nie mogą przestać, nadal pragną, żebym ja ich kochała, a ja nie chciałam już kochać dzieci. Nie chciałam być matką dla wszystkich. Tomasz umarł, a dzieci... - Panoti schowała twarz w dłoniach i pokręciła głową. - Czasem jesteś w opowieści i jednocześnie ją opowiadasz. To najgorsza sytuacja, bo nie możesz zmienić zakończenia, możesz je tylko przeżyć. Janie, przez cały ten czas ledwie byli w stanie powstrzymać się przed objęciem mnie, zawołaniem po imieniu i poproszeniem, żebym zaśpiewała im wieczorem do snu. Widziałeś Hagię i Ghaytha. Wystarczyło, żeby spotkała kogoś, kogo dostatecznie kochała, i wszystkie zwyczaje wyparowały. Podejrzewam, że chciała, żebym ją zbeształa jak piastunka, którą byłam, by doświadczyć chwili pod moją opieką. Tylko najwęższa nić prawa chroni nas przed takim postępowaniem. Nie jestem jedyna. Myślisz, że królowa Abir, która to rozpoczęła, nie żyje? Żadne z nich nie umarło, a przynajmniej prawie żadne. Wszyscy dalej trwają, wiecznie i wciąż. Ale ty... - rozłożyła ręce błagalnie - ty nigdy nie słyszałeś o Imtithal. Mogłeś kochać mnie jako Hadździ, tak jak nikt, kto znał jej drogę przez góry, mogłeś mnie kochać i nigdy nie poprosić o opowieść przez wszystkie swoje dni. Mógłbyś mnie kochać jak Didymos za życia, a ja znalazłabym wytchnienie.

- Święty Tomasz nie miał żony - odpowiedziałem, tylko po części ją rozumiejąc.

- Możliwe. - Piękne drzewo się zaśmiało. - Ale ja miałem.

- Rozumiesz, w głębi duszy rozumiesz - upierała się Hadździ. - Ponieważ kochasz Taumę w ten sposób... Tomasza. Chcesz być w jego historii, być w książce, którą czytasz i kochasz. W dodatku on nie żyje,

więc jest miejsce w jego historii. Potrzebujesz, aby był dla ciebie ojcem. Mógłby wziąć to brzemie, a wtedy ty mógłbyś po prostu jeść ze mną, rozmawiać ze mną, ja powiedziałabym ci, że wiem już o twoim Chrystusie, wiem o nim bardzo dużo. A ty byłbyś taki zadowolony. I rozmawialibyśmy o oddzieleniu ciała od ducha, i poczułbyś się jak w domu.

- Masz na imię Jan - powiedziało drzewo i właściwie nie było to pytanie. Głos miało chropawy i dudniący, jakby rozbrzmiewał w dębowej beczce. Ptaki w brodzie zaszeleściły. - I zakładam, że jesteś chrześcijaninem.

- Tak, tak - westchnąłem i podszedłem nieco, ale oni najwyraźniej nie mieli nic przeciwko. Hadżdżi albo Imtithal siedziała w milczeniu ze skrzyżowanymi nogami u stóp wielkiego Tomasza-baniana. - Zawędrowałem tak daleko, żeby odnaleźć twój grób, by uhonorować Nestoriusza, którego nauki są teraz zakazane w chrześcijańskim świecie. Pomyślałem, że jeśli jestem godzien, Bóg ukaze mi swój sekret, to zaginione miejsce, i będę mógł powrócić triumfalnie, otrzymawszy błogosławieństwo.

Twarz Świętego Tomasza rozważała przez chwilę te słowa.

-Wierzysz teraz, że nie zostałeś pobłogosławiony, że nie jesteś godzien?

- Ja... - Poczułem, że twarz rozpada mi się w brzydkich łzach. - Zgrzeszyłem tutaj - powiedziałem, dławiąc się. - Zgrzeszyłem.

Nie potrafiłem powiedzieć nic więcej, gardło mi się zacisnęło.

-Ach, mój synu, ja także, ja także. - Drzewo zaśmiało się, a jego uśmiech był promienny jak świece zapalone w ciemności. Och, jak bolało mnie serce. - Nie jest tak źle. Biedne dziecko, jak ty się zadręczasz. Nie możesz panować nad wszystkim. Jeśli zgrzeszyłeś, jest wybaczenie. Zawsze jest przebaczenie. Nic nie jest takie, jak oczekujemy, nigdzie w całym świecie. Myślałem, że będę żył po śmierci po prawicy mojego brata na morzu szkła, gdzie tron naszego ojca unosi się przez wieczność, a zamiast tego żyję tutaj w wąwozie blisko gwiazd i nie jest tak źle. Mieszkałem tu, kochałem żonę i gdyby nie ona, nie wiedziałbym, co to znaczy pić deszcz skórą. Tęsknię za bratem. Naprawdę mi go brakuje.

- Posługujesz się metaforą - zasugerowałem ostrożnie, gdy groza

zaczęła we mnie narastać. Nie mogłem tego słuchać, żadnego więcej wypaczenia świata. Nie mogłem.

- Mówię dosłownie, mój synu. Jak mnie nazwałś? Tomasz Didymos, Tomasz Judasz, Tomasz Bliźniak? Jak myślisz, kto był moim bratem bliźniakiem?

- Nie, nie, Chrystus urodził się sam, z Maryi, w Betlejem!

Drzewo-Tomasz zasznurowało wilgotne usta.

- Czego naucza twój nauczyciel Nestoriusz?

Zachwiałem się w duchu, analizując wszystkie święte teksty, jakich wyuczyłem się na pamięć, by udowodnić drzewu, że się myli, i trzymać się kurczowo tego, co wiedziałem, że jest prawdą: Logos, światło, tajemnica Chrystusa.

- Że Chrystus miał dwie natury - szepnąłem słabo, a żołądek zacisnął mi się, kiedy zacząłem rozumieć, chociaż tego nie chciałem. - Słowo i Ciało, Logos, Światło Boga i Człowiek, mężczyzna, i obie te natury mieszkały w nim, ale nie połączyły się w jedno. Nazywają to herezją, mówią, że zaprzecza Jego boskości, że czyni Maryję jedynie glinianym dzbanem, a Boga kiepskim ojczymem.

- Janie, jeśli mnie posłuchasz, powiem ci, jak było, wtedy, z nami, zanim ktokolwiek wpadł na to, żeby ozdobić to wszystko greckimi diagramami. Możesz uwierzyć w słowo drzewa w ciemności albo możesz dalej dzielić Chrystusa raz za razem, aż całkiem przestanie istnieć. Mnie to już nie dotyczy, jestem drzewem, chcę tylko patrzeć na gwiazdy i wyczekiwać odwiedzin mojej żony, bo ona jest żoną, i naprawdę miałem żonę, tak jak ty mówisz, że zgrzeszyłeś tutaj, chociaż nie chciałeś. Nie zamierzałem mieć żony, ale Bóg postawił ją na mojej drodze, a ja nie zwykłem opierać się Jego życzeniom.

- Posłucham - odpowiedziałem słabo.

Aromaty tego miejsca przyprawiały mnie o zawrót głowy.

- Prosta prawda mego imienia mówi, że miałem brata bliźniaka, że urodziłem się drugi, po moim bracie Jezui. Urodziłem się z czepkiem na twarzy jak welon udrapowany na buzi dziewczęcia i byłem chorowity, podczas gdy Jezua był silny, zapłakał głośno, kiedy tylko opuścił naszą matkę. Ręce miał czerwone tak samo jak stopy, wrzeszczał i wymachiwał kończynami. Niewiele brakowało, a ja nie wziąłbym nawet

pierwszego oddechu. Nasz ojciec usunął czepek, ale byłem siny. Klepnął mnie w plecy, ale ja nie zapłakałem. Wreszcie położyli mnie obok brata, który maleńkimi piąstkami zadał mi pierwszy braterski cios. Zaczerwieniłem się, zapłakałam i złapałem powietrze, a mojej matce nie ulżyło, bo byliśmy biedni i jeden syn by wystarczył. Nie życzyła mi źle, ale gdybym umarł, popłakałaby trochę, a potem żyłaby dalej, ledwie mieli chleba i oliwy dla trojga. Kiedy rośliśmy, nigdy nie miała dość mleka dla mnie, Jezua przez cały czas był głodny, taki spragniony, jakby był pusty, i nigdy, nigdy nie mógł się napełnić. Urosłem chudy, bo tylko ociupina została dla mnie w piersiach Mariam. On zawsze był taki pełny, a ja taki pusty.

Ale i tak uwielbiałem naszą matkę. Chodziłem za nią wszędzie krok w krok, z trudem drepcząc, podczas gdy Jezua już dawno nauczył się pędzić jak szalony z jednego końca ulicy na drugi, kiedy ona prała i gotowała pszenicę w wielkim żelaznym kotle, który stanowił większą część jej wiana. Całowałem ją w policzek, aż się uśmiechnęła, zawsze kiedy widziałem ją smutną i rysowałem dla niej rysunki na ziemi, gdy inni chłopcy się bawili. Jednak nigdy nie patrzyła na mnie jak na Jezua, z podziwem, trwogą i miłością, kiedy rósł smukły i silny, ale straszliwie głodny, jak wilcze dziecko.

Kiedy staliśmy się młodymi chłopcami, niewiele się zmieniło. On czarował naszych nauczycieli i znał Torę, jakby sam ją napisał. Dziewczęta z wioski robiły do niego słodkie oczy i szczyrzyły zęby, kiedy urosły mu błyszczące i gęste loki, a skóra pociemniała i nabrała odcienia różanego brązu. Mnie ignorowały albo w ogóle nie dostrzegały, a ja nie potrafiłem zapamiętywać świętych ksiąg tak jak on, choćbym nie wiem ile się uczył. Mimo to Jezua hołubił mnie i włączał do wszystkich zabaw. Spaliśmy w jednym łóżku i opowiadaliśmy sobie dziecięce sekrety w mrokach nocy. Uwielbiałem go służalczo. Kiedy na mnie patrzył, Janie, kiedy na mnie patrzył, to jakby słońce nagle mnie zauważyło i przez chwilę nie świeciło na nikogo innego. Jego uwaga była wyostrzona jak nóż, a kiedy odwracał się do swoich tabliczek albo gwoździ i drewna, to jakby ciemność zapadała w moim sercu, nagle, całkowita.

Ja zaś cierpiałem na uporczywy kaszel, miałem kościste członki i cienkie włosy. Nikt nie szukał mojej uwagi poza nim jednym. Nie byłem jednak nieszczęśliwy. Byłem dostatecznie bystry. Kiedy bowiem

wyrastał na coraz piękniejszego i mądrzejszego, kiedy ludzie zaczęli zwracać się do niego po radę i szukać jego towarzystwa, coraz częściej opuszczał naszą matkę i pojawiło się miejsce dla mnie, bym mógł jej pokazać, że też mogę być dobrym synem, że też mogę zasługiwać na miłość. Pomagałem jej dbać o dom jak żaden inny chłopiec. Parzyłem się żrącym mydłem, żeby ona mogła odpocząć, nauczyłem się gotować soczewicę i czosnek w jej kotle. Recytowałem jej święte teksty i odkryłem, że kiedy otwieram usta, żeby mówić do niej, słowa płyną, jak nie płynęły nigdy w szkole, gdzie tylu surowych starych mężczyzn patrzyło na mnie. I po trochu zaczynała się uśmiechać i wreszcie przytuliła mnie, i nazywała mnie swoim kochanym chłopcem, i całowała mnie w głowę, a ja trząsałem się w jej ramionach, trząsałem, ale ani razu nie zapłakałem. Raz, kiedy nasz ojciec nie wrócił do domu w nocy, jak to się często zdarzało, ponieważ pił i wolał inne towarzystwo niż Mariam, powiedziała mi, że zanim Jezua i ja się urodziliśmy, zjawił się u niej dziwny mężczyzna i oznajmił jej, że urodzi nadzwyczajne dziecko, że została wybrana spośród wszystkich innych kobiet, by je urodzić, i że została pobłogosławiona. Mężczyzna okropnie ją przestraszył, a kiedy spojrzała na niego kątem oka, zobaczyła czerwone skrzydła, ciemne i płonące, tak ogromne, że nie mogły się zmieścić w jej małym pokoiku, i wiedziała, że to anioł przysłany do niej przez Boga.

- Jednak nigdy nie wspomniał o tobie - mruknęła i przytuliła mnie mocno.

Znasz dużo z tej opowieści, wiem. Był wielkim człowiekiem, wszyscy słuchali, kiedy przemawiał, i ja także. Brał uczniów i było nas wszystkich razem trzynastu, tak podekscytowanych bliskością Boga, ogniem, który płonął w Jezui, we wszystkich jego słowach i uczynkach. A potem były ryby. I wino, i chłopiec, który umarł, ale żył. I wszyscy ucichliśmy, bo kiedy młodzi mężczyźni razem marzą, nie wyobrażają sobie, że takie rzeczy naprawdę zaczną się wydarzać. Jezua był równie zaskoczony jak inni, ale nie zdradził się z tym. Tylko nocą w domu otwierał i zamykał dłonie, kręcił głową, bo nie pojmował, co się z nim dzieje.

Ja rozumiałem. Mój brat był doskonały, to wszystko. Czy kiedykolwiek było inaczej? Czegokolwiek pragnął, to się zjawiało. To było prawo wszechświata.

Raz natknąłem się na niego w ogrodzie pełnym granatowców i palm daktylowych. Powietrze było aromatyczne i gorzkie zarazem. Jezua rozmawiał zniżonym głosem z wysokim mężczyzną w cieniu granatowca. Czerwone owoce wisały wszędzie wokół nich. Wysoki mężczyzna miał bardzo długie, bardzo czarne włosy, a na jego ramiona padało światło, które nie było światłem. Próbowałem się temu przyjrzeć, ale to było jak patrzenie na coś poprzez płomień: powietrze wiło się jak olej i nie mogłem utrzymać wzroku na tym punkcie, bo czułem palenie w oczach. Wreszcie mój brat zakończył swoje sprawy z mężczyzną i wyszedł z ogrodu drugą furtką. Nie ruszyłem się z miejsca i wysoki mężczyzna dostrzegł mnie. Przez chwilę robił na mnie wrażenie zaskoczonego, potem wydał mi się podejrzany, jakbym go na czymś przyłapał.

- Witaj, Tomaszu - powiedział do mnie i uszy mnie zaboląły, chociaż nie mówił głośno.

- Witaj. Jaką masz sprawę do mojego brata?

- Poważną - odpowiedział. - Śmiertelnie.

Spojrzałem mu w oczy i przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

- Jesteś aniołem - orzekłem i wiedziałem, że to prawda, zanim wypowiedziałem te słowa.

Anioł rozgina ci kości, żeby zrobić miejsce na swój głos w twoim wnętrzu.

- Tak.

- Przyszedłeś po mojego brata.

-Tak.

-Jesteś tym samym aniołem, który przyszedł do mojej matki?

- Tak.

- Ponieważ mój brat jest wyjątkowy.

- Twój brat jest Synem Boga.

Słońce zalało mnie promieniami. Nie wątpiłem w to. Nie wątpiłem w nic na temat mojego brata. Nie wtedy.

- A co ze mną? - zapytałem cicho.

-Ty byłeś... pozostałością. - Anioł westchnął. - Słowo Boga przemieszcza masę. Coś z Niego pozostało. Można by rzec: Pan Bóg

począł Jezus, Mariam poczęła ciebie. - Anioł przepaszająco wzruszył ramionami. - Takie rzeczy są nieprzewidywalne.

- Bóg nie mógł tego przewidzieć?

- Bóg lubi niespodzianki. Wcielenie jest... skomplikowane. To nie jest prosta ścieżka. - Anioł urwał nagle i złożył ręce. Miał bardzo długie palce. - Kochasz swojego brata.

- Tak.

- Być może to właśnie zostało. Wszystko jest miłością, Tomaszu. I tyle. Po prostu miłość, i śmierć, i dążenie ku jednemu albo drugiemu.

Odwrócił się ode mnie, a ja zawołałem za nim:

-Jeśli jest człowiekiem, ale ma w sobie Słowo Boga, jak kość albo serce, to... czy ja także?

Anioł uśmiechnął się, tak delikatnie, że prawie myślałem, że się skrzywił. Jego czarne oczy pałały jak żelazo.

- Nie wiem, Tomaszu. Masz?

I wyszedł z ogrodu. Aromaty i gorycz zniknęły wraz z nim i zostałem sam.

Po śmierci Jezui trzymałem naszą matkę, kiedy wymiotowała i rozdrapywała policzki. Miała puste oczy; zapomniała, kim jest. Czuliśmy się tak, jakby ogromny ciężar spadł nagle między nas wszystkich, i wszyscy gapiliśmy się na dziurę, jaką po sobie zostawił, my, których było teraz tylko dwunastu, dwunastu i Mariam, co chyba znowu dawało trzynastkę. Nic już nie mogło być takie samo. On był tym ciężarem i tam, gdzie padł, zniekształcił tkaninę świata, przed i za, więc już nic więcej nie mogło płynąć gładko.

I potem pewnego dnia jego przyjaciółka Mariam, która dzieliła imię z naszą matką i którą Jezua ogromnie kochał, przysłała i wprowadziła mężczyznę do domu Piotra. Nie poznałem go, był taki chudy i chory, miał kościste kończyny i cienkie włosy, światło w jego oczach zgasło. Tak bardzo przypominał mnie, że mogłoby stać między nami lustro. Tylko że teraz to ja byłem pełny, a on pusty. Zacząłem drżeć. Mężczyzna wyciągnął rękę, żeby się podeprzeć, a ja złapałem go odruchowo, z nawyku, bo był moim bratem, bo żył.

Nie uwierzyłem w to. Uwierzyłbym we wszystko, ale nie w to. Za bardzo za nim tęskniłem. Nie mogłem w to uwierzyć. Bóg nie mógł mi

tego dać; nie byłby tak dobry, żeby mi pokazać, że mój brat znowu jest pod słońcem. Dla Jezui dary Boga. Nie dla Tomasza.

- Tomaszu - wychrypiał Jezua, słaby, bo nadal krwawił z ran. - Obejmij mnie, to ja, twój brat i kocham cię.

- Nie - odpowiedziałem.

Nie mogłem uwierzyć.

Wziął mnie za ręce i przycisnął je do ran. Skrzywił się, ale poczułem krew, krew, a także rodzaj miękkiego światła, światła, które nie było światłem, i rozplakałem się, straszliwie, jak dziecko, łkałem, łapiąc potężne hausty powietrza, i szlochając, przytuliłem brata po raz ostatni, a on złapał mnie za ramię i pocałował w czoło.

- Ale jesteś taki słaby - powiedziałem. - Jak możesz być słaby?

- Wcielenie nie jest prostą ścieżką - odrzekł cierpko i człowiek, który był najbardziej pełen życia ze znanych mi ludzi, został doprowadzony do stołu przez dwunastu, i tam podzieliliśmy się winem i chlebem, ale on nic nie jadł, nie miał sił. Śmialiśmy się jednak i wymienialiśmy starymi żartami, i kochałem go tak mocno tamtego dnia, że nie zauważyłem, kiedy odszedł. Po prostu odwróciłem się i jego nie było, jego krzesło stało puste, ale kielich pozostał pełen.

[I na moich oczach słowa rozpląły się i wezbrały, rozkładający się bursztyń, falujące włoski plamiące powierzchnię kałuży zepsucia, kłębiącej się od grzbietu, z rogów i z centrum. Napierała szybciej, niż potrafiłem czytać, szybciej, niż mogłem kopiować, i ręce mi łkały z bólu, próbując prześcignąć pleśń, starając się ją pokonać. Pożarła słowa, kiedy mój wzrok ledwie je musnął, i nie mogłem oddychać, nie mogłem oddychać, bo książka umierała, umierała na moich oczach, rozpadała się w złoto, akapity migotały jak gwiazdy o świcie. Wychwyciłem fragment: z drugiego krańca drzewa odezwała się nagle druga głowa, a potem jeszcze jedna, trzech Tomaszów patrzyło na mnie ze współczuciem, a Hadździ-lub-Imtithal całowała je wszystkie, jedną po drugiej, w usta, całymi wargami. I jeszcze: Pamiętam Vyalę, jasną lwicę otwierającą paszczę, pamiętam, jaka była czerwona w środku i jak zadrzałem pozbawiony czucia na długiej trawie, gdy matka-lwica podniosła mnie za skórę na karku jak kociaka...

Z pleśniejącej strony buchnął obłoczek pomarańczowych zarodników, przemacząc słowa na następnych kartach, więc

odwracałem je najszybciej, jak się dało, ale nie byłem dostatecznie szybki, nie mogłem tego powstrzymać, to się działo zbyt szybko i książka Jana rozpadała mi się w dłoniach. Ścigałem rozkład, ścigałem poprzez strony, tak wiele zostało, a ja nie byłem dość prędko. Słowa rozpadały się na kawałki, grzyb deptał im po piętach, kłapiąc zębami, aż pozostawały zaledwie epigramy: nie powinienes wierzyć w coś tylko dlatego, że powiedziało to drzewo.

Smuga głodnej żółci połknęła nawet to i przyłożyła zęby do następnych linijek, każda litera znikwała, kiedy ją czytałem, zamieniając się w złoty szlam, gorący i potworny, plamiący mi palce:

Hadździ-lub-Imtithal mówiła dalej: mnie też opowiedział te historie w naszym ślubnym łożu. Na poły w nie uwierzyłam. Czemu nie? Wiem, że skrzydlaci ludzie żyją, chodzą i mówią bardzo poważnie. Wiem, że dzieci mogą różnie się rodzić, także bez żywego ojca. Wiem, że ciało może umrzeć i powrócić, kiedy zielone listki przebiją się przez glebę. Żadna z tych rzeczy nie wymaga Boga. Dzieją się codziennie. Dlaczego nie miałyby przydarzyć się jemu? Myślę, że odnajdziesz nadzwyczajną wolność, kiedy odłożysz religię na bok. Kiedy przestajesz wierzyć w jedną jedyną rzecz, wszystko może być prawdą.

Złoto pociemniało jak zmierzch. Zgarnąłem czarne, rozmiękle strony; ujrzałem: w załomie łapy białej lwicy spała Hagia, bezgłowa, pogodna. Widziałem: Powiedziałem do niej, mając nad sobą jej ciężkie piersi, jej płonące oczy: tak, tak, napiję się z Fontanny. Weź mnie, weź mnie, napiję się.

Reszta się rozpadła. Z wilgotnym westchnieniem księga rozeszła się w moich rękach i nie pozostało nic poza wijącą się czernią na złocie, jakby litery poruszały się, oddychały i walczyły o życie:

Płakałem.

Płakałem.

Szukałem Boga i ukoronowałem się na jedyne go króla Piekieł.
Płakałem.

Litery pieniały się i rozpadały, laseczki i ogonki znaków pękały i obracały jak porwane przez wir. Patrzyłem ze zgrozą. Patrzyłem z trwogą. Ze szczątków książki, ze złotego szlamu uformowała się w grzęzawisku pojedyncza cebulka i uniosła się na łodydze. Pączek promieniał głęboką, podobną klejnotowi czernią, a kiedy się otworzył,

ujrzałem ukryte we wnętrzu bursztynowe nasienie. Kołysało się na łożycie w tę z i powrotem jak wąż w koszyku na targu. Nie dokonałem wyboru. Byłem zagubiony, odrzucony daleko od siebie. Mogłeś mnie ocalić, Panie, ale dałeś mi pożreć ten owoc. Podejrzewam, że zawsze tak czyniłeś. Rzuciłem się nań oszalały, pożarłem pączek, łożygę, szlam książki, chłepcząc go z palców, gorączkowo pragnąc mieć go w sobie, by zatrzymać go dla siebie, tak egoistycznie, tak egoistycznie, ale zawsze byłem egoistą. Zjadłem wszystko, wszystko - jak Set ziarna raju; mój przętyk pracował i wszystko przeniósłem do brzucha, wszystko, wszyściutko i, och, mój Boże, smakowało jak światło, jak światło, i straciłem wszystko].

Wyznania Hioba von Luzerna, 1699

Żałuję, że ja, Alaric z Rouen, muszę w tym miejscu podjąć opowieść Hioba. Kiedy piszę, ulokowany razem z nim w prywatnym domu kobiety w żółci (która nie chce wyjawić mi swojego imienia mimo wszelkich moich próśb i ofiarowania jej kilku paciorków z kości słoniowej zdobytych przeze mnie w czasie podróży do Afryki kilka lat temu), brat Hiob leży bez czucia na kamiennej płycie, skórę ma ziemistą, a oddech płytki.

Miejscowy król, Abbas, rozkazał przynieść ogromną ilość kwiatów na płytę, by przystroić girlandami mojego przyjaciela, chociaż wielokrotnie wyjaśniałem, że nie umarł. Jak mniemam, Hiob wspomniał nieco wcześniej w swojej relacji o Abbasie (proszę, nie obwiniajcie mnie osobiście za nieporządek w jego notatkach, starałem się ze wszystkich sił poukładać je w porządku, jaki zadowoliłby Boga, ale ich chaos naprawdę mnie zaszokował, choć z drugiej strony obawiam się, że to, co mamy do zakomunikowania, jest chaotyczne, niewiarygodne i ponad wszelką wątpliwość heretyckie, nawet gdyby udało się nadać temu prawidłowy porządek i złożyć coś na podobieństwo zwykłej książki. Wybaczcie. Jestem tylko jego sekretarzem). Król jest niespotykanie oddany kobiecie w żółci, a kiedy zapytałem o jej imię, nazwał ją Theotokos - słowem, o którego powtórzenie poprosiłem, ponieważ całkowicie mnie zaskoczyło, ponieważ jestem pewien, że wstrząśnie każdym, kto przeczyta moje żalosne notatki, jako że jest to nie imię, lecz tytuł: Matka Boga. Jeśli Jan Prezbiter był oddanym nestorianinem, a w tej chwili pozostaje co do tego niewiele wątpliwości, owo słowo wydaje się tym bardziej wstrząsające, ponieważ właśnie ten tytuł Nestoriusz pragnął odebrać Najświętszej Pani, kiedy sprawował urząd patriarchy Kościoła Wschodniego. Większa część jego herezji nauczała, że Maria była jedynie matką Chrystusa, nie boskiej części jego natury. Całkowicie przekracza moje zdolności rozumowania i umiejętności tłumaczenia zrozumienie, dlaczego Abbas upierałby się, by nazywać to chuchro takim imieniem. Doprawdy nie wierzę, żeby wiedział, co owo słowo znaczy, nie zna w ogóle greki, a ona reaguje na to imię tylko,

kiedy on tak na nią woła. Kiedy ja się nim posługuję, całkowicie mnie ignoruje.

Mówiłem jednak o Hiobie - zaraziłem się jego talentem do dygresji w trakcie naszych podróży. Powinienem był go powstrzymać, ale doznałem tak wielkiego wstrząsu, że tylko patrzyłem, jak pożerał książkę. Od tamtej chwili próbuję go zrozumieć, ja sam nie odczuwam żadnej chęci skonsumowania pozostałych rękopisów. Jednak Hiob był dla mnie zagadką, odkąd go poznałem. Wydaje się, że tak niewiele jest w tym człowieku poza językami i Bogiem. Żałuję, że chociaż raz nie przyłapałem go na zabawie kośćmi. Czuję, że wiedziałbym na jego temat znacznie więcej, gdybym zobaczył, jak nimi rzuca. Jednakże ostatecznie jego obsesja na punkcie Jana Prezbitera zawsze przerastała moją fascynację. To opowieść, niezwykle urocza opowieść, jak te historie o dziewczętach, wrzecionach i lustrach, które opowiadają stare kobiety. Dla mnie od samego początku ta misja była dziwna i smutna, bracia moi, bez wstydu to wyznam. Wyruszyłem, ponieważ przyjaciel poprosił, bym mu służył, a w służbie odnajduję drogę do Boga, cieniutką, srebrzystą i pokorną.

A jednak, a jednak. Dotykałem tychże książek. Czuję ich zapach - ostry, przejrzwały, winny aromat. Widziałem tę kobietę zwaną Theotokos, jak porusza się w ciemności i jest w niej coś cudacznego, czego nie umiem w żaden sposób nazwać. Nie widziałem drzewa, o którym pisze Hiob, ale spodziewam się, że prędzej czy później ujrzę, jeśli on się nie obudzi. Przeczytałem teraz już wszystko, zarówno jego kopie, jak i moje, wszystko oprócz zniszczonego zakończenia księgi Jana. Czy wierzę? Myślę, że muszę. Przynajmniej w to, że istniał człowiek imieniem Jan i mieszkał pośród obcych, może nawet w tym samym miejscu, gdzie słońce tak bardzo zbliża się do ziemi.

Jednakże w głębi serca pytam: czy Jan naprawdę chciał powiedzieć, że żył pośród blemiów, gryfów i panoti? W młodości, kiedy czytałem relację O Janie Prezbitrze, uważałem to za alegorię. Panoti reprezentowali cnotę słuchania głosu Boga, bezgłowi blemiowie - niebezpieczeństwa porzucenia rozumu, gryfy w swojej troistej naturze symbolizowały Trójcę Świętą, amyktrioie o ogromnych ustach wskazywali na wybór obżarstwa, wielkie lwy na rozdział między duchem i ciałem. Nie widzę jeszcze powodu, żeby zakładać, że te metafory nie są metaforami, ale prawdziwymi stworzeniami. To, że coś

napisano, nie znaczy jeszcze, że jest to prawda. Czy mam uznać za fakt, że gdzieś rośnie olbrzymie drzewo z głową Świętego Tomasza zwieszającą się jak orzech kokosowy?

Tamten list, bracia moi, który obiecywał wybawienie Jerozolimy, ma prawie sześćset lat. Z pewnością ów człowiek zjawiłby się już, gdyby żył. Mamy Rok Pański 1699 i jesteśmy nowoczesnymi ludźmi.

Tak mówi jedna połowa mojego serca. Druga połowa pragnie zobaczyć al-Qasr i jego ametystowe filary. Połowa patrzy na kobietę w żółci i jej pokrytą puszkami skórę i boi się, że każda jedna rzecz na tym świecie może być prawdziwa.



I co mam uczynić z Ewangelią Drzewa przedstawioną w tym rękopisie? Mam wysłać ją z powrotem do Lucerny, żeby odłożono ją razem z innymi interesującymi herezjami, których nie powinien oglądać w bibliotece nikt poza starym Georgiem zerkającym spod krzaczastych brwi? Jan równie dobrze mógłby rozmawiać z kapustą i informować o szczegółach spotkania. Opinie warzyw nie są żadnym dowodem. Jak mam cokolwiek z tego wybronić?

I co teraz? Czy teraz to także moja spowiedź? Ile potrwa, zanim Hiob się obudzi, a ja będę mógł powrócić do swoich modlitw i prac? Podobnie jak Hagia nie lubię pisać od siebie,

Hiob zwracał się tu do Boga - pycha, która przerasta wszelkie pojmowanie. Nie mogę czynić tego samego. Nie mogę zmusić się do uwierzenia, że jestem godzien podobnej publiczności. Piszę tylko, żeby poinformować moich braci w domu, co tu się wydarzyło. Będę marginaliami mego brata, jego przypisem, do końca jego lojalnym sekretarzem.



Każdego ranka obmywam Hioba najlepiej, jak umiem. To nie takie trudne. Martwię się - jego wnętrzości pozostają w bezruchu i nie wypróżni! się, odkąd omdlał, to nie może mu służyć. Zupełnie jakby pod każdym względem się zatrzymał. Jego członki opleciono rumiankiem i kwiatami mango, próbowano ocucić go zarówno tym owocem, jak i tą

herbatką, lecz na próżno. Przeczytałem wiele tekstów medycznych, ale moje praktyczne doświadczenia zaczęły się w chwili, kiedy Hiob postanowił zjeść książkę. Opiekuję się nim; służę mu, jak zawsze służyłem.

Jeśli idzie o książki, to wykorzystuję cały czas, którego nie poświęcam opiece nad śmiertelną powłoką Hioba, na dokończenie jego dzieła. Utlenianie stron postępuje, chociaż nie tak gwałtownie jak w przypadku rękopisu Jana - wydaje się, że niewiele praw obowiązuje rozrost zgnilizny. Czasem myślę, że całkiem utracę tekst Hagii, a czasem pleśń nie nabrzmiewa przez całe godziny. Przez długi czas słodkie opowieści Imtithal wykazywały najmniejszą skłonność do zepsucia, ale teraz przekroczyliśmy jakiś niewidzialny próg i zielone palce rozkładu śmigają, wpychają się do każdego akapitu, który przepisuję. Postaram się zorganizować ostatnie rozdziały tak, żeby oszczędzić wam, moi bracia, pomieszania i chaosu czytania poprzez gazę różowego i zielonego grzyba. I bez tego dość jest dziwactw w tej opowieści.

Już prawie skończyłem. Wyznam, że moje serce nabrzmiewa możliwościami. Czy przebudzi się, kiedy skończę? Wrócimy do domu? Czy będzie zadowolony? Czy służyłem mu dobrze?

Czy ona wyjawi mi swoje imię?

Krystaliczne niebo

W trojgu Indii nasza prześwietność włada, a ziemie nasze rozciągają się poza Indie, gdzie spoczywa ciało św. apostoła Tomasza; sięgają ku wschodowi słońca nad pustkowiami i ciągną się ku opustoszałemu Babilonowi w pobliżu Wieży Babel. Służą nam siedemdziesiąt dwie prowincje, z których tylko kilka jest chrześcijańskich. Każda ma własnego króla, ale wszystkie składają nam trybut. I nie różnią ich wojny ani spory, ani żaden fałsz.

List Jana Prezbitera, 1165

Księga fontanny

[Nie mogłem zrobić nic, by zachować pierwszą część tego rozdziału ani też większą część środkowych ustępów Kiedy Hiob dostał ataku, a potem zastygł w tym osobliwym spazmie, stronice pomarszczyły się, zamieniając się w fioletową grudę, i spadły na podłogę ze wstrętnym wilgotnym odgłosem. Gdybym mógł je ocalić, zrobiłbym to, ale mój przyjaciel cierpiał. Zaczynam ponownie tak schludnie, jak potrafię]

Kiedy piszę, w Cieniu Suzy trwa noc. Za drobną kratką siatki w oknie mojego wąskiego pokoiku w minarecie gwiazdy spoczywają jak ptaszęta w ramionach pigwowca. Cienie nie hałasują. Wiatr znad potężnej kamiennej rzeki jest gorący i suchy; niesie tchnienie bazaltu i starych, bardzo starych liści. Księżyc się zaokrąglił, pomarańczowe jajo na niebie, jakimż to dziwnym ptakiem wypełnione? Wszędzie panuje cisza - zostało nas tak niewielu. Niedługo będę już tylko ja, a potem nie będzie nikogo. Wysuszone liście palm fruują po chalcedonowym dziedzińcu. Al-Qasr stoi pusty, jak to było w tych dawno minionych dniach, kiedy Abibas, król-muł, władał łagodnie ze swojego drzewa w lesie skiapodów i zdawało się, że mieszkała tu większość Nuralu - w otwartych salach, długich korytarzach, pośród falujących zasłon. Z jaką radością przypominam sobie czas, gdy wszyscy bawiliśmy się w pałacu niczym dzieci.

Mój srebrny kałamarz zgrzyta - atrament prawie się skończył. A jednak tamto wzbiera we mnie jak powódź, wszystko naraz, wszystko dzieje się naraz, ciężar za oczami, wspomnienie tamtych dni. Rozumiem teraz Imtithal... Hadździ. Rozumiem teraz Hadździ. Świat jest miejscem cierpienia, a u korzeni cierpienia leży pamięć. Kiedy żyjesz dostatecznie długo, masa wspomnień jest większa niż masa księżyca, masa słońca, i tak jasna, i potworna, i parząca w ciemności, parząca...

[Szeroki pas rubinowego śluzu pożarł następną część tekstu - zobaczyłem coś, co obawiałem się, że jest drugim pączkiem formującym się w szlamie, wznoszącym się, żeby wypuścić aromat, który zamroczył Hioba. Zmiażdżyłem stronę dłonią i zebrałem miazgę, aż znowu

pojawiła się wyraźna kaligrafia. Nie stać mnie na ekstazę brata, muszę zachować rozsądek].

...złożony brzeg brązowej beczki pełnej naszych małych kamyczków, naszych potencjalnych żywotów. Karneol i ametyst przeszklonego Pawilonu jaśniały tego dnia wypolerowane jedwabistymi kwiatami i oliwą. Gryfy obwiesiły każdą iglicę i każdy maszt kwieciem cytronu i jasnymi cukrowymi jabłkami jak różowe latarnie, gałęziami z kwiatami mango i rumiankiem pachnącym jak skóra matki, i dzwonekami, licznymi dzwonekami, maleńkimi i roześmianymi - ukryta wśród liści niewidzialna muzyka. Ponieważ ostatnim królewskim rozkazem Abibas wyznaczył Fortunatusa do poprowadzenia loterii, Wielkiego Abiru, gryfy były zobowiązane przygotować dla niej scenerię. Dostrzegałam jednak także wiele widocznej muzyki - bębni z tykwy i liry wielkości beczek wina, na których grali ogromnymi dłońmi cametennowie. Pieśniarze zawodzili i tańczyli, derwisze tupali, tupali, tupali swoimi wytatuowanymi stopami.

Zobaczyłam tam swoją matkę, Ctiste, w jej najlepszych szkarłatnych spodniach i w pasie ze srebra. Widziałam dzieci kanibali skaczące dla zabawy; widziałam Ghaytha, który dał się młodemu astomiemu głaskać po ogonie. Czuję ciepło Hadulpha u boku i dostrzegłam też Qaspiel, które zapuściło włosy na tę okazję, i Hadździ, Hadździ słodką i milczącą na różanej huśtawce.

Oraz Jana, który stał nieśmiało obok swojego gryfa, niemalże czepiając się jego ogona, obawiając się tego, co może przynieść ten dzień. Oczy miał puste od bezsenności. Współczułam mu. Nie potrafił zdecydować, co to wszystko znaczy. Czy to, że jego wiara i wszystko, co wiedział, zyskało potwierdzenie? Czy też nic, w co wierzył, nie było teraz prawdziwe i wszystko pogrążyło się w beznadziei?

Przynajmniej nauczył się obchodzić ze mną łagodniej. I nie mogę myśleć o tym, jak wyglądał tamtego dnia, stojąc obok wielkiego gryfa. Włosy miał czyste, śnieżne i gęste, bo całkiem mu odrosły, chociaż nigdy już nie były takie same, na twarzy rozkwitły mu rumieńce, plecy miał proste - nie tak stary, ale też nie tak młody. I kiedy patrzyłam na niego, znałam tyle historii na jego temat, że to było tak, jakbym patrzyła na niego dwa razy. Nie mogę myśleć o tym, jak wyglądał tamtego dnia, nie myśląc o nim w moich ramionach, kiedy zabrałam go do Fontanny i

napołam zieloną strużką ciurkającą między jego wargi jak nić. To wszystko zlewa się: wypolerowana drewniana rączka obracającej się beczki i śnieżna droga do Fontanny poza sezonem, z nielicznymi latarniami wiszącymi w górze, wspinająca się na szczyt, tylko kilku tensevetów sprzedających środki pokrzepiające na pielgrzymim szlaku i ani jednej hieny. Szliśmy sami, nasza szóstka, a Fortunatus niósł Jana na grzbiecie, ponieważ od Nimat nie mógł ani stać, ani mówić, tak głęboko pogrążył się w rozpacz. Hadździ powiedziała nam wiele, ale dla mnie to wszystko było zagmatwane i w znacznej mierze przykre.

- Czy to znaczy, że jego Bóg istnieje naprawdę? Teraz już nigdy nie przestanę o nim mówić? Będziemy musieli na poważnie wziąć się do nauki łaciny?

Hadździ westchnęła.

- Nie potrafię powiedzieć. To historia, a historie są zarazem prawdziwe i nieprawdziwe. Są jednym i drugim jednocześnie. Czy wierzę, że Tomasz miał brata, którego kochał, i że jego brat zmarł? Oczywiście. Tak naprawdę oto cała ta historia. Miłość i śmierć.

- Dlaczego śnieg nie padał na polanie? Nigdy nie widziałam czegoś podobnego na dużych wysokościach.

Panoti uśmiechnęła się łagodnie, ale z dumą.

- Drzewa są większe pod ziemią niż nad nią, Hagio. To miejsce to Tomasz, ono całe: drzewo, trawa, ciepło. Nawet małe ptaszki w jego brodzie. Jest bardzo stary; ogromnie wyrósł.

I nawet przypominając to sobie, nie mogę nie widzieć Jana na plecach gryfa wiele lat później, stulecia później, martwego i zimnego, i nas wszystkich idących z tyłu, wzdłuż rzeki rozbijających się kamieni...
Jan,

Jan, który zawsze nas potrzebował, i Fortunatus, który zawsze go dźwigał. Wszystko odbija się echem w moich wizjach, wstecz i wstecz, po stokroć. Wciąganie go w górę po ostatnich stopniach, lina za liną, ręka za ręką, on jak martwy między nami, ale oddycha, a ja go trzymam, jego szkliste oczy, jabłka wokół zielonej i spienionej Fontanny z całym jej szlamem i urazą, * wzbierającą i wędnącą, i wiatr, straszliwy wiatr, lodowaty. Ja odchyłam mu głowę, a Oinokha, jej pióra targane podmuchami, nocne gwiazdy niczym korona nad jej łabędzią głową, patrzy na niego ze strachem i zdumieniem. Obie nabieramy gęstej,

gorzkiej wody z górskiej szczeliny, Oinokha otwiera mu usta, a ja nalewam i przez chwilę, przez jedną chwilę ja byłam Oinokhą dla Jana, wlewającą wodę życia z własnego ciała do jego.

Trudno przypomnieć sobie, że go nie kochałam, nawet wtedy. Wiem jednak, że go nie kochałam. Opiekowałam się chorym ciałem. A potem, w czasie Abiru... co mogło zatruć mnie podczas Abiru, kiedy świat stał tak ochoczy i gotowy, by zostać na nowo stworzonym?

Zatem zostawał z nami, a za dziesięć lat i za kolejne dziesięć, kto wie, jaka kobieta albo mężczyzna zabierze go do Fontanny w ostatnie podróże, by mógł wziąć w swoje ręce owo życie wieczne, które tak pragnął poznać? Zatem miał wylosować kamyczek w czasie Abiru, a fortuna miała go zaprowadzić tam, dokąd zechce.

Trwa noc, trwa noc w Nowym Bizancjum i przedrzeźniacze śpiewają, w moim kieliszku została odrobina wina, ledwie męty, ledwie męty, a tamtego dnia Fładulph musiał mu wyjaśnić, jak działa Abir, jak małemu chłopcu, który nawet nie wie, jak trzymać oliwny dzban.

- Beczka jest pełna kamieni - tłumaczył Fładulph, jakby Jan był chłopcem, który nawet nie wie, jak trzymać oliwny dzban. Słońce połyskiwało na skórkach cukrowych jabłek wiszących nisko nad naszymi głowami. - Każdy kamień ma skazy, a skazy zwiastują żywot. Na przykład, jeśli Fortunatus powie: „Janie z Konstantynopola, podrzutku adoptowany przez gryfa, wystąp”, wtedy musisz zakręcić beczką, musisz nakręcić nią ty i nikt inny, to musi być twoja własna dłoń, więc jeśli nie czujesz się dość silny, napij się herbaty z winem i poćwicz teraz... zakręcisz więc beczką i wyciągniesz, powiedzmy, przydymiony kwarc z czarną skazą, rysą w środku i niebieską plamką, to będzie znaczyło, że powinieneś zostać pasterzem, poślubić stworzenie, które wylosuje drugi przydymiony kwarc z niebieską skazą, oraz że, szczęściarzu, wolno ci spłodzić dziecko. Widzisz? Fortunatus studiował to przez kilka lat. Zna to wszystko, każdą skazę, każdą rysę i każdy południk na kamieniu. Będziemy z niego dumni, a potem

przedstawimy się sobie ponownie, będziemy mu kupować sfermentowane jajka, aż zostaniemy nowymi przyjaciółmi, my wszyscy.

Jan powątpiewał. Niewiele mówił od Fontanny, chociaż z każdym dniem był coraz silniejszy i mniej męczyły go dawne rany. Rzadko jednak spał i wiedziałam, że nadal walczy ze sobą, ze swoim Bogiem, a

ja... ja nie chciałam mieć nic wspólnego z żadną z tych walk.

Kościane trąbki ryknęły i słońce w samo południe oświetliło beczkę umieszczoną tak, żeby odbijała światło. Fortunatus zaczął, korzystając ze swojej kolosalnej pamięci, wywoływać imiona wszystkich mieszkańców Pentexore, którzy wypełnili rozległy Pawilon w centrum Nuralu (niektórzy zwieszali się z balkonów, okien i wysokich wież, by zejść na dół, kiedy usłyszą swoje imię). Jednak nie było nas wtedy aż tak wielu, żeby upchanie nas w jednym miejscu wydawało się uciążliwe.

Pamiętam to w przebłyskach, tak jak pamiętam swój pierwszy Abir. Grisalba wylosowała srebrny koralik z diamentowymi i karneolowymi smugami i zakrzyknęła z radości, bo to dawało jej dwóch mężów i żonę, a ponadto warsztat złotnika. Hadulph wyciągnął obsydian z białymi plamkami i wyruszył na północ, by zająć się polami lawendy razem z żoną wroną, a ja śmiałam się, lecz w sercu czułam ból, bo chociaż tych dwoje nie zdoła się połączyć, to się pobiorą, i ponieważ nie wylosował mnie. Pamiętam to wszystko. Pamiętam, jak Astolfo patrzył na mnie, pusty i zraniony, jak podszedł i wylosował czysty kryształ bez żadnej skazy i wiedział, że zostanie pustelnikiem, świętym mężem bez żony ani dziecka, i pośród atramentowych plam na jego twarzy dostrzegłam, że płacze, i ogarnął mnie ogromny wstyd, ogromny, ponieważ opuściłam go i nie mogłam tego cofnąć.

I oczywiście to też pamiętam. Nie ma we mnie zapomnienia. Fortunatus z ledwie słyszalnym drzeniem wywołał Jana, Jana z Konstantynopola, podrzutka i adoptowanego gryfa. Rozległy się wiwaty, bo był wtedy nowy w rodzinie. Uśmiechnął się wstydliwie, niepewnie i wyglądał w tamtej chwili pięknie - niewinny i młody. Zakręcił beczką mocno, trzy razy, włożył rękę do środka, a kiedy ją wyjął, przez długą chwilę zaciskał pięść, miał zamknięte oczy i twarz odchyloną do słońca. Mięśnie jego żuchwy pracowały. Dzwonki pobrzękiwały leniwie i wszyscy wstrzymaliśmy oddech, aż ujrzymy, kim stanie się obcy.

Otworzył pięść. Na jego dłoni leżał koral z lazurytu z czerwoną smugą karneolu, ale także z plamką szmaragdu. Będzie miał żonę. Będzie miał dziecko.

Będzie królem.

Wstrząs rozszedł się w tłumie milczeniem. Tak wiele ust się rozdziawiło, tak wiele serce nagle zwątpiło. Czy Abir źle nas

wykierował? Czy Jan był takim szczęściarzem, żeby władać w pierwszym żywocie?

To moje imię Fortunatus wywołał w następnej kolejności. Oszołomiona podeszłam do podwyższenia i zakręciłam beczką, a cała radość we mnie osłabła - nawet nie zauważyłam, jak beczka zawirowała. Mój umysł potykał się i zgrzytał - jakim królem będzie Jan? Nie zostanę chrześcijanką, na pewno. Sięgnęłam w ciemny otwór naczynia, zaczęłam macać, ciepła struga kamyków prześlizgiwała się wokół mojej dłoni. Wybrałam jeden i przysięgam, że to był prawdziwy Abir, nie miałam pojęcia, po prostu wzięłam kamień, który wydawał się ciepły i duży, nie różny od tego, kiedy wybrałam Astolfo, kiedy wybrałam swoje życie skryby.

Wyjęłam rękę. Wiedziałam, zanim otworzyłam dłoń. Uchyliłam palce i leżał w niej diament z ciemnoczerwoną skazą w środku niczym kroplą krwi.

Będę miała męża. I będę królową.



Przypominam sobie to wszystko naraz, Astolfo ryczący pod podestem, pędzący naprzód, wytykający Jana, rozdygotany, wściekły, niezdolny mówić, niezdolny go oskarżyć. Pamiętam Qaspiel, jego twarz tak smutną, że chciałam umrzeć na miejscu, tylko po to, by zażegnać ten smutek.

- Chyba chce powiedzieć: „To niesprawiedliwe”. Myślę, że chce powiedzieć: „Oszukiwałeś, Janie”.

I przypominam sobie leżenie na ołtarzu, który jest tronem, który z kolei był poświęconym kopcem, zanim al-Qasr stał się bazyliką; leżenie z Janem nade mną. Pamiętam, jak rankiem świat się zmienił i kiedy się obudziliśmy, sala tronowa była pełna róż, kuropatw, hymnów i pawi śpiących na krokwiach. Ich niebieskie głowy jak siniaki, puls ich gardeł, świadectwo ich ogonów.

- Nie oszukiwałem - powiedział Jan, a Astolfo gwałtownie obrócił się do mnie, oczy mu płonęły, zbolące, oskarżające: zostawiłam go, zostawiłam go i czyż od początku nie pragnęłam Jana?

- Nie, to nie tak było - odpowiedziałam słabo.

I pamiętam, jak Jan usadowił mnie na krześle z kości, jak uklęknął u moich kolan, a piękno właściwe wszystkim orantom błyszczało w jego mocnych rysach w całej krasie. Złożył pocałunek na moim pępku-ustach, a jego łyzy były jak świeży воск.

- Powiedz to - szepnął.

Powiedziałam więc jego modlitwę. Rosa, rosae, rosae, rosam, rosa. Rex. Regis. Regi. Regem. Rege. Ave Maria., gratia plena, Dominus tecum. Benedic-ta tu in mulierbus...

- Jak mógłbym oszukiwać? - Pamiętam, jak Jan mówił, rozkładając ręce. - Dopiero dziś się dowiedziałem, jak odbywa się Abir. To zdecydowanie zbyt skomplikowane, żeby ustawić wynik. I czy chcesz, czy chcesz powiedzieć, że Hagia też oszukiwała?

I wtedy pojęłam, że rzeczywiście oszukiwał.

Pamiętam krzesło z kości tamtego wieczoru; końce podłokietników wyginały się na kształt baranich rogów, odcięte koziorożcowi, kiedy pierwsza karawana osiedliła się w tej nieskończonej dolinie - pierwsza enklawa ptaków, monopodów, gryfów, świerszczy, feniksów i meta-colli-nara... i blemiów. Obozowali na piaszczystym przylądku, gdzie srebrnymi włóczniami wyciągnęli z morza utuczone kozłę i zjedli tłuszcz z jego rybiego ogona, skwierczący na ognisku z wyrzuconego przez wodę drzewna. Z czasem te pierwsze rogi przymocowano do długiego szezlongu, który stał się deską ofiarną, która stała się ołtarzem, który stał się tronem, który stał się moją poduszką, i to wszystko działo się naraz, kiedy ciężar Jana docisnął mój krzyż do zimnej kości krzesła...

- Nie chcę tego - powiedziałam i cisnęłam diament do Astolfo. - Weź go! - krzyknęłam. Łzy zapiekły mnie w oczy. - Sam za niego wyjdź. Pozwólcie mi raz jeszcze zalosować. Nie chcę tego. Chcę wrócić na pola mojej matki, rozciągać pergamin na obręczach i czuć drzewo jej dłoni na twarzy. Co powie w tym roku? Nie, nie, nie.

I moja matka, tak młoda i piękna, wyszła z tłumu i położyła na moim ramieniu rękę, prawdziwą i ciepłą rękę, by mnie pocieszyć, bo chociaż zasady nie do końca na to pozwalały, dzień Abiru to czas graniczny i być może tkwi w tym ukryta łaska.

- Nie możesz oddać swojego losu, moja córko. Nie swoje szczęście.

- Proszę - powiedział później Jan i zapłakał, bo tak bardzo starał się nie uczynić tego, nie musnąć dłonią moich powiek, nie przesunąć palcami po zębach w moich brzuchu, nie zerknąć na miękkie miejsce, gdzie nie mam głowy. Starał się opierać swojemu pragnieniu wejścia w owo miejsce, kiedy uniósł mnie na krzesło z macicy perłowej, i starał się nie wsunąć we mnie jak postulant wsuwający ręce do relikwiarza, by złapać suchą kość.

Dziewictwo obdarza siłą, pamiętam, jak powiedział, kiedy wszyscy uczyliśmy się z nim i to wszystko było grą. To perła., kupuje raj.

- Kocham cię, córko - powiedziała Ctiste i jej uśmiech mnie przeszył.

Odrzuciłam swoje przeznaczenie, to uciszyło wszystkie pytania na temat nieuczciwości. Zresztą nikomu coś podobnego nie mieściło się w głowie. Abir stanowił filar świata. Nikt nie wyobrażał sobie, że można by go naruszyć, uczynić go tanim i fałszywym. Wtedy nie rozumiałam nawet tak do końca, co Qaspiel miało na myśli, mówiąc „oszukiwałeś”. Jak można oszukiwać w loterii? Pomyślałam tylko: Teraz, kiedy on jest królem, co stanie się z nami wszystkimi?

Teraz rozumiem. Poznałam wiele występków, z których ten był pierwszy.

Astolfo wyciągnął do mnie rękę, jego żalosna szczęka pracowała w niemym proteście, bezgłośnym życzeniu. I mogłam wtedy odwrócić się od tego wszystkiego, co stało się później, mogłam go objąć i powtarzać, że przepraszam, aż do zdarcia gardła, aż sama też nie mogłabym mówić. Jednak obok mnie pojawiła się Hadździ, jakby zawsze tam była. Podeszła do niego, jej drobne ciało stanęło między moim smutkiem a jego wściekłością. Pchnęła go do tyłu, a on padł jak piórko. Weszła mu na kolana i owinęła go uszami, i widziałam, że wewnątrz jej objęć wstrząsa nim szloch. Jej miłosierdzie sprawiło, że serce mi zamarło i przypominałam sobie też tę noc, kiedy rozmawialiśmy o Imtithal i o tym, jak ją kochał jako mały chłopiec.

I myślę o tym, jak objęła Astolfo i działało się to równocześnie z letnią nocą, kiedy poprowadziłam Jana na brzeg kamiennej rzeki Pizon, w której nie płynęła woda, a jedynie głazy, bazalt kłębiący się z łupkiem. W ryku rzeki, w łoskocie pękających i dudniących głazów tonął każdy dźwięk. Książd uklęknął, a ja stałam nad nim, by nasze twarze mogły się dotknąć. Pocałowałam go, pocałowałam go, bo był moim mężem i moim

królem, i moje ciało zdradziło mnie, kierując się własnym pragnieniem. Pocałowałam go i zdjęłam z palca ulubiony pierścionek z lazurytem i opalem, ten od matki, ofiarowany tak dawno temu, w innym życiu. Poruszałam jego ręką, jakby to była ręka dziecka, odgarniając bruzdę w świetle księżycy i wśród huku rzeki, umieszczając pierścionek w ziemi, przykrywając go wilgotną, ciepłą ziemią. To mój raj, powiedziałam, okupiłam go znacznie wyższą ceną niż perłami.

Wiwaty rozległy się w Pawilonie, początkowo niepewne, ale potem przybrały na sile - świat musi toczyć się swoim biegiem, musimy mieć króla, a oszustwo było nam obce. Abibas, król-muł, został przyniesiony przez dwa młode centaury, wisiał w koszu wykorzeniony na tę okazję. Pobłogosławił nas. Nic nie czułam. I kiedy myślę o hałasie tłumów, myślę też o hałasie rzeki, o roztrzaskujących się tam kamieniach, i o tym, jak zabrałam go tam później, wiele lat potem, by pokazać mu coś, co zrobiliśmy razem: drzewko o srebrnej łodydze, o zwiniętych ciemnoniebieskich liściach, w barwie lazurytu ciemnego jak oczy, z kwarcowymi żyłkami. Małeńkie owoce białych opali połyskiwały na smukłych gałązkach, a księżyc chrzczył je światłem. Pogłaskałam drzewo klejnotów i pokazałam też Janowi swój brzuch, drugą rzecz, którą zrobiliśmy - już nieco wydęty, już rosnący. Dotknął miejsca, gdzie nie mam głowy, miękkiego, pulsującego, cienistego braku, skóry napiętej i rozciągniętej, i pod drzewem niebieskiego kamienia przelał we mnie swoje nasienie - wydawało się to bezpieczniejsze niż rozlanie go na ziemię.

- Powiedz to, Janie, powiedz - poprosiłam, kiedy mięśnie jego szyi napięły się w krzyku i trzymałam jego twarz w dłoniach, a jego łzy spływały mi po knykciach. Leżałam cicho pod nim z ogłuszającą rzeką w tle. - Powiedz.

- Oszukiwałam - szepnął, a między nami znajdowało się nasze dziecko. Ukryłem w dłoni kamień króla, Fortunatus mi pomógł. Chrześcijański król, kapłan, który jest także królem. Bóg chciał, bym to uczynił.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie oszukiwałam z twoim klejnotem, tylko z własnym. Jednakże modliłem się, modliłem się jak wściekły biały płomień, i Bóg dał mi ciebie.



Panuje noc w Cieniu Suzy i wszyscy już odeszli, wszyscy co do jednego, a ja mogłam go zniszczyć. Mogłam zdradzić jego sekret, a oni zjedliby go i żadna więcej z późniejszych rzeczy nie spotkałaby nas.

To mój grzech i proszę o wybaczenie.

Istnieją trzy rzeczy, które doprowadzą serce do ruiny i sprawią, że będzie się czołgać: wiara, nadzieja i miłość, a z nich najokrutniejsza jest miłość.

Szkarłatny pokój dziecienny

W pobliżu lasu skiapodów (który nazywają Punktem Oparcia) ciągnie się rozległa równina pokryta delikatnym czarnym proszkiem. Każdego ranka jutrzienka uderza w ziemię jak strzała i najozdobniejsze kwiaty wychodzą z gleby. Rośliny w kolorze stopionego szkła wiją się i pełzną w stronę światła i do południa wyrastają na wysokość dorosłego człowieka, a każdy kwiat ma cztery duże płatki rozchylone jak usta, płomienne. Kiedy minie południe, zaczynają opadać i więdnąć, przed nocą wpełzają z powrotem w ziemię, by śnić, a rankiem znowu się wynurzają. Powtarza się to wciąż i wciąż, wiecznie. Przez całe życie ostrzegano mnie, by nie jeść kwiatów, że są zaklęte i niezdrowe. I dlatego zawsze chciałam jednego spróbować. Nie muszę jeść kwiatów czy owoców, ale mogę i czasem ciekawi mnie: jak to jest przełknąć coś w taki sposób? Czuć ciężar pokarmu w sobie? Jestem jednak względnie pogodzona z faktem, że tego nie zrobiłam.

Niemniej raz na czas, kiedy dzieci miały jakąś ważną lekcję albo wyjeżdżały w odwiedziny do krewnych, skąd pisały mi o kolorze bananowej zupy i jak trudno się jeździ na sarnapach, nawet Houdowi, który potrafił jeździć na wszystkim, wychodziłam z Nuralu i nie zatrzymywałam się, dopóki nie dotarłam do czarnego pola. Patrzyłam, jak kwiaty wschodzą i powracają w tajemniczym cyklu, i spożywałam dźwięk ich opadania.

Patrzyłam na kwiaty i myślałam, że to chwila, kiedy okażę się na tyle odważna, żeby zerwać jeden z grubych szklistych płatków i go zjeść. Wtedy jednak przypominałam sobie, jak pewien kuzyn albo ciotka mówili, że nie sposób później zerwać z nałogiem i że żadne wino nie może konkurować z wywołanym przez kwiaty zawrotem głowy. Czasem zastanawiałam się, skąd to wiedzieli.

Pewnego dnia, kiedy miałam czas dla siebie - cały dzień dla siebie - patrzyłam, jak słońce zachodzi za więdnącymi kwiatami, których liście ocierały się o czarny proszek. I tego dnia siadła obok mnie kobieta, cicha

i piękna, bez słowa. Czy wiedziałam, że szła za mną? Oczywiście. Wszystko słyszę. Królowa powinna jednak wierzyć, że potrafi skradać się bezgłośnie, nie moją rzeczą jest jej zaprzeczać.

Kolosalne dłonie Abir zamknęły się delikatnie wokół jej zgiętych kolan, kiedy usadowiła się na szarawej trawie, która okalała pole. Dłonie całkowicie zasłoniły jej ciało jak tarcza z palców.

Abir, Która Była Starsza, Niż Się Wydawało: Jestem wdzięczna za to, co zrobiłaś dla moich dzieci, Imtitha. Niedługo dorosną i myślę, że będą dla ciebie lepsze. Nawet Houd.

Ja, Która Cierpiałam z Miłości do Nich: Nie myśl o nim tak źle. Tak naprawdę to on nie może tego znieść.

Abir, Która Wiedziała: Chciałam porozmawiać z tobą z dala od al-Qasr i Pokoju Dziecinnego. Obiecałam ci opowiedzieć moją historię i myślę, że nadszedł czas. Jestem pewna, bo za kilka tygodni nie będę mogła już jej opowiedzieć.

Ja, Której Już Sowiec Zapłacono: Poczekam. Jestem dobra w czekaniu.

Abir, Której Włosy Były Czarne Jak Smoła, Której Oczy Były Koloru Dojrzałej Tykwy, Której Suknię Uszyto z Czarnej Jeleniej Skóry i Która Nosiła Trzy Klejnoty: Chodź, Imtitha. Usiądź mi na kolanach, jak to zrobiłaś tamtego dnia w Nimat. Spowij mnie znowu swoimi uszami.

Usadowiłam się i owinęłam ją w bładny całun swojego ciała. Spojrzałam w jej szeroką, cudowną twarz, pełne usta, dzikie oczy i postarałam się na zawsze zapamiętać tę chwilę. Kwiaty wędły za nami, a ona zaczęła mówić.

Abir, Która Zmieni Świat: urodziłam się w Nuralu. Nigdy nie widziałas sali narodzin cametennów, dobrze wiem, ponieważ zachowujemy to miejsce dla siebie. Nasi mężczyźni są słabi w porze godów. Ich skóra staje się czysta i delikatna jak cieniutkie szkło, a na jej powierzchni jawi się... ach, to przewyższa wszelkie piękno... gra kolorów i światła, szronowe kształty drżą na ich łokciach i piersi, a mróz połyskuje jak pryzmaty. Wybrana wielka macierz musi głęboko oddychać, żeby panować nad swoim pożądaniem. Jednak jeśli mężczyzna w tym stanie choćby się potknie i upadnie, roztrzaska się. Dlatego więc, kiedy nadejdzie czas, odseparowują się pod różowymi

kolumnami i w udrapowanych namiotach, w luksusowym miejscu, gdzie jedzą, piją i grają na małych jodeitowych fletach, ponieważ ' w okresie godów tracą głos i całą energię skierowują na skórę i nasienie.

Podejrzewam, że pewnego dnia Houd zamieni się w szkło i uda się do komnaty. Nie mogę sobie wyobrazić go niemego.

Potrzeba dwunastu mężczyzn, żeby zapłodnić wielką macierz, proces jest delikatny, skomplikowany i zajmuje cały rok, po którym wychodzimy ciężarne i jakiś czas później nadchodzi czas porodu. Nie mówimy o tym obcym. Jednak tobie powiem, Imtithal... dzieci nazywają cię Motylem, prawda? Powiem ci, że rozkosz jest przemożna, tak samo jak powódź uczuć w sercu.

Moja matka była płodna, urodziła sześcioro młodych. Ja jednak byłam najsilniejsza i byłam jedyną córką. Pełniła wtedy funkcję sędziego na dworze królowej, astomi zwanej Cai, wnuczki Kantilali. Wyroki mojej matki były rozsądne i niepodważalne w Pentexore, a zapracowała na to swoją mądrością, surowością, ale też łaskawością. W czasie targu co kwadrę księżycy zasiadywała na podwyższeniu z kości słoniowej i wysłuchiwała skarg. Cai kochała ją; były wielkimi przyjaciółkami i razem pijały ; piwo białych lwów pod koniec dnia pracy. Prawie nie znałam królowej, Cai wykraczała poza mój krąg braci i nauczycieli.

Podejrzewam, skoro jesteśmy kulturalne i nie pytamy się nawzajem o swój wiek, że jestem młodsza od ciebie, ale ty mieszkałaś w Nimat, ; pośród panotich i lwów, w specyficznym pokoju, który zawsze tam panował. W czasie mojej młodości to miejsce, Nural w Pentexore, było bezwzględne. Dwóch moich braci pozabijało się z powodu długów hazardowych. Królowie i królowe zmieniali się jak karty w dłoni. Dzięki ' matce widziałam więcej niż inni. Zawijała mnie w długi pas zielonego : jedwabiu i razem z nią słuchałam zgłaszanych spraw. Potem pytała mnie: > Abir, jak byś rozsądziła tę sprawę? A ja odpowiadałam: Ten zły człowiek okradł tego drugiego. Ten drugi powinien móc ukraść coś, co podoba się temu pierwszemu, bo tak pojmuje sprawiedliwość dziecko. Albo pytała: Abir, czy ukradłabyś, gdyby twoja przyjaciółka miała więcej niż ty, a ty byś jej zazdrościła? A ja odpowiadałam: Tak, ale zadbałabym o to, żeby mnie nie > przyłapała. Fontanna sprawiła, że wszyscy nabrali pewności, że mogą robić, co zechcą; nie bali się śmierci, wstydu. Żyli tak długo, że życie stało się nudne i potrzebowali coraz

okrutniejszych rozrywek, by poczuć, że żyją. Przypominam sobie, jak jeden cametenna pchnął drugiego na ścianę w czasie rui. Tamten roztrzaskał się i umarł. Kiedy minęła pora godów, moja matka zażądała podania powodu. Mężczyzna powiedział: Chciałem zobaczyć, jak to będzie wyglądało.

Ludzie nie zmienili się, odkąd byłem dziewczynką, nie tak naprawdę, ale wyczuwałam dziką krew Nuralu tak żywo, kiedy siedziałam z moją matką na jej podwyższeniu; przeraziłam się, kiedy blemia spojrzał na mnie pożądliwie, i możliwe, że gdyby moja matka nie patrzyła, zabrałby mnie, ponieważ byłem wtedy nie mniej ładna niż teraz, a kto by go powstrzymał? Byłam mała i słaba, i nie mogłam się zemścić. A chciałam się zemścić. Nie różniłam się od reszty.

Jednakże dzieci dorastają, nawet kiedy się boją. I poszłam do Fontanny, moje włosy urosły tak długie, że zaplatałam je w liny, i patrzyłam, uczyłam się. Patrzyłam na królową, przyznaję, więcej, niż powinnam. Patrzyłam, jak ustala, kto ją okłamuje, kto jej źle życzy, węsząc kolosalnym nosem, czytając z potu, niespokojnych, podłych cielesnych humorów. Potrafiła nawet zwąchać cudze marzenia i ambicje, a kiedy spojrzała na mnie, kiedy odetchnęła, zaniepokoiła się i spoważniała. Nadal jednak obserwowałam ją i żałowałam, że nie mam takiego nosa.

Wcześniej zostałam wybrana na wielką macierz, ponieważ moja matka urodziła tak liczne potomstwo, ponieważ moi bracia zmarli tego roku, ponieważ byłem silna i niezamężna. Pamiętam nerwowe przygotowania: kąpiele i niekończące się moczenie, by przygotować moja skórę i uczynić ją porowatą. Pamiętam rozplatanie włosów, aż opadły na podłogę, wejście do sali, gdzie mogłam wybrać sobie mężczyznę wedle własnego upodobania. A wszyscy byli tak piękni, śmiały szron ich ramion, ich cicha nadzieja i uwielbienie. Wybrałam i padłam między nich, cały tuzin, a ich dobre oczy radowały się i więcej na ten temat nie powiem, ponieważ naruszałoby to dobre obyczaje.

Musisz zrozumieć, że kiedy cametenna jest w ciąży, zyskuje siłę, która przechodzi wszelkie wyobrażenia. Wigor jej przyszlących dzieci i tuzina ojców porusza się w niej i jeśli nie będzie uważała, jej stopy rozbiją podłogę, a najmniejszy gest roztrzaska kości. Oto dlatego nie może rodzić w sali. Pozabijałaby swoich partnerów, chociaż nawet nie

zamierzałyby ich dotknąć. Nosiłam trójkę dzieci, jak doskonale wiesz, nie byłam tak płodna jak moja matka. W głowie mi się kręciło od mocy, jaką skrywało moje ciało, i odbywszy rozmowę na osobności z matką, która wszystko

to doskonale znała, wyznałam, że noszę w sobie nie tylko potomstwo, ale też dręczącą ambicję: chciałam być królową. Chciałam być bezpieczna i zadbać o bezpieczeństwo moich dzieci. Chciałam rozegrać bardzo długą grę, pod koniec której Pentexore zostanie całkowicie odmienione. Czy to byłam ja sama, czy też głos ciężarnej siły we mnie?

Moja matka powiedziała: Wiesz, jak się załatwia te rzeczy. Cai odznacza się inteligencją i ostrożnością, jaką niewielu może się pochwalić. Będzie to jednak potworniejsze, niż myślisz.

I w odpowiedzi mojej matki usłyszałam konieczność: dla własnego dziecka zdradziłaby nawet przyjaciółkę i skazała ją na śmierć. Nie podoba mi się taki świat.

I tak zabiłam poprzedzającą mnie królową. Słyszałam, że powiedziałaś to moim dzieciom. Wolałabym, żeby tego nie wiedziały, ale stało się. To nie było tak trudne, jak się spodziewałam. Zwęszyła moje nadejście, ale w ciąży byłam zbyt szybka i silna, w sali tronowej oderwałam jej jedną kończynę po drugiej z taką łatwością, jakbym psuła zabawkę. Jej strażnicy tylko patrzyli - to samo zrobiła z królem, który władał przed nią. Nie zamierzali się wtrącać. Uwolnienie straszliwej siły w moich członkach przyprawiło mnie o drzenie. Zbyt długą ją powstrzymywałam. Pod koniec cała byłam zlaną krwią królowej i w samym jądrze jej szczątków ujrzałam, jak kropla z Fontanny, której jej ciało czepiało się rozpaczliwie, wycieka na podłogę i wyparowuje. To był koniec. Srebrne naczynie stało puste i czekało w korytarzu. Sama ją pochowałam, to było jedyne właściwe zachowanie.

I urodziłam swoje młode, i martwiłam się, że jakiś inny ambitny młokos zniszczy mnie, kiedy siły zaczną mnie opuszczać. Dlatego wyruszyłam w drogę. Wzięłam palankin, słonie i przemierzałam kraj w poszukiwaniu miasta, gdzie ludzie nie uważają, że wieczne życie oznacza tonięcie w najgorszych okrucieństwach, jakie zdołają obmyślić. Gdzie rozpacz nie jest jedynym prawem. I znalazłam ciebie.

Ja, Która Swego Czasu Także Pragnęłam Okrucieństwa: Wasza

Wysokość, jest wielu w Nimat, którzy nie odznaczają się dobrymi cechami.

Abir, Która Mi Nie Uwierzyła, Nie Tak do Końca: Ale nie ty. Sprowadziłam cię tutaj, a resztę już znasz. Nie wiesz tylko, co zamierzam. A zamierzam złamać nieśmiertelność na własnym kolanie. Musiałam poczekać, rozumiesz, aż moje dzieci dorosną, żeby nikt nie uznał mnie za samolubną. Odbiorę bogactwo i władzę także moim własnym dzieciom, nie tylko ich potomstwu.

Nie rozumiesz.

Pozostanę królową w czasie następnej kwadry, lecz nikt inny nie pozostanie taki sam. Będziemy mieli cudowną loterię, a w niej wszelkie możliwe żywoty i będziemy z nich losować. Cokolwiek loteria powie, tak będziemy żyć przez trzy stulecia, a potem znowu się zamienimy. Pozostanę królową tylko do drugiej loterii, by zarządzać i uspokajać, ponieważ będzie to trudne. Jednakże moje dzieci pociągną losy i pójdą tam, gdzie los je skieruje. I mam nadzieję, że ty także. Rozumiesz teraz? Skończy się nuda i pojawi się ból, straszliwy ból, kiedy loteria rozdzieli rodziny, kochanków, dzieci, przyjaciół. Jednak ból zajmie w nas miejsce, które teraz leży odłogiem - za tysiąc lat, za dwa tysiące Pentexore zatraci zdolność do występku i brutalne instynkty. Zapomną nawet, że Imtithal Motyl nie została wybrana na piastunkę przez wirującą beczkę, i będą dyskutować, jak inaczej mogły potoczyć się twoje losy. Historia jest starą, zdezorientowaną staruchą, może jednak udzielać swoich lekcji. Swoich łask.

Zrozumieją, że muszą zapomnieć o sporach, ponieważ loteria i tak je przekreśli. Zrozumieją zasadniczą prawdę Fontanny: że jeśli nie kochamy siebie wzajem, wieczność jest nieznośna. Odnajdziemy rytm. Stworzymy niebo. Tak się stanie i żadna więcej królowa nie będzie gniła w srebrnych naczyniach.

Milczałam. Wątpiłam, że to zadziała. Pamięć ma swoje sposoby.

Abir, Której Twarz Była Oświetlona przez Ostatnie Promienie Słońca: Znasz boga cametenftów? To bezimienna, pozbawiona twarzy bogini losu o siedmiu ciałach, której trzy ręce rzucają kośćmi, a cztery modlą się do samej siebie. Loteria będzie modlitwą do niej. Poświęcę cały naród dla jej świętej gry i ona nas pobłogosławi, będzie nas strzegła i prowadziła właściwą ścieżką.

Weźmiesz udział w loterii, prawda? Zaszłaś tak daleko. Jeśli wylosujesz kamień, wielu innych zrozumie, że to droga cnoty.

Była moją królową. Jej służyłam.

Kiedy wstałyśmy, by odejść, królowa Abir weszła na pole czarnego prochu. Z wdziękiem, jakiego nie wyobrażałam sobie w przypadku tych potężnych rąk, pochyliła się i zerwała jeden płatek z kwiatu, małego i żalostnego teraz, niemal całkiem wysuszonego na proszek. Podała mi pomarszczony, jarzący się płatek. Pyłek pobrudził jej palce. Wspięłam się na jej dłoń, uklękłam, a ona włożyła mi płatek do ust. Zamknęłam oczy w tamtej chwili, byłam jej dzieckiem i ufałam jej.

Płatek smakował, ach, smakował jak światło.

Księga fontanny

Przyznaję, że to ja pokazałam mu lustro.

Nic dla mnie nie znaczyło - to tylko lustro, a ja nie jestem próżna. Zrobił je Rastno Dmuchacz Szkła, dawno temu, kiedy był jeszcze młody i tak zręczny w pracy nad szkłem i wszystkim innym, co płonie. Wisiało w portyku, zanim filar się przewrócił, udrapowane adamaszkiem, ponieważ jego wizje rozpraszały uwagę, a przez wzgląd na Rastno nie chcieliśmy zhańbić jego najukochańszego dziecka.

Rastno odszedł już tam, dokąd odchodzą feniksy, kiedy umierają i nie mogą znaleźć drogi do Heliopolis, by pochować swoje stare prochy. On, który twierdził, że jego szkło powinno być tak straszliwie, niewymownie wspaniałe, ponieważ żaden płomień prócz jego własnego nie wywołuje w nim drżenia. I rzeczywiście napełnił stolicę wszelkimi cudownymi rzeczami, które dało się wykonać ze szkła. I lustrami, rzecz jasna, lustrami wszelkich kształtów. Jednakże zwierciadło, które pokazałam Janowi, było jego ostatnim dziełem. Rastno wszedł w płomień i nigdy się z niego nie wynurzył. Zanim rozpalił swój żar, ze śmiechem powiedział, że lustro, które wypali we własnych piórach, będzie cudem wykraczającym nawet poza cud Piszonu, wzburzonej rzeki kamienia.

Kiedy wyciągnięto odłamek szkła z jego zwęglonych kości i rozwiewających się popiołów wyłożonego perłami gniazda, kiedy oczyszczono je z poczerniałych koniuszków dzioba i szponów, zdrapano z jego powierzchni ugotowaną wilgoć oczu i krew, odkryto tafłę srebrzystego szkła o konturach z rtęci, tak czystego, że ukazywało cały świat, kiedy tylko ktoś zapragnął w nie spojrzeć, każdy rojący się od smoków zakamarek płaskiej ziemi.

Zwierciadło niepokoiło wszystkich, ponieważ nikt nie potrafił zrozumieć tego, co widzi, czworonogich stworzeń, dziwnych miast. Uczyło tylko, że ich ziemia jest najlepsza, lepsza o dziesięć długości olbrzymów, więc ponownie je zakryto. Wisiało jednak nadal w korytarzu jako część rytu pogrzebowego.

- Dlaczego nie pochowaliście jego szczątków, skoro to robicie ze zmarłymi? - zapytał Jan, kiedy obróciłam oprawione w brąz szkło spoczywające za belą salamandrowego jedwabiu.

Zadygotałam.

- Czy podobałoby ci się drzewo, które ma pień z popiołu, listowie ze spalonego i pokrytego pęcherzami ciała, czarne od płomieni, których nie możesz dostrzec, ale które drzewo pamięta? Co za straszliwe owoce by rodiło! Lepiej już, żeby został pożarty, jak to jest z derwiszami, albo oddany rzece, niż żeby cierpiał z powodu takiego zasadzenia.



Pokazałam Janowi lustro; był jednak szczęśliwy w tych latach, miał duży brzuch, późnym popołudniem chwycił mnie radośnie za biodra i całował w miejsce, gdzie nie mam głowy, rozwierał mi nogi i recytował ulubioną mszę. Rzadko już nawet nalegał, bym mówiła po łacinie albo przyjmowała niesioną eucharystię, którą przygotowywał, i tylko wykrzykiwał imię swojego apostoła we śnie. Skąd mogłam wiedzieć?

Odłożył drugą podróż do Fontanny. Co roku był zbyt zajęty. Nie starzał się, nie słabł, ale wiedziałam, że wkrótce to się zacznie. I co roku pytałam: Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś? A on mi nie odpowiadał, jakby milczenie mogło zmyć postępek.

I raz zapytałam: Kiedy zabrałam cię do Fontanny, naprawdę byłeś słaby? Czy pozwoliłeś mi w to wierzyć, żeby zmiękczyć moje serce i mieć pewność, że zapewnię ci udział w Abirze?

Na to także nie odpowiedział.

Wkrótce po zajęciu tronu Jana pochłonęło wielkie przedsięwzięcie, a przynajmniej on uważał to za wielkie przedsięwzięcie, cokolwiek zaś król uważa za wielkie przedsięwzięcie, spotyka się z ogólnym entuzjazmem. Zwołał wszelkie osobne rodzaje Pentexore razem i poprosił, aby przysłały delegacje i opowiedziały mu swoje historie o stworzeniu świata, jaki bóg nim włada i jak ich ciała zostały ukształtowane. Zamierzał dopasować to wszystko do swojej wiary i stworzyć nową wspianą Ewangelię, która poświadczyłaby wszystko, co tu zobaczył, która wpasowałaby Fortunatusa i Hadżdżi, i Drzewo Świętego Tomasza, i mnie we wszechświat Chrystusa.

- Czego od nas chcesz, Janie? - zapytałam go, kiedy usiadł przy biurku, robiąc notatki do rozszerzonej Genesis. - Co cię usatysfakcjonuje? Padłam na kolana, jak prosiłeś, mówiłam w twojej łacinie, ale to ci nie wystarcza.

- Zrobiłaś to bez wiary, Hagio - powiedział.

- Są jakieś magiczne słowa, które pragniesz, bym wypowiedziała? Jak ma według ciebie wyglądać nawrócone Pentexore? Nie możesz po prostu dać nam żyć w spokoju?

Jan odłożył pióro.

- Będzie jak blask światła, niebios na ziemi, nieśmiertelne i zbawione przez wiedzę o Chrystusie. To będzie Miasto Boga przepowiedziane w Objawieniu. To będzie miasto na wzgórzu wolne od wyrzucanych na brzeg szczątków i miazmatów ludzkości.

- Ty jesteś człowiekiem.

On jednak mnie nie słyszał.

- Bóg spojrzy na nie i nawet On się zachwyci. Pentexore jak jeden mąż będzie żyło na klęczkach z oczami wzniesionymi ku niebu, ziemską oblubienicą Chrystusa pod postacią narodu, prawdziwy Izrael, ponieważ żaden kraj nie może twierdzić, że został wybrany tak jak ten. Każde miasto będzie nawiązywało do Miasta Człowieczego: Nurał stanie się Nowym Bizancjum, Sirsza zostanie przechrzczona na Ephesus Segundus. Przerobię świat na doskonalszy, na czystszy. Wszystko trzeba będzie przepisać na nowo, Hagio. Wszystko. A pod koniec tego dzieła ja będę świętym i królem, a Bóg wybaczy mi moje grzechy i żaden człowiek na ziemi oprócz Jego Syna nie zrobi więcej, by zbawić świat. Nie możesz tego zrozumieć, Hagio. Nie możesz pojąć, co to będzie znaczyło dla moich ludzi, dowiedzieć się, że magia istnieje, poznać wieczną młodość. - Oczy płonęły mu pasją i podnieceniem. Ledwie go poznawałam. - Zaczęłam list, żono. List do domu. By opowiedzieć im o cudach, jakich tu doświadczyłem.

Nie martw się. Napisałem im, że nawróciłem kraj, że sarnapy odmawiają Zdrowaśki najlepiej ze wszystkich. Napisałem im, że to chrześcijańska ziemia i panuje tu prawdziwy pokój. Napisałem o wszystkim, o Rimalu, Piszonie, o wszystkim. Nie wiem, jak go wyślę, ale zrobię to. - Zamilkł i czułymi palcami delikatnie pogłaskał miejsce, gdzie nie mam głowy. -Wiem, że nie jesteś szczerą, wiedziałem to,

wiedziałem, kiedy wysunęłaś język po pierwszą komunię, że nie ma wiary w twoim sercu, ale nic mnie to nie obchodziło, bo moje palce mogły dotknąć twojego języka, słodkiego języka twego brzucha, a za ten język udzieliłbym tysiąca fałszywych komunii. Przemilczałem to w liście. Nie zrozumieliby, uznaliby cię za diabła, jak ja za pierwszym razem, a nie zniósłbym, gdyby brat zakonny spojrzął na moją Hagię i na nią splunął.

A ja pomyślałam sobie o tym, co napisała Imtithal: że przybędą ludzie z kraju Tomasza i będą chciwi, i będą okrutni, i przełamią nas między sobą jak chleb. Milczałam jednak i owszem, możecie mnie winić za milczenie. Wezmę na siebie związany z tym wstyd. Żaden król nigdy nas naprawdę nie skrzywdził. Jak król mógłby nas skrzywdzić? Chociaż wszyscy byliśmy tak starzy, okazaliśmy się zbyt młodzi, by to odgadnąć. Skąd mogłam wiedzieć? Skąd mogłam wiedzieć?



I tak zjawili się mieszkańcy Pentexore, garstka po garstce, by opowiedzieć Janowi, jak świat został stworzony. Camettenowie perorowali przez siedem godzin na temat zasadniczej natury losu i o tym, jak jego prądy oraz nawyki można wytyczyć na niebieskim materiale swoistą świętą kredą, i że ślepy traf stworzył wszystko. Tylko ci, którzy mają dostatecznie duże ręce, by manipulować tymi prądami, są ukochanymi dziećmi bezimiennej bogini. Gryf powiedział, że serce gryfa bije w centrum świata, które tak naprawdę było jajem balansującym w gwiazdnym gnieździe Am, matki, i pewnego dnia z Ziemi wykluje się cudowne dziecko. Astomi wyjaśnili całkiem logicznie, że zapach to jedyny prawdziwy żywioł we wszechświecie, a reszta to iluzja zesłana przez Saillot-Mara, pana fałszu, który pragnie zwieść nas wszystkich i przekonać, że świat istnieje naprawdę. Amyktriowie pod dowództwem Astolfo (choć posłuszna Abirowi nie zdradziłam się, że go znam) powiedzieli, że gwiazdy to zęby w ustach Grandhorma, Ostatecznej Szczęki, a świat jest Jego językiem mówiącym bez przerwy aż do końca dni.

Przychodzili bez końca, nawet małpy z wysokich wzgórz, które przekazały na migi, że prawdziwymi panami świata są lasy bambusowe, które myślą i szepczą, a małpy są winne im służyć, lasy bowiem karmią i

zapewniają schronienie swoim ulubionym dzieciom. Nawet sarnapy, które powiedziały: Nie jesteś godzien, by to usłyszeć.

Jan nie przyjął pomocy skryby, nawet mnie, ale sam wszystko zapisywał swoim zwartym, drobnym charakterem pisma. A tych, którzy podzielili się z nim opowieściami, nagroził własnymi słowami, których nikt z nas nie rozumiał. Nazywał ich opatami i księżętami, marszałkami i wicehrabiami, hrabiami, markizami i biskupami, diakonami i kardynałami. Jedną z małą nazwał protopapieżem, jednego z gryfów arcy papieżem, a kiedy poszedł odpocząć z winem i czarną cebulką, delegacje wymieniały się tymi słowami jak monetami i całkiem je pomieszały. Jednak w obecności Jana zachowywały się, jakby czuły się nimi ogromnie zaszczycone.



Panowanie Jana składało się z szaleńczego parzenia się ze swoją żoną z blemiów i szaleńczego pisania czegoś, czego nikt z nas nie czytał. Rozumowałam, że dopóki pracuje nad listem, nie obmyśli metody wysłania go i nie ściągnie na nas swojego świata. Sprawiał jednak wrażenie szczęśliwego. A kiedy odkryłam, że jestem przy nadziei, zachowałam sekret przez nieco ponad rok, ciesząc się tym przemilczanym drobiazgiem, o którym ja wiedziałam, a on nie. Blemiowie potrzebują pięciu lat, żeby urodzić dziecko - niemal równie zafascynowany naszymi różnymi sposobami rozmnażania, jak historiami o stworzeniu świata, Jan nadal nie orientował się w moich rytmach, więc całkiem go to zaskoczyło. Kiedy wreszcie mu powiedziałam, uśmiechnął się w pierwszej chwili, jak przystało na świeżo upieczonego ojca. Jednak później, kiedy rozważył wszystko, co się wydarzyło, umilkł i spoważniał, i nie mówił ze mną przez kilka dni. Wreszcie uwolnił się od tego, co go dręczyło, uklęknął przy mnie i pocałował mnie kilka razy.

- Musisz zrozumieć, Hagio, nigdy nie myślałem o tym, żeby całkiem zarzucić swoją czystość. Mieć dziecko to wiecznie mieć świadectwo własnej nieczystości. - Zamknął oczy. - Ale być może teraz to już przeszłość.

Uśmiechnął się. Kilka tygodni później w ramach prezentu pokazałam mu lustro.

Co tylko zechcesz, powiedziałam. Pomyśl tylko o tym miejscu, a zwierciadło ci je ukaze.

Stał przez długi czas i nic nie pokazywało się w ciemnym szkle. Wreszcie płomień. Pomarańczowa iskra, przechodząca szybko w pożogę, która wypalała mi oczy. Miasto płonęło w lustrze, czerwone, czarne i białe, i słyszeliśmy krzyki. Jan stał w całkowitym bezruchu, patrząc na migoczące miasto z kopułami z pyłu i krzyżami ze złota i chalcedonu, patrząc na kamienne ulice, którymi spływały potoki krwi jak przedSIONkami tuzina rzeźników, patrząc na konie depczące ołtarze i książki płonące jak feniksy, stronicie zwijające się i czerniejące przy brzegach, które nigdy nie powrócą. Patrzył na pożogę beznamiętnie. Patrzył na ciała wyginające się na ostrzach, na grozę, której nie potrafię nawet w małym stopniu oddać, bo nie widziałam niczego podobnego przez całe życie. W ogóle nie znałam tego miasta, ale opłakiwałam je, opłakiwałam je tak bardzo dalekie, tak dalekie i utracone.

Jan stał ze ściągniętym adamaszkiem w zaciśniętej bladej ręce i patrzył na posępny pomarańczowy zachód słońca nad miastem popiołów i w tej samej chwili urosła mu broda, skóra czaszki błysnęła różem między włosami, kręgosłup wygiął się jak kosa, aż na moich oczach stał się starym człowiekiem i zapłakał jak mamka.

[W tym miejscu książka Hagii zbutwiała. Czerwono-fioletowa pleśń pokonała mnie, rozrastając się i pożerając, rozsyłając jaskrawe macki. Nie wyrosła żadna cebulka. Niczego nie zjadłem. Czułem tylko smutek, pustkę, jakby wyszorowano mnie do czysta i pozostawiono z niczym. Chociaż rozdziały kontynuują opowieść, ja nigdy ich nie poznam. Strony zamieniły się w szlam i żałość, i rozlały się po stole i spłynęły na moje kolana jak fontanna krwi].

Szkarłatny pokój dziecienny

Minęły lata i wszystkie są już dorosłe.

Widziałam jedno z nich, Houda, jak tańczył, a jego mięśnie pokryły się potem w służbie bardzo pięknej damy - loteria w swoim nieogarnialnym poczuciu humoru uczyniła go tancerzem. Okazało się, że bardzo dobrze sobie radzi; widziałam go, jak tańczy dla swojej pani, która zawsze nosiła czarny woal. Gardło mi się zacisnęło od łez, kiedy zobaczyłam, jak wygina plecy, jak porusza wielkimi rękami. Byłam w tym życiu piwowarką, warzyłam mleczne piwo. Stojąc z naręczem chmielu, zapłakałam otwarcie. Moje dziecko, mój biedny, powściągliwy Houd, piękny i pełen wdzięku, o lwich ruchach, o błyszczących oczach.

On też mnie zauważył i kilka dni później w czasie kwadry dopadł mnie za wielkim ametystowym filarem, mocnym, wysokim i fioletowym.

Houd, Który Tańczył Jak Płomień: Stęskniłem się za tobą, Motylu.

Sprzeciwiłam się. Szepnęłam, że nie może zwracać się do mnie, używając tak starych, poufałych czułych słówek.

Houd, Który Miał To w Nosie: Nigdy nie będę przestrzegał tej zasady.

Dotknęłam jego twarzy. Miał ciepłą skórę.

Houd, Który Wyrósł Taki Wysoki: Przyjdź dzisiaj do mojego domu. Przyjdź. Przysięgnij, że przyjdiesz.

Był moim dzieckiem i należałam do niego, więc mu obiecałam. I zjawiłam się w jego małym domku pod cienkim dachem. Pozostałe dzieci też tam były i nie mogłam wykrztusić słowa z radości, a one wyciągnęły do mnie ręce, chcąc poczuć na nich mój ciężar. Ja całowałam ich policzki, a one wszystkie się śmiały, ciesząc się, że jesteśmy razem, chociaż pokój nie był szkarłatny ani pełen jedwabii.

Ikram, Która Poławiała Szafiry w Górach: Och, Motylu, to takie trudne! Widzę moją matkę na ulicach i nie mogę się do niej odezwać.

Lamis, Która Mieszkała Jako Zapalaczka Lamp w Mieście Thule:

Jakbyśmy nigdy się nie urodzili. A tu, z tobą, jesteśmy, jakbyśmy nigdy nie dorośli.

Och, ale ta przyjemność ze spotkania w tajemnicy, dzieci. Czyż nie jest ogromna i cudowna? Nie przeżylibyśmy takiego szczęścia, gdyby nie Loteria waszej matki.

Houd, Który Jako Jedyny Wrzucił Czarny Kamień, Głosując Przeciwno Temu Pomysłowi, Ale Który Ostatecznie Ustąpił: Nie chcę o tym mówić. Pociesz mnie, Motylu. Powiedz nam o przeznaczeniu, o historiach, które muszą się spełnić, ponieważ zawsze były prawdziwe, i że wszystko, co się dzieje, ma swój cel. To właśnie potrzebuję usłyszeć.

Usiadłam więc na jego dłoni, po raz pierwszy. Dziewczęta położyły ręce na podłodze i oparły głowy na moich kolanach. Ogień rozkwitał na kominku, a dzieci nadal były takie młode, a ja tak je kochałam.



Przeznaczenie to kobieta, powiedziałam im. Właściwie to trzy kobiety. Młode, jak my, by miały odwagę być okrutnymi, by nie ciążyła im pamięć ucząca je umiaru. Młode, ale stare, starsze niż kamień. Mają srebrne włosy, ale bujne i długie. Ich oczy są czarne. Jednak kiedy pracują, stają się psami, wilkami, ponieważ są ogarami śmierci i ogarami radości. Biorą pasma życia w zęby i czasem uważają, by ich nie postrzępić, a czasem nie. Pędzą wokół wielkiego monolitu, kamienia, który przesywa naszą sferę w miejscu, gdzie spotykają się południki. Wokół niego obraca się Ziemia i on trzyma ją na jej miejscu w świecie. Nazwa się Wrzeciono Konieczności i wokół niego wilki losu biegną, biegną i biegną, a wzory ich kółek to wzory świata. Nic nie może wydarzyć się bez nich, ale one nie stają po niczyjej stronie.

Mogłam też powiedzieć, że istnieje taki kamień, ale psy, które są kobietami, umarły dawno temu, pozwalając pasmom opaść, i że od tego czasu jesteśmy bezradni. Że w pozbawionym wilków świecie sami musimy znaleźć drogę. To dla mnie większa pociecha. Chcę sama szukać drogi, chcę iść chwiejnym krokiem; chcę upaść i zostać odkupiona. Te wszystkie rzeczy chcę odwinąć z wrzeciona, które jest mną. Nie z wrzeciona świata. Słyszałam jednak obie opowieści.

Ikram, Która Pewnego Dnia Przekroczy Wrota Alisaundra: Chcę tu zostać, z tobą.

Lamis, Która Pewnego Dnia Zostanie Królową Jak Jej Matka,
Spowitą Mgłą: Chcę znowu być dzieckiem i niczego się nie bać.

Houd, Który Pewnego Dnia Umrze w Jerozolimie: Dobrze, Motylu,
już dobrze. Począwszy od jutra, będę cię kochał przez resztę mojego
życia.

[Jest więcej, znacznie więcej, ale wszystko rozpuściło się w nicość,
w szlam zielonego i bladoniebieskiego grzyba, który wyrывa mi z ręki
żywe stronice i pozostawia z niczym, z niczym, bez zakończenia i bez
odpowiedzi, tylko z tym samotnym chłopcem i jego potrzebami, nie ma
też dla mnie pączka, bym w ślad za Hiobem pogrążył się w
znieruchomieniu i marzeniach, i ucieczce od rozczarowania, od utraty.
Owdowiałem przez te książki, zostałem porzucony. Miękki ciężar
grzbietu pękł, kiedy cisnąłem nim, bezużytecznym, o ścianę. Chciałem
wiedzieć, niech ich piekła pochłoną! Chciałem wiedzieć wszystko].

Aneks do wyznań Hioba von Luzerna, 1699

Bracia, wysyłam to do was, nie mogąc w żaden sposób odgadnąć, co przyniesie jutro. Odsyłam Marcela i Abelarda za góry, by odnieśli rękopis. Hiob swobodnie zwracał się do Boga, bez skrępowania - dwaj podstarzali starcy wymieniający się opowiastkami. Ja mogę tylko przemawiać do stronicy. Piszę, nie mając pojęcia, co może przynieść jutro. Wiem, że ja zostanę. Hioba nie można ruszyć, a nie odejdę bez niego.

Poprosiłem kobietę w żółci, żeby zabrała mnie z powrotem do Drzewa Książek, żebym mógł raz jeszcze spróbować poznać tę opowieść, uczynić ją kompletniejszą, wypełnić miejsca, które odebrała nam pleśń. Zamierzam wybudować tam małą chatkę, na równinie, żeby nie tracić czasu na przenoszenie manuskryptów z powrotem tutaj. Nie z miłości do Jana Prezbitera to robię, ale z miłości do Hioba, który powinien znaleźć oświecenie po przebudzeniu.

Ach, ale to kłamstwo. Ja także chcę poznać resztę, także płonę, by dowiedzieć się, co nastąpiło później, także czuję gorycz wzbierającą w sercu, bo skradła mi te książki przedwcześnie zwykła nikczemność powietrza i światła. Jak rozkładały się tamte tomy, tak i ja czuję w sobie macki zieleni, czerwieni i złota, rojące się na moim sercu, zjadające mnie w całości. Zabierz mnie tam, powiedziałem do niej, zabierz mnie, nie mogę tego znieść.

Kobieta w żółci, Theotokos, chyba tak muszę ją nazywać, przyglądała mi się uważnie przez długą chwilę.

- Rozważę to - odpowiedziała wreszcie.

- Abbas mnie wesprze. To nie do ciebie należy decyzja.

Kobieta odwróciła głowę w bok i myślę, że niemal się uśmiechnęła.

- To moje drzewo - odparła cicho. - Nie należy do nikogo innego prócz mnie. Ani do Abbasa, ani do ciebie. Idź do niego, jeśli chcesz. Władza wedle mojego uznania.

I wykonała dziwny gest, dotknęła skóry na szyi, miejsca tuż nad obojczykiem, bez skrępowania, swobodnie.

Wobec tego czekam. Czekam, aż zaprowadzi mnie do tego miejsca. Czekam i myślę o Hagii, Imtithał, o dziwności kobiet. Czekam i myślę o tym, jak został stworzony świat. Upewniam się, że Marcel i Abelard zostali dobrze zaopatrzeni w jajka, mięso i pomarańcze, i odsyłam ich w szary jak popiół dzień. Jem kurczaki Abbasa i modlę się. Och, jak się modlę. Modlę się, byście nas nie potępili, w domu, w tych znajomych salach obok ogrodów ze słodkimi kasztanami. Nic nie okazało się takie, jak się spodziewałem. Jesteśmy jedynie śmiertelnikami. Nie można nas winić za kształt i historię świata.

Muszę powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy, chociaż Abelard aż rwie się do odejścia, ponieważ nienawidzi tego miejsca i ma cierpliwość gza. Nie mam jednak wyjaśnienia dla tego, co pragnę powiedzieć, ani świadomości sensu i celu. Mogę tylko powiedzieć, jak mógłby rzec Jan: Stało się i żadne zaprzeczenie nie sprawi, że się to odstanie.

Wczoraj, kiedy siedziałem obok płyty Hioba, oszołomiony zapachem kwiatnych girland, mój mistrz otworzył usta. Poderwałem się w zalewie ulgi. Obudzi się i wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze... ale on się nie obudził. Jego usta się rozwarły i wynurzyła się z nich mała rozgałęziona witka o liściach mokrych i pomarszczonych jak nowo narodzone motyle, owocach niemal niewidzialnych, drobniejszych niż pył. Wyrastał z niego powoli delikatny młokos, wysadzany liśćmi jak szmaragdami, jarzący się delikatnie na tle jego szarej, nieczułej skóry.

Podziękowania

Kiedy dotykamy delikatnej kwestii genealogii książki, trzeba zacząć od początku. Jestem winna ogromne podziękowania Deborah Schwarz, mojej profesor od studiów nad średniowieczem w Cal Poły. Obudziła w tej niepraktykującej filolog klasycznej miłość do średniowiecznego świata, która wyszła daleko poza namiastkę Renesansowych Jarmarków mojej młodości i skierowała się ku czemuś dziwniejszemu i głębszemu. Chociaż ciążył mi wstyd z powodu nieukończenia studiów magisterskich, dr Schwarz rozpałała we mnie ponownie pasję dla legend arturiańskich, Chaucera, romansów i poprzez to wszystko ostatecznie doprowadziła mnie do Królestwa Jana Prezbitera i ukrytych tam dziwów. Bez niej nigdy nie znalazłabym drogi.

Dziękuję także mojej tradycyjnej kohorcie: mężowi Dmitriemu, który nie tylko czytał wszystkie szkice i zachwycał się nimi, dopóki i ja się nimi nie zachwyciłam, ale też zameldował mnie w hotelu na odludziu w stanie Maine, gdzie zostałam, dopóki nie skończyłam tej bestii. Dziękuję Elizabeth McClellan, która przeczytała roboczą wersję książki i uspokoiła moją rozstrojoną duszę, SJ Tucker, mojej współpracownicy zbrodni na sztuce, Tiffin Staib, Amalowi El-Mohtarowi, Deborah Castellano i Evelyn Kriese, bez których byłabym całkiem zagubiona. Dziękuję wszystkim, którzy pomagali mi wstać, przeć dalej, uśmiechać się i nigdy nie poddawać, nigdy nie zawieść. Jesteście moim plemieniem, jesteście moim błogosławionym królestwem potworów i aniołów.

Dziękuję mojemu agentowi Howardowi Morhaimowi; moja wdzięczność nie zna granic - jest Dumbledorem dla moich zapuszczonych dzieci, znajduje im magiczne domy, kiedy ja wpadam w rozpacz. Dziękuję mojej drużynie redaktorów i adiustatorów, Jeremyemu Lassenowi, Juliet Ulman i Marty'emu Halpernowi, którzy wiele mnie nauczyli na temat pracy nad książką, dopóki nie uzyska kształtu, w jakim trafia do Waszych rąk.

Na końcu chcę podziękować anonimowemu studentowi, który raz zgłosił się z bardzo złym wierszem na temat króla-kapłana ze Wschodu i

sprawił, że powiedziałam na głos w pustym gabinecie: Jan Prezbiter zasługuje na coś lepszego.

O autorce



Catherynne M. Valente

ur. 5 maja 1979 w Seattle, w stanie Waszyngton – amerykańska poetka, krytyk literacki i pisarka, autorka powieści i opowiadań z gatunku fantasy. Ukończyła studia w zakresie filologii klasycznej na uniwersytetach w San Diego i Edynburgu, następnie spędziła kilka lat w Japonii. Po powrocie do USA zamieszkała na wybrzeżu stanu Maine i zajęła się działalnością pisarską.